

EDYTA ŚWIĘTEK

Sekrety kobiecych dusz

SAGA KRYNICKA



MANDO

EDYTA
ŚWIĘTEK
Sekrety kobiecych dusz

SAGA KRYNICKA

MANDO

POTRZEBY SERCA

Rok 1894

Kraków

– Proszę powiedzieć, panie doktorze, czy wolno mi żywić nadzieję? Czy ból brzucha, męczący mnie od dłuższego czasu, oznacza to, o czym myślę? Mogę przekazać mężowi dobre nowiny?

Matylda Adamczyk spoglądała wnikliwie na doktora Maksymiliana Cerchę¹, który przyszedł z wizytą domową, gdyż od kilku dni fatalnie się czuła. Nerwowym gestem wygładzała wymaginaną fałdkę na sukni. Jej dłonie drżały, a serce łomotało niespokojnie.

– Bardzo mi przykro, *madame*, lecz ból, na który się pani skarża, nie ma nic wspólnego z tymi oczekiwaniami. Niestety, to histeria pokarmowa, która ma ścisły związek ze stanem pani nerwów. Jest pani zbyt rozemocjonowana, stąd bóle brzucha, mdłości i niestrawność.

– Och... – Całą odpowiedzią Matyldy było jedynie westchnienie. Przez chwilę kobieta nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, wiedziała, że próba powiedzenia czegokolwiek zakończyłaby się rzewnym płaczem.

Tak bardzo pragnęła potomka! Od pięciu lat szczęśliwie zamężna, do tej pory nie zdołała zająć w ciążę, mimo usilnych starań Seweryna. Nie pojmowała, co stoi na przeszkodzie, skoro ślubny regularnie wypełniał swe powinności, nie szczędząc jej czułych pieśczot. Miała to szczęście, że wyszła za męża z miłości, a nie pod wpływem rodziny. Seweryn był pociągającym

mężczyzną, starszym od niej o niespełna piętnaście lat. Ta różnica wieku nie stanowiła problemu, Matylda bowiem ceniła dojrzałość ukochanego męża. Nigdy nie gustowała w młodzikach, wychodząc z założenia, że tylko stateczny człowiek zapewni jej spokojne i beztrudne życie. Rówieśnicy zawsze wydawali jej się zbyt gorączkowi i nieobliczalni. Od koleżanek, które niefrasobliwie zawarły małżeństwa z panami w zbliżonym do swojego wieku, niejedną raz zasłyszała zwierzenia o scenach zazdrości, sprzeczkach czy braku porozumienia. Matyldy i Seweryna nie dotyczyły podobne bzdury. Mąż całkowicie jej ufał, nie irytował się, gdy inni dżentelmeni próbowali ją subtelnie adorować, nikogo nie wyzywał na pojedynki za nadmierną uwagę. Ale też i ona nie wchodziła w sytuacje, które mogłyby dawać panu Adamczykowi powody do zazdrości. Dużo ze sobą rozmawiali, często zwierzała mu się ze swych myśli. Opowiadała mu znacznie więcej niż znajomym paniom. Gdyby kogoś w swym otoczeniu miała określić mianem przyjaciela, to z całą pewnością nie byłaby to żadna kobieta, lecz Seweryn – taka relacja zdecydowanie była ewenementem.

Nic więc jej nie hamowało: żadna niechęć czy wręcz wstręt do małżonka. Figlowała z nim nader ochoczo, choć podobno damie nie przystoją zbyt frywolne poczynania w sypialnianym zaciszu. Była szczęśliwą mężatką i tylko brak dzieciątka spędzał jej sen z powiek i coraz częściej bywał przyczyną łez. Nawet teraz z trudem nad nimi panowała. Już miała w dłoni batystową chusteczkę, gotowa, by w każdej chwili jej użyć.

– I co mam zrobić, panie doktorze? Wszyscy oczekują radosnych nowin. Czuję się taka... niezdatna. Inne kobiety mają po kilkoro potomków, ja pragnę powić choćby jedną dziecinę.

– Jest pani jeszcze młoda, nie wszystko stracone. Zalecam spokój i wyciszenie. Może wyjazd do wód?

Odpowiedziało mu pociągnięcie nosem. Doktor pożegnał pospiesznie panią domu, nadmieniając, że zajrzy jeszcze na słówko do Seweryna. Wolał z nim omówić szczegółowo kwestię swego pomysłu na kurację.

– Powiedźże mi, przyjacielu, czy zostanę nareszcie ojcem? – zagadnął gościa pan domu po krótkim przywitaniu. Wcześniej zaproponował mu filiżankę kawy, na którą tamten z ochotą przystał.

Mężczyźni rozsiedli się w gabinecie. Adamczyk utkwiał w lekarzu wzrok pełen nadziei.

– Obawiam się, że będziesz musiał jeszcze trochę poczekać. Przypadłości twojej małżonki, choć mogły wprowadzić ją w błąd, nie zwiastują nowin, których wyglądasz z utęsknieniem.

– Ale jak to? Przecież Matysia od dłuższego czasu narzeka na złe samopoczucie.

– Tak, owszem, trochę niedomaga. Ale zdecydowanie nie wskutek ciąży – oznajmił wprost.

– A zatem co doskwiera mojej żonie?

– Z przykrością muszę stwierdzić, że to dolegliwość zupełnie innej natury. Histeria pokarmowa. Matylda sama przyznała, że ostatnio źle się odżywia. Jada zdecydowanie zbyt mało, odstręcza ją od wszelkiego mięsa i najchętniej syciłaby się wyłącznie słodkościami. Stąd ucisk na wątrobie i mdłości. Twoją żonę osłabił brak sutego jada oraz ciągłe wapory.

– Jest wrażliwa – bąknął Seweryn.

– Przewrażliwiona, przyjacielu, nazywajmy rzecz po imieniu – poprawił go doktor. – Sam nieraz wspominałeś o jej nerwach. Myślę, że w dużej mierze to one stają na przeszkodzie

macierzyństwu. Matka powinna być ostoją spokoju, wyciszenia...

– Ale nerwy Matysi wynikają właśnie z braku potomka – odparł pan domu.

Dla niego sprawa była równie przykra jak dla ślubnej. Od pięciu lat bezskutecznie usiłował dowieść swej męskości. Cała familia wyczekiwała niecierpliwie wieści, że zostanie zachowana ciągłość rodu. Już mu nawet z tej okazji składano gratulacje, gdy jakiś czas temu Matylda nieopatrznie dała do zrozumienia świekrze, że może być brzemienna. Cóż! Jej słowa okazały się fałszywym alarmem i pociągnęły za sobą sporo łez. Płakała zarówno niedoszła matka, jak i kandydatka na babcię. Od tamtej pory Matylda z ogromną determinacją spełniała małżeńskie powinności nawet wówczas, gdy doskwierało jej złe samopoczucie czy ponury nastrój. Coraz częściej też popadała w melancholię lub dla odmiany w histerię. Zakochany w niej Seweryn nie mógł patrzeć na tę rozpacz i sam także odczuwał narastającą frustrację.

Smutek obydwójga znacznie się pogłębił, gdy przed dwoma laty Konstancja Adamczyk ciężko zachorowała, a następnie dokonała żywota, nie doczekawszy się pomyślnych wieści.

– No właśnie – skwitował doktor. – To się po prostu zapętla. Matylda nie zachodzi w ciążę, bo jest znerwicowana, a z kolei nerwy są skutkiem braku potomka.

– Co radzisz?

– Możliwości jest kilka. Przede wszystkim należy uleczyć histerię twojej żony. Wyciszonej kobiecie natura prędzej pobłogosławi dzieciną.

– Ba! Tylko jak tego dokonać?

– Matylda powinna wyjechać na lato do renomowanego uzdrowiska. Ze swojej strony polecałbym Krynicę. Tamtejsze

wody zdrojowe mają dobroczynny wpływ na wiele schorzeń natury żołądkowej oraz kobiecej. To byłaby wielokrotna korzyść, bo za jednym zamachem pozbylibyśmy się hysterii pokarmowej, uregulowalibyśmy funkcjonowanie organizmu, a przy okazji poprawilibyśmy kondycję psychiczną twojej małżonki. Jestem przekonany, że pobyt w kurorcie doskonale by na nią wpłynął. Co więcej, zalecałbym pobyt nie przez jeden sezon, ale przez całe lato.

– Taa... Tak – zająknął się Seweryn. – Ale czemu akurat Krynica? Nie można by gdzie indziej?

– Owszem, można. Ale bacz na to, że w Krynicy mam sezonową praktykę. Zatroszczyłbym się o twoją żonę jak należy. Na pewno byłoby jej przyjemniej, gdyby kurowała się pod okiem kogoś, kogo zna i, jak sędzę, darzy zaufaniem.

– Słusznie – przyznał pan domu.

– A widzisz? Zatem ulokuj tam żonę na całe lato, zresztą nic nie stoi na przeszkodzie, abys jej towarzyszył. Od połowy maja do połowy września będę w Krynicy wraz z moją rodziną. Jak wiesz, od kilku sezonów pełnię tam obowiązki lekarza uzdrowiskowego.

– Właściwie dobrze by się złożyło – westchnął lekko Adamczyk. – Miałbyś oko na kurację Matysi.

– Otóż to. Mógłbym na bieżąco zlecać kolejne zabiegi, a tam naprawdę byłoby w czym wybierać. U mnie miałyby do dyspozycji hydroterapię, a prócz tego zalecałbym również dobrodziejstwa płynące z łaźni borowinowych i Zakładu Dietetycznego doktora Bolesława Skórczewskiego². To byłaby naprawdę kompleksowa kuracja.

– Uważasz, że stan zdrowia Matyldy wymaga aż takiego zachodu? – zapytał Seweryn i od razu pożałował swych słów.

Wszak wszyscy wokół wyrażali zaniepokojenie tym, że małżeństwo z pięcioletnim stażem pozostaje bezdzietne.

Adamczyk bywał zmęczony tą sytuacją i coraz częściej łąpał się na tym, że żona, poza którą jeszcze do niedawna świata nie widział, zaczyna wzbudzać w nim irytację. Miał szczerze dość spazmów, waporów i melancholii. Chciał szczęśliwej rodziny. Poczucia, że wraca z pracy do domu, w którym jest mu komfortowo pod każdym względem. Tęsknił za dawną Matyldą: ciekawą świata i radosną trzpiotką, pakującą się czasami w jakieś nedorzeczne historie, odważnie wygłaszającą swe myśli i momentami wręcz nieprzyzwoicie nowoczesną. Nie przeszkadzały mu nawet feministyczne zapędy połowicy, co więcej, sam dostrzegał sens w działaniach podejmowanych przez sufrażystki.

Cercha spojrział na niego wymownie.

– Zatem wszystko ustalone: za trzy tygodnie spotykamy się w Krynicy – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Moja Helenka³ ochoczo wprowadzi Matyldę w lokalne przyjemności i zapozna ją z interesującymi osobami na odpowiednim poziomie, więc nawet gdy ty wrócisz do Krakowa, ona na pewno nie będzie tam narzekać na nudę.

Kilka minut później doktor opuścił mieszkanie Adamczyków. Seweryn został sam. Sięgnął do kasetki po cygaro, przyciął końcówkę, zapalił. Po chwili wciągnął w usta dym o lekko cierpkawym posmaku. Lubił nie tyle sam proces palenia, co zapach tłącego się drogiego tytoniu. To dawało mu odprężenie, którego teraz bardzo potrzebował. Dzień zaczął się od złych wieści. Pierwszą przyniósł prywatny detektyw, którego jakiś czas temu wynajął w celu przeprowadzenia śledztwa wymagającego dyskrecji, drugą usłyszał od doktora. Choć powinien teraz pójść do buduaru, by podnieść na duchu żonę,

która z całą pewnością zalewała się gorzkimi łzami, tkwił w gabinecie otoczony kłębem aromatycznego dymu.

Krynica

Aurelia Drzewicka stała nad mogiłą. Wciąż nie mogła uwierzyć, że w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat została wdową. Jej świat, do tej pory dość pogodny i szczęśliwy, legł niespodziewanie w gruzach. Nic bowiem nie wskazywało na to, by Jan miał ją tak nagle opuścić. Owszem, od dnia pewnego niefortunnego zdarzenia uskarżał się czasami na bóle głowy, lecz kogo nie dręczą absolutnie żadne dolegliwości? Dionizy Litwora, mąż Emilki, pokpiwał nawet, że Jasieczek miewa migreny niczym matrona z waporami, jakich wiele gości w okolicznych pensjonatach.

Aurelia nieszczęśliwie przepadała za Emilką oraz pyszałkowatym Dyziem. Ludzie ci, choć wśród elit towarzyskich uzdrowiskowej części Krynicy uchodzili za dobrze wychowanych oraz kulturalnych, wzbudzali jej głęboką nieufność. Pod lukrowanym uśmiezkiem pani Litwory dostrzegała starannie zawoalowaną obłudę, na którą chyba nikt prócz niej nie zwracał uwagi. Ba! Dwudziestosiedmioletnią Emilię wręcz stawiano za przykład panienkom, wychwalając jej nienaganne maniery oraz anielską naturę. W gronie mężatek natomiast określano ją jako idealną panią domu, która przy nieszczęśliwie dużych środkach finansowych potrafi prowadzić gospodarstwo na najwyższym poziomie, a dodatkowo jest wspaniałą matką dwójki dzieciaków: Teodozji zwanej pieśczośliwie Teosią oraz Stasia – prawdziwych aniołków, poza którymi świata nie widzi.

Aurelia od dawna nie roztrząsała swych sympatii i antypatii. Głowę miała zajętą innym problemem. Choć od śmierci męża

minęło już pół roku i ból po jego stracie nie malał, wiedziała, że powinna podjąć jakieś kroki związane z przyszłością. Nie mogła przecież tkwić w nieskończoność u teściów, nie chciała „łaskawego chleba”. Ale i powrót do Powroźnika nie byłby chyba najlepszym pomysłem. W minionych sześciu latach zanadto odbiegła stylem życia, mentalnością i nawykami od łemkowskich⁴ chłopów, choć często zaglądała do domu rodzinnego. Doceniała też fakt, że jej świekra, Felicjta, darzyła Juraszków szacunkiem i traktowała ich nader przyjaźnie, często zapraszając w swe gościnne progi. Teściowa zachowywała kamienną twarz nawet wówczas, gdy wśród okolicznej socjety szemrano, że dopuściła, by jedyny syn popełnił mezalians, wiążąc się z panną o prostaczym pochodzeniu.

Nie jestem omdlewającą dobrze urodzoną panienką, by zważać na takie drobiazgi – pocieszała niejeden raz samą siebie, znosząc drobne szpileczki, które czasami ktoś jej wbijał.

Aurelia dawno temu zdążyła się uodpornić na niesprawiedliwość ze strony osób, które miały się za lepsze od niej. Wiedziała, na co się porywa, wychodząc za mąż za Polaka, choć na co dzień okoliczni Polacy i Rusnacy⁵ żyli ze sobą w niezłej komitywie. Zresztą narodowość to jedno, a pozycja społeczna – drugie. Niełatwo było córce chłopu, która związała się z potomkiem szanowanej krakowskiej rodziny mieszczańskiej oraz krynickiej elity towarzyskiej.

– Do zobaczenia, Janeczku – wyszeptała. – Przyjdę do ciebie niebawem.

Do tej pory odwiedzała mogiłę każdego dnia, lecz skąd mogła wiedzieć, co będzie jutro, pojutrze, za tydzień?

Na razie nie miała ochoty wracać do domu Pod Lipami⁶ – eleganckiej drewnianej willi wzniesionej w stylu szwajcarskim, w której pomimo upływających miesięcy wciąż panowała

żałobna martwota. Nawet wskazówki zegara stojącego w salonie nadal pozostawały nieruchome, wskazując chwilę zgonu młodego pana. Matka zmarłego, pani Felicjta, nie pozwalała służbie, by nakręcono staromodny czasomierz, wcześniej odmierzający przede wszystkim szczęśliwe godziny. Zamilkły więc prześliczne kuranty, które w minionych latach zachwycały Aurelię. Czas stanął w miejscu.

Młoda wdowa postanowiła, że pójdzie na spacer po parku zdrojowym. Bezczyenne tkwienie w domu zdecydowanie jej nie służyło. Zawsze była w nieustannym ruchu, córkę łemkowskiego chłopa od najmłodszych lat przyuczano do obowiązków domowych. Później kształciła się w Krakowie, a po ślubie sama wciąż wynajdowała sobie jakieś zajęcia. Byle nie tkwić ze znudzoną miną w fotelu, udając, że cieszy ją dźganie igłą w kanwę, szydełkowanie frywolitek czy inne bzdurne robótki, w których upodobanie znajdowały światowe damy.

W Krynicy nie było jeszcze kuracjuszy, ponieważ sezon zaczynał się dopiero za dwa tygodnie. Mogłaby więc, nie zwracając niczyjej uwagi, pójść na Górę Parkową. Albo po prostu przejść się alejkami ukochanej miejscowości, w którą wrosła tak mocno, że nie wyobrażała sobie, by mogła żyć gdziekolwiek indziej. Nawet teraz, gdy pogrążona była w żałobie, doceniała uroki Krynicy. Wcześniej, przez blisko rok, miała okazję zamieszkiwać w Krakowie. Tamtejszy gwar i chaos zupełnie jej nie odpowiadały. Dusila się w miejskich fetorach. Tramwaje konne wzbudzały jej przerażenie, robiąc nazbyt wiele hałasu. I jeszcze ten rynsztokowy smród. Nie! Nad uroki wielkiego miasta zdecydowanie przedkładała sielankowe życie Beskidu Sądeckiego. Miłym dla uszu był szmer Kryniczanki – potoku, nad którym w ostatnich kilkudziesięciu latach wznoszono coraz większe i piękniejsze wille, służące

przyjezdnym jako pensjonaty, oraz liczne budynki uzdrowiskowe. Owszem, pomiędzy majem a wrześniem kurort ożywał gośćmi. Na miejskim deptaku panował wówczas ruch i gwar, lecz nawet wtedy Aurelia dobrze się tutaj czuła.

Od zawsze uwielbiała obserwować eleganckie damy przechadzające się w barwnych toaletach, prezentujące paryskie nowinki. Podziwiała ich zdobne kapelusze z falującymi fryzowanymi piórami – małe dzieła sztuki kipiące od kwiatów, pierzastych ptaszków i innych ozdób. Obserwowała grację, z jaką poruszały się dystyngowane panie w pięknych jedwabnych bądź muślinowych sukniach. Widziała zmieniający się z roku na rok krój spódnic, znikające tiurniury wraz z trenami zbierającymi uliczny kurz i pojawiające się znacznie praktyczniejsze fasony. Pragnęła być taką jak owe elegantki, a jednocześnie chciała pozostać sobą. Wszak mimo usilnych starań najpierw *madame* Ryłskiej, a następnie Felicyty wciąż nie można jej było określić mianem prawdziwej damy. Była kimś znajdującym się pomiędzy dwoma światami: blichtrzem salonów i chatą łemkowskiego pszczelarza.

Aurelia wędrowała niespiesznie, zastanawiając się nad tym, co by było, gdyby przed blisko pięćdziesięcioma laty doktor Józef Dietl² nie wykazał ogromnego zdeterminowania i nie sprzeciwił się woli urzędników, którzy wydali wyrok na kurort. Z opowieści Felicyty wiedziała, że w tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim roku zapadła decyzja o zlikwidowaniu dogorywającego Zakładu Leczniczego. Rok później do Krynicy przyjechał Dietl, który przyjrzał się wszystkiemu z bliska i tak sprytnie omówił problem z urzędnikami, że ci wyrazili zgodę na dalsze funkcjonowanie uzdrowiska oraz jego rozwój. Powstrzymano rozbiórkę już istniejących obiektów i wyasygnowano fundusze na rozbudowę infrastruktury.

To wydarzenie, tak znamienne dla dziejów Krynicy, okazało się nie mniej istotne dla Aurelii, choć wtedy jeszcze nie było jej na świecie. Ba! Jej matka była wówczas dziewczynką. Gdyby bowiem Józef Dietl nie przyjechał do urokliwej miejscowości położonej u stóp Góry Źródlanej, zwanej także Parkową, losy Krynicy zostałyby przesądzone – na powrót stałaby się zwyczajną wioską, z biegiem czasu zapewne całkowicie zapomnianą przez Boga i ludzi z dalekiego świata. Tymczasem dzięki dotacji przekazanej przez władze krajowe w Krynicy mógł rozpocząć działalność urząd powiatowy oraz związane z nim instytucje, między innymi sąd. I właśnie pracownikiem sądowym był Sergiusz Drzewicki, dziadek Jana.

Sergiusz przybył do Krynicy wraz ze swoją rodziną. Miał wówczas żonę oraz dorosłego syna Ksawerego, który szybko zwierzył interes w otwarciu tartaku – wszak na rozbudowę odradzającego się uzdrowiska potrzeba było mnóstwo bali, krokwi, gontów i innych wyrobów drewnianych. Interes okazał się trafiony, rozwijał się fantastycznie, dając podwaliny pod znaczną fortunę. Ksawery Drzewicki związał się z Felicytą spokrewnioną ze słynnym krynickim rodem Nitribittów, którzy byli właścicielami pierwszej w okolicy apteki. Tym samym rodzina na dobre zakorzeniła się pod Górą Parkową. I to właśnie tym wydarzeniom, jakże doniosłym dla dziejów kurortu, swoje krótkotrwałe szczęście małżeńskie zawdzięczała Aurelia. Wszak gdyby Krynica nie utrzymała rangi ważnego uzdrowiska, nie osiedliliby się tutaj Drzewiccy, a ona nie poznałaby nigdy Jana. Zapewne wyszłaby za mąż za zwyczajnego łemkowskiego chłopca i wiodła żywot prostej wiejskiej kobiety.

Czy byłaby wówczas szczęśliwa?

Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Być może nie znając innego życia, godziłaby się na to, które stałoby się jej udziałem. A może nie? Może „zarazona” przez swego pierwszego nauczyciela głodem wiedzy, zainspirowana lekturą powieści przeznaczonej dla panienek z wyższych sfer tęskniłaby za czymś, co nie miało prawa zaistnieć? Na pewno nie poznałaby wówczas wielu wybitnych osobistości, które jeszcze do niedawna przewijały się przez bawialnię teściów.

O tym, że jednak weszła na salony, zadecydował nie tylko psikus losu, ale również wiele sprzyjających okoliczności.

Kiedy Aurelia wróciła wieczorem do domu, zastała teściową siedzącą beczynną. Obok leżała zapomniana kanwa z rozpoczętym haftem, którego od dawna nie dotknęły dłonie właścicielki. Felicjta miała bladą i posępną twarz, a na policzkach ślady łez. Wciąż widać było ból w jej oczach. Musiała niewyobrażalnie wręcz cierpieć, młoda wdowa zdawała sobie z tego sprawę, bowiem jej także ból wręcz rozdzierał piersi. Nie bacząc na to, czy wygniecie sobie suknię, usiadła na podłodze u stóp kobiety. Ujęła jej zimne dłonie i zaczęła ogrzewać je swym oddechem.

– Mateczko, tak nie można. Nie możesz wciąż tkwić w domu. Wiem, że jest ci ciężko, bo straciłaś jedyne dziecko, ale zamykanie się przed całym światem niczego nie zmieni. Powinnaś wyjść przynajmniej do ogrodu, zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza. Wystawić się na dobroczynne działanie wiosennego słońca. Mateczko, błagam... Jan na pewno nie chciałby widzieć cię takiej. Przecież był do ciebie bardzo przywiązany – mówiła, choć nie była pewna, czy teściowa w ogóle jej słucha, gdyż wciąż pogrążona była w kokonie otępienia.

Rzeczywiście Felicjta nie reagowała na słowa synowej. Siedziała nieruchomo, niczym posąg wykuty z zimnego, pozbawionego uczuć marmuru. Aurelia nie przestawała się o nią zamartwiać, ponieważ w minionych miesiącach teściowa jadła zatrwajająco mało. Znacząco wychudła, jej oblicze porały bruzdy, których wcześniej nie było. Kiedyś pełna życia, energii, pogodna i wiecznie uśmiechnięta, teraz przypominała czarną posępną wronę z mocno posiwiałymi włosami.

Zasmucona brakiem reakcji ze strony teściowej Aurelia położyła głowę na jej kolanach. Plecy młodej wdowy zadrgały szlochem. Od dawna próbowała jakoś ukoić ból Felicjty. Pocieszyć ją tak, jak sama była przez nią pocieszana wtedy, gdy z miesiąca na miesiąc upływał czas, a ona nie mogła przekazać mężowi bardzo wyczekiwanych wieści o powiększeniu rodziny. Aurelii doskwierał wtedy głód macierzyństwa tak bolesny, że niekiedy nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Odnosiła wrażenie, że jest u progu szaleństwa. I właśnie w tamtym okresie rozsądek oraz ciepło Felicjty pomagały jej jakoś funkcjonować. A gdy Jan wyzionął ducha, zdała sobie sprawę, że ten głód prawdopodobnie nigdy nie zostanie zaspokojony. To bolało w dwójnasób. Ale równie mocno dręczyło synową spoglądanie na cierpienie istoty, która była dla niej kimś wyjątkowo dobrym i wyrozumiałym.

Określanie Felicjty matką przychodziło jej bez najmniejszego wysiłku. Nie wynikało wyłącznie z utartego zwyczaju, lecz również z potrzeby serca. W minionych latach *madame* Drzewicka stała się dla młodej mężatki prawdziwym aniołem opiekuńczym, który prowadził ją przez meandry salonowego życia, dyskretnie ratował z opresji, osłaniał przed uszczypliwościami, pocieszał w chwilach troski, a nade wszystko okazywał prawdziwie matczyną czułość.

Prócz najbliższych krewnych nikt nigdy nie był dla Aurelii równie wspaniałomyślny. W domu teściowej ani przez moment nie czuła się istotą obcą, intruzem. To było coś więcej niż akceptacja. To było wzajemne przywiązanie. I teraz, mimo własnego cierpienia, młoda wdowa bardzo pragnęła choć trochę pomóc świekrze, ale niestety czuła się całkowicie bezsilna.

Felicyta spojrzała na kobietę siedzącą u jej stóp. Widziała drżące szlochom plecy synowej. Chciała ukoić jej cierpienie, lecz bała się panicznie, że za uleganie emocjom kiedyś przyjdzie jej słono zapłacić. Pokochała tę dziewczynę niczym rodzoną córkę. W minionych latach Aurelia stała się dla niej czymś więcej niżli tylko synową.

Pewnego dnia i ty mnie opuścisz – przeszło jej przez myśl. – Kiedyś żałoba dobiegnie końca. Odejdiesz z tego domu i zapomnisz o moim synu. A ja zostanę sama z rozkrwawionym sercem.

Chciała zamknąć tę kruchą istotę w objęciach swych ramion. Przytulić mocno do piersi. Pogłodzić bujne włosy o barwie gryczanego miodu. Zapewnić Aurelię, że wszystko będzie dobrze i zbawienny upływ czasu wyleczy ich obolałe dusze.

Nie potrafiła się przemóc.

Nie powinna utrudniać chwili rozstania im obu. Nie powinna jeszcze bardziej przywiązywać się do synowej. Wystarczy, że pochowała własne dziecko. Utrata Aurelii, do której prędzej czy później zapewne będzie musiało dojść, ostatecznie stanie się gwoździem do trumny.

Tak bardzo cię kocham, maleńka... – Usta Felicyty poruszyły się bezgłośnie szepcąc. Jej dłoń drgnęła, następnie uniosła się ku głowie spoczywającej na podolku, lecz kobieta siłą

powstrzymała odruch pełen tkliwości. Zaciśnęła palce w pięść. Stłumiła szloch.

Dla matki nie ma nic gorszego niż utrata dzieci.

Kraków

Matylda łkała rozpaczliwie, słyhać ją było przez zamknięte drzwi buduaru. Nawet towarzysząca bratowej Zuzanna nie była w stanie ukoić rozpaczy, choć właśnie między innymi w tym celu Seweryn wezwał ją do przestronnego mieszkania ulokowanego w urokliwej kamieniczce przy Małym Rynku w Krakowie. Sam nie był w stanie pocieszyć swej ukochanej Matysi, zresztą który mężczyzna potrafi skutecznie stawiać czoła damskim histeriom? Seweryn, choć dobrze znał powód owego nieutulonego płaczu nieprzemijającego od kilku godzin, wolał wezwać posiłki w postaci siostry, niżli samemu mierzyć się z waporami, do których się przyczynił. Może niepotrzebne były wzmianki o tym, że bardzo chciałby mieć choć jednego potomka, najlepiej syna, który zachowałby ciągłość nazwiska?

Mężczyzna krążył po gabinecie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Namyslał się nad słowami Maksymiliana. Ostatecznie uznał, że faktycznie powinien wysłać żonę na całe lato do Krynicy. Sam mógł dotrzymać ślubnej towarzystwa jedynie przez część sezonu, miał w Krakowie obowiązki, które nie pozwalały mu na dłuższy wyjazd. W końcu nie wytrzymał, zerwał się i przemierzył w paru susach pomieszczenie. Skierował kroki do buduaru. Zastukał do drzwi i nie czekając na słowa zachęty, wpadł niczym burza do pokoju.

– Tak być nie może, Matysiu! – wykrzyknął. – Trudno, skoro Maks doradza wyjazd do źródeł, pojedziemy. Albo raczej ja cię tam odwiozę i będę zaglądał do ciebie w wolnych chwilach.

– Naprawdę? – ucieszyła się kobieta. Z nią doktor nie rozmawiał o absolutnie żadnej kuracji. Nie zalecił niczego ponad spokój oraz wypoczynek. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że z Sewerynem omówił temat szczegółowo.

– A dokąd? Pojedziemy z Zuzią do Dusznik?

– Nie. Do Krynicy – odparł mąż. – Maksymilian obiecał, że da mi list polecający do jednego z pensjonatów. Zatrzymamy się w hotelu Trzy Róże. Helenka z całą pewnością zadba o to, abyś przebywała w jak najlepszym towarzystwie. Cerchowie są przecież ludźmi na poziomie, kulturalnymi, nie zadają się z osobami podejrzanej konduity.

– A nie lepsze byłyby Duszniki? Albo chociażby Żegiestów czy Muszyna? – odezwała się w końcu Zuzanna. – O wiele łatwiej się tam dostać. Słyszałam, że kolej nie dociera do Krynicy.

– Choć wiem o niedogodności związanej z podróżą, inne uzdrowiska nie wchodzą w grę. Krynica słynie z leczenia przypadłości dręczących Matysię. No i oczywiście doktor Cercha zapewnił, że osobiście pokieruje kuracją. Możesz być spokojna – mówił do siostry, mimo że kwestia wyjazdu dotyczyła przede wszystkim jego małżonki. – Matylda będzie tam miała należytą opiekę.

– Och! Droga Zuzanko! – wykrzyknęła *madame* Adamczykowa, ocierając twarz z ostatnich łez. – Nie musisz się o mnie martwić. Lepiej, abyś mi poradziła, które suknie powinnam ze sobą zabrać. Jeździsz co roku do Dusznik, więc orientujesz się w kurortowych modach... Co będzie mi potrzebne w Krynicy? Bo mam nadzieję, że w przerwach pomiędzy różnymi zabiegami znajdzie się choćby odrobina czasu na jakieś przyjemności.

– A tak... Suknie – odparła Zuzanna. – Wypada, abyś sprawiła sobie coś ładnego, może nawet z odrobiną ekstrawagancji. Na deptaku zobaczysz istną rewię mody i muszę stwierdzić, że

damy noszą się w uzdrowiskach zdecydowanie śmieiej niż w Krakowie czy nawet w Warszawie.

Seweryn, słysząc, że kobiety podjęły najmniej interesujący go temat, pożegnał się grzecznie i odszedł. Poprosił jednak siostrę, by zajrzała do niego przed wyjściem, chciał z nią omówić nowinę przyniesioną przez detektywa.

Nie martwił się szczególnie mocno o stan swoich finansów, choć z góry zakładał, że podróż do wód odczuje w kieszeni. Szczęśliwie nie należał do biedaków, był głównym wspólnikiem kancelarii prawnej Adamczyk & Strzelecki prowadzonej wraz ze szwagrem, również prawnikiem. Obydwaj zasłynęli ogromną skrupulatnością oraz skutecznością nie tylko w Krakowie, ale właściwie w całej Galicji. Ze swoimi problemami zwracali się do nich ludzie z dość odległych miejscowości, uważając ich niejednokrotnie za ostatnią szansę w starciu z Temidą.

Może Matysia nie zrujnuje mnie do szczeru kupnem zbyt wielu toalet? – pomyślał ze zgrozą, gdyż odezwała się w nim natura centusia krakowskiego. Ostatecznie uznał jednak, że przełknie nawet spore wydatki na krawca, modystkę i inne dyrdymały, byle w domu w końcu zapanował spokój, skończyły się comiesięczne histerie, popłakiwanie po kątach i wapory.

– Na litość boską, Sewerynie! Co cię opętało? Na co ci to było?
– wykrzyknęła wzburzona Zuzanna, wysłuchawszy relacji brata odnośnie do poczynąń prywatnego detektywa. A ponieważ wcześniej nie poinformował jej, że w ogóle nosi się z takim zamiarem, nawet nie próbowała ukrywać zaskoczenia.

– Musiałem to zrobić. Zrozum, ta sprawa mocno mnie frapowała...

– Przez tę sprawę Kazia gryzie ziemię! – powiedziała dobitnie.
– Jestem przekonana, że to było powodem jej przedwczesnej śmierci! Rodzice przewracają się w grobie! Ona zresztą pewnie

też! Trzeba dać spokój umarłym! A ty... Ty... Ty swoim niefrasobliwym postępowaniem zakłócasz spokój ich dusz! Tak być nie może!

Miotła się po jego gabinecie niczym mityczna furia, szeleszcząc halkami, tupiąc nerwowo i gestykulując. To załamywała ręce, to wznosiła oczy ku niebu.

A zatem Zuzia nie wybaczyła – pomyślał zniechęcony Seweryn.

Przez dobry kwadrans usiłował udobruchać siostrę, a gdy w końcu ochłonęła, zaczął ją prosić, aby zmieniła wakacyjne plany i zamiast do Dusznik, wyjechała z Matyldą do Krynicy. Argumentował, że żona bywa dość niefrasobliwa, a on trochę się obawia, czy może ją spuścić z oczu na całe lato. Obecność Zuzanny zapewne mogłaby zapobiec ewentualnym katastrofom towarzyskim. Połechtał tym samym ego swej siostry, ta bowiem lubiła wchodzić w rolę anioła stróża.

Krynica

Zaraz z rana młoda pani Drzewicka posłała do łemkowskiej części Krynicy Józka, młokosa, który zajmował się drobnymi posługami. Chłopak miał przekazać jej dwóm podopiecznym, by nazajutrz po śniadaniu przyszły na lekcje.

Kiedy Aurelia opuszczała rodzinną wieś, solennie sobie postanowiła, że nigdy nie będzie próżnowała. W tym przekonaniu utwierdziła ją nie tylko lektura ulubionej powieści, w której zaczytywała się, będąc młodziutkim dziewczęciem, ale również wrodzona chęć pomagania innym. Doszła do wniosku, że skoro zrzędzeniem losu mogła wieść życie lepsze niż to, dla którego przyszła na świat, to powinna wyciągnąć pomocną dłoń do ubogich dzieci. Szansy na poprawę ich losu upatrywała w wykształceniu.

Aurelia zawsze była przepełniona empatią. Myślała. Może nawet zbyt wiele jak na kobietę. Zauważyła, że damy zanadto myślące wcale nie cieszą się popularnością. Wręcz uchodzą za wyemancypowane dziwadła. Na nią często spoglądano przez palce. Wybaczano jej chyba znacznie więcej niż dobrze urodzonym paniom. Przypuszczała, że za plecami wiele osób z politowaniem kręci głową i komentuje jej zachowanie. Cóż, niełatwo było spod przysłowiowej strzechy wejść na salony. Ten i ów nawet pozwalał sobie półgębkiem czynić niemiłe uwagi. A Emilia, gdy tylko miała ku temu sposobność i gdy nie było w pobliżu Jana, z wielką ochotą wytykała Aurelii wszystkie słowa oraz sytuacje, które w jej odczuciu odbiegały od konwenansów. Niby czyniła to z życzliwości, by na przyszłość „kuzyneczka” nie powielala swoich błędów, lecz Aurelii i tak było przykro.

Nim odszedł Jan, każdego dnia rano chodziła do siedziby Towarzystwa Przyjaciół Krynicy i Kasy Wzajemnej Pomocy, które ochoczo współpracowało z Krakowskim Towarzystwem Dobroczynności. W Krynicy działania skupiały się głównie na przyjmowaniu niezamożnych pacjentów do uzdrowiska oraz przekazywaniu wód mineralnych na potrzeby krakowskich placówek leczniczych, zajmujących się pomocą dla ubogich⁸. Aurelia, prócz sprawowania opieki nad pacjentami, dwa razy w tygodniu w osobnej izdebce uczyła dwie łemkowskie dziewczynki języka polskiego, rachunków w zakresie szerszym niż wykładany im w szkole oraz dobrych manier. Kładła młodym uczennicom do głowy, jak należy obchodzić się i rozmawiać z ludźmi. Wierzyła, że w przyszłości każda z nich zostanie należycie doceniona i znajdzie dobrą pracę w uzdrowisku, niekoniecznie przy szorowaniu podłóg czy noszeniu ciężkich kubłów z wodą, lecz przykładowo przy różnych zabiegach w Zakładzie Wodolecznym albo w pijalni.

Aurelia nigdy nie wywyższała się ponad prostaczków z racji nagłego awansu społecznego. Jan był dumny z tego, że żona nie spoczęła na laurach i nie wykorzystuje swojej nowo nabytej pozycji do okazywania wzdąrdy tym, którym wiodło się gorzej. Wymógł jednak na niej obietnicę, że gdy pojawi się nadzieja na powiększenie rodziny, to przyszła matka poświęci się w całości dziecku, poniecha wypraw do towarzystwa dobroczynnego przynajmniej na czas, kiedy będzie brzemienną oraz kiedy w domu będzie małe dziecic. A ponieważ do niczego takiego nie doszło, kobieta nieprzerwanie wypełniała swoją misję. I teraz, w tej smutnej godzinie, gdy żalóść ścisnęła jej serce i nie pozwalała przeboleć nagłego odejścia ukochanego mężczyzny, Drzewicka uznała, że to właśnie praca pozwoli jej choć na moment wyrwać z głowy ogrom przykrych myśli.

ECHO MINIONYCH DNI

Kilka lat wcześniej

Powroźnik

Aurelia Juraszko była szesnastoletnią panienką, kiedy zwrócił na nią uwagę Jan. Ogier Drzewickiego zgubił podkowę podczas przejażdżki przez Powroźnik. Mężczyzna zmuszony został do szukania ratunku u Anzelma Sowy – miejscowego kowala. Tak się składało, że kowal sąsiadował z obejściem Juraszki, a jego ślubna, o czym wówczas jeszcze Jan nie miał prawa wiedzieć, mogła się poszczycić nadzwyczaj bystrą i powabną chrześniaczką. Akurat wtedy, gdy Jan czekał na podkucie konia, ojciec wysłał Aurelię z miodem do matki chrzestnej. I to już wówczas Drzewicki zakochał się w uroczej dziewczeczce na zabój, choć nie od razu dopuścił do siebie myśl, że uległ afektowi do łemkowskiej chłopki.

Aurelia wyróżniała się spośród wieśniaczek niepospolitą urodą. Widać było w niej jakiś szlachetny rys, niepodobny do grubo ciosanych chłopskich twarzy. Mężczyzna zwrócił uwagę na to samo, co od dawna przykuwało uwagę sąsiadów rodziny pszczelarza. Pokątnie wręcz szeptano, że Ałenka nie może być córką prostego Rusnaka, a w jej poczęciu niechybnie musiał brać udział jakiś kuracjusz. Pannica odznaczała się wiotką figurą o bardzo szczupłutkiej talii, delikatnymi przegubami rąk oraz nóg, wielkimi orzechowymi oczami, wysokimi kośćmi policzkowymi i prześlicznie zarysowanym podbródkiem. Główkę nosiła wysoko niczym panna z jakiegoś dworu. Jej

włosy w kolorze gryczanego miodu zaplecione były zwykle w gruby warkocz.

Z pamięci powroźniczan dość szybko umknął jeden dość istotny szczegół: otóż przed laty Aurelia miała bliźniaczą siostrę, Sofijkę, która zmarła, przeżywszy zaledwie siedem wiosen. Póki jednak żyła, zwracano uwagę na to, jak mało podobne są do siebie dziewczynki. Taką samą miały jedynie barwę włosów, pozostałymi szczegółami urody różniły się całkowicie. Sofijka była podobna do matki niczym dwie krople wody, natomiast u Aurelii musiała wziąć górę krew Nazaryma, którego do Powroźnika los przygnał zza Nowego Sącza.

Aurelia wyglądała tak słodko i niewinnie, że choć Drzewickiego przez moment korciło, by zbałamucić ten cud natury, szybko powściągnął lubieżne myśli i nie podjął starań w tym kierunku. Z każdą inną chłopską dziewuchą pewnie nie tak by sobie poczynał. Ale Juraszkówna zapadła mu głęboko w serce. Gdy spojrział pierwszy raz w jej oczy, poczuł się, jakby ugodził go piorun. Doznanie było tak silne, że przez jakiś czas męczyzna stał niczym wmurowany, wpatrując się w prześliczną dziewczynę i nie wiedząc, co powiedzieć. Tamtego dnia nie zdobył się na odwagę, by do niej zagadnąć. Po prostu obserwował ją w milczeniu, póki nie zniknęła mu z oczu – nietypowe zachowanie jak na kogoś, kto teoretycznie należy do lepszego świata. Zapewne inni panowie nie mieliby żadnych skrupułów.

– Powiedźże mi, kowalu – zapytał, gdy pannica odeszła – kim była dziewczuszka, która przechodziła tędy z glinianym dzbanem?

Wiedział bowiem, że rzemieślnik także ją widział, wszak pokłonił się młodej.

– Ałenka Juraszko – odparł zagadnięty, mocując się z koniem. – Prr! Nazad!

– Ałenka... – powtórzył Drzewicki.

Imię go nie zdziwiło, brzmiało całkowicie z łemkowska.

– Właściwie to Awrenia czy jakoś tak – poprawił się mocarny mężczyzna. – Nawet mnie trudno zapamiętać jej imię, choć moja Ksenia jest chrzestną młodej Juraszkówny, bo ojciec i dziatwa zawsze wołają na nią Ałenka. Widzisz pan, na chrzcie dali jej całkiem nie po naszemu. Nie wiem, skądże im to przyszło na myśl. Może stąd, że jak Paraska Nazarymowa powiła bliźniaczki, w ich chałupie mieszkała jedna letniczka. Później tamtą paniusię suchoty zagnały w mogiłę. Pewnikiem to ona tak dziecinę przezwała, a że konająca była, to Juraszko nie protestował, bo poczciwy z niego człek. Pszczelarz – uzupełnił swój wywód, jakby tym zawodem nie mógł parać się nikt niedobry, co zresztą zaraz potwierdził dalszymi słowami. – Pszczoły znają się na ludziach. U nijakiego ancykrysa rój nie wysiedzi. Królowa matka zaraz wyczuje złego i wyprowadzi swe robotnice, choćby i do jakiej leśnej barci. Bo do pszczołek, łaskawy panie, podobnie jak i do koni, podchodzić trzeba z sercem. Zresztą nijaka gadzina nie lubi, jak się ją marnie traktuje.

Przez kilka dni Jan daremnie próbował usunąć obraz łemkowskiej dziewczyny sprzed swych źrenic. Miotał się bezsilnie po pięknych pokojach domu rodzinnego, umykając przed natrętnymi spojrzeniami matki wiecznie zafrasowanej humorami i samopoczuciem jedynaka. To znowu wychodził do teatru, by szukać rozrywki w świecie iluzorycznym. Uwodził aktorki lwowskiego teatru, które zjechały do Krynicy na sezon kuracyjny, by uprzyjemnić letnikom czas spędzony u wód. Chadzał na bale i rauty, mieszał się w wytworne towarzystwo.

Szukał flirtu z mężatkami lub, jakby dla przeciwwagi, zaczepiał proste sługi czy dziewczki noszące wodę.

Próżny trud!

Jego myśli wypełniała łemkowska córa, z którą nie zamienił nawet słowa.

Kilka dni później wrócił do Powroźnika i dotąd kręcił się po okolicy, aż ją znalazł. Wracła właśnie z pracy. Zaskoczyła go swym wyglądem, ponieważ zamiast zgrzebnej koszuliny rozchełstanej na piersiach miała na sobie całkiem przyjemną dla oczu perkalową suknię z mankietami oraz kołnierzykiem ozdobionymi koronką, a jej jasne włosy splecione zostały w dwa grube warkocze okalające główkę i starannie upięte w koronę. Od razu poznał, że Ałenka nie jest zwyczajną wyrobnicą.

Trochę później dowiedział się, że w sezonie letnim Juraszkówna otrzymała bardzo dobre zajęcie w Pijalni Głównej, gdzie nalewała kuracjom wody mineralne do dzbanuszków. To było coś!

Juraszkówna potrafiła należycie docenić dar od losu, jakim była lekka i przyjemna praca w pijalni. Jej rówieśnice miały się różnych robót, najczęściej nosiły ze studni wodę, której wiecznie brakowało do mycia, sprzątania czy zmywania naczyń w pensjonatach pozbawionych własnych sieci wodociągowych. Było to mozolne zajęcie, omdlewały od niego ramiona, gdyż w ciągu dnia trzeba było kilkadziesiąt razy wyciągnąć pełne kubły ze studni i donieść je najpierw do kuchni, a potem w zależności od potrzeb do pokoi.

W taki właśnie sposób zarabiała na skromne utrzymanie bliska sąsiadka Juraszków, Eudokia Drowniak. Tamta biedaczka nie miała lekkiego życia, a na drodze do lepszego losu stała jej poważna wada wymowy, utrudniająca w znacznej mierze porozumiewanie się z ludźmi. Zapewne gdyby potrafiła się

płynnie wysławiać, otrzymałaby jakieś lżejsze zajęcie i nie uchodziłaby wśród właścicieli pensjonatów za tłumoka. Cóż, gdy rodzice Eudokii, Hyrhor oraz Tatiana z domu Krynicka⁹, byli ludźmi tak ubogimi, że nie stać ich było na posłanie córki do doktora, który być może poradziłby coś na jej przypadłość wówczas, kiedy odkryto problem.

Czasami Ksenia Sowa, żona kowala, użalała się nad niełatwym życiem Drowniakówny.

– Patrz, dziecinko, na tę biedną Jewdokię – mawiała do chrześnicy. – Jakie to przykre, gdy jest się ubogą sierotą, kiedy zabraknie ojca i matki, którzy zatroszczą się o dolę swego dziecięcia. Dziękuj Bogu, że ciebie to ominęło, żeś się wychowała w dobrym domu, gdzie chuchali na cię i dmuchali, gdzieś zalegała w puchu, otoczona miłością. Patrz, dziecinko, co znaczy urodzić się pod złą gwiazdą.

Aurelia była wdzięczna losowi, że obdarzył ją zarówno szczęśliwą rodziną, jak i dobrym zdrowiem oraz lotnym umysłem. Szybko się uczyła, miała wyborną pamięć. Biegła mówiła po polsku, równie dobrze potrafiła czytać w tym języku, więc była swego rodzaju fenomenem wśród prostego ludu posługującego się głównie językiem rusińskim i znacznie słabiej polszczyzną. Właśnie dlatego zamiast trudzić się ponad siły, mogła w łatwiejszy sposób zarabiać na utrzymanie. Podawała więc kuracjom wodę okraszoną uśmiechem, nie przyglądając się jakoś szczególnie ludziom, z którymi miała do czynienia. Ich twarze zlewały jej się w jedno oblicze. Zręczna, zwinna – podobała się męskiej części letników. Ten i ów ją zagadywał, niekiedy próbowano się do niej umizgiwać, lecz ona pozostawała nieczuła na słowne karesy. Po pracy zawsze wracała najkrótszą drogą do domu, zdejmowała perkalową

sukienkę, wkładała prosty wieśniaczy strój i zakasywała rękawy, by pomóc matuli.

Od ojca, który utrzymywał kontakty z rozlicznymi kupcami biorącymi od niego miód, воск oraz propolis, wiedziała, że mieszkańcy okolicznych wiosek i tak mają się dobrze w porównaniu z chłopami żyjącymi w innych częściach Galicji. Nie cierpieli z powodu nędzy i głodu, a zarazy szczęśliwie ich omijały. Być może dobre zdrowie zawdzięczali okolicznym zdrojom oraz dostatкови. Ten zaś był efektem starań doktora Dietla, który znacząco podniósł status uzdrowiska. Dzięki zamożnym kuracjom, z roku na rok coraz chętniej korzystającym z krynickich dobrodziejstw, każdy mieszkaniec miał zajęcie. Mężczyźni zatrudniali się do cięższych prac, kto miał konia i wóz, ten zarabiał na przewożeniu letników oraz ich licznych bagaży pomiędzy Muszyną a Krynica, do której nie docierała kolej. Dziewczęta zazwyczaj najmowano do sprzątania, prania, noszenia wody czy innych usług.

Jan zaczepił Aurelię na gościńcu wiodącym z Krynicy do Powroźnika, gdy pewnego popołudnia wracała z pijalni. Zwrócił się do niej dość banalnie. Zresztą nie przypuszczał, by miała go czekać jakaś skomplikowana pogawędka.

– Poczekaj, dziewczyno. Porozmawiajmy.

– A o czym szanowny pan zamierza ze mną rozprawiać? Czy o tym, jak pięknie wyglądają okoliczne wzniesienia opromienione blaskami słonecznymi? Albo że łąki zielenią się prześlicznie i mienią przepychem kwiatnych barw? A może będziesz mi pan prawił, że mam oczy piękne i przepastne, rozżarzone niczym dwa węgielki? Ach nie! – zreflektowała się natychmiast. Spojrzała na niego filuternie i zachichotała. – Nie. To mogłaby usłyszeć córka kowala. I nie powie mi pan przecież, że moje oczy są jak nieskalany błękit nieba, po którym nie suną

żadne obłoki. Jako córka pszczelarza powinnam usłyszeć, że mam włosy o barwie gryczanego miodu. No, chyba że ma pan w zanadrzu coś mądrzejszego do powiedzenia niż prostackie zaczepki, które prędzej pasują do wiejskiego chłopaka niżli do bogatego pana. Bo czegoż może chcieć taki elegancki mężczyzna od zwyczajnej wiejskiej dziewczyny? – zagadnęła z nieprawdopodobnym wręcz tupetem, spoglądając mu śmiało w oczy. Nie spłoszyła się, nie zarumieniła. Widać było w niej odwagę, której brakowało niejednej wiejskiej dziewczce. I nie była to bynajmniej ta kokieteryjna odwaga, gdy prosta dziewczucha daje możnemu panu do zrozumienia, że przy odrobinie wysiłku z jego strony gotowa jest rozchylić dlań uda. W oczach Juraszkówny dostrzegł hardość.

Aurelia szybko się nauczyła, że zdecydowanie bezpieczniej jest, gdy unika panów goszczących u wód. Ci bowiem, rozochoceni licznymi rozrywkami, rozluźnieni wypoczynkiem i ośmieleni alkoholem, którego nie żałowano sobie podczas licznych bankietów, przyjęć i balów, potrafili dość nachalnie zaczepiać posługaczki. Niektórym pannicom to nie przeszkadzało, co sprytniejsze upatrywały w tym szansy na dodatkowy, stosunkowo łatwy zarobek. Bardziej naiwne wierzyły, że przykują uwagę jakiegoś panicza, który zabierze je z łemkowskiej wsi do pięknego pałacu w wielkim mieście.

Juraszkówna nie dawała się nabierać na umizgi letników, bezpiecznie odgradzonych od niej kontuarem, na którym ustawiano dzbanuszki z wodą. A właśnie za jednego z nich wzięła Drzewickiego.

- Niskie masz, panienko, zdanie o mężczyznach.
- Nie o wszystkich – odparła do bólu szczerze.
- Doprawdy? – Uniósł w zdziwieniu brew. – Czyli są tacy, którzy wzbudzają twoje zaufanie?

– Ano są. Ale nie należą do tej sfery co pan – rzuciła zaczepnie.

– Czyżby cię ktoś skrzywdził? – zapytał, niepokojąc się, że ktoś mógł położyć plugawę łapska na tej niewinnej istocie.

– A za kogóż pan się uważa, by o to pytać? Ani z pana brat, ani swat. Ja jestem prostą dziewczyną, pan należy do lepszego świata. Tacy jak pan nic dobrego nie wnoszą w życie takich jak ja – rzekła dobitnie i okręciła się na pięcie, by odejść.

– Ałenko, proszę, zaczekaj! – wykrzyknął za nią bez większej nadziei, gdyż wyraźnie powiedziała mu, co o nim myśli. Gardziła nim, choć należał do powszechnie szanowanych obywateli Krynicy. Wszak był dobrze urodzonym człowiekiem, wykształconym, o ugruntowanych mocno zasadach moralnych. A ona spoglądała na niego, jakby był nędznym robakiem, gorszym od byle chłystka.

Czy moje sfery towarzyskie wzbudzają aż taką niechęć wśród prostego ludu? – zapytał sam siebie. – Czymżeśmy się narazili do tego stopnia, że jesteśmy w ich oczach tak godni pożałowania?

A jednak zatrzymała się, słysząc skróconą wersję swego imienia. Odwróciła się bardzo powoli, serce mocno jej łomotało. Wiedziała, że nie powinna tego czynić i za brak konsekwencji być może przyjdzie jej słono zapłacić. Powinna zwalczyć pokusę, jaką stanowił ten człowiek, bo skłamałaby, wmawiając sobie, że przystojny dżentelmen jej się nie spodobał. I że nie kusi jej ten świat, który znała przede wszystkim z kartek w książkach, ponieważ nawet podając wodę kuracjuszom, nie miała zbyt wiele czasu na obserwacje. Wiedziała jednak, że w eleganckim świecie miłość mężczyzny mierzona jest głównie wysokością posagu, którym dysponuje panna. A proste dziewczyny, mamione gładkimi kłamstewkami, mogą służyć jedynie pańskim uciechom.

Choć liczyła dopiero szesnaście wiosen, już wrócono jej dobre zamążpójście. Pszczelarz mógł zapewnić córce ładne wiano, a i ona również składała zarobione pieniądze: grosz do grosza, nie wydając nic na zbytki. Jeżeli chciała, by jej życie szczęśliwie się ułożyło, nie mogła dać się zbałamucić.

– Tak naprawdę zwą mnie Aurelia – oznajmiła, dziwiąc się, że on posłużył się właśnie skrótem. Jej imię w uzdrowskiej części Krynicy było znane wielu kuracjom, uproszczonej wersji używali wyłącznie Łemkowie, by oswoić obco brzmiące dźwięki. Ciekawa więc była, gdzie ów letnik posłyszał tę wersję. Ona bowiem nie zwróciła na niego uwagi, gdy tydzień wcześniej oczekiwał na usługę kowalską.

– Aurelia – powtórzył za nią. – Ładnie. Ale to chyba nie jest łemkowskie imię.

– Nie – powiedziała krótko, a potem, pociągnięta przez Jana za język, opowiedziała mu historię tajemniczej damy, której je zawdzięczała.

Nawet się nie spostrzegła, gdy dotarli do wsi.

– Lepiej będzie, jeśli pan odejdzie – stwierdziła. – Nie chcę, by ludzie ostrzyli na mnie języki. Już i tak, jak widać, odstaję od reszty.

– Tak. To widać. Nie wyglądasz na wiejską dziewczynę.

– Ale właśnie nią jestem – odparła hardo, choć i do niej docierały jadowite plotki, w których posądzano jej matkę o niewierność. Nie dawała im wiary choćby dlatego, że obydwój rodzice okazywali jej ogrom przywiązania i czułości, a tatko, widząc lotny umysł Aurelii, zadbał o wyedukowanie pociechy gruntowniej od pozostałych swych dzieci. To dzięki poczciwości Nazaryma, który nie skąpił grosza, by wiejski nauczyciel wlał w jej głowę więcej wiedzy, nie musiała teraz pracować w pocie czoła jak inne dziewczęta.

– Niech pan lepiej wraca między swoich i szuka towarzystwa wśród letniczek. U mnie nic pan nie wskóra, bo mnie nie otumanią czcze obietnice, choćby najżarliwiej je wypowiedano. Pan jesteś z innego świata, z innej gliny. Mnie ten świat nie wabi, znam swoje miejsce.

Drzewicki zmiarkował, że nie jest rada jego obecności, więc westchnąwszy ciężko, pożegnał ją grzecznie i odszedł. Obiecał sobie jednak, że wróci. Będzie wracał, aż przekona ją o uczciwości swych zamiarów.

Ejże? Jakich zamiarów? – zapytywał samego siebie w duchu. W sercu momentalnie odnalazł odpowiedź: *albo ta, albo żadna!* Intuicja podpowiadała mu, że Aurelia Juraszko przy odrobinie starań potrafiłaby się odnaleźć w jego świecie. Rzadko mylił się w ocenie innych ludzi. Nie pozostało mu więc nic innego, jak zdobyć zaufanie pięknej panny, a następnie obmyślić sposób na przeflancowanie jej z lemkowskią chyży¹⁰ do pięknej willi.

Nieświadoma tego, co działo się w sercu i umyśle Jana, Aurelia odeszła pospiesznym krokiem.

Matka od małego kładła jej do głowy, by była nieufna względem mężczyzn, zwłaszcza wobec bogaczy.

– Inna jesteś od pozostałych tutejszych dziewczuch. Masz w sobie więcej delikatności – napomniała ją pewnego dnia. – Ani chybi zwrócisz czyjąś uwagę i nieszczęście gotowe. Wielki pan cię wykorzysta i z brzuchem zostawi, a szkoda, byś mi się tak zmarnowała. Lepszej przyszłości pragniemy z ojcem dla ciebie. Tyś mądrzejsza, kształcona staranniejsze niż tve siostry i bracia. Nie możesz tego zaprzepaścić. Nie na to ojciec dawał nauczycielowi talary, by wszystko poszło na marne.

W poczciwych oczach Paraski migotały łagodne błyski, a w głosie słyhać było dumę, że oto prostym lemkovskim chłopom trafiła się taka mądra dziewczeczka.

Rzeczywiście Aurelia, zwana pieśczośliwie Ałenką, wyróżniała się na tle swych rówieśnic ze swoim nietuzinkowym i niełemkowskim imieniem. Odstawała ponadto zarówno wizualnie, jak i intelektualnie. W przeciwieństwie do pozostałych dziewcząt: krzepkich i grubokościstych, odznaczała się niebywałą kruchością. Przywodziła na myśl owe filigranowe cacka, które można było podziwiać w sklepowych witrynach w Krynicy bądź Muszynie. Była także wyjątkowo bystra. Gdy przyszedł czas na edukację, okazało się, że chłonie wiedzę niczym sucha ziemia deszcz i bije w tym na głowę zarówno swą bliźniaczkę, jak i starsze rodzeństwo. Wciąż jeszcze chodziła do szkoły i należała do najpilniejszych uczennic. Potrafiła płynnie czytać i niezgorzej rachować. Szybko zapamiętywała historyczne daty oraz nazwy geograficzne. Nauczyciel sugerował nawet jej rodzicom, by posłali córkę do miastowych szkół na gruntowniejsze nauki, lecz Juraszko i tak poczynił znaczne wysiłki, opłacając dodatkowe zajęcia na miejscu. Zresztą czegoż mieliby nauczyć Ałenkę w miastowych szkołach?

– Nauczycielką przecie nie będzie – stwierdził Nazarym, trąc dłonią po szczęce porośniętej sztywną, siwiejącą szczeciną.

– A czemuż by nie, gospodarzu? – zapytał belfer.

– A temu, że miejsce kobiety jest w domu przy mężu i dzieciach. Ja bym ino chciał, by moja córka w przyszłości wyszła za mąż choć trochę lepiej niż zwykle wiejskie dziewczuchy. Za popa lub organistę, dajmy na to, albo za któregoś kupca z Krzenycze – posłużył się starą nazwą miejscowości, o której już niemalże nikt nie pamiętał.

Wiedział Nazarym, że wysoko w ten sposób mierzy, bowiem mało który łemkowski chłop wydawał swe córki za osobistości. A taki kupiec z Krynicy to przecież nie byle kto! Na ogół możni wiązali się z możnymi kobietami, a ubodzy z ubogimi – taki był

odwieczny porządek świata. I on, Juraszko, chciał ów porządek naruszyć. Ale czuł się zobowiązany do tego, by zapewnić Aurelii lżejszą dolę niż pozostałym swym dzieciakom, bo mądra była i zasługiwała na wiele. Zresztą chciał w ten sposób udowodnić niecnym plotkarzom, że ani trochę nie powątpiewa w swe ojcostwo. Za wierność Paraski gotów był głową zaręczyć. A że trafiła mu się córka niepodobna do reszty dzieciaków? Cóż, tak czasami bywa. Może do głosu doszła krew jakichś przodków, uzewnętrzniając się w wyglądzie dziewczuszki?

Nie skąpił przy tym niczego pozostałej gromadzie, w jego chałupie nikt krzywdy nie zaznawał. Najstarszy syn, Witalis, zajmował się dowożeniem letników do kwater. Woził również towary kupcom. O żeniactwie nie myślał, choć dawno już był po temu czas. Drugi z kolei, Dymitr, miał w przyszłości przejąć pasiekę i zostać w chyży przy rodzicach. Ten odznaczał się cierpliwością do pszczół, potrafił się z nimi doskonale obchodzić, w przeciwieństwie do Witalisa, który był na to zbyt żywiołowy. O dwie pozostałe córki też się Nazarym nie musiał martwić. Zakładał, że znajdą dobrych kawalerów, ponieważ każdej zapewnił nie najgorsze wiano.

A Ałenka była po prostu inna. I tę inność należało uszanować i odpowiednio docenić. Nazarym może by i posłał córkę do miastowych szkół, aby kształciła się na nauczycielkę, ale czy taki żywot byłby szczęśliwy? Wątpił w to, bowiem nauczycielki zwykle bywały starymi pannami, a Aurelia garnęła się do dzieci. Z wielką czułością zawsze zajmowała się Gregorem – pierwszym bratankiem zrodzonym ze związku Dymitra z Anastazją, ochoczo piastowała także dziatwę sąsiadów. Dzieciska mocno do niej lgnęły.

Czemuż więc miałby skazywać swą ukochaną córkę na dolę samotną, pozbawioną ciepła i miłości?

Zamożnych kupców nie brakowało w Krynicy, a on gotów był dać Aurelii na tyle duże wiano, by stanowiła dla któregoś z nich łakomy kąsek. I by nikt nie powiedział, że pszczelarz swą córkę w jednej koszulinie wypuścił z chałupy. Kupców znał dobrze, wszak niejedną raz brali od niego miód, воск i inne pszczele wyroby. Czasami nawet któryś zagadywał o Ałenkę. Młoda dziewczyna wzbudzała zainteresowanie. A że lat liczyła raptem szesnaście, było jeszcze trochę czasu, nim pójdzie za mąż. Zdaniem Juraszki pośpiech był dobry przy łapaniu pcheł, a nie przy układaniu przyszłości dla dziecka.

Nauczyciel, wysłuchawszy jego wywodów, pokiwał głową. Rozumiał dobrze tok myślenia Nazaryma. Rzeczywiście dla wiejskiej dziewczyny małżeństwo z kupcem zdawać się mogło dość atrakcyjną przyszłością. Młoda nie byłaby skazana na żmudną pracę, pewnikiem zajmowałyby się domem. Co najwyżej sprzedawałyby w sklepie. Umiejętności oraz wiedza, które belfer jej przekazał, na pewno przydałyby się czy to w prowadzeniu ksiąg rachunkowych, czy nawet w nabywaniu towarów. Rachowała biegle, a obliczenia przeprowadzała na ogół w pamięci. Jeszcze płynniej czytała, a pismo miała tak staranne, jakby uczyła się przez długie lata kaligrafii. Rzeczywiście wymarzona żona dla kupca. Choć właściwie żał, że taki światły umysł nie może się dalej rozwijać.

Pewnego dnia poczciwy belfer w nagrodę za pilność w nauce ofiarował Aurelii nowiusieńką, sprowadzoną wprost z Warszawy książkę zatytułowaną *Pamiętnik Wacławy. Ze wspomnień młodej panny ułożony*¹¹ autorstwa świeżo upieczonej pisarki Elizy Orzeszkowej.

– Jeśli byś czegoś nie rozumiała z lektury, to śmiało do mnie przychodź, porozmawiamy o treści. Wiem, że to obszerna historia, najeżona trudnymi słowami, ale jej przeczytanie nie

powinno nastręczyć ci większej trudności. I chciałbym, abyś trochę poznała wyższe sfery, bo jeśli się zdarzyło, że poślubisz kiedyś kupca, to będziesz miewała do czynienia również z prawdziwymi bogaczami.

Dziewczyna grzecznie podziękowała za ów hojny dar i obiecała, że prędko zapozna się z obszerną lekturą. W domu schowała wolumin do malowanej skrzyni, w której trzymała wszystkie swoje rzeczy i do której pomału zaczęła wkładać wiano w postaci własnoręcznie szytej bielizny.

Prócz *Pamiętnika Wacławy* znajdowała się tam jeszcze jedna książka, która w niecodzienny sposób trafiła pod dach Juraszków. Było to mocno podniszczone dzieło zatytułowane *Poezyje. Ballady i romanse* Adama Mickiewicza. Książkę wydrukowano w Wilnie, o którym Aurelia usłyszała niegdyś na lekcji geografii. Na karcie tytułowej tomiku wyblakłym atramentem zapisana została jakaś dedykacja w obcym języku, zwieńczona zamaszystym podpisem. A poniżej, zdaje się że innym atramentem, dopisano: „własność Eleonory”. Kiedyś musiało tam być jeszcze nazwisko szczęśliwej posiadaczki dzieła, lecz ten fragment stronicy został oderwany.

Skąd w łemkowskiej chacie wzięła się książka, napisana na dodatek obcym językiem? Wszak rodzice Aurelii ledwo składali litery, a i jej rodzeństwo nieszczególnie garnęło się do nauki. Otóż przez krótki czas Juraszkowie wynajmowali paradną izbę zubożalej dobrze urodzonej damie, która przyjechała do wód w celu poratowania lichego zdrowia. A że nie stać jej było na zamieszkanie w jednej z pięknych willi, których nie brakowało w uzdrowskiej Krynicy czy Muszynie, postanowiła skorzystać ze znacznie tańszej gościny u Łemków. Zresztą Nazarym sam doradził niebodze, by zatrzymała się w jego chacie, ponieważ w uzdrowisku suchotnicy nie są mile

widziani. Krynicky z droje słyńęły przede wszystkim z leczenia przypadłości żołądkowych oraz kobiecych. Zdrowia nie uratowała, bo w trzy niedziele od przyjazdu wyzionęła ducha i musieli złożyć jej doczesne szczątki na cmentarzu. Został po niej sakwojaż z odrobiną dobytku i ta książka właśnie. Dama nawet nie podała Juraszkom adresu, pod który mogliby odesłać jej rzeczy. Gospodarze nie byli więc w stanie powiadomić jej bliskich o zgonie, czasie i miejscu pochówku. Ku ich zaskoczeniu okazało się, że pomiędzy drobiazgami, które ze sobą przywiozła, nie było żadnego dokumentu potwierdzającego tożsamość. Widać nie skłamała, mówiąc, że w podróży ktoś ją niespostrzeżenie obrabował i tyle jej tylko zostało, ile miała w sakiewce ukrytej pod suknią. O sobie zdążyła powiedzieć, że jest owdowiałą sierotą. Rodziców straciła jako panienka, a męża krótko po ślubie. I to właśnie nieboszczce Eleonorze Aurelia zawdzięczała swoje dziwaczne imię.

– Ale jak to? – dziwiła się, bowiem faktycznie jej imię znacząco odbiegało od wiejskich Ułyjanek, Eufrozyn, Melis, Eudokii czy Sofijek.

– Ano tak – odpowiadała wielokrotnie matka, gdyż pytanie regularnie się powtarzało, a to dlatego, że córka lubiła słuhać o tajemniczej damie. – Byłam brzemienna, gdy nastala w naszej chałupie. Kilka dni później powiłam ciebie i Sofijkę, a ona tak się wami zachwyciła, że zagadnęła, czy mogłaby nadać imię choć jednej z was. Padło na ciebie. Sama chyba cierpiała z braku własnej dzieciny – przy tych słowach Paraska zawsze czyniła znak krzyża – więc jakoś się do was garnęła. Śpiewała wam kołysanki, jakich u nas nie zna nikt, lulała was w kołysce, a o tobie mówiła, żeś najpiękniejszym dzieciątkiem, jakie w życiu widziała. Może wtedy rzuciła na ciebie jakiś urok, boś się

wyrodziła od reszty. Pewnie przypominałaś jej kogoś z rodziny. Gdyby nie to, że była kiepskiego zdrowia i ledwo zipała, pewnie podawałaby cię do chrztu.

Ilekcję Aurelia zachodziła na cmentarz, by pomodlić się przy grobie zmarłej bliźniaczki, odwiedzała także mogiłę Eleonory. Najpierw dumiała nad przedwczesną śmiercią siostrzyczki. Próbowiała ją sobie wyobrazić żywą, dorastającą, spoglądającą z nadzieją w przyszłość. *Czy byłaby do mnie podobna? Czy tak jak ja lubiłaby chodzić do szkoły? Czy byłybyśmy sobie bardzo bliskie? Czy zwierzałaby mi się z pierwszych porywów serca?* Te pytania już na zawsze miały pozostać bez odpowiedzi.

Później przykłękała kilka grobów dalej, nad innym kopczykiem. Krzyżyk, który przed laty tam ustawiono, poczerniał od deszczu, wiatru i śniegu. Różnił się od innych brakiem dodatkowej, ukośnej poprzeczki, a to dlatego, że cmentarz przylegał do prawosławnej cerkwi, a Eleonora była katoliczką. Wydrapany na nim napis został zatarty upływem czasu, lecz wciąż dawało się z niego odczytać austriackie nazwisko. Aurelia zatrzymywała się przy mogile, o którą prócz niej nikt nie dbał, i odmawiała pacierz. Próbowiała sobie wyobrazić ową damę i żałowała, że nie miała okazji, by ją poznać. Gdy tylko belfer nauczył dziewczynkę porządnie składać polskie litery, wyprosiła u matuli książkę, która pozostała po nieznałomej, i zaczęła się wczytywać w poezję.

Początkowo nie wszystko rozumiała, bo nawykła była do innego języka, a polski znała nieco słabiej. Na szczęście lekcje pobierane przez kilka lat na coś się przydały. Dziewczyna nabrała wprawdy w odczytywaniu łacińskich liter, mocno różniących się od cyrylicy, i pojęła sens poetyckich fraz. Gdy czegoś nie rozumiała, zabierała książkę do szkoły, a po skończonych zajęciach zostawała na chwilę z nauczycielem, by

objaśnił jej poszczególne słowa czy wersy. Mężczyzna skwapliwie służył pomocą, ciesząc się, że trafiła mu się tak pojętna uczennica. Zagadnął ją nawet o pochodzenie owego tomu poezji, na co dziewczynka opowiedziała zasłyszana od matki historię.

– Tak, tak. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Pamiętam, że swego czasu faktycznie pojawiła się we wsi jakaś ubożuchna panienka z dobrego domu. A może nie panienka? Może była wdową? Nie przypomnę już sobie. Nie miałem przyjemności jej poznać, choć żem o niej usłyszał. A szkoda, bo człek zawsze rad byłby pogwarzyć z jakąś światłą osobką. Biedactwo... Musiała naprawdę szwankować na zdrowiu, bo stroniła od ludzi i właściwie nie opuszczała chałupy twoich rodziców. A stamtąd powieźli ją wprost na cmentarz.

– Szkoda, że pan jej nie poznał – westchnęła dziewczynka. Z belfrem zawsze rozmawiała odważnie, nie dygotała przed nim ze strachu jak inne dzieciaki, bo też nie miała się czego obawiać, skoro była pilną uczennicą. – Miałam nadzieję, że coś mi pan opowie o tej damie. Matuś i tatulo niewiele mówią. Wiem ino, że to ona nadała mi imię.

– Hm... A więc to tak, Aurelio? – Nauczyciel pogładził dłonią siwą brodę. – No tak, tak... To wiele tłumaczy. Gdybym jeszcze usłyszał, że została twą chrzestną matką, miłe dziecko, pomyślałbym, żeś się w nią wrodziła i stąd ten intelekt oraz ciekawość świata – nawiązał do wierzeń ludowych, głoszących, że dzieci często dziedziczą charakter i upodobania po swych rodzicach chrzestnych.

– Nie, psze pana, mnie do chrztu podawali kowale – odparła rezolutnie dziewczynka, a potem otwarła książkę na stronie ze *Świtezianką* i poprosiła o wytłumaczenie paru spraw.

Belfer spojrział na tekst, by objaśnić najtrudniejsze słowa.

Nic więc dziwnego, że dziewczyna, mając tak dobrego nauczyciela, łaknęła wiedzy i chłonęła ją niczym ziemia ciepły letni deszcz.

Jan nie odpuszczał. Zaskoczony nadzwyczaj bogatym słownictwem panny i oczarowany niezwykłą jak na chłopską córę elokwencją, zamarzył sobie, by wprowadzić Aurelię na salony, choć myśl ta na samym początku wydawała się zbyt śmiała. Ale strzała Amora ugodziła mężczyznę w serce tak mocno, że postanowił zwalczyć wszystkie przeszkody, które stanęłyby mu na drodze do szczęścia.

Przez jakiś czas Drzewicki spotykał się z Aurelią ukradkowo. Początkowo niechętna dziewczyna stopniowo zaczęła okazywać namiastkę zainteresowania. Poznawał ją, obserwował i coraz mocniej się w niej zakochiwał.

Zazwyczaj spacerowali jakąś ustronną okolicą, rozmawiali, czasami trzymali się za ręce. Jedyne, na co sobie mężczyzna pozwalał, to delikatny pocałunek w dłoń czy w policzek, ewentualnie w czoło. Nie poznał smaku ust Aurelii, bowiem była skromna i wzbraniała mu śmielszych poczynań. A on nie chciał robić nic wbrew jej woli. Pragnął, by mu zaufała.

Rzeczywiście w jego obecności Aurelia czuła się bezpiecznie i pierwszy raz w życiu uwierzyła, że dżentelmen mówiący: „zaufaj mi, nie skrzywdzę cię” może nie mijać się z prawdą.

W przypadku kilku jej rówieśnic pracujących w pensjonatach te słowa znaczyły coś zupełnie innego. Panowie wykorzystywali naiwność wiejskich dziewczuch, łakomili się na ich wdzięki, a później, znudzeni, porzucali owe łatwowierne nieszczęsnice – często z brzuchami. Wraz z końcem turnusów wypoczynkowo-leczniczych wracali w swój świat wielkich miast oraz interesów. A nieroztropnym pannom nie pozostawało nic innego, jak rodzić dzieci, które potem wytykane były palcami jako

bękarty. Ewentualnie mogły szukać pomocy u znachorek, które potrafiły za pomocą ziół lub w inny sposób uwalniać je od tego problemu.

Aurelia nie wyobrażała sobie, że również miałyby podzielić los takich dziewczyn. Zdecydowanie wolała unikać sytuacji, które przysporzyłyby jej kłopotów, więc na samym początku znajomości z Janem była wyjątkowo nieufna i traktowała go nader oschle.

Gdyby Drzewicki nie uległ aż tak wielkiemu zauroczeniu, zapewne odpuściłby sobie flirtowanie z wiejską dziewczuchą. Ale ta miała w sobie coś, co niezwykle go pociągało. Nawet jeśli na samym początku tej znajomości zaświtała mu w głowie myśl, by zbałamucić Rusnackę, to im lepiej poznawał Aurelię, tym bardziej wstydził się swoich pierwotnych zakusów. I coraz częściej snuł rozważania, czy jest w stanie oszlifować ten klejnot na tyle starannie, by błyszczał nie tylko pod przysłowiową strzechą, ale również na salonach.

Pomoc nadeszła ze strony, na którą liczył najmocniej, ale której także najbardziej się obawiał.

Dość długo blisko trzydziestoletni mężczyzna nie potrafił zdobyć się na odwagę, by wyznać rodzicom, że zakochał się w prostej dziewczynie. Przyszedł jednak moment, gdy uświadomił sobie, że bez matczynego wsparcia nie będzie w stanie zrealizować swoich zamierzeń.

Jego wyznanie wprowadziło Felicytę w sporą konsternację. Kobieta od dawna nakłaniała syna do założenia rodziny, podpowiadając mu, by uderzył w konkury do tej czy innej panienki. Nie narzucała mu jednakże swego zdania, chciała bowiem, by sam wybrał sobie narzeczoną. Ufała jego rozsądkowi przy podejmowaniu życiowej decyzji. Żywiła także nadzieję, że syn nie pokocha płochej pannicy, dla której

najważniejsze będą stroje i błyskotki. Wszak Jan od dłuższego czasu uchodził za jedną z najlepszych partii w okolicy. Pragnęła, by chorowity jedynak sprowadził do domu kobietę troskliwą, miłą w obejściu, pogodną, niekłótniwą, a nade wszystko obdarzoną dobrym sercem. Taką, która pokocha szczerze Jana, a nie jego pozycję towarzyską. I którą ona z Ksawerym pokochają jak rodzoną córkę – by uprzyjemniła im jesień życia. No i oczywiście taką, która będzie dobrą matką dla dzieciątek zrodzonych z tego związku.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że syn może sobie poszukać narzeczonej poza swoją sferą towarzyską. W pierwszej chwili sceptycznie podchodziła do zachwytów syna nad intelektem oraz urodą owej nieznajomej panienci. Potem jednak wybrała się na spacer do Pijalni Głównej, by na własne oczy zobaczyć wybrankę Jana. Jako stała mieszkanka Krynicy bardzo rzadko bywała w tym pięknym budynku, choć często korzystała z dobroczynnych właściwości wód.

Panna rzeczywiście była nad podziw śliczna. Ubrana w prostą perkalową sukienkę prezentowała się schludnie. Nie nosiła gorsetu, lecz i tak przywodziła na myśl wiotką trzcinkę chybczącą na wietrze. Poruszała się z gracją. W jej zachowaniu, jednakowo uprzejmym dla wszystkich, Drzewicka nie dostrzegła nawet śladu kokieterii. Gdy podawała dzbanuszki panom, skromnie opuszczała oczy, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Nie odpowiadała na zaczepki albo robiła to nader grzecznie, lecz zarazem bez zachęcania do dalszych rozmów.

Obserwacje swoje czyniła Felicycja przez kilka dni i zawsze znajdowała Aurelię jednakową w zachowaniu. Zamieniła z nią nawet parę słów, nie dając przy tym po sobie poznać, że jest matką Jana. Dziewczyna była elokwentna i wzbudzała

sympatię. Widać było w niej subtelność niespotykaną u prostych dziewczuch. I choć w głębi duszy Felicję nadal dręczyły wątpliwości, czy taki mariaż nie stanie się w przyszłości źródłem zgryzot dla całej rodziny, pomyślała, że Juraszkówna zasługuje na dobrodziejstwo zaufania. I że przy odrobinie pracy oraz szczęścia można byłoby z niej uczynić damę.

Ostatecznie, nie widząc innej możliwości, gdyż Jan zdawał się zakochany bez pamięci, *madame* Drzewicka uznała, że pomoże młodemu ludziom. Wszak dobro syna było najważniejsze. Zbyt długo czekała na przyjście na świat jedynaka, by teraz go krzywdzić. A krzywdą byłoby pozbawienie go możliwości związania się z umiłowaną kobietą. I to właśnie matka podpowiedziała Janowi, by najpierw zabrać Aurelię ze wsi i posłać na nauki do Krakowa. Nie na pensję, ponieważ na to było już zdecydowanie zbyt późno. Juraszkówna odstawała mocno od innych uczennic zarówno wiekiem, jak i poziomem umiejętności oraz wiedzy, w związku z czym mogłaby się źle czuć w ich otoczeniu. Na szczęście Felicja miała w Krakowie znajomą – zubożałą wielką damę, która popracowałaby nad sposobem wysławiania się Aurelii, mogłaby także pogłębić jej wiedzę i nauczyć pannicę eleganckich manier, komponowania strojów oraz innych rzeczy, na które zwraca się uwagę na salonach. Wszak Gertruda Rylska oszlifowała już niejednego taki diament, nadając mu szlachetność brylantu.

Pewnego dnia Jan zaskoczył Aurelię, padając przed nią na kolana.

– Wyjdź za mnie, jedyna. Kocham cię nad życie i nie wyobrażam sobie, by miało cię w nim zabraknąć.

– Oszalałeś?! – wykrzyknęła strwożona dziewczyna. Spojrzała nań z niemałym lękiem, ponieważ jego słowa wydawały jej się

tak niedorzeczne, jakby oznajmił, że sięgnie dla niej po gwiazdkę z nieba.

– Tak, oszalałem z miłości do ciebie, Aurelio. Odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy, nie zaznałem ani chwili spokoju. Powiedz, że i ja nie jestem ci obojętny. Że widzę w twoich oczach to samo uczucie, które mnie przepełnia.

– To, czy cię kocham, nie ma nic do rzeczy, Janie. Nasze światy są tak dalekie od siebie jak niebo od ziemi. Nie jesteś w stanie zabrać mnie w swój świat, bo wszystkich będziesz miał przeciwko sobie. A do mojego nie przyjdiesz, bo tutaj czułbyś się źle.

– Mylisz się, najdroższa! Mamy po naszej stronie moją matkę. Ona pomoże wprowadzić cię na salony, podpowie, co masz czynić. Ale najpierw chcielibyśmy posłać cię na rok do Krakowa, gdzie pod okiem pewnej szlachetnie urodzonej damy nabierzesz umiejętności oraz wiedzy, która w tym naszym świecie, zupełnie innym od twojego, może ci się bardzo przydać. Jedyne, czego tak naprawdę w tym momencie nam potrzeba, to twoja zgoda, bo o wszystko inne już się zatroszczyłem. Pomyśl, Aurelio – mówił żarliwie, przyciskając jednocześnie dłoń ukochanej do swej klatki piersiowej – jeśli powiesz „tak”, to za rok o tej porze zostaniesz moją żoną.

– Ależ to nie może być! Nie pojmuję, o czym ty mówisz!

– Uwierz mi i zaufaj. Zgódź się na ślub, a pójdę do twoich rodziców i oficjalnie poproszę o twoją rękę. Zapewniam cię, że po ślubie będą w naszym domu mile widziani zarówno oni, jak również twoi bracia oraz siostry – uprzedził ewentualne wątpliwości Aurelii. – Nigdy nikt się przeciwko nim nie zwróci. Nie jest moją intencją oddzielanie cię od korzeni i osób, które tak mocno kochasz.

Młoda kobieta spoglądała na niego ze zdumieniem. Zasłoniła dłońmi twarz. Ponad czubkami palców jej wielkie oczy lśniły tkliwością. Wiedziała, że nie jest obojętna Janowi, ale nie przypuszczała, że ich znajomość może podążać w takim kierunku. Czasami tłumaczyła samej sobie, że powinna jak najprędzej zakończyć to, co między nimi zaczyna się rodzić, ponieważ dla nich nie ma najmniejszej szansy na wspólną przyszłość, a po znajomości z Janem pozostanie jej wyłącznie gorzka porażka oraz wspomnienia tak bolesne, że będą rozdzierały jej duszę. Serce jednak pozostawało głuche na głos rozsądku i rwało się ku temu mężczyźnie jakby na przekór. Tymczasem Jan zaproponował coś, o czym nawet nie śniła.

– Prawdę mówisz? – upewniała się Aurelia.

– Ach! Ty niewierna istoto! – roześmiał się Drzewicki. – Czemuż miałbym kłamać? Ukochana! Powiedz, że zgadzasz się na moją propozycję.

– Nawet gdybym dała ci słowo, nie wzięłaś pod uwagę jednej przeszkody: moi rodzice nigdy na to nie pozwolą. Oni nie dopuszczą do naszego ślubu! Matka mnóstwo razy przestrzegала mnie, bym nie zadawała się z wielkimi panami, bo z tego będzie jedynie kłopot i łzy.

– Nie będzie łez – zapewnił. – Zostaw to mnie, Aurelio. Ja sam się z nimi rozmówię. Wystarczy tylko, że zgodzisz się zostać moją żoną, a zaraz do nich pójdziemy i wszystko im objaśnię. Mam naprawdę uczciwe zamiary.

Z lekkim zawahaniem wyciągnęła ku niemu swoją dłoń. On delikatnie ją uścisnął, a następnie ucałował.

– Jedyna! Jedyna moja najukochańsza! Zobaczysz, nie pożałujesz ani przez moment tej decyzji. Nieba ci przychylę.

Nazarym z niemałym zaskoczeniem spoglądał na mężczyznę, który oświadczył się właśnie o rękę jego córki. Chociaż zawsze

marzył, by dobrze wydać Aurelię za mąż, nawet w najśmielszych marzeniach nigdy nie brał pod uwagę aż takiego krezusa – syna właściciela tartaku w Słotwinach. Wszak Drzewiccy należeli do lepszego towarzystwa. Mężczyźni z ich sfery nosili eleganckie odzienie i kapelusze, a kobiety stroiły się w jedwabie, piórka i koronki. Nie musieli chodzić pieszo, ponieważ mieli do dyspozycji i konie pod wierzch, i eleganckie powozy, i bryczki, a zimą jeździli saniami rzeźbionymi w prześliczne wzory.

Czy Aurelii będzie dobrze wśród takich ludzi? Nazarym mocno w to wątpił. Choć młodemu Drzewickiemu dobrze z oczu patrzyło, nie potrafił uwierzyć w jego uczciwość.

– Ależ ja nie mogę dać zgody na to, by moja córka poszła na zatracenie. Teraz pan mówisz, że weźmiecie ją na rok do Krakowa, do szkół. A gdy będzie z dala od domu i pozbawiona naszej opieki, to pewnie wykorzystasz pan jej niewinność, a potem ją porzucisz! – Nazarym z goryczą snuł mroczne przypuszczenia.

– Ależ nie! Szanowny panie! Przebóg! Przysięgam na wszystkie świętości, że włos z głowy jej nie spadnie. Na co zechcecie, gospodarzu, mogę przysiąc, że poślubię Aurelię. Wyjedzie do Krakowa jako moja narzeczona. Jeśli pan sobie tego życzy, możemy spisać wstępnie umowę prawną, w której się zobowiązę do wzięcia z nią ślubu. Ożeniłbym się z nią choćby zaraz, lecz w świetle prawa nie jest jeszcze dorosła. Wiem, że na wsi młodsze od niej za zgodą rodziców wychodzą za mąż, ale niechże Aurelia wejdzie w dorosłość, nim stanie na ślubnym kobiercu.

– Mnie takie papiery nie są potrzebne. Uczciwi ludzie nie muszą się do niczego zobowiązywać przed prawnikiem – odparł wykrętnie Nazarym. – Mnie się rozchodzi nie tylko o

ślub, ale przede wszystkim o szczęście Ałenki. Zaręczy mi pan, że nikt jej nie będzie uprzykrzał życia w tym waszym salonowym świecie? Moja córka nie jest zwyczajną wieśniaczką. Ma więcej uczuć niż inne dziewczyny. Delikatniejsza jest od nich, a i rozum ma nie od parady. Kształciłem ją, chuchałem na nią i dmuchałem. Nie dam jej skrzywdzić nikomu!

– Przysięgam wam, gospodarzu – Jan zaklinał się na wszystkie świętości – że nigdy i nikomu nie pozwolę skrzywdzić Aurelii. Nikt z moich bliskich nie powie jej jednego marnego słowa. Otoczona będzie należyłą czcią i szacunkiem – zapewnił żarliwie.

– Ludziom gąb nie pozamykasz. Jak będą chcieli gadać na naszą dziewczkę, to ich pan nie pohamujesz. Podobnie jak nie zataisz przed bliskimi tego, skąd Aurelia pochodzi. Przyjdzie może czas, że powstydzisz się jej korzeni – rzucił, zezując przy tym na swą ślubną.

– Nie ma mowy! – odparł Drzewicki, z trudem panując nad emocjami, bowiem odczuł to jak potwarz. Nikt nigdy wprost nie zarzucił mu nieczystych intencji. W swoich sferach uchodził za człowieka na wskroś uczciwego. Pochodził z rodziny o pięknych tradycjach i pozostawał wierny zasadom, których przez wieki przestrzegali jego przodkowie.

– Klnę się na Boga – mówił, gdyż w jego odczuciu przywoływanie honoru byłoby dla Juraszków bez znaczenia – że nigdy nie uczynię niczego, co miałyby zwrócić Aurelię przeciwko wam. I tak jak w przyszłości żona moja zwać będzie mych rodziców swymi rodzicami, tak i ja was chciałbym nazywać ojcem i matką. Bóg mi świadkiem.

– Nie wiem, czy słuszne jest mieszanie Boga w sprawy ludzkie. Wszak ty katolik, my prawosławni.

– Ale jeden nad nami Bóg. Inaczej tylko się do niego modlimy – zauważył roztropnie Jan.

– Tatulu, zaufaj Janowi. To dobry człowiek – powiedziała Aurelia, próbując objąć za szyję Nazaryma.

– Co ty tam możesz wiedzieć – odparł mężczyzna, oganiając się od niej niczym od dokuczliwej muchy. – Młoda jesteś, niedoświadczona i naiwna, ot co!

Paraska w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie. Rozważała w myślach wszystkie słowa, jakie padły. Spoglądała na rozognione oczy swej córki. Widziała czułość w wejrzeniu młodego mężczyzny, gdy spoglądał na Aurelię. *Oni się kochają – pomyślała. – Zawsze wiedziałam, że dziewczyna stworzona jest dla lepszego życia. Czy mogę stawać na przeszkodzie, jeśli taki piękny szykuje się dla niej los?*

Wstała z malowanego krzesła przy stole. Przeszła dwa kroki, zatrzymała się przy ślubnym, położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nazarymie, nie powinniśmy im wzbraniać zawarcia małżeństwa – powiedziała, gdy ich spojrzenia się spotkały. – Skoro się kochają, niech się pobiorą. Rozmawialiśmy wiele razy o przyszłości Aurelii. Zapomniałeś? Chcieliśmy dla niej czegoś więcej niż chłopska chałupa. Na tośmy ją kształcili, by miała życie łatwiejsze.

– Łaskawa pani! – wykrzyknął młody mężczyzna, przyklękając u jej nóg. Ucałował dłoń kobiety. – Przysięgam, że ani przez moment nikt z was nie pożałuje tej decyzji.

Ostatecznie zdołali przekonać Nazaryma, by dał zgodę na małżeństwo córki z Janem, a wcześniej na jej wyjazd do Krakowa.

Następnego dnia do skromnej wiejskiej chałupy przyjechała rodzina Drzewickich. Rodzice omówili pomiędzy sobą wszystkie szczegóły związane z małżeństwem młodych. A

potem zabrali ze sobą pannę i powieźli ją najpierw do Krynicy, gdzie przez kilka dni gromadzono dla niej stosowne stroje i dodatki, a następnie w świat.

Kraków

W przypadku Aurelii Gertruda Rylska okazała się wyjątkowo skuteczną nauczycielką. Półtoraroczny pobyt w Krakowie uczynił z prostej łemkowskiej dziewczyny damę o przyzwoitych manierach, ponieważ Juraszkówna była wyjątkowo pojętną uczennicą. Miała niebywały zmysł obserwacji, nie popełniała dwukrotnie tych samych błędów, choć początkowo ich skala była zatrważająca. Dziewczyna musiała prędko opanować eleganckie posługiwanie się sztucami oraz ich zastosowanie. Dosyć długo porcelanowa zastawa wzbudzała w niej grozę, bowiem ta mnogość talerzy, salaterek, misek i półmisek oraz innych utensyliów stołowych była dla kandydatki na lwicę salonową niedorzeczna. Do tego niezliczone szkło, w tym kieliszki. I jeszcze te wszystkie serwetki i fraszki, które prostym ludziom w ogóle nie są do niczego potrzebne!

Na szczęście aspirująca dama dość szybko przyswajała zarówno dobre maniery, jak i elegancki sposób wyrażania myśli. Rylska zadbała także o odpowiednie lektury dla panienki, dbając o to, by Juraszkównie nie zabrakło czasu na ich zgłębianie. Zajęcia „kanwowe” siłą rzeczy uznała za mniej istotne, tego młodą kobietę miała nauczyć po ślubie teściowa. Wprawdzie Gertruda próbowała co nieco pokazywać Aurelii, lecz w tej materii jej nauki stały się nader pobieżne. Zadaniem Rylskiej było przede wszystkim przygotowanie Juraszkówny do wejścia w wielki świat z należytą oprawą i ogładą. Stąd też lekcje tańca, które panienka z miejsca pokochała, choć salonowe figury znacznie różniły się od wiejskich oberków.

Pod czujnym okiem Gertrudy oraz z pomocą Felicyty, która kilkakrotnie przebywała wraz z rodziną w Krakowie, skompletowana została garderoba dla panny. No bo jakże wejść na salony bez jedwabi, muślinów, koronek, piórek, kwiatów, atlasowych pantofelków, pończoszek, umbrelek i mnóstwa innych drobiazgów? Juraszkównie w głowie się nie mieściło, ile rzeczy sprawiono tylko dla niej. Wszystko śliczne, nowe, delikatne, oznaczone monogramami AD potwierdzającymi, że niebawem zostanie panią Drzewicką. Cieszyło ją to niepomierne, choć oczywiście nie obyło się bez pewnych uciążliwości.

Pierwsze zetknięcie Aurelii z gorsetem modelującym sylwetkę nastąpiło jeszcze przed wyjazdem do Krakowa, gdy na kilka dni umieszczono ją w domu państwa Litworów, krewnych Felicyty. W Krynicy przyszła teściowa zatroszczyła się częściowo o stroje dla młodej Rusnaczkii. Siłą rzeczy musiały one pasować do nowego stylu życia dziewczyny i znacząco różniły się nawet od perkalowej sukienki, którą Aurelia nosiła do pracy w Pijalni Głównej. I choć Juraszkównie bardzo zależało na tym, by godnie się prezentować, konieczność mocnego ściskania talii budziła jej wewnętrzny sprzeciw. W przeciwieństwie do dekoracyjnego gorsetu noszonego przez łemkowskie dziewczęta ten krępował ruchy i odbierał płucom swobodę czerpania powietrza. Felicycyta pocieszała ją jednak, że z biegiem czasu przyzwyczai się do tej niedogodności. Była to cena, jaką płaciła każda elegancka dama za możliwość poszczycenia się piękną sylwetką.

Po kilku miesiącach pobytu w mieście rozpoczął się karnawał. Dla Aurelii był to prawdziwy skok na głęboką wodę, bowiem wtedy została oficjalnie wprowadzona pomiędzy eleganckie towarzystwo, choć z racji zaręczyn z Janem nie traktowano jej jako debiutantki. Ponieważ pozostawała osobą nieco tajemniczą

i niewiele mawiała o sobie, szybko zrobiła furorę, wabiąc mężczyzn bezsprzecznym urokiem nowości. Wśród lwów salonowych rozeszła się fama, że pochodzi z zacnej krynickiej rodziny, lecz nikt nie znał szczegółów. Zresztą mało komu były one potrzebne, choć wzbudzały niekłamane zainteresowanie.

Młoda dama przyjmowała na ogół postawę unikającą. Dokładała starań, by jak najmniej przebywać z kimkolwiek sam na sam. Unikała nie tylko towarzystwa mężczyzn, ale również i kobiet – niezależnie od tego, czy były to panny czy mężatki, młodziutki dziewczątka czy stateczne matrony. Nie przyjmowała wizyt, nie zawarła nawet wielu znajomości. Zresztą okazji do kontaktów z krakowską śmietanką towarzyską nie było nazbyt dużo, ponieważ Drzewiccy wybrali się raptem na trzy bale i kilkakrotnie oglądali sztuki w teatrach. Później obowiązki wezwały Ksawerego oraz Jana do domu, wraz z nimi ruszyła w drogę również Felicyta.

Aurelia ze zdwojoną uwagą wysłuchiwała cennych wskazówek Rylskiej, gdyż pierwsze kontakty z elitami uświadomiły jej, że wciąż ma spore braki w edukacji salonowej.

– Zapewne nigdy nie osiągnę poziomu, jakiego pragnąłby Jan – westchnęła pewnego dnia przy obiedzie, który już po wyjeździe Drzewickich spożywały samotnie Aurelia wraz z mentorką.

– Ależ drogie dziecię! – zaprotestowała dama. – Więcej wiary we własne umiejętności! Zresztą bądź pewna, że każda z tych światowych osób popełnia od czasu do czasu mniejsze lub większe gafy. Jednym uchodzi to na sucho, za innymi długo wlecze się cień związanych z nimi plotek. Od ciebie zależy, jak zostaniesz przyjęta przez śmietankę towarzyską w Krynicy. Ufam jednak, że doskonale sobie poradzisz. Masz dość uroku osobistego, by skraść serce najbardziej konserwatywnej damy i oczarować wdziękiem każdego dżentelmena.

Podbudowana jej słowami dziewczyna zdwoiła wysiłki, by jak najzachłanniej chłonąć wiedzę o zasadach rządzących w świecie, który niebawem miał ją wessać w swe trzewia. W głębi duszy, choć usiłowała tego nie okazywać, odczuwała lęk, że może się spotkać z brakiem akceptacji, a wręcz z ostracyzmem.

Z chwilą gdy Aurelia ukończyła osiemnaście lat, Gertruda uznała, że jej rola dobiegła końca.

Oczywiście zaleciła, aby młoda panienska nadal uważnie czytała poradniki o prowadzeniu eleganckiego domu oraz żeby podręcznik *savoir-vivre*'u na zawsze pozostał jej lekturą obowiązkową.

– Szkoda cię, moje dziecko, do wielkiego świata – dodała na ostatek. – Za dobra jesteś, by iść pomiędzy obłudnych panów, których największym i jedynym wyczynem jest to, że mieli szczęście dobrze się urodzić.

Ta szczerość zaskoczyła dziewczynę, wszak jej nauczycielka należała właśnie do tej sfery.

– Ale jakże to, *madame*?

– Ten cały blichtr i łabędzi puch to ułuda. Oni cię przeżują i przemiela na ozorach nieposkromionych. W twarz będą prawić komplementy, zabiegać o twą sympatię, bo pozycja Jana i jego rodziców będzie tego wymagała. Ale gdy odwrócisz się tyłem, nawet najniewinniej wyglądająca panienska i najzyczliwszy dżentelmen może popróbować, by ugodzić cię sztyletem oszczerstw. Dla dam ze swą świeżością i urodą będziesz konkurencją. Zwłaszcza że zdobyłaś miłość kawalera, który uchodził za świetną partię. Dla panów zaś będziesz kwiatkiem, który niejeden zapragnie zerwać, wetknąć w swą butonierkę, a gdy jego płatki przywiedną, odrzucić precz.

Jej słowa sprawiły, że jako żywo przed oczami Aurelii stanęła bohaterka ulubionej powieści. Choć po *Pamiętniku Wacławy*

przeczytała wiele innych książek, do tej miała największy sentyment. I to z niej zaczerpnęła pierwszą wiedzę o świecie, który tylko sprawiał wrażenie nieskazitelnie pięknego. Gdyby mocniej przejechać paznokciem po warstwie złocenia, którą powleczony był ów świat, mogłoby się okazać, że spod błyszczącej ozdoby wyziera szpetota.

Krynica

Aurelia już nigdy nie wróciła do łemkowskiej chyży, ponieważ krótko po jej powrocie z Krakowa pobrali się z Janem. Przed samym ślubem zamieszkała w domu Litworów, którzy byli spokrewnieni z Drzewickimi. Spędziła u nich zaledwie trzy tygodnie. A później została młodszą panią Drzewicką.

Małżeństwo Aurelii i Jana układało się wspaniale. Jan świata nie widział poza żoną, ona również kochała go bezgranicznie, i właściwie do szczęścia brakowało im jedynie potomstwa. Mimo starań pozostawali bezdzietni. Początkowo nie przejmowali się tym zbyt: byli młodzi, mieli przed sobą całe życie. Felicjta także uspokajała synową, gdy ta czasami zwierzała jej się ze swej największej troski.

– Nie gorączkuj się tak, moja droga. Przyjdzie pora i na maleństwo. Ja też długo nie mogłam przekazać Ksaweremu dobrych wieści. Może powinnaś pić więcej wód zdrojowych? Wszak nie na darmo damy przyjeżdżają tutaj, by kurować kobiece przypadłości. Doktorzy udowodnili dobroczynny wpływ źródeł na zdrowie.

Aurelia często spacerowała na Polanę Michasiową, gdzie było źródelko, przez okoliczną ludność zwane Bocianówką, którego woda według łemkowskich wierzeń sprzyjała powiększeniu rodziny. I czuła się bardzo niezręcznie z myślą, że ona, prosta dziewczyna, córa tej ziemi, nie okazała się równie płodna jak

rodzona matula, która prócz niej i Sofijki powiła jeszcze czworo dzieci. Skoro źródła miały takie, a nie inne właściwości, żadna mieszkanka okolicy nie powinna się uskarżać na brak potomstwa.

– Och, mateczko – odparła wówczas. – Gdybyś wiedziała, ile ja już tego wypiałam! Momentami czuję się, jakbym zaraz miała pęknąć.

– Cierpliwości, córciu. Cierpliwości – powiedziała łagodnie Felicjta, głaszcząc młodą mężatkę po policzku. – Niekiedy po prostu trzeba czekać. I wbrew temu, co uważa większość ludzi, wina za taki stan rzeczy wcale nie musi leżeć po naszej stronie – dodała znacznie ciszej, bowiem jej słowa były równie gorszące jak herezja. Męskości po prostu nie wypadało podważać! Zawsze, ale to zawsze winą za brak dzieci obciążano kobietę jako istotę płochą, ulegającą histeriom, słabszą fizycznie od mężczyzny.

Aurelia spojrzała na teściową z ogromnym zdumieniem. Przecież teściowie czekali na wnuka, podobnie zresztą jak jej rodzice. Ostatnie, czego mogłaby się spodziewać po matce męża, to tak zadziwiające słowa pociechy. Wszak już od dawna młoda kobieta szukała winy w sobie. I z coraz większą przykrością przyjmowała comiesięczne krwawienia, które odbierały jej nadzieję na zostanie matką.

Nagle przepiękny sen Aurelii o szczęśliwym życiu prysnął jak bańka mydlana. Pewnego dnia przebudziła się jako młoda wdowa. Nie było już Jana i jego miłości. Nie została po nim nawet dziecina.

SMUTNY LOS

Krynica

Pociąg z turkotem wtoczył się na stację w Muszynie. Z komina potężnej lokomotywy wciąż wydobywały się czarne kłęby dymu, woniejące spalonym węglem, gdy skład zatrzymał się z wyczuwalnym szarpnięciem. Już po chwili w wagonach zrobił się ruch, gdyż pasażerowie zaczęli wstawać z ławek, zbierać bagaże, nawoływać służbę, dzieci, numerowych. Matylda także się zerwała, w jej oczach od razu zapaliły się pełne ożywienia gwiazdy. Do Krynicy podróżowała w dość licznym gronie, ponieważ prócz Seweryna oraz pokojówki towarzyszyła jej szwagierka wraz z mężem, czwórką młodszych dzieci, boną i służącą. Dwaj starsi synowie Strzeleckich pozostali w mieście pod czujnym okiem guwernera, który dbał o to, by chłopcy uczęszczali do szkoły i odrabiali zadane lekcje.

– Kasiu, Andziu! Dopilnujcie chłopców! – wykrzyknęła Zuzanna, widząc, że rozluźnione podróżą służki wciąż plotkują, zamiast doglądać dzieci. Sama trzymała w ramionach najmłodszego z potomków, Piotrusia.

Panowie poszli poszukać bagażowych, którzy pomogliby w przetransportowaniu licznych kufrów, pakunków oraz koszy z pociągu na wóz, a następnie do Krynicy. Cała rodzina zamierzała się zatrzymać w pensjonacie Trzy Róże, który polecił im doktor Cercha.

Maksymilian wraz z rodziną przebywał w uzdrowisku już od dobrych trzech tygodni. Panie miały się spotkać nazajutrz, gdy się rozlokują w pensjonacie i jako tako wypoczną po podróży.

Doktorowa obiecała, że będzie ich przewodniczką po Krynicy, zapozna je również z kilkoma godnymi uwagi osobami.

Matylda już cieszyła się na zawieranie nowych znajomości i w ogóle na oderwanie się od rutyny, w którą popadła jakiś czas temu. Nawet przymusowa rozłąka z Sewerynem – pierwsza od ich ślubu, przestała ją martwić. O ile początkowo kobieta ubolewała nad tym, że ukochany nie będzie jej towarzyszył w kurorcie, to teraz, gdy już wysiadła z pociągu i poczuła żywiczny aromat powietrza, przestała się tym frasować. Wszak Helena zapowiadała, że na miejscu, prócz obowiązkowych kuracji, nie zabraknie rozrywek, a pobyt w Krynicy będzie nie mniej intensywny od szczytu sezonu towarzyskiego w Krakowie. Na kobiety czekały liczne atrakcje: bale, przyjęcia, spektakle teatrów przybywających z gościnnymi występami, spacery deptakiem, koncerty czy wieczorki muzyczne. Mnóstwo przyjemności, z których pod żadnym pozorem nie można zrezygnować, ponieważ wyborny humor i samopoczucie są podstawą skuteczności leczenia. I to właśnie ona doradziła Zuzannie oraz Matyldzie, by na tę okoliczność zabrały ze sobą suknie balowe i wieczorowe oraz buty odpowiednie do tańca. Prócz tego, rzecz jasna, cały arsenał sukni spacerowych, popołudniowych, kostiumy, kapelusze i inne fraszki, bez których dama nie jest w stanie się obyć. A jeśli im czegoś zabraknie, powinny bez problemu zakupić to w Krynicy, bowiem miejscowe sklepy są nader dobrze zaopatrzone, a przed sezonem wypoczynkowym kupcy wręcz dwoją się i troją, urozmaicając asortyment. Wszystko to napawało młodą kobietę optymizmem. Żadna była nowych wrażeń, zabawy, przygód.

Skostniałam u boku Seweryna – przemknęło jej przez myśl. Od razu ogarnął ją wstyd za tę nielojalność, lecz zdała sobie sprawę, że chyba właśnie tego im potrzeba: krótkotrwałego

rozstania, które naruszy codzienną rutynę, wyrwie ich z marazmu i pozwoli, by obydwójce za sobą zateśknili. Może wówczas zniknie owo delikatne zniecierpliwienie, które ostatnio pojawiało się w ich relacjach?

Bagaż Strzeleckich oraz Adamczyków zostały wyładowane na peron. Najęci przez mężczyzn tragarze już nieśli je do powozu. Powóz – lando miał zaskakująco szerokie ławki wyłożone poduszkami okrytymi czerwonym pluszem. Z tyłu znajdowało się dość przestrzeni, by pomieścić liczne pakunki. Jedynym mankamentem resorowanego pojazdu były drewniane koła obite obręczami, które zwiastowały dość hałaśliwą podróż.

– Powinniśmy się zabrać wszyscy razem – ocenił Seweryn, przyglądając się malejącej stercie rzeczy na bruku, a rosnącej na wozie. – Dacie radę, woźnico? – Wolał się upewnić.

– Ma się rozumieć, szanowny panie – odparł wysoki, postawny mężczyzna, właściciel landa, który miał powieźć ich do Krynicy.

Rusnak odziany był w koszulę z samodziałowego płótna o prostych, pozbawionych mankietów rękawach, z czerwoną zastyżką¹² zawiązaną przy rozcięciu pod szyją. Na koszulę nałożył jasnoniebieski sukieny łajbyk¹³ bez rękawów, z dwoma rzędami guzików, które pięknie błyszczały w promieniach majowego słońca. Prócz tego miał na sobie portki z białego samodziałowego sukna ozdobione niebieskimi wypustkami oraz kierpce wykonane z jednego kawałka skóry poprzesywanej rzemykiem. W ustach trzymał fajkę, z której leniwie snuła się smużka białawego dymu o zaskakująco przyjemnym ziołowym aromacie.

– Nie tylu pasażerów z ich bagażami woziłem. Dla mnie to chleb powszedni.

– A dużo takich kursów robicie? – zapytał Seweryn.

– Ano niemało. W sezonie to i po kilka dziennie. Moje konie trasę już znają na pamięć, nawet nie muszę ich prowadzić. Same wiedzą, kędy mają iść – powiedział z wyraźnym wschodnim akcentem.

– Wyście są Rusinem? – dociekał Adamczyk.

– Bliższe prawdzie byłoby stwierdzenie, że Rusnakiem, tak nas tutaj zwaą Polacy. My są Łemkowie z dziada pradziada – oznajmił, nie przerywając ładowania powozu.

Szło mu to szybko i sprawnie, widać było drzemiącą w nim krzepę: rozrosły w barach wysoki chłop na schwał. Aż przyjemnie było popatrzeć, jak się uwija. Wyczuwało się bijącą od niego pierwotną siłę człowieka, który żyje blisko natury i jest za pan brat z żywiołami. Adamczyk cenił ludzi utrzymujących się z pracy własnych rąk i zarabiających uczciwie na kawałek chleba.

– Jak was zwaą, gospodarzu? – zagadnął z czystej ciekawości. – Chciałbym wiedzieć, ponieważ często będę tego lata tutaj jeździł. Kto wie, może mi się jeszcze zdarzy skorzystać z waszych usług?

– Nazywam się Witalis Juraszko, syn Nazaryma. Tutaj każdy mnie zna, jeśli więc będzie pan chciał, abym go przewiózł z Muszyny do Krynicy albo w drogę powrotną, wystarczy tylko kogokolwiek zapytać. Można też puścić za mną chłopaka na posyłki, którego trzymają w willi.

– Mieszkacie tutaj w Muszynie czy w Krynicy?

– W Powroźniku. To mniej więcej połowa drogi pomiędzy Krynica a Muszyną. Będziemy tamtędy przejeżdżać, więc pokażę łaskawemu państwu. Ojciec mój jest pszczelarzem, posiada sporą pasiekę. Często więc wożę nie tylko kuracjuszy, ale również dostarczam miody i inne pszczele wyroby czy to do Żegiestowa, czy do Muszyny, czy do Krynicy. Jesteśmy w okolicy

dobrze znani. Zresztą moja siostra, Ałenka, wyszła za mąż za jednego z was.

– Za Polaka? – zainteresowała się Matylda. Nic sobie nie robiła z tego, że damie nie wypada towarzysko gawędzić z woźnicą. Wszak była na wakacjach, więc mogła odrzucać konwenanse. Zresztą błysk zainteresowania pojawił się również w oczach powściągliwej z natury Zuzanny.

– Ano tak, łaskawa pani. Zrobiła dziewczyna karierę. Zakochał się w niej wielki pan i zabrał ją z naszej chaty do pięknej willi. Teraz Ałenka mieszka w domu Pod Lipami. To z drugiej strony Krynicy, za deptakiem i krzyżówką, z której gościniec rozdziela się w stronę Słotwin i Bardyjowa. Ona mieszka właśnie przy drodze na Słotwiny. Z tyłu, za domem Ałenki, chlupoce Kryniczanka, nasza lokalna rzeczka, wzdłuż której zaraz pojedziemy. A moja siostra to niezwykła osóbka: ładna jest nad podziw i niegłupia. Na naukach była nawet w Krakowie – rozprawiał z dumą. – Teściowie zadbali o to, by ją wykształcić, a teraz paraduje po salonach.

Ależ tutaj musi panować swoboda obyczajów, skoro dżentelmeni poślubiają chłopskie córy! – stwierdziła Matylda. – *U nas, w Krakowie, nikomu przez myśl by nie przeszło podobne postępowanie. Jak świat światem chłopi żenili się z chłopkami, mieszczanie z mieszczkami, a szlachta ze szlachtą. Ale właściwie nie ma się co dziwić. Bo jak się człowiek nawdycha tak wspaniałego powietrza, to ma zupełnie inne podejście do życia. Może właśnie to sprawia, że ludzie postępują zupełnie inaczej, wykraczają poza utarte schematy i nie podążają za konwenansami? Muszę się temu wszystkiemu przyjrzeć – postanowiła.*

Ogromnie ciekawa była owej Ałeny. Żywiła nadzieję, że będzie miała okazję ją poznać. Bo skoro poślubiła zamożnego

mężczyznę, z całą pewnością bywała na przedstawieniach teatralnych, balach i w salonach. Chociaż Witalis nie doprecyzował, co ma na myśli, mówiąc, że poślubiła jednego z Polaków, Matylda wywnioskowała, że jednak chodziło mu o dobrze urodzonego mężczyznę. Takiego, który obraca się w jej kręgach towarzyskich. Choć dla prostego chłopca „lepszym towarzystwem” mógłby być nawet kupiec albo właściciel niewielkiego pensjonaciku z kilkoma pokojami.

Zanim Matylda przyjechała do Krynicy, dokładnie o wszystko wypytała *madame* Cerchę. Helenka dość obrazowo opisała jej krynickie wille, pensjonaty oraz inne obiekty. Wspomniała także o osobistościach, które można spotkać w uzdrowisku. Doktorowa była doskonale obeznana zarówno z częstymi bywalcami kurortu, jak i ze stałymi mieszkańcami. Jeśli owa tajemnicza Rusnaczką faktycznie poślubiła dżentelmena, z całą pewnością Helena musiała o tym wiedzieć. Z jakiegoś nieuzasadnionego powodu Matyldę aż skręcało z ciekawości, by poznać tę osobkę, a przynajmniej przyjrzeć jej się z bliska. Już dawno nie była równie zaintrygowana.

Tak – zachichotała w duchu. – To musi być zasługa tutejszego powietrza. Przewietrzyłam umysł i od razu wszystko widzi mi się zupełnie inaczej. Świat stał się piękniejszy i prostszy. Doktor Maksymilian miał, zdaje się, rację, zalecając mi wypoczynek w Krynicy. Przechera! Dobrze wiedział, co robi.

Jej radość z wyjazdu jeszcze tylko wzrosła. A przecież to był dopiero początek przygody, wciąż bowiem znajdowali się w podróży. Wystarczyło jednak rozejrzeć się po okolicy, a od razu znacznie milej zrobiło się na sercu.

– A łaskawa pani to już chyba gościła w Krynicy – stwierdził Rusnak, przyglądając się uważnie Strzeleckiej.

W każdej innej sytuacji Zuzia byłaby skrępowana tą bezpośredniością i natarczywym wzrokiem. Być może zrugałaby nawet wścibskiego fiakra za dociekanie. Tym razem uśmiechnęła się z życzliwością, zaprzeczyła ruchem głowy i oznajmiła:

– Ależ skądże! Nigdy wcześniej tutaj nie byłam. Do tej pory jeździliśmy z rodziną do Dusznik. W tym roku uznaliśmy, że należy nam się odmiana – skwitowała wymijająco.

– W takim razie musiałem panią z kimś pomylić. Przepraszam – bąknął, wyraźnie zbity z pantałyku.

– Długo będziemy jechać? – zapytała Zuzanna, którą trochę niepokoiło, jak zniosą podróż jej czterej niesforni synkowie.

– Mniej więcej godzinę – oznajmił woźnica, podkreślając sumiastego wąsa. – Dałoby się zapewne dotrzeć szybciej, bo kilkanaście lat temu zrobiono nam tutaj bardzo solidny bity trakt, ale ja nie lubię pastwić się nad końmi. Ze zwierzętami trzeba się dobrze obchodzić, a wtedy odwdzięczą się pracowitością. Zresztą, łaskawe panie, będziecie zapewne tak zachwycone widokami, że czas upłynie wam bardzo szybko. Większa część drogi biegnie doliną wzdłuż rzeczki Kryniczanki. Ona doprowadzi nas do samego uzdrowiska.

Wszystkie pakunki trafiły na wóz. Mężczyźni pomogli damom rozlokować się na ławkach, usadzili dzieci. Służące poradziły sobie same.

– No to możemy ruszać – oznajmił woźnica. – Nawet się państwo nie obejrzyście, jak dotrzemy na miejsce. Moje koniki dobrze już znają drogę. Nie potrzebują bata – pochwalił z dumą swe piękne, zadbane wałachy. – Wio! – wykrzyknął, delikatnie poruszając lejcamy.

Konie ruszyły z miejsca i bez dodatkowych gestów ze strony Juraszki obrały kierunek. Seweryn, który wskoczył na kozioł

obok woźnicy, z przyjemnością spoglądał, jak mężczyzna wprawna dłonią prowadzi wóz. A może faktycznie zwierzęta doskonale znały drogę i nie potrzebowały wskazówek? Szły dziarsko, choć niespiesznie.

Roztaczające się przed kuracjuszami widoki faktycznie były oszałamiające. Przejeżdżali doliną wzdłuż rzeczki, w której odbijały się promienie słońca. Otaczały ich wzgórza porośnięte gęstymi szmaragdowozielonymi lasami. Dolinę przecinały pola uprawne, nadając jej wygląd szachownicy. A powietrze pachniało tak, że aż chciało się oddychać pełną piersią. Jakże ono się różniło od krakowskiego zaduchu! Wóz był odkryty, więc damy od razu rozłożyły umbrelki, by uchronić się przed niepożądaną opalenizną. Spod swych koronkowych cacek z przyjemnością podziwiała pejzaż.

– Ach, toż to musi być raj dla artystów! – westchnęła Zuzanna.
– Malarze pewnie ciągną tutaj niczym muchy do miodu.

– Rzecz jasna, łaskawa pani. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu wiozłem do Krzenycze pana Aleksandra Gierymskiego. Ponoć to dość znany malarz. Ja tam nie wiem, prosty ze mnie człek, na sztuce się nie znam. Ale Ałenka mi wyjaśniła, kto zacz, i dodała, że artysta jakoby się czuł niedocenianym. Przed rokiem miała przyjemność gościć go u siebie na podwieczorku. Zamieszkał nawet w tym samym hotelu, do którego wiozę państwa – oznajmił Witalis. – Zapewne będziecie mieli państwo nader przyjemny pobyt w Trzech Różach. Tam zawsze zatrzymuje się najlepsze towarzystwo – uzupełnił.

Emilia znowu widywała Aurelię udającą się do siedziby Towarzystwa Przyjaciół Krynicy. Aby tam dotrzeć, Drzewicka musiała przejść obok niedużego domu Litworów, stojącego tuż przy rozstajach na Bardyjów i Słotwiny oraz centrum Krynicy,

więc nie sposób było jej nie zauważyć, gdy codziennie o tej samej porze spędzało się czas z dziećmi w ogródku. Litworowa lubiła bawić się ze swoimi pociechami w ciuciubabkę albo kółko graniaste, choć do tej ostatniej zabawy wskazana była jak największa liczba osób.

Ha! A więc ta mała flądra wróciła do swoich przyzwyczajień – pomyślała, obserwując, jak młoda wdowa znika za zakrętem. – Ciągnie swój do swego.

Skrzywiła się z odrazą. Ale skoro „kuzyneczka” zaczęła wychodzić z domu, należało to wykorzystać. Od śmierci Jana minęło wystarczająco dużo czasu, by zacząć porządkować pewne sprawy. I Emilia, jako chrześnica Felicyty, zamierzała w tym pomóc. Wszak ciocia znana była ze swego dobrego serca i łagodnej natury. Nawet jeśli Drzewickiej przyszło na myśl, by załatwić sprawę synowej, z całą pewnością nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Była zbyt delikatna, by pewne rzeczy omawiać wprost. Litworowa gotowa była wyręczyć ciocię z nieprzyjemnego obowiązku, gdyby zaszła taka potrzeba, oczywiście.

Zdążyła już ten temat omówić szeroko ze swoim mężem. Dionizy nie tylko przychylił się do planu, który ułożyła, ale wręcz zachęcił ją do jak najszybszej realizacji. On także był zdania, że to Emilia powinna zostać główną spadkobierczynią Drzewickich, a nie synowa, która przyplątała się znikąd. Co do tego Litworowie nie mieli najmniejszych wątpliwości.

– Nie chciałabym, aby w przyszłości na skutek jakichś kruczków prawnych majątek wujostwa przeszedł w obce ręce. Nie znam się na tym, nie mam więc pojęcia, komu należy się scheda po Drzewickich. Jestem jednak pewna, że gdy tylko minie czas żałoby, Aurelia poszuka sobie nowego męża – powiedziała pewnego dnia ślubnemu Emilia.

– O ile ta mała w ogóle uszanuje pamięć o zmarłym – stwierdził Dyzio. – Z takimi jak ona nigdy nic nie wiadomo. Twoja w tym głowa, moja kochana, abyś dopilnowała swoich interesów. Wy, kobiety, umiecie zgrabnie wszystko załatwić. Z wrodzoną subtelnością potraficie każdego podejść, by osiągnąć zamierzony cel. Nie wątpię, że zdołasz przekonać ciotkę, by to ciebie wpisała w testament.

Rozmowy małżonków wcale nie były prowadzone na wyrost. Felicjta liczyła siedemdziesiąt lat i nawet jeśli jeszcze nie rozmyślała o własnej śmierci, Litworowie już teraz woleli się zabezpieczyć. Wszak nie od dziś wiadomo, że strzeżonego Pan Bóg strzeże. Choćby Emilia miała poświęcić na to mnóstwo czasu i dzień w dzień wiercić dziurę w brzuchu ciotce – oczywiście w bardzo delikatny i dyskretny sposób, nie mogła odpuścić. Sprawa spadku naprawdę warta była zachodu. Wszak cel mieli niemalże na wyciągnięcie ręki! W tym momencie nie wolno było im się cofnąć.

Mimo że Litworowa nie musiała oficjalnie nosić ciężkiej żałoby po Janie, wszak był tylko jej kuzynem, postanowiła, że włoży czarną suknię i przykryje głowę takimże kapeluszem z woalką. Zawsze tak postępowała, wizytując ciotkę. Pragnęła w ten sposób zaakcentować swoją solidarność z cierpieniem krewnej. Odpowiednio przygotowana, ucałowała główki swoich dzieci i zostawiła je pod opieką służącej, a sama wyruszyła z kolejną wizytą do Drzewickiej. Ostatnimi czasy czyniła to nader często, nie pozwalając o sobie zapomnieć, choć na głos nigdy by się do tego nie przyznała. A gdy już przywitała się z ciotką i dostarczono im do salonu kawę, zagadnęła:

– A gdzież to podziewa się moja droga kuzyneczka? Czy wciąż nieutulona w żalu pozostaje w swoim pokoju, gdzie wylewa łzy rozpacz po zmarłym mężu? Nie dołączy do nas?

Zrobiła przy tym słodką, niewinną minkę, udając, że nie zna stanu faktycznego.

– Aurelia od jakiegoś czasu znowu zajmuje się pracą w towarzystwie dobroczynności – odparła Felicysta. – Biedactwo nie jest w stanie przebywać wciąż w zamknięciu. Powiedziała mi, że musi coś robić, ponieważ źle znosi bezczynność.

– Ach tak... Doprawdy? – sapnęła przejęta siostrzenica. – Ale przecież jej miejsce jest tutaj, przy tobie. To oburzające, że w takiej chwili zostawia cię samą. Widać przywiązanie do Jana nie było aż tak duże. Ciociu... Cioteczko moja kochana, nawet sobie nie wyobrażasz, jak mnie serce boli, kiedy patrzę na twoją żalność. Chyba nigdy nie opłaczemy dostatecznie mojego biednego kuzyna. To prawdziwy cios dla rodziny – przemawiała łagodnym tonem Litworowa. Siedziała naprzeciwko Felicysty, trzymała jej dłoń i delikatnie ją gładziła. – Biedaczysko... Wielokrotnie wymykał się śmierci. Prawdopodobnie wyczerpał limit szczęścia. – Nawiązała do niezliczonych wydarzeń z przeszłości, których Jan omal nie przypłacił życiem, zyskując wśród bliskich opinię nadzwyczajnego pechowca. – Serce mi pęka, kiedy widzę, jak siedzisz tutaj sama. Czemu nie ma przy tobie synowej? Czemu nie ociera twoich łez? – mówiła z dramatyzmem w głosie, jakby nie usłyszała wcześniejszych słów ciotki.

– Mówiłam już: Aurelia wróciła do swych zajęć. Powiedziała, że potrzebuje zaprzątnąć czymś myśli.

– No wiesz, ciociu! Jak tak mogła? Powinna być tutaj, opłakiwać Jana i oczywiście wspierać cię na duchu. Cóż za bezduszna kobieta! Wygląda na to, że żałobę ma wyłącznie na pokaz. Nosi czarne stroje, bo tak wypada, ale w rzeczywistości na pewno czeka tylko na to, by minął jej zwyczajowy czas, a

wtedy znowu będzie mogła dobrze się bawić. Zawsze powtarzałam, że to płoche stworzenie.

– Chyba zbyt surowo ją oceniasz, Emilio – odparła Drzewicka.

– Ależ nie! Ciociu! Już ja zdążyłam dobrze jej się przyjrzeć w ciągu ostatnich kilku lat. Zawsze uważaliśmy z Dionizym, że to oportunistka. Okręciła sobie wokół palca naszego biednego Janeczka, by korzystać z majątku i związanych z nim przyjemności. Gdyby rzeczywiście kochała, na pewno byłaby teraz w domu nieutulona w żalu.

– Nie widzę nic złego w tym, że Aurelia postanowiła wrócić do nauczania dzieci oraz działalności charytatywnej. – Felicycya uznała za słuszne, by stanąć w obronie synowej.

– Och! Chrzestna matko! Jaką ty jesteś nieskończenie dobrą istotą. Zważ jednak, że po prostu nie wypada tak czynić. Ludzie zaczynają plotkować... – Urwała, nadawszy głosowi delikatne drżenie dla uzyskania lepszego efektu.

– A o czymże mówią? – wyraziła zdziwienie pani domu, ponieważ do niej od dawna nie docierały żadne nowiny. Od śmierci syna żyła pod kloszem, chroniona przez rodzinę oraz służbę przed bodźcami ze świata zewnętrznego.

– No jak to, ciociu, o niczym nie wiesz? – Emilia wyduła usta w udawanym oburzeniu. Później nachyliła się bliżej ucha krewnej i zaczęła wyjaśniać konspiracyjnym półgłosem: – Mówią o tym, że Aurelia nie szanuje pamięci po zmarłym. Wciąż widywana jest, jak przechadza się po parku albo deptakiem. Rzuca się w oczy ze swymi czarnymi strojami.

– Chodzi tamtędy do budynku towarzystwa dobroczynności – wyjaśniła Felicycya.

Emilia pozostawała nieczuła na jej tłumaczenia.

– Ciociu, ja uważam, że to naprawdę nie wypada. Z szacunku dla zmarłego męża powinna teraz przebywać w domu, a nie

zajmować się obcymi dziećmi. Na dodatek nędzarzami. Ciągnie swój do swego! Gdyby miała odrobinę serca, byłaby tu teraz przy tobie. Cioteczko! Propozycja, którą złożyłam ci kilka dni temu, jest wciąż aktualna. Myślę, że powinniście z wujkiem Ksawerym wprowadzić się do naszego domu. Chętnie was u siebie przyjmujemy. Nie będziesz się czuła wówczas tak osamotniona. Dotrzymam ci towarzystwa i przestanę się martwić, że siedzisz tutaj nieszczęśliwa i wylewasz gorzkie łzy. Choćbym chciała, nie mogę wciąż u ciebie przebywać, bo mam maluszki, które potrzebują mojego doгляdu – tłumaczyła łagodnym tonem. – Ten dom jest bardzo duży. To musi być przygnębiające, obijać się po tyłu pustych pokojach, w których wciąż słyhać echo kroków Jana.

Żarliwymi słowami namawiała ciotkę do skorzystania z zaproszenia. To znowu delikatnie przypominała o tym, że Aurelia nie przestrzega żałoby i zachowuje się nader egoistycznie – tak jakby w ogóle nie bolała nad śmiercią małżonka. W końcu, widząc, że znalazła w krewnej uważną słuchaczkę, a grunt w minionych kilku tygodniach został należycie przygotowany, przeszła do meritum.

– Droga cioteczko, tak naprawdę uważam, że Aurelia powinna wrócić tam, skąd pochodzi. Była tylko dość nedorzeczną fanaberią Jana, której musiałaś ulec, ponieważ wzięła górę miłość do jedyne go syna. Ja to doskonale rozumiem, wszak sama mam dzieci. A my, matki, gotowe jesteśmy naszym pociechom przychylić nieba. Sęk w tym, że ta kobieta w ogóle do nas nie pasuje. Przynosi wstyd rodzinie nieokrzesaniem i brakami w manierach. Wiem, że dołożyłaś starań, by uczynić z niej namiastkę dobrze wychowanej damy, ale przecież wiadomo, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Z niej zawsze będzie wychodziło prostactwo.

Teraz, gdy twój syn odszedł na łono Abrahama, naprawdę warto pomyśleć o odbudowaniu dobrego imienia naszej rodziny w oczach towarzystwa. Wszak z chwilą, gdy Jan ożenił się z Aurelią, ludzie nie ustawiali w plotkowaniu na ten temat.

Felicyta słuchała jej w milczeniu. Ważyła dokładnie każde słowo chrześcicy. Nim przyjęła Juraszkównę pod swój dach, nachodziły ją obawy o to, jak młoda Rusnaczka zostanie odebrana przez socjetę i czy nie będzie narażona na ostracyzm.

– Wiem, moja droga, że dobro naszej rodziny zawsze leżało ci na sercu – odparła po chwili.

– Ależ oczywiście, ciociu! – Emilia momentalnie dostrzegła iskierkę nadziei, więc postanowiła kuć żelazo, póki gorące. – Przecież wiesz, że mówię to wszystko wyłącznie dla waszego dobra. Gdyby nie ogromna miłość i szacunek, które żywię do ciebie, nie powtórzyłabym ci tych niechlubnych opinii, które krążą za twoimi plecami. Ludzie tacy są: wprost nikt nie odważy się, by wyznać szczerze, co myśli. To właśnie uczucia, jakimi cię darzę, nakazują mi, abym przemówiła głosem rozsądku. Nawet jeśli ów głos pociąga za sobą niezręczność. Trzeba ostatecznie spojrzeć prawdzie w oczy: Aurelia jest tylko cwaną chłopką. Jej miejsce jest w chyży, a nie tutaj – wyznała w końcu, co myśli, dokładając starań, by w jej ton wkradły się łzawe nuty. – Powiem ci coś bez ogródek: pozwalając jej tu pozostać, wystawiacie się z wujem Ksawerym na śmieszność. Narażacie na szwank dobre nazwisko rodziny.

Felicyta zmięła w dłoniach chusteczkę, którą przed momentem ocierała łzy płynące obficie z oczu. Przez cały czas uważnie słuchała wywodów chrześcicy. Widziała jej rozognione spojrzenie. Temat, z którym od kilku dni Emilia do niej przychodziła, musiał ją mocno poruszać. Znała wystarczająco dobrze swoją siostrzenicę, by uświadamiać

sobie, że Litworowa nie spocznie, póki sprawy nie ułożą się zgodnie z jej oczekiwaniami.

Tylko na co liczyła? Jaki przyświecał jej cel?

– Wiem, moja droga Emilio, że ta kwestia leży ci na sercu. Obiecuję, że w najbliższym czasie rozmówię się z Aurelią – zapewniła spokojnym tonem. – Uważam jednak, że wciąż potrzebujemy czasu na to, by okrzepnąć po utracie Janka. Rany są zbyt żywe. Wątpię, czy moja synowa w ogóle myślała o tym wszystkim, co ciebie tak nurtuje. Być może jeszcze nie zdążyła zastanowić się nad swoją przyszłością.

– Och, ciociu, w absolutnie każdym człowieku przeceniasz jego wewnętrzne przymioty. Chciałabyś widzieć świat idealnym. Ja wiem, że to wspaniała, a wręcz cudowna cecha twojej natury, bo zawsze przypisujesz ludziom pozytywne emocje i pobudki czynów. Ale świat nie jest taki piękny i dobry, jak byśmy sobie mogły tego życzyć. Jestem głęboko przekonana, że Aurelia ma już w głowie jakiś plan. Zapewne będzie chciała wykorzystać sytuację i wyciągnie chciwie ręce po dorobek waszej pracy. Ale niby z jakiej racji miałyby czerpać z majątku, skoro sama nie wniosła w posagu absolutnie nic? Przyszła tutaj z niczym. Każdy skrawek bielizny, każdy fatałaszek, kapelusz czy rękawiczka zostały opłacone pieniędzmi Jana.

– To oczywiste, że Jan ją wyposażył w niezbędne rzeczy, skoro pochodziła z niezamożnej rodziny. Musieliśmy zadbać o to, by wyglądała jak należy i nie odstawała od innych pań z towarzystwa.

– Tak. Wiem, ciociu, nie musisz mi tego tłumaczyć. Dołożyliście starań, by należycie się prezentowała i nie przynosiła wstydu rodzinie. Ale to nie oznacza, że nadal jesteś zobowiązana do czegokolwiek w stosunku do tej kobiety. Sama zresztą widzisz, jak nieczuła jest względem ciebie. Czy jest tutaj

teraz przy tobie? Czy trzyma cię za rękę, czy troszczy się o twoje samopoczucie? – powtarzała swe wcześniejsze słowa niczym monotonny refren, który chciała wbić w pamięć ciotki raz a dobrze. – Śmiem powątpiewać nawet w jej rzekome uczucie do Jana. Wszak nie urodziła mu dzieci – oświadczyła dobitnie. W jej odczuciu ten argument niepodważalnie świadczył o oziębłości i wyrachowaniu Aurelii.

– Doprawdy nawet dziesięć lat spędzonych w Krakowie nie wystarczyłoby, aby tę prostaczkę nauczyć manier i eleganckiego zachowania – mruknęła Emilia sama do siebie pod adresem Aurelii, gdy już wyszła od ciotki.

Żywiła nadzieję, że Rusnaczką szybko zniknie jej z oczu. Pragnęła pozbyć się największej rywalki na drodze do spadku. I teraz, gdy nie miał kto po niej dziedziczyć, Litworowa liczyła, że ona otrzyma w niezbyt odległej przyszłości wszystko, co należy aktualnie do Drzewickich: piękną biżuterię, zastawę stołową, srebra, ekwipaże, wspaniałą willę, no i oczywiście tartak, którym mógłby zarządzać Dionizy. Zakład na pewno przynosił niebagatelne dochody, lecz ona kompletnie się na tym nie znała. Nigdy nie wykazywała zainteresowania, gdy Dyzio wracał znużony z pracy i narzekał na swe niewdzięczne zajęcie. Dla niej ważniejsze było zawłaszczenie willi Pod Lipami. To właśnie na ten dom ostrzyła sobie pazurki od dłuższego czasu.

W obszernym budynku mogłaby urządzić pensjonat. Na pewno uzyskiwałyby z tego tytułu znacznie większe profity niż z pensyjki męża.

Dionizy zatrudniony był u Ksawerego. Pełnił jednak mało znaczącą funkcję i pobierał niewielkie wynagrodzenie. Póki żył Jan, nie miał widoków na awans, ponieważ siłą rzeczy wuj na swą prawą rękę, a w przyszłości dziedzica, sposobił jedynaka, nie bacząc na jego słabe zdrowie. Teraz jednak, gdy kuzyn nie

żył, przed Dionizym otwarła się perspektywa przejęcia tartaku w przyszłości. Wszak wuj musiał komuś przekazać swój interes. No, chyba że podejmie decyzję o sprzedaży. Emilia byłaby właściwie rada takiej sytuacji, ponieważ w przyszłości kapitał pochodzący z tego tytułu mógłby jej przypaść w udziale.

Tak więc przedwczesna śmierć Jana Drzewickiego była Litworowej bardzo na rękę. Jeszcze bardziej fakt, że nie zostawiał po sobie spadkobierców.

To, że Jan odejdzie w dość młodym wieku, właściwie można było założyć. Kuzyn był wyjątkowym pechowcem, wciąż przytrafiały mu się różne dziwne wypadki. To spadł z konia, to ktoś go postrzelił podczas polowania, to upadł i uderzył się w głowę jakoś niefortunnie. Zresztą jako dziecko dużo chorował. Lekarze wręcz straszili Felicytę, że być może rychło pochowa syna. Emilia, która była od niego młodsza o zaledwie siedem lat, doskonale orientowała się w sytuacji. Mama często jej powtarzała, jak bardzo żałuje tak bliskiego pokrewieństwa łączącego Jana z jej córkami, gdyż zamożny jedynak byłby idealnym kandydatem na zięcia. Pocieszała się jednak myślą, że gdyby Jan skonał w młodym wieku, to jej ukochana córcia będzie dziedziczyła po Drzewickich. Wychowana w takim przekonaniu pannica nieustannie wypatrywała tego momentu.

Jakież było jej rozczarowanie, gdy pewnego dnia kuzyn oznajmił, że się żeni! Jakżesz ona zaklinała los, by Rusnaczka okazała się bezpłodna i nie obdarzyła go potomstwem!

Los okazał się bardzo przychylny. A może to była sprawiedliwość świata, że z tego małżeństwa nie zrodziło się żadne dziecko? Bo jakże tak mieszać ze sobą krew różnych nacji? I kto to widział, by wytworni ludzie bratali się z plebsem?

Teraz tylko Emilia musiała dopilnować, by wieśniaczka wróciła do rodzinnego domu. Ciotka Felicyta i Ksawery

prawdopodobnie wyposażą ją w jakąś sumkę na otarcie łez, może nawet obiecują jej wypłacać stałą rentę. Ale przecież nie zapiszą jej całego majątku! Bo niby z jakiej racji? Zresztą co ta prostaczka poczęłaby z tartakiem i willą? *Zapewne ledwo sobie radzi z obliczeniami, a już na pewno nie podołałaby prowadzeniu ksiąg rachunkowych.*

To był trudny dzień dla młodej wdowy. Nie wiedzieć czemu wciąż nawiedzały ją fale bolesnych wspomnień, to znowu dręczyły nieprzyjemne przemyślenia dotyczące kruchości jutra. Niepewność własnej sytuacji zaczynała ją przerażać. Trudno było w takim stanie ducha skupić się na pracy, więc kobieta wcześniej niż zwykle odprawiła swoje uczennice do domu i czym prędzej opuściła willę komitetu.

Gnała przed siebie, próżno walcząc ze łzami. Jej czarna żałobna suknia łopotała na wietrze. Fiszbiny gorsetu krępowały klatkę piersiową, uniemożliwiając swobodne oddychanie, a koronkowa szmizetka zdawała się wgryzać w łabędzią szyję. Jak jeszcze nigdy w swym nowym, „piękniejszym” życiu pożałowała, że nie jest kobietą wolną jak ptak, nieskrępowaną niewygodnym odzieniem i trzewiczkami na obcasie. Kiedyś biegała bosą, z rozwianymi włosami, pozwalając, by wiatr chłodził jej skórę wyłaniającą się z rozchełstanej koszuli. Gdyby tylko znowu mogła być taka swobodna jak za dawnych lat! Gdyby znowu mogła poczuć tamto szczęście i bez troskę!

To już nie wró-ci, nie wró-ci, nie wró-ci! – wystukiwała obcasami o bruk.

Stało się dla niej oczywiste, że nie może pozostawać dłużej w miejscu, które nie jest jej należne. Bez Jana świat salonów stracił cały blask.

Wdowi stan miał to do siebie, że nikogo nie dziwił płacz Aurelii. Nikt więc nie zadawał pytań o to, czemu jest smutna, ma opuchniętą twarz, a jej oczy są czerwone. Mogła z posępną miną siedzieć przy stole podczas obiadu, nie wzbudzając niczyjzego zaciekawienia. Zresztą Felicjta też wciąż była zrozpaczona, wszak matka, która utraciła jedyne go syna, na pewno miała w głowie same niewesołe myśli.

Od kilku dni Aurelia zastanawiała się, czy Felicjta ją odprawi, gdy minie okres oficjalnej żałoby. Zdecydowanie wolała uprzedzić bieg zdarzeń i usunąć się w cień. Na jej sercu, które kiedyś było niczym motyl trzepoczący beztrąsko, zalegały teraz ciężkie kamienie.

Obiad mijał w ponurej atmosferze i ciszy. Nikt nie silił się na pogawędkę. Tak było od momentu, kiedy Jan stracił życie.

Mężczyzna zachorował nagle. Pewnego dnia zasłabł w biurze tartaku. Sprowadzono lekarza, ten odprawił go do domu i zalecił wypoczynek. Jan uskarżał się na koszmarne bóle głowy. Nie pomagała mu nawet morfina. Zapadał po niej w krótkie, nerwowe drzemki, z których budził się, jęcząc. Wpędził domowników w przerażenie, z chwilą gdy oznajmił, że oślepl. Zaczęło się od podwójnego widzenia, a następnie po prostu stracił wzrok. Nie mógł jeść, wszystko zwracał. Choroba trwała raptem dwa tygodnie, a później mężczyzna skonał.

W ostatnim przebłysku świadomości, tuż przed śmiercią, zwrócił się do matki z prośbą, by była dobra dla Aurelii, gdy jego zabraknie. Żonę tylko na oślepa pogłaskał po policzku, potem jego ręka bezwładnie opadła na pościel.

Czy z powodu tej obietnicy Felicjcie tak trudno było teraz podjąć decyzję o odprawieniu Rusnaczkę?

Zapewne matka ma skrupuły, by mnie odesłać do Powroźnika, bo czuje się zobligowana obietnicą daną jedynekowi na łóżu

śmierci – rozmyślała Aurelia. – Może powinnam ułatwić jej tę sytuację?

Zwiesiła ramiona i odłożyła srebrne sztuce na talerz. Nie miała apetytu.

Felicyta też prawie nic nie jadła. Jedynie Ksawery skonsumował solidny posiłek. Cóż, choć i na jego czole widać było chmurę, mężczyźni zapewne inaczej przeżywają nieszczęścia.

Aurelia postanowiła, że po obiedzie wyprawi się do Powroźnika, by odwiedzić rodziców. Nikt nie ukoi jej łez i cierpienia skuteczniej niż rodzona matula. Zapragnęła wtulić się w bezpieczne ramiona i wypłakać z siebie całą żalność.

Nim opuściła dom, zajrzała do kuchni i zapytała posługującą tam Rozalkę, czy nie ma jakichś słodkości, które mogłaby zabrać jako gościniec. Z domu rodzinnego wyniosła bowiem naukę, że nie wypada chodzić w odwiedziny z pustymi rękami. W wyższych sferach nie praktykowano tego zwyczaju, ale Aurelia doskonale wiedziała, że gdyby nie przyniosła choćby po słodkiej kukielce swoim bratankom, to sprawiłaby im przykrość. Wszak z ich punktu widzenia była zamożną panią mieszkającą w pięknym domu. Miała do dyspozycji służbę, nie musiała się o nic kłopotać i dla niej odrobina słodczy była po prostu drobiazgiem. Nieważne, że potomkom pszczelarza nie brakowało do szczęścia niczego. Matka bardzo często wypiekała słodkie bułeczki z miodem albo ciasteczka zwane przez nią miodunkami. Zazwyczaj, gdy Aurelia u niej gościła, po wizycie zabierała zapakowane w serwetkę i ułożone w koszyku przysmaki. Częstoowała nimi Felicytę, Ksawerego oraz Jana. A oni zajadali łakocie, chwając ten niby prosty, ale jakże miły podniebieniu wypiek. Zupełnie inny od słodkości, które można

było nabyć u pana Antoniego Julesa¹⁴, w sklepie korzenno-mieszanym, jak określał go sam właściciel.

Rozalia przygotowała dla Drzewickiej koszyk pełen przysmaków. Młoda wdowa przejrzała się w lustrze. Poprawiła fałdy czarnej żałobnej sukni. Nie wzięła ze sobą kapelusza ani parasolki. Jedynie na głowę, mimo ciepła, narzuciła koronkowy szal. Wychodząc do rodziców, nigdy nie stroiła się zbyt, choć tam i tak jej jedwabne suknie raziły. Częściej więc wybierała perkal, samodział bądź wełnę. Do minimum ograniczała ozdoby.

Tym razem nie dosiadała wierzchowca, do czego w czasach małżeństwa zawsze zachęcał ją Jan, lecz wyruszyła pieszo. Konno nauczyła się jeździć tuż po ślubie pod czujnym okiem męża. Właściwie może nawet nie do końca nauczyła, ponieważ jako wiejska dziewczyna często jeździła na oklep. Jej ojciec posiadał dwa konie zaprzęgowe, należał do dość zamożnych gospodarzy. Zwykle najstarszy brat Aurelii, Witalis, woził bryczką gości z Muszyny do Krynicy. A kiedy nie miał zajęcia i pozwalał na to czas, zgadzał się, by Aurelia dosiadała łagodną z natury klacz i jeździła po okolicznych polach oraz łąkach. Gdy jeszcze Aurelia jeździła na Miłce, jej włosy targał wiatr. Czuła się wówczas wolna, beztraska i szczęśliwa.

Nauki Jana sprowadzały się więc do tego, by przywykła zasiadać w damskim siodle, w którym utrzymanie się w ładnej pozycji stanowiło nie lada wyzwanie, ponieważ zdecydowanie nie należało do wygodnych. Do tego młoda dama musiała pamiętać o tym, aby amazonka zakrywała całe jej nogi i nie unosiła się, odsłaniając je w nieskromny sposób. Na wierzchowcu udostępnionym przez Drzewickich musiała przede wszystkim pięknie wyglądać: broda do góry, łopatki ściągnięte, pod pachą szpicruta, łokcie blisko boków.

Najważniejsza była gracia, wygoda miała znaczenie drugorzędne. Mimo to Aurelia, która uwielbiała przejażdżki, nigdy nie odmawiała sobie przyjemności, ilekroć mąż jej proponował. Nim owdowiała, bardzo często podczas wypraw do rodzinnej wsi dosiadała jednego z wierzchowców, choć droga nie była daleka. W swoim poprzednim życiu niejednokrotnie pokonywała o wiele dłuższe trasy pieszo.

Przyjemność z jazdy prysła jak bańka mydlana, gdy mniej więcej trzy miesiące przed śmiercią Jan upadł nieszczęśliwie z konia i mocno się potłukł w głowę, na dodatek skręcił przy tym kostkę u lewej nogi. Dla Aurelii było to przestrogą, ponieważ skoro on nie utrzymał się w swoim wygodnym męskim siodle, to jakże ona miała jeździć, korzystając z takiego upiornego wynalazku, jakim było siodło przeznaczone dla pań? W jej umyśle pojawiły się lęki, które spowodowały, że od tamtej pory ani razu nie dosiadała konia.

Powroźnik

– Ałenko! Dziecko moje! Jak dobrze cię widzieć! – wykrzyknęła na jej widok matka.

Aurelia zastała Paraskę w kuchni przygotowującą zalewajkę – dość prostą zupę jarzynową uwarzoną na solidnie wymoczonych grzybach. Do wody, w których trzymała je przynajmniej parę godzin, dodawała wywar z włoszczyzny z grubo pokrojonymi ziemniakami i żur wymieszany z tłustą śmietaną. Kobieta zazwyczaj okraszała całość omastą ze słoniny oraz skwarków, które teraz skwierczały apetycznie na patelni.

Juraszkowa szybko wytarła dłonie w fartuch i wyciągnęła ramiona, by zamknąć córkę w uścisku. Młoda kobieta przywarła do niej. Jej plecy zadrżały stłumionym na siłę płaczem.

– Matulu, matulu... Tak mi źle na tym świecie – wyznała.

Gospodyni odgarnęła z policzka córki jakiś niesforny kosmyk, który wymknął się z uczesania. Pogładziła pieśczośliwym gestem bladą twarz, której od dawna nie opalały promienie słoneczne, ponieważ nie wypadało, by dama miała zbyt ciemną karnację. Aurelia, czy chciała tego, czy nie, musiała wciąż nosić kapelusze, woalki lub osłaniać się parasolką. Dopiero po śmierci męża przestała zważać na stan swej cery, wychodząc z założenia, że skoro nie udziela się towarzysko, to nikt nie zwraca na nią uwagi.

Paraska przywołała synową i poleciła jej, by dopilnowała gotowania. Sama ujęła Drzewicką pod łokieć i poprowadziła ją ku niskim drzwiom.

– Chodź, dziecko, usiądziemy przed chatą, opowiesz, co ci leży na sercu.

Kobiety wyszły przed obszerną chyżę wybudowaną z jodłowych okrągłaków. Jej trójspadowy dach pokryty był gontem, co świadczyło o zamożności gospodarzy, gdyż zwykle używano w tym celu strzechy.

– Ckni ci się za Janem, prawda? – zagadnęła Paraska, gdy umościły się na ławce ustawionej w cieniu rozkwitłych jabłoni.

– To też, matulu – odparła z westchnieniem Aurelia. – Gdym mu przysięgała w kościele, przez myśl mi nie przeszło, że on tak młodo umrze i tak szybko mnie wdową zostawi.

– Niezbadane są wyroki boskie. Jan, świeć Panie nad jego duszą, porządnym był człowiekiem. Widziałam ja uczucie do ciebie w jego oczach. Nie byłaś mu tylko kaprysem, jakeśmy się z ojcem początkowo obawiali.

– Ano nie. Dobry był dla mnie. Miłowaliśmy się szczerze i gorąco – wyznała z lekkim onieśmieleniem.

– Gdy cię od nas brali na nauki do Krakowa, frasowaliśmy się o twój los. Mnóstwo strachów miałam w głowie, ale największy

był ten, że pewnego dnia twój piękny pan okaże się zwykłym łotrem i cię porzuci. Kto mógł wtedy przypuszczać, że stanie się coś zupełnie innego?

– Och... mamó! Nie masz pojęcia, jak mnie serce boli z tego powodu. Nie wyobrażam sobie dalszego życia. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Powinnam podjąć jakąś decyzję, bo od śmierci Janka minęło już pół roku. Nie mogę tkwić w miejscu.

– Ale co ty, dziecko, chcesz zrobić?

– Sama nie wiem. Bardzo mi teraz źle. Gdybyśmy chociaż mieli dziecinę! O ile prostsze byłoby wówczas wszystko! Drzewiccy nie wyparliby się przecież wnuka.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała zdenerwowana matka. – Czyżby wyganiali cię z domu?

– Wprost niby nie. Ale świekra całkowicie przestała mnie zauważać. Dla niej mogłabym nie istnieć. Zamyka się w swych pokojach i tam samotnie opłakuje syna. Czuję się zbędna. Tylko świekra okazuje mi odrobinę uwagi. Co kilka dni dopytuje, czy nie potrzeba mi pieniędzy. I właściwie do tego ogranicza nasze rozmowy. Większość czasu spędza w tartaku, którym teraz sam musi się zajmować. Chyba powinnam pójść gdzieś w świat albo wrócić tutaj, bo na cóż mnie siedzieć w ich pięknej willi, skoro jestem tylko przybłądą? Chłopską córką, za którą wstyd.

– Tak ci powiedzieli?

– Nie, ale ja to wiem bez gadania.

– Tylko mi nie mów, że Drzewicka źle cię traktuje. Dama to wielka, maniery ma wykwiłtne. Niby światowa, ale w jej oczach widziałam dobro. Nie wyglądała mi na złą osobę.

– Bo nie jest zła, zawsze była dla mnie dobra. Ale powiem ci, co myślę. Uważam, że oni trzymają mnie w domu dlatego, że tak wypada. Ponieważ gdyby odprawili mnie w czasie żałoby, to ludzie by na nich wygadywali.

– Nie! Nie wierzę! To być nie może. Felicyta nie jest tak podłą osobą, by wyrzucić cię na bruk. No jakże by to było: przegnać wdowę po jedynym dziecku?

– Może i był jedynym ich synem, ale przecież mają jeszcze chrześniaków – przypomniała córka. – Nie brakuje im dalszych krewnych, którzy chętnie zadbają o nich na starość. Cóż, ja im nie jestem potrzebna. Przez te wszystkie lata wciąż wyczekiwali na wieści o powiększeniu się rodziny. Nie doczekali się, choć chęci i starania były – odparła, oblewając się rumieńcem. – Wydaje mi się, że to nie jest moja wina, że nigdy nie zaciążyłam. Ty urodziłaś całą gromadkę dzieci. Dymitr też dorobił się przychówku. I Eufrozyna. I Ułyjanka – wyliczyła jednym tchem.

Paraska pobladła.

– Co chcesz przez to powiedzieć, córeczko?

– Ano to, że może wina za brak dziecka leżała po stronie Jana?

– *Kyrie eleison!* – wykrzyknęła kobieta, czyniąc znak krzyża. – Wypluj te słowa! Cóż ty za herezje opowiadasz? Podważać męskość? Nie! To się nie godzi! Grzech ciężki.

– Ależ matulu! Jaki tam grzech? Nawet teściowa, gdym płakała jej w rękaw, że nie mam dzieciaczka, pocieszała mnie, że i ona długo nie mogła powić.

– Nie, nie, nie! Ałenko, nie wygaduj takich głupot! Jak świat światem to kobieta rodzi dzieci. A jeśli do tego niezdatna, to cóż, widać taka wola boża. Ale żeby mężczyzna był temu winny? Nie, to się nie mieści w głowie! Prędzej winne temu te wasze gorsety i ciasne suknie. Jakże dzieciątko ma się zagnieździć, gdy mu brak miejsca w brzuchu?

Aurelia zwiesiła ramiona. Stwierdziła, że u matki nie znajdzie zrozumienia. Choć kochała Paraskę całym sercem, to w głębi duszy czuła, że mimo wszystko mentalnie bliżej jest jej do Felicyty, chociaż były sobie obce, a w ich żyłach nie płynęła ta

sama krew. I nieważne, że Aurelia przyszła na świat w chłopskiej chyży, a Felicyna w pięknym domu.

Teściowa, jak na dobrze urodzoną damę, była wyjątkowo postępową i wyemancypowaną. Świadczyło o tym już samo to, że odważyła się napomknąć, iż mężczyźni niekoniecznie muszą być tak płodni, jak by się mogło wydawać. Swego czasu mocno zaskoczyła synową swymi słowami.

Aurelia postanowiła nie roztrząsać już problemu braku dzieci z rodzoną matką, ponieważ wiedziała, że Juraszkowa nie pojmie tego, co dla niej jest oczywiste.

– Powinam sobie poszukać jakiegoś zajęcia, mamó. Nie wypada, abym dłużej mieszkała u Drzewickich – zmieniła szybko temat.

– Czyżby dali ci odczuć, że im zawadzasz?

– Nie. Są zbyt taktowni, by mówić o takich rzeczach. Po prostu nie chcę być na łaskawym chlebie. Być może Drzewiccy z litości trzymaliby mnie w domu, póki nie odeszłabym z własnej woli. Stanowiłabym smętną ozdobę salonu. Siedziałabym zawsze w kąciku, haftując, mereżkując bądź zajmując się innymi fraszkami. Nikt by mnie nie szanował, nie liczył się z moim zdaniem. Bo i co kogo obchodzi zdanie biednej wdowy, która nie ma własnego majątku?

– Ale jak to? Przecież nie jesteś bidulą! Masz piękne stroje i biżuterię...

– W ich oczach to nic nie znaczy. To, co dla nas jest majątkiem, w ichnim pięknym i barwnym świecie niewiele jest warte. Chociaż gdyby postawić mnie pomiędzy dziewczętami ze wsi, każdy powiedziałby, że nie wypadłam sroce spod ogona.

– Córka pszczelarza – powiedziała z dumą gospodyni. – No tak. Ale dla takich Drzewickich czy innych eleganckich ludzi faktycznie niewiele znacysz – skwitowała po chwili ze

smutkiem. – Dla nich nie ma znaczenia twoje dobre serce. No... Bo która wiejska dziewczyna oddaje sposobione przez lata wiano młodszej siostrze, wiedząc, że sama dobrze wychodzi za mąż? – Wspomniała o całym kufrze różnych śliczności, które jeszcze przed odjazdem do Krakowa Aurelia przekazała Ułjance.

– Przeceniasz mnie, matulu. W nowym domu te rzeczy na nic by mi się zdały – odparła.

W eleganckiej willi Drzewickich jej wyposażenie nie miaoby racji bytu, choć wśród wiejskich dziewcząt uchodziło za nader piękne i bogate. Wszak szykowane było z myślą o tym, że Aurelia poślubi jakiegoś kupca lub przy odrobinie szczęścia drobnego urzędnika. Tak więc Jan wziął ją do siebie z niczym. To on kupił wszystkie piękne suknie, halki, buciki, kapelusze, rękawiczki, parasolki i mnóstwo innych kobiecych drobiazgów, o których istnieniu wcześniej wiedziała przede wszystkim z kart książek oraz obserwacji pań spacerujących deptakiem i zachodzących do pijalni. W tamtych, nie tak znowu odległych, czasach Aurelia nawet nie potrafiłaby nazwać poszczególnych elementów damskiej garderoby. Ot, po prostu przyciągały wzrok, podobały jej się, ale były poza sferą marzeń.

– Matulu, przygarniecie mnie z powrotem, gdy zajdzie potrzeba? – zapytała w końcu wdowa.

– Dziecko moje ukochane! Toć nawet nie pytaj o takie rzeczy. Dla ciebie zawsze drzwi chaty będą stały otworem. Choć mnie się wydaje, że twoje rachunki są mocno na wyrost. Nie wierzę, by Felicyta chciała cię przepędzić albo cię lekceważyła, jeśli u niej pozostaniesz. Dobrze jej z oczu patrzy. Ona na pewno zadba o to, byś nie marniała. Ale gdyby rzeczywiście zaszła potrzeba, to oczywiście wróc do domu.

Aurelia ujęła spracowaną matczyną dłoń i przycisnęła ją do ust.

– Dziękuję, matulu. To wiele dla mnie znaczy. W najbliższych dniach zamierzam rozejrzeć się za jakimś zajęciem. Może najemę się w uzdrowisku lub w którymś pensjonacie? Albo wrócę do pijalni?

– Ale chyba nie jako sprzątaczką czy nosicielką wody?! – wykrzyknęła matka.

– Nie. Mam nadzieję, że znajdę godziwszą pracę. Pewnie nikt by mnie nie zatrudnił do noszenia wiader z wodą, a i ludzie wytykaliby mnie palcami, bo przecież właściciele pensjonatów znają mnie jako synową Drzewickich. Raczej mogłabym się nająć na bonę dla dzieciątek u którejś z bogatych kuracjuszek.

Słyszając to, Paraska odetchnęła z ulgą.

– Dobrze, że właśnie takiej pracy chcesz sobie szukać, bo byłoby źle, gdybyś poszła do noszenia kubłów z wodą. Na cóż by było całe to wykształcenie, które odebrałaś w Krakowie?

Aurelia została w domu rodzinnym do późnego wieczoru. Zjadła kolację z rodzeństwem i rodzicami, a gdy zaczęło zmierzchać, bez pośpiechu wyruszyła w stronę Krynicy. Wprawdzie Witalis proponował, że zaprzęgnie Gniadosza i podwiezie ją do domu, lecz grzecznie odmówiła. Wszedł nawet za nią na podwórko, wraz z nimi chałupę opuścili także rodzice.

– Na cóż taki kłopot, braciszku? A bo to mało razy przechadzałam się pieszo? Żadna ze mnie dama – skwitowała z goryczą.

– Ejże, Ałenko, nie wygaduj głupot! To żaden kłopot. A nie pamiętasz już, jakem cię woził drewnianym drabiniastym wózkiem po podwórku? Obiecywałem wtedy, że zawsze będę traktował cię jak królową i troszczył się o twoje wygody – przypomniał.

– Mój najukochańszy brat i rycerz zarazem. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Faktycznie, gdy była malutką dziewczynką, Witia woził ją często po obejściu wózkiem, który stanowił znacznie pomniejszoną kopię dużego wozu drabiniastego służącego do zwożenia z pól siana, zboża i innych płodów rolnych. Ten wózek dostał w prezencie od swego ojca chrzestnego, stolarza. Służył mu nie tylko do wożenia siostrzyczki, ale również snopków. Witia był dumny, gdy ciągnął za sobą ów pojazd, krocząc u boku ojca, który prowadził konia zaprzęzonego do fury. Już wtedy wszyscy sobie żartowali, że niezgorszy z niego woźnica, i wróżyli mu, że gdy dorośnie, zostanie fiakrem. Jego pierwszą pasażerką była siostrzyczka, a po latach przyszedł czas na świadczenie usług letnikom.

Z Ałeną wiązała go wyjątkowo mocna więź. Rozumieli się bez słów i w razie potrzeby jedno za drugim wskoczyłoby w ogień. Nic więc dziwnego, że gdy los uśmiechnął się do dziewczyny, ta zadbała również o interesy brata. Kiedy bowiem w Krynicy nie stało letników, Witalis woził drzewo na potrzeby tartaku Drzewickich.

– Tyś zawsze była inna, jakby stworzona do lepszego życia. Myśmy się nawet szczególnie nie dziwowali, gdy cię Drzewiccy zabrali od nas z domu. Choć ojciec trochę się przed tym wzbraniał, to i on musiał przyznać, że trafił ci się dobry los.

– Okrutny los, braciszku – poprawiła Witalisa. – Dobry byłby, gdybym dożyła swych dni, mając męża i dzieci. Ale cóż: wdową jestem. Nawet nie było mi dane zostać matką.

– Ałenko, Ałenko! Wszystko jeszcze przed tobą. Wkrótce zawrócisz w głowie jakiemuś gładkiemu kawalerowi. Zakocha się w tobie piękny kuracjusz i porwie cię do Krakowa albo i do Warszawy, może nawet do Lwowa. Już zjechali się aktorzy z

lwowskiej trupy teatralnej, więc miej się na baczności – przestrzegł żartobliwie.

– Niestosowne te twoje humoreski, braciszku – odparła zbulwersowana kobieta.

– Przepraszam! – wykrzyknął, zasłaniając usta dłonią. – Człowiek wygaduje, jak ten głupi, co mu ślina na język przyniesie.

Wstyd mu było za wcześniejsze słowa, wszak siostra niedawno owdowiała. Ale nic na to nie mógł zaradzić, że całym sercem pragnął jej szczęścia. Chciał znowu zobaczyć uśmiech rozjaśniający jej twarz.

– No to z Bogiem, kochani.

– Z Bogiem, z Bogiem, córeczko – odparł ojciec. A potem również i on zaproponował: – A niechby cię Witalis lub Dymitr choćby odprowadził do Krynicy, skoro nie chcesz podwózki.

– Ależ naprawdę nie trzeba, tatku. Jak zawsze sobie poradzę. Krynica to chyba najbezpieczniejsze miejsce w świecie. Nikt nigdy mnie nie zaczepia na ulicy. A Drzewiccy to nawet nie zamykają na noc domu. Zresztą nie tylko oni. Ponoć wszystkie wille stoją otworem, zwłaszcza pensjonaty, by kuracjusze nie musieli się kłopotać późnymi powrotami z Teatru Modrzewiowego, rautów i przyjęć.

Nie mijała się z prawdą, gdyż o tej porze roku w Krynicy kwitło życie towarzyskie i do późnych godzin uliczkami kurortu przemierzali się letnicy złaknieni rozrywek. Gościnne występy trup teatralnych z największych polskich miast, w tym Krakowa i Lwowa, przyciągały tłumy. Zresztą chętnie oglądali je również stali mieszkańcy, pamiętający jeszcze czasy „budy”, którą przed dekadą zastąpił piękny i nowoczesny budynek wzniesiony według projektu Tadeusza Stryjeńskiego¹⁵. Nie zmieniało to jednak faktu, że Aurelia faktycznie czuła się tutaj

nieporównywalnie bezpieczniej niż w mocno zaludnionym Krakowie, gdzie otaczały ją same obce twarze. W Krynicy ta obcość pojawiała się w ustalonych okresach, a pomiędzy nimi życie upływało cicho i spokojnie. Zresztą nawet sylwetki kuracjuszy zapadały w pamięć miejscowym, ponieważ zwykle do wód ciągnęli wciąż ci sami ludzie, choć z roku na rok przybywało letników, bowiem zadowoleni powracali, przywożąc swych krewnych i znajomych. Fama o skuteczności tutejszych wód oraz przyjemnościach, którym można było się oddawać wieczorami, szła w szeroki świat, co okolicznym mieszkańcom było na rękę, gdyż od dawna Krynica rywalizowała z Muszyną czy Żegiestowem o przychylność sezonowych gości.

– Dobrze, dobrze. Gadaj zdrowa, ja i tak z tobą pójdę – oświadczył stanowczo Witalis i ruszył w ślad za nią, szybko zrównując swój krok z jej drobnymi kroczkami.

Rodzice patrzyli za odchodzącymi. Gdy młodzi zniknęli za drzewami, zamiast wrócić do izby, zasiedli na ławie pod gruszą. Wieczór był ciepły, przyjemny. Komary nawet nie dokuczały. Małżonkom niespieszno było do dusznej chałupy.

Juraszkowie byli nad podziw zgodnym małżeństwem, często rozumieli się bez słów. I dlatego właśnie teraz wystarczyło tylko, że spojrzeli sobie nawzajem w oczy, a już wiedzieli, że muszą spokojnie pogwarzyć. Najlepiej bez towarzystwa reszty rodziny, a zwłaszcza Witalisa, który zbyt emocjonalnie podchodził do kwestii związanych z Aurelią.

– Martwię się o Ałenkę – oznajmiła Paraska. – Wiem, że Drzewiccy są dobrymi ludźmi, ale chyba najlepiej będzie, jeśli wróci do nas.

– Ja też tak uważam, żono – odparł Nazarym, sięgając za pazuchę po fajkę. Niespiesznie zaczął ją nabijać tytoniem. – Na

co jej dłużej siedzieć pomiędzy obcymi? Mało prawdopodobne, by zechciał ją jakiś panicz. Bo dla nich, mimo wszystko, nasza córka niewiele znaczy. Cóż im taka wdowa z łemkowskiej wsi, na dodatek bez majątku? Niestety, tak ją postrzegają na salonach – stwierdził z goryczą. – Chłopka, której udało się na chwilę zrobić karierę.

– Masz rację, Nazarymie. Ale mnie bardziej martwi, że Ałenka nie urodziła dzieciątek. Gdyby powiła choć jedno, byłoby znacznie lepiej. Drzewiccy wtedy zapewne nie wypuściliby jej spod swego dachu. Bo jakże tak odprawić matkę jedyne go wnuka? Ma biedactwo rację, mówiąc, że tam jest tylko zawada. Świekrowie to dobrzy ludzie, ale nie można oczekiwać, że będą ją trzymać u siebie w nieskończoność. Pewnie wprost jej tego nie powiedzą, lecz cóż ona dalej ma tam robić? Dla nich faktycznie teraz jest nikim, smutnym przypomnieniem o minionym szczęściu. Ałena jest jeszcze młoda, mogłaby wyjść powtórnie za mąż.

– Tak... Tylko który mężczyzna weźmie bezpłodną kobietę? – Nazarym trafił w sedno sprawy.

– Oj, źle się to wszystko ułożyło, źle – jęknęła Paraska. Po dobrodusznym, puciołowatym obliczu kobiety spłynęły łzy. Otarła je brzegiem fartucha. – Gdyby Ałenka miała dziecinę, nie musielibyśmy się frasować o przyszłość naszej córki. Zadbiliby o nią Drzewiccy. A nawet gdyby się do tego nie poczuwali, to łatwiej byłoby wydać ją ponownie za mąż. Bo rzeczywiście nie można oczekiwać, że ktoś poślubi kobietę, która w ciągu paru lat małżeństwa nawet nie zaszła w ciążę.

– I to właśnie jest moją największą troską – przyznał Juraszko, pykając fajkę. – Trapię się tym od dawna. Brak dzieci martwił mnie jeszcze w czasach, gdy żył Jan – wyznał mężczyzna. – A teraz uważam, że to prawdziwy dopust boży. Tak czy inaczej,

czuję się zobligowany do tego, by pomóc Ałenie. Trzeba poszukać dla niej nowego męża. Na kawalera raczej nie ma co liczyć. Ale może zechce ją jakiś wdowiec? Taki, któremu nie będzie zależało na tym, by mieć z nią dzieci, bo ma je już z pierwszego związku. Skoro nasza córka nie może być matką dla własnych, to niech będzie przynajmniej dla cudzych – podsumował.

– Jak zwykle dobrze prawisz, Nazarymie – odparła Paraska. – Tylko gdzie znaleźć człowieka, który będzie dobry dla naszej Ałenki?

– Dumiałem ja i nad tym. I doszedłem do wniosku, że w Krynicy nie ma już czego szukać. Rozejrzałbym się pomiędzy kupcami z Muszyny albo z Żegiestowa. Wszak Ałena nawet teraz, gdy jest wdową, może stanowić dla kogoś łakomy kąsek. Sroce spod ogona nie wypadła. Drzewiccy na pewno w coś ją wyposażą, nim od nich odejdzie. Strojów pięknych ma dużo i buty, i kapelusze, choć te ostatnie to raczej są zbędne. Ale zwykowna z niej kobieta. A to też się liczy. A i ja coś dorzucę od nas, wszak Janko wziął Ałenkę bez posagu. Tak, tak... Muszę się zatroszczyć o jej los.

Żona położyła głowę na jego ramieniu i westchnęła cicho. Owionął ją zapach tytoniu tłącego się w fajce Nazaryma.

Dobry człowiek z mojego męża, dlatego Bóg nam darzy. Trzeba pomóc nieszczęsnej dziewczynie w trudnej chwili – pomyślała z rozczuleniem o córce.

– O Witię też się frasuję – powiedziała po chwili milczenia. – Chłop jak dąb, już nie w szczenięcych latach. Czas na żeniączkę dawno dla niego wybił. Grosza mu nie brakuje, bo i na letnikach zarabia, i u Drzewickiego. Nie szasta nim na prawo i lewo, ciuła każdego talara. Ino woli w nim ku żadnym pannom nie widać.

– Co poradzisz, Parasko? Gadałem ja z nim o tym niejedną raz. Zbywał mnie, że nie poczuł wyraźnej chęci ku nijakiej dziewczynie, a na siłę nie chce się żenić. I że krzywda mu się żadna nie dzieje, bo przy nas i Dymitrze ma jak u Pana Boga za piecem. Bratowa go opiera i żywi, on odpłaca się pracą w obejściu i czasami kapnie jakimś pieniądzem. A jak mu serce żywej zabije, to i własną rodzinę wtenczas założy.

– Ale to nie jest dobrze, by był starym kawalerem. Nikomu nie jest po drodze z samotnością. Może on... – urwała i spojrzała wymownie mężowi w oczy.

– Nie. I nawet o tym nie wspominaj. Przysięgliśmy sobie nie mówić o tym bez wyraźnej przyczyny.

– Ale Witia może...

– Póki nie ma nijakiego zgorszenia, dajmy mu spokój – przerwał jej obcesowo.

U STÓP GÓRY PARKOWEJ

Krynica

Aurelia wróciła do domu po zapadnięciu zmierzchu. Willa pogrążona była w ciszy i mroku, zdawała się uszponą. Jedynie światło w kuchni świadczyło o tym, że jednak ktoś czuwa. Młoda kobieta postanowiła skorzystać z bocznego wejścia używanego na co dzień przez posługaczy. Nie chciała swoim późnym powrotem wzbudzać zainteresowania domowników. W korytarzu natknęła się na Rozalkę Konopkę.

– O! Jest pani, całe szczęście, bo już zaczęłam się martwić! – wykrzyknęła służka.

Aurelii zrobiło się miło na myśl, że jednak ktoś choć trochę się o nią frasował.

– Zasiedziałam się u rodziców – wyjaśniła, choć tłumaczenie się przed dziewczyną było zbędne. – Czy ktoś o mnie pytał? – zagadnęła.

– Nie – odparła ze smutkiem Rozalia. – Państwo nawet nie zasiedli do kolacji w jadalnym. Pan zażyczył sobie do gabinetu, a pani nic nie jadła. Na podwieczorku znowu była pani Litwora. Ostatnio bywa tutaj niemalże codziennie. Po jej odejściu pani Drzewicka była bardzo smutna – oznajmiła niepytana.

Konopkówna była bardzo rezolutną służącą. Aurelia lubiła ją chyba najbardziej ze wszystkich osób zatrudnionych w pięknej willi. Kiedy łemkowska dziewczyna wyszła za mąż za Jana, jej wielkim zmartwieniem stało się to, czy znajdzie posłuch wśród służby, z którą tak właściwie jeszcze do niedawna była równa statusem. Z jednej strony nie chciała, aby ktokolwiek pomyślał, że się wywyższa z racji awansu społecznego. Ale z drugiej

strony nie wyobrażała sobie, że posługacze mieliby ją traktować pogardliwie czy wręcz lekceważyć.

Mimo obaw jakoś znalazła złoty środek, który sprawiał, że ludzie odnosili się do niej z należytych szacunkiem, ku jej radości jednak bez przesady czy nadmiernej uniżoności. Wręcz miała wrażenie, że jest lubiana. Traktowali ją serdecznie. Służące chętnie ucinały sobie pogawędki z młodą panią, gdy przychodziły, by pomóc jej w toalecie, przynosiły kawę bądź sprzątały w sypialni. Znosiły jej różne plotki, choć nawet o to nie prosiła. Być może mimo wszystko uważały Aurelię za kogoś, kto jest wart zaufania. Kto nie będzie się gniewał o to, że czasami robią sobie przerwę pomiędzy zajęciami, by pogawędzić. Ufały jej, i to bardzo cieszyło młodą Drzewicką. Nie chciała być postrzegana jak ktoś, kto zadziera nosa, ponieważ dopisało mu niespodziewane szczęście. Momentami jednak ta poufałość wzbudzała niepokój. Aurelia zastanawiała się, czy to nie oznacza, że nadal traktują ją jak równą sobie, a ona bądź co bądź stała ponad nimi, chociaż teraz jej status uległ mocnemu zachwianiu.

Nie miała dość odwagi, by dopytywać Rozalię o to, czy usłyszała cokolwiek z rozmowy, którą Emilia odbyła z Felicytą. Byłoby to bardzo niezręczne, gdyż wyszłaby na wścibską osobkę. A ponadto nie chciała sprawiać służącej przykrości rzucaniem na nią podejrzeń o podsłuchiwanie, choć było oczywiste, że ludzie pracujący w domu lubią wiedzieć, co w trawie piszczy, i często strzygą uszami.

Jeszcze kilka dni temu Aurelia w ogóle nie myślała o tym, ale ostatnio dotarło do niej, że obecna sytuacja nie może trwać w nieskończoność. Zawisała w próżni pomiędzy dwoma różnymi światami: lemkową wsią, z której pochodziła, oraz blichtrzem salonów, w które zdążyła już wrosnąć i zapuścić korzenie. Sęk

w tym, że tak naprawdę żaden z nich nie był jej prawdziwym światem.

Uśmiechnęła się łagodnie do służącej.

– Spokojnej nocy, Rozalko – rzuciła. Chciała odejść, lecz dziewczyna wyraźnie miała jeszcze coś do powiedzenia.

– *Madame*, proszę mnie posłuchać. Być może nie powinnam tego mówić, ale byłam dość długo pod drzwiami, ponieważ miałam zanieść ciasteczka do salonu – zająknęła się – i usłyszałam, co mówiła pani Emilia. Naprawdę nie chciałam podsłuchiwać. Proszę mi uwierzyć, to nie było celowe, ale jak już padło pani imię w rozmowie, to nie wiedziałam, czy wchodzić do środka, czy nie. I przez chwilę poczekałam w korytarzu. *Madame* Litwora mówiła wtedy...

– Zamilcz, Rozalko – poleciła Drzewicka łagodnym tonem. – Wolę tego nie słuchać.

– Ale ja muszę panią ostrzec...

– Nie! – przerwała służącej po raz kolejny. – Co ma być, to będzie.

– To się nie godzi! Dlaczego nie próbuje pani bronić się przed tą kobietą? – W jej głosie słychać było ogromną żalność. – Przecież na skutek jej intryg może pani stracić wszystko, łącznie z dachem nad głową.

Aurelia spojrzała z przygnębieniem na dziewczynę. Choć było to bardzo niestosowne, wyciągnęła dłoń i pogładziła ją po policzku.

– Ach, Rozalko, myślisz, że ja cokolwiek mogę? – westchnęła. – Jeśli zechcą mnie stąd odprawić, to mnie odprawią – stwierdziła z goryczą.

A potem, zamiast odejść do swego pokoju, przysiadła na stopniach, z których zazwyczaj korzystała służba. Już samo to, że się tutaj znajdowała, było kuriozalną sytuacją, wszak

państwo zawsze korzystali z głównego wejścia i przemieszczali się eleganckimi schodami o pięknie rzeźbionej poręczy. Dodatkowa klatka służyła jedynie pokojówkom. Młoda pani Drzewicka nic sobie nie robiła z tego, że swoim postępowaniem całkowicie zrównuje się z dziewczyną od posług. Ogarnęła ją bezsilność.

Ośmielona Rozalia usiadła u jej stóp.

– *Madame*, proszę tak nie mówić. My naprawdę wierzymy, że pani może tutaj pozostać – mówiła w imieniu swoim oraz pozostałej służby. – Pani jest anielsko dobra. Tutaj wszyscy panią kochamy. Bo choć zmieniła się pani na zewnątrz, inaczej się pani czesze oraz ubiera i pewnie inaczej zachowuje niż niegdyś, to jednak serce ma pani wciąż to samo. A może nawet jeszcze lepsze niż wtedy, gdy mieszkała pani u rodziców. Nie dała się pani zepsuć przez zbytki – wypaliła szczerze służąca, dziwiąc się własnej odwadze. Prawdopodobnie inna dama spoliczkowałaby ją za tak zuchwałą wypowiedź.

Wdowa westchnęła.

– Dziękuję. Twoje słowa naprawdę wiele dla mnie znaczą. Ale muszę z pokorą przyjąć to, co przyniesie mi los.

– Nie będzie pani walczyć o swoje?

– Nie. Pieniądze nie są najważniejsze. Nie zależy mi aż tak bardzo na bogactwie. Wiem, że wiele osób z eleganckiego towarzystwa uważa mnie za oportunistkę, która po prostu wykorzystwała szansę, jaka jej się nadarzyła. Nic bardziej mylnego. Wyszłam za mąż, ponieważ bardzo kochałam Jana. Uczyniłabym to również wówczas, gdyby był zwykłym łemkowskim chłopem. Albo sklepikarzem.

Dziwnie się czuła, zwierzając się służącej. Potrzebowała jednak podzielić się z kimś swoimi myślami. To było niczym *katharsis*. Słowa oczyszczały jej duszę. Nigdy wcześniej nie

zdobyłaby się na opowiadanie o swoich bolączkach prostej dziewczynie, którą los postawił niżej w drabinie społecznej. Teraz jednak, gdy jej pozycja okazała się tak mocno zagrożona, było jej wszystko jedno. Wiedziała, że niebawem odejdzie z tego domu, i pragnęła, by ludzie, którzy tutaj pracują, zachowali o niej jak najlepsze wspomnienia. A także aby wiedzieli, że pod dach Drzewickich nie przygnała jej chęć zysku, lecz głos serca.

Zanim tutaj nastalam, byłam nikim – przemknęło jej przez myśl. – Na chwilę moje życie się odmieniło. Ale ta chwila przeminęła i trzeba się z tym pogodzić.

– Och... *Madame* – załkała Rozalia, obejmując jej kolana ramionami.

– Nie trzeba płakać, Rozalko – odparła Drzewicka, delikatnie wyswobadzając się z uścisku dziewczyny.

– Ale to takie niesprawiedliwe! Pani naprawdę zasługuje na to, co najlepsze. Jeśli stąd panią odprawią, to będzie podłe, podłe, podłe!

– Nie. To będzie naturalna kolej rzeczy. Nie płacz nade mną. Jakoś się to wszystko ułoży – przemawiała łagodnie. Zadziwiające, że to ona weszła w rolę pocieszycielki, choć sama była wdową o sercu przepełnionym bólem. Z westchnieniem wstała. – Przyślij do mnie Martę, aby pomogła mi w toalecie – poprosiła, choć nie lubiła zawracać służącym głowy takimi drobiazgami. Tego wieczoru jednak przerastała ją perspektywa samotnego zmagania się z gorsetem i kilkoma warstwami halek oraz bielizny, które musiała z siebie zdjąć.

Rozalka pociągnęła nosem.

– Oczywiście, *madame*. Przepraszam – bąknęła.

– Nie masz za co przepraszać, Rozalko – odparła wzruszona Drzewicka.

Bez pośpiechu wspięła się schodami na piętro i weszła do swej sypialni. Chociaż od śmierci Jana upłynęło już sporo czasu, wciąż nie mogła nadziwić się martwocie, jaka wionęła z tego pokoju. Jeszcze do niedawna dzieliła pomieszczenie z mężem. Wiedziała, że niejedna dama ma własne pokoje, a małżonek osobne. Drzewiccy zdecydowali jednak, że chcą sypiać razem. Nawet przez krótki moment nie brali pod uwagę możliwości, by każde z nich miało odrębne życie. Kochali się bezgranicznie, szczerze i namiętnie.

Kobieta zerknęła w lustro. Szklana tafla odbijała wciąż piękną, młodą kobietę pogrążoną w żałobie. Nie mogła sobie pozwolić na uleganie rozpacz. Słowa Rozalii o wizycie Emilii w tym domu utwierdziły ją w przekonaniu, że nadeszła pora, by wziąć sprawy w swoje ręce i podjąć jakąś sensowną decyzję. Zdecydowanie wolą unieść się honorem i odejść, zanim Drzewiccy ją odprawią.

A może powinnam wyjechać z Krynicy? – przemknęło jej przez głowę. Zrozumiała, że tutaj ciężko byłoby jej się odnaleźć. Jako wdowa po szanowanym obywatelu nie mogłaby przecież podjąć pracy zwyczajnej służącej. Prawdopodobnie nie chcieliby jej już nawet w Pijalni Głównej. Bo jakże by to było, gdyby dama z elitarnego towarzystwa nalewała wodę kuracjuszom? Była zdecydowanie zbyt słabo wykształcona, aby znaleźć zatrudnienie w charakterze guwernantki. Świadoma własnych braków, widziała przyszłość wyłącznie w ponurych barwach.

Czym jeszcze mogłaby się zajmować? Sprzedawać w sklepie? Nie, to byłoby równie niedorzeczne, co nalewanie wody dla kuracjuszy. Piastować cudze dzieci? Niezręczna sytuacja, zważywszy, że do niedawna z owymi paniami, których pociechami miałyby się zajmować, pijała towarzysko herbatki.

Wrócić do domu? Może nie byłoby to najgorsze rozwiązanie, ale w ojcowskiej chałupie i bez niej było ciasno. Na domiar złego minione lata, mimo starań ze strony Aurelii, by do tego nie doszło, odsunęły ją trochę od bliskich. We wzajemnych relacjach powstał delikatny dystans. No i wreszcie co miałyby robić na wsi? Tam czekałaby ją wyłącznie znojna praca, której w gruncie rzeczy nie musiała się obawiać, gdyż znała ją doskonale. Ale na pewno tęskno by jej było za książkami i stylem życia, w którym mimo wszystko troszkę się rozsmakowała.

A gdyby tak wyjechać do Tarnowa lub Krakowa i tam zacząć wszystko na nowo? Mogłaby poszukać pracy jako piastunka albo pokojówka. To ostatnie miałyby sens. Ze swoim obeznaniem w tych wszystkich salonowych i garderobianych niuansach mogłaby nawet w przyszłości awansować na ochmistrzynię. Wszak znała się na zastawie stołowej, przeznaczeniu różnych fikuśnych utensyliów, prócz tego potrafiła doskonale prowadzić rachunki i miała staranny charakter pisma.

Podsumowanie własnych atutów sprawiło, że poczuła, jakby u jej ramion wyrosły skrzydła.

Powoli w umyśle Aurelii zaczynał krystalizować się plan działania. Pierwszy raz od wielu dni kobieta z optymizmem spojrziała w przyszłość. Postanowiła, że przy najbliższej sposobności porozmawia z teściową. Wybawi Felicytę z kłopotliwego położenia, w jakim niewątpliwie się znalazła – wszak Drzewicka była damą, więc na pewno niełatwo przyszłoby jej odprawienie synowej. W następnej kolejności pożegna swoich bliskich ze wsi, a później po prostu wyjedzie do Krakowa. Duże miasto oznacza duże szanse.

Dalsze rozmyślania przerwało nadejście pokojówki. Marta pomogła Aurelii w zdjęciu sukni, rozsznurowaniu gorsetu oraz rozczesaniu długich, gęstych włosów. Kiedy służąca odeszła, Drzewicka klapnęła na szezlong. Ułożyła ręce na oparciu i wsparła o nie głowę. Wybuchła żalosnym płaczem. Teraz, gdy już podjęła postanowienie co do dalszych kroków, mogła sobie pozwolić na słabość. Wystarczająco długo była silna.

Pierwsze chwile w Krynicy upływały Matyldzie szybko i przyjemnie. Zaczęło się od ulokowania w przestronnym hotelu Trzy Róże należącym do rodziny Seifertów¹⁶. Sporych rozmiarów willę otaczał starannie wypielęgnowany ogród, w którym można było miło spędzić czas, jeśli nie miało się ochoty na korzystanie z innych atrakcji uzdrowiska. Budynek położony był raptem o jakieś dwie minuty drogi od deptaku, tak poinformowano Adamczyków, gdy dotarli na miejsce. Boy odprowadzający małżonków do ich apartamentu nie omieszkał nadmienić, że przebywający tutaj goście bardzo sobie chwalą smak i obfitość serwowanych w restauracji hotelowej posiłków.

– A i piwniczka, psze pana, zaopatrzona jest wybornie. Jakby co, przyniosę do numeru, co tylko pan sobie zażyczy – zaproponował usłużnie.

– Doskonale, młody człowieku – ucieszył się Adamczyk. – A gości dużo?

– Niemało. Pierwszy turnus już się rozpoczął. O tam, w tamtym pokoju – wskazał jedne z mijanych właśnie drzwi – ulokował się w ubiegłym tygodniu mistrz Gierymski. Oj! Co ja żem się nalatał z jego bagażami! Czego tam nie było? Sztalugi, ramy, zwoje płótna, skrzynie z farbami, nie wspominając o innych rzeczach. Wody też kazał sobie dużo nosić, więc dziewczki nalatały się z kubłami ile wlezie. Wczoraj wieczorem Eudokia ledwo zipała. Bo wie pan szanowny, od noszenia wody do tych

pomieszczeń jest Eudokia. W razie gdyby brakło, wystarczy zawołać albo powiedzieć w recepcji – oznajmił.

Kolację podano w pięknej sali restauracyjnej znajdującej się na parterze hotelu. Adamczykowie i Strzeleccy z lekkim onieśmieleniem zasiedli przy wskazanym przez kelnera stoliku. Zdążyli już się zorientować, że w tym okresie przebywa w Trzech Różach kilka znakomitych osobistości. Zarówno Matylda, jak i Zuzanna były w siódmym niebie i marzyły o tym, by zawrzeć znajomość z jakimś wybitnym malarzem czy poetą. Okazja ku temu nadarzyła się jeszcze tego samego wieczoru. Akurat gdy nowo przybyli letnicy zajmowali miejsca, panowie mieli już nieco w czubie i toczyli żarliwą dyskusję o sztuce. Kelner usadzający Adamczyków oraz Strzeleckich szepnął, że tuż obok, przy wspólnym z nimi stole ulokowali się dwaj artyści: malarz Gierymski oraz architekt Stryjeński.

Rozmowa na chwilę ucichła, dokonano bowiem prezentacji. Matyldzie od razu rzuciło się w oczy, że każdemu wiedzie się zgoła inaczej. Jeden z nich musiał zarabiać krocie, drugi zmagać się z ubóstwem. Obydwaj byli pociągłi na twarzy, nosili brody, lecz na tym kończyły się podobieństwa.

Panowie szybko wrócili do przerwanej wymiany zdań.

– Panie, a niechże mi pan powie, na co w sztuce tyle upiększeń i fałszu? – mówił zapalczywie Gierymski. – Czyż nie lepiej przedstawiać na płótnach prawdę?

Wyglądał na znacznie starszego od swego interlokutora. Zabiedzony był i wychudły. Jego odzienie prezentowało się nader ubożuchno. Na poszarzałej koszuli nosił wyświechtany surdut, który czasy świetności już dawno miał za sobą. Zapewne nie służył mu do pracy, mimo wszystko wyglądał zbyt porządnie, lecz na lewym rękawie czujne oko Zuzanny dostrzegło roztarte smugi, jakby pozostałości po farbie. Kobieta

wydeła nieznacznie usta. Spodziewała się, że artysta bywały w świecie, wszak zjeździł Europę wzdłuż i wszerz, będzie się prezentował wytwornie. Widać jednak ani Paryż, ani Rzym nie nadały mu sznytu. Spoglądając na niego, człowiek się zastanawiał, co taka nędzna istota może robić w hotelu, który zasłynął z tego, że nie należy do tanich. A może po prostu artysta ów był abnegatem, który nie dba o swój wizerunek, ponieważ ważniejsza jest dla niego sztuka?

– Drogi panie Aleksandrze, sztuka ma służyć ludziom – odpowiedział spokojnie łysiejący brodac, który przedstawił się nowo przybyłym jako Tadeusz Stryjeński. – Ja zdecydowanie preferuję secesję z całym jej pięknem oraz finezją, z tymi wszystkimi filigranowymi ozdobami. Nie jestem wprawdzie malarzem, ale siłą rzeczy mam doskonale opanowany rysunek. Nie przeszkadza mi, gdy muszę mnóstwo czasu poświęcać szkicowaniu zdobień na projektowanych przeze mnie budowlach. To właśnie dzięki nim moje prace spotykają się z uznaniem. Wierzę, że przetrwają przez następne dziesięciolecia. Ba! Nawet stulecia.

– Wszakże każdy, kto tworzy, wierzy, że jego sztuka przetrwa – odparł od razu Gierymski. – Widzisz pan, panie Tadeuszu, ja tam wolę, gdy moje płótna ukazują realizm sytuacji. Owszem, mógłbym dla potomnych pozostawić na obrazach upiększoną, pozbawioną nędzy Warszawę czy sielsko ujętą galicyjską prowincję. Być może kiedyś, za sto czy dwieście lat, ktoś uwierzyłby w to, że współcześni nam chłopci codziennie chodzili odświętnie odziani, a w Warszawie na ulicach nie było ani śladu błota. Prawda jest zgoła inna. Czy to stolica naszej rozszabrowanej przez zaborców ojczyzny, czy uboga wieś, obie jednak są ubłocone i cuchnące. Ulice miast wonieją rynsztokiem, wieś tonie w gnoju.

– Ale po co od razu ten rynsztok uwieczniać? – obruszył się rozmówca. – Wszak i ja, i mnie podobni pracujemy nad tym, by jak najpiękniejsze miasta pozostawiać naszym potomnym. Gdybym podążał za pańskim rozumowaniem, Teatr Modrzewiowy, który moim wysiłkiem stanął tutaj w Krynicy, byłby pospolitą budą, jak zwano poprzedni budynek. Wierzę jednak, że mieszkańcy Krynicy doceniają moje starania i zadbają o to, by obiekt jak najdłużej przetrwał piękny i nie podupadał.

– Panie Stryjeński, kiedy chłopci okoliczni stawiali swoje chyże, też wierzyli, że zawsze będą ładne. Jak w tym dniu, gdy w nich się osiedlali. A może i nie? – poprawił od razu samego siebie. Może to błoto, które oblepia w Polsce wszystko, płynie również w krwiobiegach ludzkich? Sztuka nie może kłamać. A ta cała secesyjna finezja, którą pan się tak zachwycasz, służy tylko bogaczom. Bogacze natomiast to zaledwie mikra część naszego społeczeństwa. Czytasz pan, panie Stryjeński, Prusa?

– A jakże! Jak każdy – odparł Tadeusz.

– W takim razie powinieneś pan doskonale wiedzieć, że ich bohaterowie chodzą po błocie i rynsztokach. Taka *Lalka* przykładowo! Co z tego, że opisuje wzniosłą miłość kupca do pięknej i dobrze urodzonej panny, skoro ich związek pełen jest obłudy i fałszu? A Izabela na wskroś zgniła moralnie. Gdybym miał uwiecznić ją na portrecie, wyraziłbym ją jako postać pełną pychy. Z całą pewnością jej twarz nie miałaby w sobie nic uduchowionego. Namalowałbym ją z chytrymi małymi oczkami i wąską kreską zaciętych ust. Stach to nieszczęsny romantyk, potrafiący jednak pochylić się nad biedą. Co więcej, dostrzegający owo ubóstwo i próbujący z nim choć trochę wojować. Wokulski nie udaje, że świat jest piękny i idealny. Idealne jest tylko uczucie, które żywi do Łęckiej. Ślepa miłość

nakazuje mu widzieć w tej pustej lalce boginię. Takich wyidealizowanych Łęckich swego czasu moi koledzy napacykowali sporo, głównie na zamówienia arystokracji. Ale koniec z tym! Ja uciekam od blichtru. *Altana* była ostatnia – wspomniał o jednym ze swych płócien.

– Ależ, panie Gierymski! Wszak po to budujemy coraz więcej i więcej i projektujemy coraz piękniejsze budowle, by stęchliznę tę wywietrzyć z naszych miast. Sztuka jest po to, by nią ozdabiać otoczenie. Uważasz pan, że pospolity nędzarz nie potrzebuje choćby odrobiny piękna w swym życiu?

– Biedny wieśniak nie zobaczy przepychu wielkiego miasta – burknął Aleksander, czochrając dłonią włosy.

– Ale łaknie piękna jak każdy. Nawet ci najmarniejsi starają się dekorować jakoś swoje ubogie chatynki. Sadzają kwiaty pod oknami, bielą chałupy, zdobią garnki malunkami...

– Pan żeś widział chyba inny świat niż ja! – przerwał mu obcesowo Gierymski. – A ja, jako żywo, przed oczami mam scenę zaobserwowaną gdzieś w galicyjskiej wiosce. Widziałem niedawno dwoje ludzi siedzących przed chałupą. Odziani prostaczo, bosci. Ona w pstrej kraciastej chuścinie, jakby przeczącej żałobie. Obok nich o węgiel oparta była nieduża domowina¹⁷. Zdaje się, że gospodarzom tym pomarło dzieciątko, czekali na jego pochówek. Kobieta pogrążona była w rozpacz, jej przedwcześnie postarzała twarz emanowała bólem, a z oczu wyzierała beznadzieja. Mąż jej siedział pozornie spokojny, paląc fajkę. Dla odmiany w jego wejrzeniu była głęboka zaduma nad okrutnym losem, który przedwcześnie zabrał im dzieciaka. I tylko pies kłócił się z tym posępnym obrazem: spał zwinięty w kłębek i jakiś taki ucieszony był na pysku. Ze zwierzęcego snu przebijała błogość. Bo dla kundla ważna jest miska strawy i legowisko, niczego

więcej nie trzeba mu do szczęścia. I już doprawdy sam nie wiem, co bardziej mnie poruszyło w tym obrazku: smutek malujący się na twarzy tej steranej, udręczonej życiem kobieciny czy zaduma na posępnym obliczu chłopa, czy może beztroska psiaka? Takie rzeczy należy uwiecznić dla przyszłych pokoleń! Chwile ujęte w ramy obrazu. Prawdę. Emocje. Ból i szpetotę egzystencji. Daj Boże, by przyszło mi ten zapamiętany moment odmalować należycie¹⁸. Już kreślę szkice obrazu i robię studia nad postaciami.

– I komu potem sprzeda pan takie dzieło? Kto je zechce umieścić w salonie? Na co komu widoki biedy i brudu wiszące na ścianach niczym wyrzuty sumienia? Nie chcemy myśleć o nędzy, popijając koniak w ciepłym, przytulnym domu. Nie chcemy spoglądać na przedwcześnie postarzałe twarze naznaczone cierpieniem. Wszak nawet leciwe damy przyozdabiają się sukniami, biżuterią i uczesaniem.

– To rozczarowujące, że ludzie postrzegają sztukę wyłącznie przez pryzmat wyidealizowanego piękna. Ja widzę wartość w prawdzie i prostocie.

– A może byłoby słuszne, ażeby ktoś postronny rozstrzygnął nasz spór.

– Pozwolą panowie, że się wtrączę. – Tytus, który także słuchał ich rozmowy, nie wytrzymał i odwrócił się ku rozmawiającym artystom. – To piękne, co pan mówisz o realizmie i o tym, że sztuka powinna oddawać prawdę, jednak zgadzam się z panem Stryjeńskim. Cały problem w tym, że dzieło, które chcesz pan stworzyć, nie znajdzie nabywcy. Uważasz pan, że jakikolwiek mieszczanin czy szlachcic powiesi sobie w bawialni obraz z ludźmi oplakującymi zmarłe dziecko? Że zwrócą uwagę na pogodną psią mordę i rozpacz na twarzy kobiety? Dla nich sam widok trumny będzie odstręczający. Życie jest bez tego

wystarczająco bolesne. Pana towarzysz ma rację. Sztuka powinna upiększać świat.

– Ha! A więc jednak – rzucił triumfalnie Tadeusz, widząc, że ma sojusznika. – Wszak sztuka służy właśnie takim ludziom jak pan Strzelecki.

Słowa szwagra obudziły w Matyldzie przekorną część natury.

– Tytusie, całkowicie się z tobą nie zgadzam! Co więcej, uważam, że obydwaj siedzący tutaj panowie mają rację. Bo z jednej strony sztuka faktycznie powinna służyć upiększaniu świata. Przecież nie można wznosić brzydkich budynków, które będą szpeciły miasta i wsie. One muszą przetrwać wiele lat i cieszyć nasze oczy. Co do malarstwa natomiast, uważam, że ważna jest impresja. Chwila, którą malarz uwiecznia na płótnie pod wpływem drobnych wrażeń.

– Pozwolę sobie zauważyć, szanowna pani – odezwał się Stryjeński – że impresja z naturalizmem niewiele ma wspólnego. Mój poczciwy kolega zbyt poważnie podchodzi do swej twórczości. To oczywiste, że ubogi chłop nie kupi od pana obrazu, by powiesić go w chałupie. A kogóż innego, jeśli nie prostego człowieka, zainteresuje widok wieśniaków siedzących przed domem? Kto zwróci uwagę na psa zwiniętego w kłębek?

– Sądzę, że wytrawny obserwator doceni te ulotne wrażenia, które utrwalam na płótnach. Sztuka musi ukazywać prawdę! Dla mnie o wiele bardziej wiarygodna jest prosta bosonoga dziewczucha nosząca wodę w ciężkich kubłach, uginająca się pod nimi, plaskająca twardymi stopami o podłogę, pracująca w pocie czoła niż, panie wybaczą – Gierymski z przeproszącą miną zerknął na Zuzannę i Matyldę – eleganckie damy przechadzające się deptakiem. Modnisie ściśnięte gorsetami, wyszykowane, strojne w piórka i kwiatki, wyglądają wszystkie tak samo: nieprawdziwie. Jedna podobna do drugiej. Nie

przeczę, że piękno naszych pań jest godne uwieczniania. Ale ja nad talię ściśniętą fiszbinami i sznurówką przedkładałam prostotę. To w niej jest autentyczność. To jest prawdziwe życie.

– Czy pani się z tym zgadza? – Stryjeński spojrzał wymownie na Adamczykową.

– Oczywiście! Do tego właśnie zmierzałam – odparła kobieta. – O ile budowle nasze mają być wzniosłe i piękne, stawiane tak, by przetrwały wieki w niezmienionej urodzie, to cała pozostała sztuka powinna dostarczać ulotnych wrażeń, pokazywać chwilę. Wszak sam Chopin dostrzegał i cenił walory prostaczych melodii! On wprowadził je na salony, ukazał ich piękno! W rzeczy samej nawet fotografie kłamią. Każdy, kto choć raz zrobił sobie zdjęcie, wie, jak sztucznie ono wypada. By się uwiecznić na wizerunku dla potomnych, dokładamy starań, by wyglądać jak najlepiej. Wkładamy najlepszą odzież, fryzujemy starannie włosy, stoimy sztywni, napuszeni, upozowani. A przecież nie jesteśmy tacy w rzeczywistości! Przez ulotną chwilę udajemy całkowicie innych, niż jesteśmy naprawdę.

– Jak dobrze posłuchać kobiety, która tak mądrze mówi – rzucił Gierymski, posyłając Stryjeńskiemu miażdżące spojrzenie. Przez jego posępne oblicze nie przemknął nawet cień uśmiechu, lecz mężczyzna skłonił delikatnie głowę ku Matyldzie.

– Kobiety podchodzą do życia nazbyt emocjonalnie – burknął z lekka urażony Tadeusz.

– Szanowny panie, moja żona słynie z tego, że często mówi to, co ma na myśli. Nie zawsze zastanawia się nad głębią swoich słów – wtrącił Seweryn, nieco zażenowany wypowiedzią Matyldy. Nie lubił, gdy żonę ponosiła szczerłość pomiędzy obcymi. Tak swobodnie mogli rozmawiać, wyłącznie gdy

przebywali sam na sam. W towarzystwie to po prostu nie uchodziło.

– A ja myślę, że świat wiele zyskałby na tym, gdyby mądre kobiety nie bały się śmiało przemawiać i wyrażać swoją opinię. – Gierymski poczuł się zobligowany do bronienia Matyldy. – To budujące, że pani się ze mną zgadza. Nieczęsto spotykam się ze zrozumieniem. Zjeździłem świat wzdłuż i wszerz, widziałem wielu artystów i ludzi, którzy usiłowali się nimi mienić. Czym lepiej poznaję sztukę, tym bardziej jestem nią rozczarowany. Za dużo w tym wszystkim kłamstwa! Sztuka ma być służebnicą ludzi. Muzą niekoniecznie musi być bogini o harmonijnej budowie ciała i nieskazitelnie urodziwej twarzy. Gdy się rozejrzemy wokół, dostrzeżemy więcej szpetoty niż piękna. Wynagradzają nam to wspaniałe budowle, ale co stoi na przeszkodzie, by ich wnętrza ozdabiała prosta, niewydumana sztuka? Panie Tadeuszu, miast się spierać, wypijmy na zgodę – zaproponował nie tylko Stryjeńskiemu.

– Kelner! – Stryjeński przywołał obsługę i poprosił o butelkę wina. Następnie, już udobruchany kompromisem, zwrócił się do Adamczyka.

– Kobieta taka jak pańska żona jest prawdziwym skarbem. Nie dość, że piękna, aż miło popatrzeć, to na dodatek mądra. Swoją opinią potrafiła nas pogodzić.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, do apartamentu zajmowanego przez Adamczyków zawitała Helena Cerchowa.

– Jakże minęła państwu podróż? – zagadnęła, przywitawszy się wcześniej z przybyszami.

– Właściwie nie ma na co narzekać, choć kolejną telepaliśmy się w nieskończoność. Trochę to było nużące, ale nie powiem: widoki śliczne!

– Szkoda, że nie doprowadzono torów aż do samej Krynicy. Bardzo by się przydały – ocenił Seweryn.

– No tak, to faktycznie jest znaczna uciążliwość, gdy trzeba z Muszyny jechać fiakrem. Doktor Ebers¹⁹ wciąż podnosi w rozmowach z Maksem konieczność doprowadzenia linii kolejowej do Krynicy. Ostatnio stwierdził, że musi wziąć sprawy w swoje ręce, w przeciwnym razie nic w tej kwestii nie zostanie uczynione. Myślę, że i tak nie powinniśmy narzekać, ponieważ jeszcze kilkanaście lat temu dochodziły tutaj wyłącznie dyliżanse. To dopiero była mordęga! Podróż trwała wówczas nieporównywalnie dłużej – zauważyła. – A jak znajdują państwo hotel?

– Na razie nie powiem złego słowa. Maksymilian dobrze nam doradził. A gdzie państwo stacjonują?

– Dla nas nocleg przewidziany został w Szwajcarze. To niezbyt duża willa po drugiej stronie deptaku, niemalże naprzeciwko restauracji Pod Barankiem. Dla nas jest to wyjątkowo dogodna lokalizacja, ponieważ stamtąd mamy zdecydowanie bliżej do Zakładu Wodoleczniczego niż stąd. Maks spędza w nim mnóstwo czasu. Jednak nie martw się, droga Matyldziu, nawet stąd nie jest to szczególnie długi spacer. Przy gorszej pogodzie można od biedy wziąć fiakra, ale szybko się przekonasz, że po Krynicy nader przyjemnie się wędruje. Zakochasz się w tym miejscu! – zapewniła.

– Mam nadzieję – odparła Adamczykowa z ogromną wiarą.

Zakładała, że w pochwałach wygłaszanych przez *madame Cerchę* nie ma krzty przesady. Choć sama przebywała w kurorcie zaledwie kilkanaście godzin, już była zachwycona zarówno willami, które zdołała zobaczyć z wiozącego ich landa, jak i przepięknymi pejzażami.

– Bądź pewna, moja droga. Tutaj nie da się narzekać na nudę. Gdy już wyjdiesz na deptak, z całą pewnością rozpoznasz wiele twarzy. Odnoszę wrażenie, że pół Krakowa przyjeżdża do Krynicy w sezonie. Zamierzam przedstawić was kilku interesującym osobom, które mieszkają tu na stałe. Żałuję tylko, że najbardziej godny uwagi salon będzie tego roku niedostępny. Nic bowiem nie może się równać z wizytami u państwa Drzewickich. Rokrocznie przez ich bawialnię przewijają się największe sławy malarstwa, literatury, sceny czy muzyki. Na przestrzeni ostatnich kilku dziesięcioleci gościli u siebie Kraszewskiego, Modrzejewską, Gierymskiego i wiele innych barwnych postaci. Zaproszenie na podwieczorek do ich domu to nobilitacja. Tam nie rozmawia się o bzdurach, lecz o sztuce, polityce czy odkryciach nauki. Bardzo żałuję, że ich dom okrył się żałobą, i martwię się o to, czy wrócą czasy świetności willi Pod Lipami – oznajmiła.

Matylda sapnęła z przejęciem. Nie przypuszczała, że w odciętej od świata miejscowości może kwitnąć życie towarzyskie na wysokim poziomie. Miała w tej kwestii pełne zaufanie do niewiele od siebie starszej Helenki.

Madame Cerchę cechowała pogoda ducha. Światu zawsze prezentowała pogodną, dobrotliwą twarz i radosne iskierki w oczach. Od kilku lat była szczęśliwą matką dwóch dziewczynek: Zosi i Eleonory. Tego dnia swoje córeczki zostawiła pod opieką piastunki, choć, jak twierdziła, zazwyczaj panienczki towarzyszyły jej w spacerach po mieście. Zależało jej jednak, aby swoim znajomym jak najstaranniej zaprezentować Krynice. W związku z tym wolała nie zabierać ze sobą dzieci.

Zuzanna, która niedługo później dołączyła do towarzystwa, także zostawiła potomków pod opieką bony. Kobiety w trójkę zamierzały pójść na pierwszy spacer deptakiem do Zdroju

Głównego, by tam pokosztować wód, a następnie rozejrzeć się po okolicy. Panowie zdecydowali, że na razie pozostaną w hotelu, ponieważ na podziwianie Krynicy będą mieli wystarczająco dużo czasu. Zresztą cóż za problem ze znalezieniem konkretnego miejsca w tak niedużej miejscowości? Skoro Kraków można przejść wzdłuż i wszerz w kilkadziesiąt minut, to co dopiero kurorcik ulokowany w dolinie Kryniczanki?

W rzeczy samej szwagrów bardziej interesowała piwniczka z trunkami, o której uprzedniego dnia wspomniał Adamczykowi hotelowy boy. Prócz tego zamierzali zacieśnić znajomość z Gierymskim, Stryjeńskim oraz kilkoma innymi personami. A takie rzeczy najlepiej wychodzą ze szklaneczkami whisky w dłoniach, w klubowej sali wypełnionej dymem z cygar. Zarówno Seweryn Adamczyk, jak i Tytus Strzelecki mieli pozostać w Krynicy przez tydzień, później planowali wspólny powrót do Krakowa.

Doktor Maksymilian dał Matyldzie trochę czasu na to, by mogła oswoić się z nowym miejscem. Na razie za całą kurację musiało wystarczyć popijanie wody mineralnej w Domu Zdrojowym oraz spacerowanie na świeżym powietrzu. Helenka Cercha stanęła na wysokości zadania. Przez następne dwa dni głównymi zajęciami Adamczykowej oraz Strzeleckiej było poznawanie interesujących ludzi oraz zwiedzanie najbliższej okolicy. W pierwszej kolejności damy obeszyły miejscowość, zatrzymując się i wchodząc do wszystkich budynków, w których od tej pory miały regularnie bywać. Nabyły wejściówki do Teatru Modrzewiowego, ciesząc się na gościnne występy lwowskich aktorów. Helenka z przejęciem opowiadała o znakomitościach scenicznych, które można spotkać w Krynicy, oraz sztukach,

jakie zostaną niebawem wystawione. Widać doskonale obeznana była z tym tematem, a teatr darzyła wielką estymą.

Zuzia słuchała jej wywodów z niejakim osłupieniem. Jej od dziecka wpajano, że komedianci nie są odpowiednim towarzystwem dla dobrze wychowanej panienki, i o ile artystyczny świat można podziwiać na deskach teatru, to poza przybytkiem melpomeny należy omijać go szerokim łukiem. Nieszczerólnie więc interesowało ją zawieranie szemranych znajomości, które mogły skutkować skandalem.

– Po obiedzie wybierzemy się na Górę Parkową – zarządziła Helena niczym generał układający plany taktyczne bitwy. – Na tę przechadzkę koniecznie włożcie, moje drogie, kostiumy spacerowe lub podróżne oraz solidne trzewiczki, bo w pantofelkach na obcasie to może być nieco uciążliwa wycieczka. Będę na was czekała w naszym Szwajcarze mniej więcej o trzeciej po południu. Po drodze wstąpimy do kościółka pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, potem miniemy urokliwy Łabędzi Staw i nieco mniejszy Czarny. Zaraz za nim jest sanktuarium Matki Boskiej Królowej Krynickich Zdrojów, później Polana Michasiowa, z której już blisko do źródła Bocianówka. To powinno zainteresować Matysię, bowiem zgodnie w lokalnych wierzeniach kobieta, która zakosztuje wody z tego źródła, w krótkim czasie powije dzieciątko. A stamtąd na Górę Parkową nie jest już bardzo daleko. Wrócimy krótszą drogą. Tak by wyjść z lasu mniej więcej na Trzy Róże.

Zuzanna, starsza od niej zaledwie o parę lat, westchnęła dyskretnie. Podziwiała pokłady energii drzemące w doktorowej. Sama zaczynała odczuwać znużenie, nie była przyzwyczajona do długich pieszych wędrówek.

Życie nie oszczędzało niepełnosprawnej łemkowskiej dziewczyny. Wcześniej osierocona Eudokia musiała tułać się po

ludziach, szukając zajęcia, które dawałoby kawałek chleba czy dach nad głową. Świat był okrutny: zimą szczypał w lichy okryte ciało siarczystym mrozem, na przednówku wykręcał głodem wnętrzności, a latem i jesienią zmuszał do mozołu ponad siły. Nie można jednak było uzalać się nad ciężką dolą, gdy chciało się przetrwać. Liczyło się każde zarobione dobro: pajda chleba czy miska parujących ciepłem ziemniaków były najważniejsze, prócz tego kilka monet, które pozwolą przetrwać najtrudniejsze miesiące w roku, czasami jakaś odzież.

Niektórym pannom dopisywało szczęście. Zakochiwali się w nich bogaci mężczyźni, nie szczydzili pieśczoł, mówili czule słówka, dawali upominki, a nawet potrafili całkowicie odmienić dolę. Przecież zdarzały się historie jak z bajki, takie jak chociażby Aurelii Juraszkówny. W okolicy chyba każdy o niej słyszał, Eudokia Drowniak także. I marzyła o tym, aby ją również spotkał los nieco starszej sąsiadki. Też chciałyby mieszkać w pięknym domu, mieć ludzi do posług, konie i piękne stroje. Mogłaby nawet młodo owdowieć, byle wyrwać się z doskwierającej jej nędzy.

W czym była gorsza od Juraszkówny?

Chyba tylko w tym, że miała poważną wadę wymowy, która utrudniała jej porozumiewanie się z ludźmi. Ale co dla jednych jest mankamentem, dla innych może być zaletą. Niektórzy panowie wręcz twierdzili, że baba, która trzyma język za zębami, to skarb. Bo nie dość, że nie jazgocze, to jeszcze nie zdradza sekretów. Mogli więc sobie z nią różnie poczynić, a ona milczała. Nawet gdy próbowała coś powiedzieć, robiła to bełkotliwie, więc niełatwo ją było zrozumieć.

O tym rozmyślała młoda Rusnaczką, z wysiłkiem wnosząc dwa wypełnione po brzegi cebry do kuchni w hotelu Trzy Róże.

Kilka dni wcześniej dopisało jej szczęście: została zatrudniona do noszenia wody w czasie sezonu kuracyjnego. A jeśli dobrze się sprawi, pozwolą jej zostać na stałe. Wody wiecznie było mało, więc nikomu nie wadziło, że zajmie się tym dziewczyna uważana powszechnie za niedojdę. W hotelu nikogo nie obchodziło, co Eudokia ma do powiedzenia. Liczyła się wyłącznie siła fizyczna i pośpiech w wypełnianiu obowiązków. Grunt, że Drowniakówna wiedziała, gdzie jest studnia, dość szybko połapała się w rozkładzie poszczególnych pomieszczeń przestronnej willi i zawsze trafiała do odpowiedniego pokoju.

Może więc nie była aż tak głupia, za jaką ją uważano?

Początkowo dla wiecznie niedojadającej Rusnaczkii każdy kubek wody stanowił wyzwanie. Mięśnie, naprężone do granic możliwości, paliły żywym ogniem. Omdlewały ramiona, dłonie puchły od wbijających się w nie pałaków. Bose stopy coraz trudniej było zmuszać do wysiłku, nogi bolały – szczególnie mocno w kostkach, a trzeszczące drewniane schody wiodące na najwyższe piętra hotelu zdawały się dotykać nieba.

Po jakimś czasie przyzwyczała się do niewdzięcznej roboty. Nawet pełne cebry zdawały jej się lżejsze niż w pierwszych dniach pracy. Może przywykła do ich ciężaru? A może po prostu nabrała sił, odkarmiona przez pomoc kuchenną, która odpowiadała za posiłki dla służby?

Eudokia zaciskała zęby i uparcie stawiała kolejne kroki. Jeszcze tylko jedno piętro, a potem czeka ją nagroda: kilkadziesiąt stopni w dół – już bez obciążenia. Najpierw jednak trzeba będzie przelać wodę do innych naczyń: dzbanów, kubeków, wanien i mis. Byle dyskretnie, bez czynienia hałasu. I ostrożnie, by nie zachlapać podłogi. Przy odrobinie szczęścia zostanie wynagrodzona krótkim burkliwym „dziękuję”. Czasami wielkim gestem w postaci najdrobniejszej monety. Niekiedy

tylko spojrzeniem. Uśmiechy bywały rzadkością. Ale gdy już uśmiechali się panowie, jakoś cieplej robiło się na sercu. Bo a nuż któryś z nich okaże się księciem z bajki i odmieni jej zwyczajny, szary los?

Kto uratuje Drowniakównę od pracy ponad siły? Może malarz o posępnym obliczu spoglądający na nią z tkliwością, jakiej nie widywała w niczyich oczach. Może architekt: elegancki, światowy, noszący się z godnością i pyszny, lecz zerkający na nią łakomie, gdy nikt nie mógł tego zobaczyć? A może jego przyjaciel, Jan Warchałowski²⁰?

Lubiła artystów, coś ją ku nim ciągnęło.

Zapewne to, że skupieni na pracy nie zważali, że czasami zamiast od razu odejść, przystawała w kąciku, by przyjrzeć się ich pracy? Albo przemykała niczym myszka pomiędzy rozstawionymi sztalugami, by pooglądać namalowane przez nich widoczki? Sprawiali wrażenie cierpliwszych od tych wszystkich dobrze urodzonych dżentelmenów, którzy do Krzenycze przyjechali wyłącznie po to, by się kurować, wypoczywać i oddawać hulankom.

– Podoba ci się?

Dziewczyna drgnęła nerwowo, słysząc za plecami głos malarza. Mężczyzna przyłapał ją na podglądaniu. Odwróciła się, spojrzała mu w oczy i w milczeniu pokiwała głową.

– Ma-lar-sa? – wybełkotała niewyraźnie.

– No... Matejko ze mnie żaden. Ale może coś z tego będzie – mruknął.

Zuzia z ociąganiem podążała za Helenką oraz Matyldą. Przed nimi był jeszcze zapewne spory szmat drogi, dopiero zbliżały się do zapowiadanego przez panią Cerchę Łabędziego Stawu. Doktorowa opowiadała właśnie historię związaną z kolejnym etapem ich wycieczki, lecz Strzeleckiej jej słowa wpadały

jednym uchem, a wypadają drugim, gdyż coraz mocniej dokuczało jej otarcie na pięcie. Póki panie spacerowały wyłącznie deptakiem czy tak zwaną Nową Drogą Górą, jej trzewiczki spisywały się bez zarzutu. Gorzej, gdy z wybrukowanej alejki weszły po stopniach do parku, a następnie przeszły kawałek wyboistą dróżką.

Nagle buty okazały się niewygodne, a ich obcasy mało stabilne. Zuzannie wstyd było przyznać, że nie posłuchała życzliwych rad znajomej i zamiast solidnych trzewików o płaskich podeszwach wybrała eleganckie, lecz mniej praktyczne. Nie nawykła chodzić po lasach i pagórkach, a teraz cierpiała z powodu swej bezmyślności i powoli zaczynała zostawać w tyle, czego na razie pochłonięte rozmową kobiety zdawały się nie dostrzegać.

Dodatkowe źródło dyskomfortu stanowiła odzież, w której było jej po prostu zbyt gorąco, choć i tak przyjemniej przebywało się w cienistym parku zdrojowym niż na wygrzonym przez słońce deptaku. Zuzia, wiedząc, że czeka je wędrowka, włożyła elegancki kostium złożony z sięgającej ziemi spódnicy o kształcie odwróconego kielicha, dość wąskiej w biodrach, by wymuszała stawianie drobnych kroczków. Do tego miała białą bluzkę bogato zdobioną koronkami, które niemiłosiernie gryzły ją w szyję. Zupełnie niepotrzebnie pokusiła się, by pod żakiet włożyć wełnianą kamizelkę, która choć zadawała szyku, sprawiała, że kobiecie było zdecydowanie za ciepło. Potężne balonowe rękawy żakietu narażone były na leśnym trakcie na zniszczenie, bowiem wciąż zahaczała nimi o jakieś gałązki. Strój ten, niezwykle szykowny na krakowskich Plantach czy na krynickim deptaku, zupełnie nie sprawdzał się w lesie.

Dopiero gdy Matysia i Hela dotarły do niewielkiego bajorka, po którym pływało sporo kaczek i mniej liczne stadko łabędzi, Cerchowa obejrzała się i dostrzegła, że Zuzanna nie dotrzymuje im kroku.

– Poczekamy na twoją bratową – oznajmiła Matyldzie. – A tymczasem opowiem ci o Leśnym Sanktuarium. To piękna i romantyczna historia.

– Odnoszę wrażenie, że to miejsce sprzyja romantycznym wydarzeniom – stwierdziła Matylda, a następnie zasłuchała się w ciepły głos Helenki.

– Dawno, dawno temu żyła w tych stronach cudnej urody pastereczka, która zapadła w serce dzielnemu rycerzowi. Młodych ludzi połączyła gorąca miłość, lecz jak to już w świecie bywa, na drodze do ich szczęścia stanęły liczne przeszkody. Bo nie dość, że on był bogaty, a ona ubożuchna, to jeszcze wybuchła wojna, na którą młodzian musiał wyruszyć. Nim odjechał, ślubowali sobie z pasterką wieczną miłość. Lata mijały, a rycerz nie wracał. Dzieweczka długo modliła się o jego powrót, lecz wszystko to nadaremnie. Ostatecznie postanowiła, że odda się na służbę Bogu i zamieszka w pustelni, z dala od ludzi. Pewnego dnia jej modły zostały zakłócone przez straszliwe odgłosy, jakby dziki zwierz atakował jakiegoś człowieka. Niewiele myśląc, pustelniczka rzuciła się na ratunek. Jakież było jej zaskoczenie, gdy okazało się, że to jej luby został dotkliwie poraniony przez jakąś bestię. Broczył krwią bardzo mocno. Zdruzgotanej pasterce zdało się, że biedak zaraz wyzionie ducha. Nie potrafiła mu pomóc, więc padła na kolana i zaczęła żarliwie się modlić. Nagle wydarzył się cud, bo oto przed dziewczyną stanęła sama Bogurodzica. „Zaczerpnij wody z tego źródła i dokładnie przemyj nią rany swego oblubieńca”, poleciła, wskazując na pobliski ruczaj. „Woda,

która tutaj bije, ma ozdrowieńczą moc”. Pasterka spełniła polecenie Matki Boskiej, a wtedy jej ukochany w cudowny sposób wrócił do pełni sił. Od tej pory w świat niosą się wieści o naszych krynicach, do których coraz liczniej przybywają ludzie pragnący uzdrowienia.

– Śliczna opowieść – oceniła Adamczykowa, poruszona nie tylko historią pasterki, ale również entuzjazmem, z jakim Hela wyrażała się o Krynicy. Widać było, że doktorowa czuje się tutaj jak u siebie w domu. – A skąd sanktuarium? – zagadnęła.

– To już zasługa możnych protektorów uzdrowiska. Trzydzieści parę lat temu zafascynowana tą historią hrabina Seweryna z Pietruskich Badeni²¹ zleciła Arturowi Grottgerowi²² wykonanie projektu figury Bogurodzicy. Posąg ustawiono w miejscu, gdzie wedle podań ludowych miało dojść do objawienia. To dało początek Leśnemu Sanktuarium.

– Daleko stąd do niego?

– Parę kroków.

Zuzia, która zdążyła dogonić swoje towarzyszki, westchnęła. Wstyd jej było się przyznać, że przed wyjściem z pensjonatu próżność wzięła górę, co poskutkowało znaczną uciążliwością.

Trzy kobiety dotarły zaledwie do Leśnego Sanktuarium Matki Boskiej Królowej Krynickich Zdrojów. O dalszej przechadzce nie było mowy, ponieważ na lewej stopie Zuzi pojawił się pęcherz. Początkowo mężnie znosiła niedogodność, nie dając niczego po sobie poznać, tak bowiem wypadało postępować dobrze wychowanej damie. Pęcherz jednak bardzo szybko się rozkrwawił, a wtedy nie wytrzymała i jęknęła z bólu.

– Och... Nie mam pojęcia, jak wrócę do pensjonatu – stwierdziła, wspierając się o murek, którym kilka lat wcześniej wzmocniono stok, rozdeptywany stopami coraz liczniejszych pątników. – Chyba mam dość przechadzek na dłuższy czas.

– Pomożemy ci wrócić. A gdy wyjdziemy na trakt, rozejrzę się za fiakrem – odparła Helenka. – Maks na pewno doradzi, czym szybko wyleczyć twoją przypadłość. Albo po prostu pójde do willi Krakus, w której mieści się apteka Pod Aniołem należąca do pana Henryka Nitribitta²³ – tłumaczyła nader szczegółowo, ponieważ zależało jej na tym, by Matylda z Zuzanną zapamiętały jak najwięcej. – Tam z całą pewnością kupimy jakieś antidotum. Może balsam krynicki pomoże? – snuła rozważania.

– A co to takiego? – zainteresowała się cierpiętница.

– Olejek z młodych wypustek świerkowych.

– No nie wiem... – westchnęła Zuzanna. – Olejek na ranę?

– Och! Aż tak źle? – zmartwiła się Cerchowa. – Myślałam, że tylko trochę cię pobolewa.

– Źle. Na pewno pęcherz już się rozkrwawił. Mam mokro w trzewiczku – odparła zażenowana kobieta. Chętnie zdjęłaby buty, lecz w miejscu publicznym nie wypadało tego czynić, zwłaszcza że ludzi nie brakowało nawet w tym na pozór ustronnym zakątku.

Tymczasem Matylda oddaliła się od rozmawiających pań i weszła po kamiennych stopniach na wzniesienie. Przystanęła u stóp słynącej cudami figury, którą zgodnie z wieścią gminną ustawiono w miejscu, gdzie miała objawić się Bogurodzica. Posąg Matki Boskiej wyrzeźbiony został w białym kamieniu. Łagodne oblicze Maryi przyciągało wzrok. Matyldę natychmiast ogarnęło uczucie błogiego spokoju.

Matko Przenajświętsza, błagam, pozwól, abym do Krakowa wróciła z nadzieją na potomka. Albo przynajmniej, by nadzieja pojawiła się jak najrychlej po wyjeździe z Krynicy – dodała roztropnie, bowiem wiedziała, że małżonek nie będzie w stanie jej towarzyszyć przez całe trzy miesiące, więc nie będą mieli

zbyt wiele okazji do podejmowania kolejnych prób powiększenia rodziny. Przez moment modliła się w ciszy i skupieniu, potem usiadła na ławce i zaczęła rozmyślać o legendzie związanej z tym zakątkiem.

Kątem oka dostrzegła tuż obok kobietę odzianą w czerń. Niezwykłej urody nieznajoma pogrążona była w żarliwej modlitwie. Jej ramiona drgały w tłumionym na siłę szlochu, od całej postaci bił ogromny smutek. Po dłuższej chwili uniosła się z kolan, wsunęła dłoń pod woalkę przypiętą do pozbawionego ozdób kapelusza z szerokim rondem i otarła łzy spływające po policzkach. Obrzuciła Matyldę spłoszonym spojrzeniem, jakby powstydziała się własnej słabości. Gdy już zeszła nieco niżej, w miejsce, gdzie na ławce odpoczywała Zuzia, zaczepiła ją Helena.

– Aurelio! Dzień dobry! Jak się masz? – zapytała, zamykając kobietę w objęciach ramion. – Mój Boże, nawet nie wiesz, jak mi przykro z powodu Jana – dodała, nie dopuszczając jej do głosu.

Po wymianie uścisków Helena zaprezentowała Aurelię Drzewicką Zuzi oraz Matyldzie.

– Wiem, że spotkania są ostatnim, na co masz teraz zapewne ochotę, ale jeśli zechcesz mnie odwiedzić, z przyjemnością podejmę cię kawą – zapewniła Drzewicką.

– Dziękuję – odparła młoda wdowa. – Miło byłoby porozmawiać jak za dawnych, dobrych lat, lecz niczego nie mogę obiecać. Nie mam teraz głowy do wizyt – wyznała prostolinijnie.

– Tak, to zrozumiałe, dlatego nie naciskam. Ale chciałabym spędzić trochę czasu w twoim uroczym towarzystwie. Myślę, że i moim znajomym sprawiłoby to przyjemność. Bo wiecie, drogie panie – zwróciła się do Matyldy i Zuzanny – Aurelia jest niekwestionowaną znawczynią okolic uzdrowiska. Zna bodajże każdą ścieżynkę leśną, każdy pagórek i każdy źródło. Kosztowała

wodę z każdego źródła, potrafi opowiedzieć historię każdego budynku w Krynicy.

Kobiety wymieniły jeszcze kilka grzecznościowych uwag, następnie Aurelia odeszła ścieżką wiodącą w głąb parku. Nim damy wyruszyły w drogę powrotną, Helena zachęciła Matyldę do krótkiego odpoczynku na ławce.

– Młodo owdowiała – rzuciła Adamczykowa, spoglądając w ślad za odchodzącą. A potem, choć czuła, że to zakrawa na wścibstwo, zapytała: – Miała znacznie starszego męża?

– Ach nie! – zaprzeczyła Cerchowa. – Jan był od niej starszy może o dekadę, może nieco więcej. Zdecydowanie nie należał do seniorów. Miał nie najlepsze zdrowie, a na dodatek jakiegoś wybitnego pecha, ponieważ wciąż padał ofiarą różnych nieprzyjemnych wypadków. Parę miesięcy temu zapadł na jakąś mózgową chorobę. Przebiegała gwałtownie, a lekarze byli bezradni. Biedak zgasł w przeciągu kilku dni. Podobno bardzo cierpiał, nim skonał. Stracił nawet wzrok.

– Ach... To straszne nieszczęście! – westchnęła współczująco Matylda. – Pani Aurelia wyglądała na pogrążoną w głębokim żalu.

– Tak, bo to była naprawdę wielka miłość. Moje drogie! Nawet nie wiecie, jak wzruszająca historia wiąże się z tą kobietą. To niemalże jak baśń o Kopciuszku! – Z jej ust popłynęła opowieść o tym, jak panicz z dobrego domu poślubił ubogą łemkowską pannę. A gdy skończyła mówić, Matylda od razu nie omieszkała stwierdzić:

– Czyli prawdę opowiadał nam Rusnak podwożący nas do hotelu.

– Słyszałyście wcześniej historię Aurelii?

– Nie aż tak szczegółowo – wyjaśniła Adamczykowa. – No i ten człowiek użył jakiegoś innego imienia. Brzmiało nie po

naszemu.

– Być może wśród Łemków pani Drzewicka jest nazywana inaczej. Albo woźnica coś przekręcił.

– Raczej nie. Wspomniał, że to jego siostra.

– Czyżby wiózł was Witalis Juraszko z Powroźnika? – odgadła Helena.

– Tak właśnie nam się przedstawił.

– Zaczny człowiek. My także nader często korzystamy z jego usług.

Następnego dnia państwo Adamczykowie wybrali się do Zakładu Wodoleczniczego prowadzonego przez doktorów Ebersa oraz Cerchę, gdzie umówieni byli z Maksymilianem. Zaprzyjaźniony medyk wyznaczył kilka zabiegów, którym codziennie powinna się poddawać Matylda. Oczywiście zlecił jej kurację hydropatyczną u siebie. Skierował ją również do łaźniek borowinowych i wysłał na konsultację u doktora Bolesława Skórczewskiego praktykującego w dwóch najbardziej reprezentacyjnych willach nad Kryniczanką: Tatrzańskiej²⁴ oraz Witoldówce. Tam została ustalona nowa dieta, mająca na celu poprawę nawyków żywieniowych Matyldy oraz wyleczenie jej z dolegliwości żołądkowych. Lekarz kategorycznie zabronił Adamczykowej spożywania słodyczy.

– Och! Jak żyć? – wzdychała kobieta, słuchając jego porad.

– Szanowna pani, naprawdę nie ma powodów do narzekania. Proszę mi uwierzyć, że nie oczekuję nie wiadomo jak wielkich wyrzeczeń. Mój kolega po fachu, doktor Apolinary Tarnawski²⁵, który prowadzi uzdrowisko przyrodolecznicze w Kosowie Huculskim, narzuca swym pacjentom nader dotkliwe głodówki. Niejeden raz zdarzało się, że uciekali oni z jego drakońskich kuracji wprost do mojego zakładu i błagali o ułożenie mniej restrykcyjnej diety. Proszę więc docenić fakt, że doktor Cercha

skierował panią do mnie, a nie do niego. – Spojrzał znacząco na niepokorną pacjentkę, która nawet w takim momencie szeleściła jakimś papierkami, gdyż jej dłoń nurkowała w torebce. Odgadł, że kobieta, gdy na nią nie patrzył, ukradkiem włożyła sobie do ust czekoladkę. Zdradził ją nie tylko ów szelest, ale również maleńka kropka słodkości, która zebrała się w kąciku ust.

– Doceniam – bąknęła skruszona, szybko przełykając pralinę.

– Zasadniczo doradzałbym całkowitą eliminację łakoci z jadłospisu.

– Pan doktor jest nad wyraz okrutny.

– To dla dobra pani wątroby. Oraz dla zachowania zdrowych kształtów. Nie chciałaby pani za kilka lat leczyć się z otyłości.

Phi! Choćbym wyjadła wszystkie przysmaki od Piaseckiego²⁶, nie utyję! Zawsze miałam nienaganną figurę. Zresztą od czego jest gorset?

Matysia z rozrzewnieniem wspomniała krakowski sklep oferujący ciastka, pomadki i inne pyszności, mieszczący się w Krakowie przy ulicy Floriańskiej. Zachodziła tam niemalże codziennie. Już w progu wraz z brzdęknięciem zawieszonych u drzwi dzwoneczka witały ją tak aromatyczne zapachy, że ślinka sama napływała do ust. Stamtąd nigdy nie wyszła z pustymi rękami. Zawsze też kupowała sporo smakołyków do domu. Służąca towarzysząca jej podczas zakupów wynosiła od Piaseckiego okazałe pakunki. Adamczykowa już planowała, że jak tylko wróci do miasta, powetuje sobie straty poniesione w Krynicy i naje się tamtych rarytasów za wszystkie czasy.

CÓRECZKA

Krynica

Dzień mijał bez większych wstrząsów. Po śniadaniu Aurelia poszła na spotkanie ze swoimi podopiecznymi. Przez kilka godzin ze stoickim spokojem wykladała im różne przydatne rzeczy. Na razie nie wspomniała dzieciom, że być może niebawem owe lekcje dobiegną końca. Żal jej było dziewczynek, ale cóż mogła począć? Będzie im musiała wystarczyć zwyczajna szkoła, gdzie nikt nie zada sobie trudu, by wpoić uczennicom coś więcej nad podstawy matematyki oraz czytania i pisania.

Podczas obiadu synowa przyjrzała się uważnie Felicycie, zastanawiając się, czy nadeszła już odpowiednia pora na podejmowanie rozmów o przyszłości. Teściowa jednak zdawała się pozostawać nieobecna duchem. Wczorajsza rozmowa z Emilią musiała nią mocno wstrząsnąć, bowiem jej twarz była opuchnięta od płaczu, a oczy czerwone. Na Aurelię świekra rzuciła zaledwie przelotne spojrzenie. Rozgrzebała jedzenie na talerzu, skubnęła parę kęsów, a później odeszła do swych pokoi.

– Biedna Felicycie – powiedział Ksawery. – Kobietom tak trudno jest godzić się z losem. I mnie serce boli, ale życie wciąż trwa. Ech... Powinienem wracać do biura, obowiązki mnie wzywają – oznajmił. – To takie przygnębiające, że zostałem sam z interese. Tak bardzo liczyłem na Jana! Chyba powinienem sprzedać tartak, bo kto go poprowadzi, gdy mnie zabraknie sił?

– Och... Tak mi przykro – westchnęła. Tartak był oczkiem w głowie Drzewickiego. – Żałuję, że nie potrafię pomóc – dodała ciszej, a potem trochę pożałowała tych słów. Nie chciała, by mężczyzna pomyślał, że ma zakusy na jego przedsiębiorstwo.

Było oczywiste, że tak nie jest, ale znała się nie tylko na rachunkach, lecz również na gatunkach drzewa. Jan dość dużo jej o tym opowiadał, zabierał ją czasami do tartaku, pokazywał surowce, gotowe wyroby, maszyny oraz suszarnie. Wy tłumaczył, jak przebiegają procesy obróbki drewna, choć nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by angażować ją w interesy.

– Nie szkodzi. Wiem, że kobiety nie mają pociągu do takich spraw. Dobrze, że jesteś z nami, córciu. Twoja obecność przynajmniej trochę umiła życie mojej nieszczęsnej żonie. Zawsze marzyła o gromadce dzieci, lecz niestety los dał jej tylko Jana. Jesteś dla niej największą podporą w tych trudnych chwilach, choć wiem, że tobie też serce pęka z rozpacz.

Aurelia spojrzała na niego z zaskoczeniem. Przypuszczała raczej, że teść będzie pragnął, by zniknęła mu sprzed oczu. Ostatecznie jednak uznała, że mężczyźni są ulepieni z innej gliny i zupełnie inaczej odbierają emocje.

Chciał odejść, gdy do pokoju jadalnego weszła służąca i oznajmiła:

– *Madame* prosi, żeby pan do niej zajrzał przed wyjściem do biura. Powiedziała, że ma do omówienia niecierpiącą zwłoki sprawę.

– Cóż, skoro to takie pilne, praca będzie musiała poczekać.

Nie zamierzał zbywać ślubnej wymówkami, że porozmawia z nią później, ponieważ przypuszczał, że chodzi o coś istotnego. Pierwszy raz od śmierci Jana żona wezwała go do siebie na rozmowę. Do tej pory pozostawała szczelnie zamknięta w skorupie żalości, i to raczej Ksawery podejmował próby przebicia się przez mur, który wokół siebie wybudowała.

Kiedy Drzewicki opuścił jadalnię, Aurelia pomyślała, że uda się na wycieczkę. Włożyła solidne trzewiki. Zamierzała powoli

żegnać się z ukochaną Krynica. Chciała po raz ostatni obejść wszystkie ulubione miejsca – począwszy od deptaku, a skończywszy na źródelkach bijących w ustronnych zakątkach. Spodziewała się bowiem opuścić miejscowość w przeciągu kilku dni. Gdy rozmówi się z Drzewickimi, pozostanie jej już tylko spakowanie paru rzeczy. Najszykowniejsze stroje pozostawi, nie będzie ich potrzebowała. Zabierze wyłącznie to, co praktyczne i przydatne. Biżuterię zwróci teściowej – przecież nie ograbi jej z pamiątek rodzinnych. Trochę będzie jej żal rozstać się z błyskotkami, które nabył dla niej mąż, lecz uznała, że one także nie są jej należne. Wystarczy, jeśli teściowie okażą dość wspaniałomyślności, by wyposażyć ją w niewielką sumkę, aby mogła opłacić bilety kolejowe oraz pokryć koszty wynajmu jakiegoś pokoiku i utrzymania, do czasu aż znajdzie źródło dochodów.

Zaplanowała, że tego dnia pójdzie do Powroźnika i przedstawi bliskim swój plan. Z powrotem może nadłożyć drogi i urządzić sobie przechadzkę przez Górę Parkową. Pragnęła na zapas pooddychać balsamicznym powietrzem leśnym. Pamiętała, że w Krakowie na ogół towarzyszył jej zaduch. W wielkim mieście latem kotłowały się smrody. Musiała więc nacieszyć się ostatnimi dniami w Krynicy. Kto wie, kiedy znowu tutaj powróci? Zapewne będzie odwiedzała rodziców. Ale czy prędko to nastąpi?

Nic nikomu nie mówiąc, opuściła willę. Nie zabierała ze sobą niczego, ponieważ nie przypuszczała, by wycieczka potrwała zbyt długo. W torebce przypiętej do paska miała kilka drobnych monet. Gdyby zachciało jej się pić, ugasi pragnienie wodą z któregoś ze źródeł. A kolację zamierzała zjeść w domu.

Po spotkaniu z Ksawerym Felicjta odetchnęła z ulgą. Problem, który dręczył ją od jakiegoś czasu, można było rozwiązać bez

większego zachodu. Cieszyła się, że jej propozycja znalazła zrozumienie w oczach męża. Co więcej, że mąż myślał i czuł podobnie jak ona. To wiele ułatwiało. Wcześniej bała się ujawniać swe oczekiwania, by nie posmakować goryczy zawodu. Pozostawała skryta i zdystansowana, analizując własne odczucia.

Przez chwilę siedziała samotnie, rozmyślając o rozmowie, którą odbyła z mężem. Ksawery nigdy nie rzucał słów na wiatr. Jeśli coś postanawiał, nie zmieniał zdania. Zawsze był konsekwentny w czynach.

Zbyt długo zwlekałam z tą sprawą – pomyślała Drzewicka. – Nie powinnam trzymać nikogo w niepewności. A już na pewno nie Aurelię. Ona zasługuje na szczerą rozmowę.

Zadzwoiła po służącą.

– Poproś panią Aurelię, by zajrzała do mojego buduaru.

– *Madame*, młodej pani nie ma. Wyszła na przechadzkę – oznajmiła Rozalia.

– Ach tak? Trudno, w takim razie czuwaj nad tym, aby do mnie przyszła, jak tylko wróci. To bardzo ważne.

Niestety synowa nie dotarła na podwieczorek. Nie zjawiała się także w porze kolacji.

Na zewnątrz zmierzchało. Zdenerwowana Felicjta krążyła po salonie, szeleszcząc koronkami żałobnej sukni. Jeszcze raz wezwała do siebie pokojówkę i wypytała ją, czy wiadomo coś o celu wyprawy Aurelii, lecz służąca nie miała wiele do powiedzenia. Wiadome było tylko, że pani wyszła tuż po obiedzie.

– Coś musiało się stać – jęknęła Drzewicka.

– Być może poszła odwiedzić swoich rodziców – stwierdził Ksawery. – Wyślę służących, by ruszyli jej naprzeciw. A właściwie to najlepiej będzie, jeśli zapręgą do bryczki i po

prostu po nią pojedą. Zasiadła się pewnie w Powroźniku. To zrozumiałe, że w chwili rozpaczy dziecko garnie się do bliskich, bo któż lepiej ukoi smutki niż rodzona matka? My, muszę to przyznać, nie okazywaliśmy w minionych miesiącach zainteresowania jej sprawami. Nie wiemy nawet, jak miewają się jej krewni i czy wszystko u nich w porządku. Nie widzieliśmy tych ludzi od stypy.

– Och, czuję się winna. Powinnam była porozmawiać z naszą synową tuż po pogrzebie. Zamiast tego ostatnio traktowałam ją dość oschle, ponieważ pogrążona byłam w bólu. A przecież ta nieszczęsnica straciła męża. Mamy wspólną żałobę po Janie i obydwie ubolewamy tak samo nad tym, co się wydarzyło. Jakże ona musiała czuć się osamotniona w minionych miesiącach!

– Nie obwiniaj się, Felicyto – odparł mężczyzna, który tymczasem zdążył wydać odpowiednie dyspozycje służbie. – Aurelia ma w sobie siłę, jakiej brakuje niejednej dobrze urodzonej damie. Miejmy nadzieję, że niebawem wróci.

– A co, jeśli ktoś ją napadł?

– Naprawdę nie ma się czego obawiać, duszko. To nie jest Kraków czy Lwów. Tutaj wszyscy wszystkich znają. Żyjemy w wyjątkowo spokojnej okolicy. Ojciec nieraz mi opowiadał, że gdy jeszcze mieszkał w Krakowie, musiał mieć oczy dookoła głowy, bo tam wręcz roiło się od złodziejasków, a każdy dom zamykany był niczym warowna twierdza, i to nie tylko na noc, ale również w ciągu dnia. Kto u nas czyni takie rzeczy? Nie słyszałem, by tu ktokolwiek na kogokolwiek nastawał.

– Niby racja, ale przecież mamy sezon leczniczy. W Krynicy roi się od przyjezdnych.

– Tym bardziej więc powinnaś zachować spokój. Dobrze wiesz, że tutejsi nigdy w życiu nie zaczepialiby nikogo w

niecnych celach. Przecież większość ludzi zarabia na kuracjuszach.

– A co, jeśli właśnie pomiędzy kuracjuszami zaplątał się jakiś niegodziwy człowiek?

– Bądźmy dobrej myśli. Jestem głęboko przekonany, że Aurelia niebawem wróci i wyjaśni nam powód, dla którego zniknęła na tak długo.

– Jeśli cokolwiek złego ją spotkało, nie daruję sobie tego nigdy.

Bale we wspaniałej sali Dworca Zdrojowego²⁷ – prześlicznej budowli wzniesionej przed zaledwie pięcioma laty według projektu Juliana Niedzielskiego²⁸ oraz Jana Zawiejskiego²⁹, zawsze przyciągały tłumy kuracjuszy spragnionych rozrywki. Pomędzy amatorami tańca nie brakowało również okolicznej socjety. Siłą rzeczy Adamczykowie i Strzeleccy nie mogli zrezygnować z tej atrakcji.

Na to wydarzenie kobiety szykowały się niemalże jak na wojnę, z tą różnicą, że tutaj za cały arsenał służyły rękawiczki, koronki, suknie, wachlarze, buciki i inne fraszki. Każda dama zamierzała wytoczyć ciężkie działa w postaci najnowszej toalety, najlepiej szytej w Paryżu albo przynajmniej przez dobrej renomy krawca. Tutaj nie wypadało wietrzyć koronek pachnących naftaliną. Trzeba było pojawiać się w naprawdę pięknych sukniach, nowinkach mody. Ba! Należało nawet modę wyprzedzać.

Zuzia, choć miała obtartą nogę, też szykowała się na bal. Wszak nie mogła przepuścić podobnej okazji. Odczuwałyby ogromną przykrość, gdyby pozostała w hotelowym pokoju, w chwili gdy bliscy rzucą się w wir dobrej zabawy. Oczywiście nie mogła przeżalować, że tańce ją ominą i będzie jedynie widzem spędzającym czas na kanapie, choć zazwyczaj w takich okolicznościach święciła triumfy towarzyskie. Należała bowiem

do niezrównanych tancerek i mimo słusznego już wieku trzydziestu pięciu lat nie narzekała na nudę podczas balów. Jej lekkość w tańcu znana była w całym Krakowie, a to sprawiało, że Zuzanna cieszyła się powodzeniem, jakiego mogły jej pozazdrościć nawet panienki. Mimo uciążliwej przypadłości postanowiła wybrać się wraz z bliskimi do Domu Zdrojowego. Ponieważ była nader towarzyska z natury, już samo przebywanie pomiędzy ludźmi sprawiało jej satysfakcję.

Starła się doszukać plusów w swoim czasowym unieruchomieniu. Wiedziała, że to pozwoli jej na bezkarne przyglądanie się innym damom, lustrowanie ich toalet, klejnotów czy fryzur. Dzięki temu oceni, na ile jej krawiec nadąża za nowościami. Wyśledzi nawiązujące się romanse oraz flirciki. Wszak wielu spośród kuracjuszy znała z Krakowa czy kilku karnawałów spędzonych we Lwowie.

Podbudowana myślą o tym, że za parę dni sama będzie mogła oddawać się tanecznym uciechom, usiadła w cieniu rozłożystej palmy. Jej czujne oczy wyławiały zza wachlarza wiele drobiazgów, które pozostałyby niedostrzeżone, gdyby była zajęta tańcami. Z lekkim żalem spoglądała na Matyldę krążącą po przepysznej sali balowej. Adamczykowa tańczyła to ze swoim mężem, to ze szwagrem, to z innymi dżentelmenami, którzy wcześniej zdołali się wpisać do jej karneciku. Młoda mężatka nie mogła narzekać na brak powodzenia.

Adamczykowa miała w karnecie lukę pozwalającą na złapanie oddechu pomiędzy kolejnymi tańcami. Seweryn akurat odprowadził ją na puste krzesło, a sam oddalił się wraz z innymi mężczyznami, by wypalić cygaro i w spokoju wypić szklanekę whisky. Matylda rozłożyła olśniewający wachlarz z pawich piór i zaczęła nim poruszać, aby się ochłodzić. Delikatne powiewy wzburzyły loczki okalające jej twarz. Pomyślała, że

dołączy do szwagierki, która zapewne wyszła na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Choć Zuzanna nie tańczyła, z całą pewnością było jej gorąco. Wieczór był wyjątkowo ciepły, a rozgrzane mnóstwem wirujących ciał pomieszczenie musiało być dość duszne nawet dla osoby, która odpoczywała bądź unikała rozrywki. Matyldzie zdało się wręcz, że pomiędzy osobami opuszczającymi salę balową widzi Zuzię. Ruszyła więc w ślad za nią.

Porywająca melodia walca *Nad pięknym modrym Dunajem* dobiegła końca, gdy Zuzanna zauważyła, że Matylda samotnie wychodzi z Domu Zdrojowego. Przez moment rozważała, czy za nią nie pójść, by dotrzymać jej towarzystwa. Ostatecznie jednak uznała, że mężatce uchodzi znacznie więcej niż panience, więc pozostała w swym przyjemnym zaciszu. Zresztą do Strzeleckiej dosiadła się Helenka, zatroskana o samopoczucie cierpiącej. Gdy usłyszała, że otarcie nie daje jej się mocno we znaki, zaproponowała, aby przeszły do bufetu, gdzie serwowano chłodne napoje oraz przekąski.

Matylda rozejrzała się po dobrze oświetlonym deptaku, lecz nigdzie nie dostrzegła znajomej postaci. Zawahała się, nie wiedząc, co czynić dalej. Uznała, że być może pomyliła Zuzannę z kimś innym, więc zawróciła. W pewnej chwili poczuła, że coś uwiera ją w stopę, jakby do jej balowego bucika wpadł niewielki kamyczek. Dyskomfort był dość duży. Oczywiście powinna pokuśtykać do Domu Zdrojowego, aby tam poszukać pomieszczenia, w którym mogłaby spokojnie uporać się z irytującym drobiazgiem, lecz zdążyła odejść dość daleko.

Rozejrzała się dyskretnie dookoła. W pobliżu przebywało niewiele osób. Przysiadła więc na ławce stojącej poza zasięgiem świateł, by dyskretnie zdjąć i wytrzepać bucik, choć absolutnie

nie wypadało tego czynić w miejscu publicznym, nawet gdyby sporej wielkości kamyk miał uszkodzić cienką jedwabną pończoszkę. Wybrała jednak wystarczająco ustronne miejsce, chcąc nie narażać się na ciekawskie spojrzenia. Na szczęście była dość przezorna, aby przed wyjściem z hotelu wsunąć do niewielkiej torebeczki szydełko służące do odpinania maleńkich guziczków w sięgających do kostek trzewikach. Bez tego drobiazgu nie byłaby w stanie samodzielnie tego zrobić, gdyż sztywny pancierz gorsetu mocno ograniczał swobodę ruchów, a dodatkowo nóżka kobiety tonęła w morzu halek i koronek. Kiedy Matylda się pochyliła, z głębi alejki nadeszły dwie panie bez reszty pogrążone w pogawędce. Jak na złość zatrzymały się w pobliżu Matyldy. Zaaferowane, nie zaprzętały sobie uwagi tym, czy ktoś może usłyszeć, jak ze sobą rozprawiają.

Adamczykowa szybko zorientowała się, że nieznajome oddają się dość niewybrednym plotkom. Nie chciała pozostawać niemyym świadkiem ich pogaduszek, lecz było już zbyt późno na to, by ujawnić swą obecność, nie wzbudzając jednocześnie zbędnego zainteresowania.

Och! Trzeba było jednak odcierpieć swoje i pójść do garderobianej – zżymała się w duchu, zarówno z powodu niezręcznej sytuacji, jak i uciążliwości związanej z zapięciem balowego pantofelka, co nie było łatwe, zważywszy na wszystkie warstwy odzieży, które utrudniały jej dostęp.

Tak bardzo nie chciała słuchać, jak owe damy sączą jad pod adresem innej kobiety! Gdyby tylko mogła w jakiś czarodziejski sposób odciąć się od padających słów, nie wpuszczać ich do świadomości! Modliła się, by nieznajome oddaliły się jak najszybciej. Choć Matylda nie znosiła takich sytuacji i czuła się okropnie skrępowana, gdy padło imię „Aurelia”, nadstawiła

czujnie uszu. Z jakiegoś powodu ta kobieta wzbudzała jej zainteresowanie. Nie potrafiła racjonalnie wyjaśnić źródła owej ciekawości. Może po prostu jej serce skradła romantyczna historia łemkowskiej dziewczyny, która przebojem weszła na krynickie salony?

– Wyobraź sobie, Klaro, że mojej chrzestnej matce przez myśl nie przeszło, iż sytuacja z Aurelią może wzbudzać w towarzystwie negatywne emocje. I że dla własnego dobra powinna w końcu odprawić Rusnaczkę do jej chałupy.

– No cóż, Emilko, Felicycja znana jest z dobrego serca – zauważyła Klara. – Mama wciąż powtarzała, że jej siostra zbyt często ulega wpływom bliskich. A już pobłażliwość ciotki w stosunku do Jana była wręcz nieprzyzwoita. Świętej pamięci mateczka przestrzegała Felicytę przed wpuszczeniem do domu chłopskiej dziewczuchy. Tłumaczyła, że z tego powodu może wybuchnąć skandal. Cud, że Aurelia nie została skazana na jawny ostracyzm. Uważam, że tolerowano ją w towarzystwie wyłącznie ze względu na ciotkę oraz na naszego, pożał się Boże, kuzyna.

– Otóż to, moja droga, otóż to! – wykrzyknęła druga z kobiet. – Uwierz mi, że od dłuższego czasu usiłuję otworzyć oczy cioteczce. Cóż, gdy do tej pory pogrążona była w żałobie tak głębokiej, że na nic nie zważała. Ale odnoszę wrażenie, że ostatnio udało mi się coś osiągnąć. Być może otrząsnęła się w końcu z tej pierwszej największej rozpacz i dotarło do niej, jakie *faux pas* popełnił jej syn.

– I bardzo dobrze. Nareszcie! – W głosie Klary słychać było ewidentną ulgę. – Mam nadzieję, że zdołasz poprowadzić sprawy po swojej myśli.

– No cóż, pozostaje wierzyć, że ciotka zachowała choć odrobinę zdrowego rozsądku i pozbędzie się tej dziewczuchy

spod swego dachu. Bo jeszcze tylko tego brakowało, by Aurelia położyła łapy na naszym majątku! Nic jej do tego!

– Tak, tak. Wierzę, że uratujesz resztki rodzinnej fortuny. Wystarczy, że posag naszej matuli poszedł na zmarnowanie. Nie możemy więc dopuścić, by przepadł również majątek cioci Felicyty. Jesteś jej chrześnicą, więc tobie się należy.

– To rzecz oczywista, że nie odpuszczę w tej kwestii. Zresztą ciocia, kiedy już wyrwała się z kokonu otępienia, zapewniła mnie, że porozmawia z Aurelią. Zakładam, że w swoim takcie i delikatności da tej dziewczusze kilka dni na powrót do rodzinnego domu. Nie będę zdziwiona również, jeśli okaże się, że wypłaci jej jakieś zadośćuczynienie, choć według mnie wieśniaczce nie należy się absolutnie nic. Osobiście nie dałabym jej nawet halerza! Wystarczy już, że Jan nad wyraz hojnie obdarowywał ją klejnotami i sukniami, łożył na nią fortunę.

– No i cóż przyjdzie tej nędzarce z tych wszystkich sukien i klejnotów pod strzechą? – Klara parsknęła nieprzyjemnym śmiechem.

– Być może będzie tym wszystkim zadawać szyku w cerkwi. Albo na wiejskich tańcach.

– Och! Raczej nie pójdzie pracować w polu w gorsecie, koronkach, falbankach i trzewiczkach na obcasie! – padły kolejne kpiny.

Matylda nie usłyszała dalszych słów, ponieważ kobiety zaczęły się oddalać. Musiały także zniżyć nieco głos, gdyż zbliżały się ku gromadce ludzi. Zapewne więc ucięły temat nieszczęsnej Aurelii.

Adamczykowej zrobiło się niezwykle żal wyśmiewanej przez nie wdowy. Przecież sprawiała tak poczciwe wrażenie! Była śliczna, delikatna i pełna wdzięku, w ogóle nie wyglądała na

chłopską córkę. I jeszcze ten smutek w jej oczach! Znać było, że wciąż oplakuje swego męża. A i Helenka wyrażała się o niej ciepło oraz z ogromną sympatią.

Madame Cercha z całą pewnością nie myliła się w ocenie Aurelii. Matyllda znała doktorową wystarczająco dobrze, by ufać jej osądom, więc teraz zawrzała gniewem. Zrozumiała, że to, co właśnie usłyszała przez przypadek, było intrygą uknutą w celu pozbawienia nieszczęsnej wdowy dachu nad głową. Spiskowały przeciwko niej krewne jej teściowej, tak wywnioskowała z rozmowy. Czy pani Felicjta okaże się na tyle racjonalną i szlachetną osobą, by nie czynić krzywdy synowej? A może da się zwieść wężowym podszeptom złej kobiety, która tak naprawdę pragnie położyć rękę na majątku Drzewickich? Aurelia znajdowała się w pożałowania godnej sytuacji. W każdej chwili mogła zostać wypędzona z domu.

Powinnam ją przestrzec – pomyślała Matyllda. – *Może jeśli będzie wiedziała, co się przeciwko niej mówi, to jakoś się obroni w tej sytuacji? A przynajmniej spróbuje się targować o to, by zapewnić sobie godziwą przyszłość. Wszak nie można z dnia na dzień zostawić kobiety bez środków do życia!* – oburzała się w duchu Adamczykowa. – *Co robić, co robić?*

Z tego, co wspomniała Helenka, wynikało, że Drzewiccy nie przyjmują gości. Nie wypadało ot tak pchać się komuś w paradę! Zwłaszcza że rodzina, której sprawa dotyczyła bezpośrednio, pogrążona była w żałobie. Nie było najmniejszej szansy, by Matyllda została im oficjalnie przedstawiona. Ale przecież zdążyła już poznać Aurelię. Czy to wystarczyłoby do złożenia jej wizyty? A jeśli nawet, to cóż Matyllda miałaby jej powiedzieć: że podsłuchiwała rozmowę dwóch nieznanomych pań, z której wywnioskowała, że przeciwko wdowie knują jakiś spisek?

Aurelia długo błąkała się po lesie. Wcześniej odwiedziła rodziców, do których poszła głównym traktem, lecz w drodze powrotnej, gdy już była na obrzeżach Krynicy, zachciało jej się skorzystać z leśnej ścieżki wiodącej przez Górę Parkową. Pierwszy raz w życiu zdarzyło jej się, że zabłądziła, a wszystko dlatego, że w pewnym momencie zeszła z utartego szlaku i skręciła bezwiednie w mniej uczęszczaną dróżkę, która stopniowo zaczęła się zwężać, aż w końcu zaniknęła. Od tej pory młoda wdowa przedzierała się przez leśne ostępy na wycucie, oceniając kierunek, w którym powinna podążać, na podstawie mchu porastającego pnie drzew. Nisko zwieszające się gałęzie chlastały ją bezlitośnie, długa spódnica od czarnego spacerowego kostiumu zahaczała o krzewy, a wygodne trzewiki grzęzły niekiedy w błocie. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak nędznie musi się prezentować.

Och! Emilia miałyby sporo do powiedzenia, gdyby mogła mnie teraz zobaczyć – pokpiwała w duchu, gdy kolejny raz się pośliznęła i ledwo zdołała zachować równowagę.

Nie odczuwała lęku, że nie znajdzie drogi do domu. Wiedziała, że prędzej czy później wyjdzie w miejscu zamieszkałym przez ludzi.

Kiedy w końcu Aurelia zdołała opuścić las i dotarła do Krynicy, wokół panował już mrok. Musiało więc być bardzo późno, wszak letnie dni są długie. Ku swemu zaskoczeniu nie wyszła w pobliżu drewnianego kościółka pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, ale znacznie dalej od domu, przy źródle Ciurkacz. Skorzystała z okazji, by ugasić pragnienie, nim skręci na gościniec wiodący do Słotwin.

– Też mi się zachciało nadkładać drogi i wędrować lasem – burknęła sama do siebie, otrzepując starannie spódnicę z paprochów, które suto oblepiły jej dół.

Choć odczuwała zmęczenie wcześniejszą tułaczką, szybkim krokiem ruszyła w stronę willi. Gdy dotarła do domu, zdziwiło ją poruszenie, które tam panowało. Felicjta, do tej pory pogrążona w kokonie rozpacz, porwała Aurelię w objęcia i z całej siły ją przytuliła.

– Aurelio, dziecino droga, gdzieżeś ty była?! – wykrzyknęła. – Jak ty wyglądasz? Czy ktoś na ciebie napadł? Uciekałaś przed kimś? – dociekała przerażona, lustrując synową baczным wzrokiem.

Aurelia rzeczywiście prezentowała się nędznie. Jej suknia była dołem mocno uszargana, trzewiki zabłocone. Włosy, rano starannie upięte przez pokojówkę, całkowicie się zwichrzyły. Na policzku kobiety widać było pręgę, jak po smagnięciu witką.

– Ależ nie, mateczko – odparła spokojnie sprawczyni zamieszania. – Pobłądziłam w lesie, ot co.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo się o ciebie martwiłam. Nie, nie martwiłam! Ja wprost odchodziłam od zmysłów ze strachu! Nigdy więcej tego nie rób! Nie znikaj w ten sposób. Gdyby coś ci się stało, nie darowałabym sobie tego.

Drzewiccy powiedli zmęczoną Aurelię do jadalni, gdzie Rozalka natychmiast podała jej ciepłą kolację.

– Postawiliśmy na nogi całą służbę – wtrącił Ksawery. – Dobrze, że wróciłaś cała i zdrowa. Felicję już ogarnęła panika, że padłaś ofiarą napaści.

– Przepraszam, mateczko, poszłam na spacer, naprawdę nic złego się nie stało. Przecież widzisz, że nic mi nie jest. Potrzebowałam przewietrzyć głowę z różnych myśli – odparła wymijająco, ponieważ wstyd by jej było przyznać, że ona, dziewczyna wychowana w tym miejscu, pobłądziła. – Chciałam się także pożegnać.

– Pożegnać? Z kim? Ktoś z twoich bliskich wybiera się w podróż?

– Ależ nie. Wszyscy tutaj zostają, to raczej ja zamierzam udać się w drogę – powiedziała z lekkim zawahaniem, ponieważ wciąż jeszcze nie była pewna, czy jej plan ma sens i czy słusznie postępuje. Być może lepiej uczyniłaby, pozostając w Powroźniku przy rodzicach.

– A dokąd się wybierasz? – zapytała zaskoczona Felicyna.

Aurelia popatrzyła na teściów, którzy wbili w nią przenikliwe spojrzenia.

– Minęło pół roku, odkąd pochowaliśmy Jana. Wydaje mi się, że nadszedł czas, abym pomyślała o mojej przyszłości.

– Chcesz nas opuścić? – zapytał zdziwiony Ksawery.

– Czas najwyższy po temu, abym usunęła się w cień, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Nikt wam nie powinien zarzucić, żeście mnie odprawili. A ja nie chcę być ciężarem.

– Ależ co ty wygadujesz, Aurelko?! – wykrzyknęła Felicyna. – Jakim ciężarem?

– Niezręcznie mi zostawać tutaj dłużej, niż to konieczne. Teraz, gdy nie ma Jana, powinnam odejść. Znam swoje miejsce – dokończyła, tłumiąc gorycz.

– O dobry Boże! – Felicyna osłupiała. – Przecież twoje miejsce jest tutaj. Nie wyobrażam sobie, abyś miała nas opuścić. No, chyba że było ci z nami źle – dodała asekuracyjnie, spoglądając na synową wielkimi, zapłakanymi oczyma.

– Nie! Nigdy w życiu! – zaprzeczyła żywo młoda kobieta. – Czułam się wśród was wybornie. Ale naprawdę nie chcę sprawiać kłopotu.

– Drogie dziecko! – wtrącił Ksawery. – Wiem, że ostatnio niewiele rozmawialiśmy. W tym domu zdecydowanie zbyt długo panowała przygnębiająca cisza. Zdominował nas ból po

stracie Jana. Chcę jednak, abyś wiedziała jedno: przyjęliśmy cię pod nasz dach jak swoją i nadal traktujemy cię jak córkę. Za nic w świecie byśmy nie chcieli, aby to się zmieniło. Utrata syna była dla nas ogromnym ciosem, ale gdybyś i ty nas opuściła, nie moglibyśmy się z tym pogodzić. Jan bardzo cię kochał. On się nie mylił w kwestiach ludzkiej natury. Siłą rzeczy my też pokochaliśmy cię tak, jakbyś była naszym rodzonym dzieckiem. Dlatego właśnie pragnęlibyśmy z Felicytą usankcjonować prawnie twą przyszłość wśród nas. Chcemy oficjalnie uznać cię za naszą córkę – oświadczył.

Cisza, która nagle zapadła, rozdzwoniła się w uszach Aurelii. Zdumienie było bezgraniczne. Kobieta pomyślała nawet, że musiała się przesłyszeć. Dyskretnie uszczypnęła się w dłoń.

– Ale jak to? – pisnęła cichutko.

– Postanowiliśmy cię adoptować, Aurelio – wyjaśnił. – Uprzedzając twoje ewentualne obiekcje: tak, zdajemy sobie sprawę, że jesteś osobą dorosłą, masz własną rodzinę i bardzo jesteś przywiązana do matki swej oraz ojca. Nie będziemy nigdy w to ingerować, tak jak nie robiliśmy tego wcześniej. Ale jesteśmy rozpaczliwie samotni i bardzo chcielibyśmy, abyś została z nami już na zawsze, ze wszystkimi konsekwencjami prawnymi i społecznymi tej decyzji, łącznie z dziedziczeniem w przyszłości. To oczywiste, że nie wymagamy od ciebie, abyś odcięła się od swoich korzeni. Ani tym bardziej abyś zrezygnowała z układania sobie życia, gdy minie okres żałoby. Jesteś jeszcze młoda, jest więc dla nas w pełni zrozumiałym, że być może zechcesz za jakiś czas wyjść ponownie za mąż. Nie zamierzamy wywierać na ciebie nacisków w tej kwestii. Jeżeli spotkasz mężczyznę godnego twojej ręki, nie będziemy protestowali przeciwko temu, abyś się z nim związała. To nie

jest nasza intencja. Pragniemy wyłącznie twojego dobra. Tak jak rodzice pragną dobra swej córki. Rodzonej córki – podkreślił.

– Aurelko, dziecino moja kochana! – wyszłochała Felicyna. – Powiedz, że nas nie opuścisz...

– Och – westchnęła młoda wdowa. – To wielkie zaskoczenie. Przypuszczałam raczej, że wolelibyście, abym wróciła do swoich, i tylko wrodzona grzeczność oraz takt nie pozwalają wam na to, aby powiedzieć mi o tym wprost – oznajmiła szczerze. – Jestem chłopską córką, na pewno przynoszę ujmę waszej rodzinie.

– Czyżby ktoś sprawił ci przykrość lub sugerował, że powinnaś odejść? – zapytała zdruzgotana kobieta.

Aurelia zwiesiła ramiona.

– Nie. Po prostu chcę postąpić rozsądnie. Czułabym się niezręcznie, nadużywając waszej dobroci. Macie z ojczulkiem krewnych, którzy na pewno oczekują, bym stąd ustąpiła.

– Ha! A może Emilia?! – wykrzyknęła teściowa z energią, której dawno nie było słyhać w jej głosie. Aurelia nawet nie zdążyła sprostować. – Pewnie ona za tym stoi. Urabiała sobie grunt powolutku, sukcesywnie. Niby życzliwa, współczująca, chętna, by mnie pocieszać w żałobie. Judziła, abym odprawiła cię do bliskich, zapraszała mnie oraz Ksawerego pod swój dach. W rzeczy samej ma tylko jeden cel: chce położyć rękę na naszym majątku. Zamierza otworzyć w tym domu pensjonat! Zrobić sobie hotel z naszej willi!

– Może faktycznie proponowała to z troski o was? Przecież jest twoją chrześnicą... – wyjąkała Aurelia.

– Niby tak, ale czuję, że nie do końca chodziło wyłącznie o nasze dobro. Jej ojciec, świeć Panie nad duszą Teofila, był cwaniakiem, który poślubił moją niemądrą siostrę dla posagu, a następnie niemalże w całości przehulał go z aktoreczkami.

Na moment powróciła myślami w czasy, gdy szwagier uganiał się za Heleną Modrzejewską, choć w tamtym okresie jeszcze nikt nie pomyślał, że wyrośnie na tak wielką artystkę. Helena gościła w Krynicy w czasach, gdy sztuki wystawiano w prowizorycznej sali pensjonatu Pod Barankiem. Później powstała „buda”, czyli prowizoryczny budynek, który z biegiem czasu zastąpiono Teatrem Modrzewiowym. Aktorka przyjechała z trupą lwowską, która dawała wówczas pokazy *Balladyny*. Modrzejewska skradła serca widzów rolą Skierki. Potem Drzewiccy oglądali ją także w *Ślubach panińskich* Fredry.

– Och... Doprawdy? – zdziwiła się nader powściągliwie Aurelia. Nie chciała drażnić tematu, lecz Felicjta sama pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Dawno temu podarowałam Zeni śliczną bransoletę, z którą niemalże się nie rozstawała. Pewnego dnia cacko zniknęło z jej przegubu. Zapytana o to Zenia stwierdziła, że gdzieś musiała je zawieruszyć. No i wyobraź sobie, drogie dziecko, jakie było moje zdziwienie, gdy pewnego dnia ten sam drobiazg zobaczyłam na ręce jednej z aktorek. Zenia też musiała go zauważyć, lecz tylko zagryzła wargę i zwiesiła ramiona. Przecież nie mogła pójść i zażądać zwrotu! Ach... Biedna! Wyczekałam na moment, gdy mogłam dyskretnie zagadnąć aktorkę o jej biżuterię. Miałam nadzieję usłyszeć, że znalazła klejnocik. Cóż, gdy padła wówczas odpowiedź, że otrzymała go w darze od pewnego dżentelmena, którego nazwisko wolałaby zachować w tajemnicy. A kiedy zaczęłam na nią napierać, mówiąc, że bliskiej mi osobie zaginęła identyczna ozdoba, wyznała, że to prezent od Teofila. – W głosie Felicjty dało się słyszeć ożywienie, jakie już od dawna nie rozbrzmiewało, a oczy kobiety błyszczały. – Jestem głęboko przekonana, że to

właśnie Teofil wpędził mą siostrę do grobu. Zenia była ode mnie znacznie młodsza, mogła jeszcze cieszyć się życiem i wnukami.

Aurelia osłupiała, słysząc jej wywody. Wszak nie wypadało rozmawiać o takich sprawach! Nie po raz pierwszy świekra zaskoczyła ją otwartością, choć wiedziała, że Felicyta słynie nie tylko z anielskiej natury, ale również z tego, że jawnie potępia obłudę i fałszywą moralność.

– Jeśli choćby przez jeden krótki moment poczułaś w tym domu osamotnienie, to wybac mi, drogie dziecko. To moja wina – kontynuowała teściowa. – Pogrążona byłam w żalości tak bardzo, że nie zważałam na nic i na nikogo. Bałam się również i tego, że pewnego dnia nas opuścisz, a wówczas będę cierpiała w dwójnasób. Nie powinnam była zostawiać cię samej sobie w tak trudnych chwilach. Dobrze wiem, jak mocno kochałaś Jana. Twoje uczucie było szczere. Jestem przekonana, że ani przez jeden krótki moment nie kierowało tobą wyrachowanie. Aurelio... Proszę... Nie odmawiaj nam – dokończyła, ujmując dłonie synowej. Przyciągnęła je do swej twarzy i przytuliła do policzków. Spoglądała na nią z ogromną czułością.

– Zostanę. Nie mogłabym was opuścić po tym wszystkim, co powiedzieliście z ojczulkiem. Ale myślę, że nie ma potrzeby, aby angażować w nasze sprawy prawników. To naprawdę zbyteczne.

– Owszem, jest konieczność, by przeprowadzić formalności właśnie w taki sposób – odparł Ksawery. – Pragniemy zabezpieczyć twą przyszłość. Nie wybieramy się jeszcze na tamten świat, lecz człowiek nie zna przecież dnia ani godziny. Gdyby, nie daj Boże, przydarzyło nam się coś złego, mogłabyś się znaleźć w kłopotliwej sytuacji. Testament zawsze można

podważyć, a koligacje rodzinne, nawet utworzone w taki sposób, o jakim my pomyśleliśmy, są bezsprzeczne. Rozmawiałem już na ten temat z mecenasem Dołęgą. Przygotuje dokumenty do formalnego uregulowania tej kwestii. A w najbliższym czasie wybierzemy się do Powroźnika lub pošlemy bryczkę po twoich rodziców, by wszystko z nimi omówić. Nie chcę, aby pomyśleli, że sobie ciebie kupujemy. Tak zamierzam im przedstawić nasz punkt widzenia, by zrozumieli, że chodzi wyłącznie o twoje dobro.

– Och... nie wiem, co powiedzieć – wyznała Aurelia. – Nawet przez myśl mi nie przeszło, że możecie mieć taki zamiar. Chyba muszę ochłonać...

Ksawery wstał i podszedł do zajmowanego przez nią krzesła.

– Oczywiście, dziecko. Jest dość późno, jeśli chcesz, odejdz na spoczynek. I zapomnij już o tym, by wyjeżdżać za chlebem. Twój dom jest tutaj – oświadczył mężczyzna, całując skroń siedzącej przy stole kobiety. Potem odsunął się, by mogła wstać.

– Spokojnej nocy – odparła zduszonym głosem, opuszczając jadalnię.

Nie mogło jej się pomieścić w głowie, że znowu los okazał się dla niej łaskawy. Nie czekała na takie dobrodziejstwo. Jeszcze parę godzin temu martwiła się tylko tym, czy nie zostanie uznana za naciągaczkę, gdy poprosi teścia o odrobinę pieniędzy na planowaną podróż. Zastanawiała się nawet, czy nie spieniężyć jakiegoś zbędnego a kosztownego drobiazgu.

ZAWIEDZIONE NADZIEJE

Krynica

Kiedy Seweryn wrócił na salę balową, zastał swoją żonę w minorowym nastroju. Nie promieniała radością jak jeszcze przed półgodziną. Matylda wyraźnie popadła w przygnębienie, była też głęboko zadumana, a w jej oczach zagościł smutek. Adamczyk doskonale znał te objawy, wszak aż nazbyt często je u niej obserwował. I choć ostatnimi czasy raczej nie przywiązywał do nich wagi, składając je na karb braku potomka, teraz postanowił zapytać, co dolega ukochanej.

– To nic takiego – odparła lekceważąco, lecz z tonu głosu wywnioskował, że wcale nie chodzi o bzdurę.

– Matysiu, jeśli ktoś czymś ci dokuczył, tylko powiedz. Spotkał cię jakiś afront?

Nie wyobrażał sobie, że miałby zostawić żonę w Krynicy, nie wyjaśnwszy wcześniej przyczyn jej złego humoru. Nie chciał odjeżdżać do Krakowa, widząc Matyldę rozstrojoną. Nie czułby się z tym dobrze. Z całą pewnością dręczyłoby go poczucie winy, że on wrócił do swych typowo męskich przyjemności, podczas gdy ona została w obcym miejscu sama ze swoimi troskami. Niby Zuzia miała dotrzymać jej towarzystwa, lecz pochłonięta opieką nad czwórką drobiazgu mogła nie mieć do tego głowy, podobnie zresztą jak doktorowa.

Sewerynowi bardzo zależało na dobrym samopoczuciu Matyldy. Potraktował serio słowa doktora Maksymiliana i uwierzył, że zmiana klimatu, odpowiednio dobrana dieta oraz zabiegi pomogą żonie. Od dawna marzył o potomku. Być może to była jedyna szansa na to, aby ich małżeństwo na powrót stało

się szczęśliwe. Od jakiegoś czasu odnosił bowiem wrażenie, że znacząco oddalili się od siebie z żoną i już nie są sobie tak bliscy jak niegdyś. Obcość wkradająca się w ich związek powoli go niszczyła, drążąc niczym robak.

Następnego dnia rano Seweryn zauważył, że Matylda nadal pozostaje dziwnie milcząca i niepodobna do siebie. Od razu powiązał to z balem, z którego wróciła przygnębiona. Wiedział, że musiało tam zajść coś, co sprawiło jej wielką przykrość. Po śniadaniu, które zjedli wraz ze Strzeleckimi w sali jadalnej, poprosił żonę, by wróciła z nim do apartamentu. Mieli wprowadzić w planach przechadzkę po deptaku, lecz stwierdził, że najpierw musi poruszyć frapującą go kwestię. Zamówił u służebnej kawę, a gdy dostarczono im dzbanek naparu, podjął rozmowę.

Zaczął wypytywać ślubną o powód dość ponurej zadumy. Początkowo Matylda próbowała go zbywać, ostatecznie jednak opowiedziała o tym, jak poznała *madame* Drzewicką, oraz o rozmowie, którą przypadkowo podsłuchiwała ubiegłego wieczoru.

– Nic na to nie poradzisz, Matysiu. Świat tak już jest urządzony – stwierdził Adamczyk, wysłuchawszy jej słów.

Sięgnął po filiżankę kawy i pociągnął z niej łyczek, pieszcząc kubki smakowe wybornym smakiem świeżo zmielonych ziaren.

– Ale to takie niesprawiedliwe – oburzyła się kobieta.

– Nie jesteśmy w stanie nic z tym zrobić. Przecież nie pójdziesz do pani Drzewickiej i nie powiesz, że podsłuchiwałaś rozmowę kuzynki jej zmarłego męża z jakąś inną kobietą, zapewne z siostrą.

– Ja i tak uważam, że należałoby uprzedzić panią Aurelię, że może stracić dach nad głową i środki do życia.

– Oszalałaś – stwierdził Seweryn. Odstawił filiżankę na spodek. Porcelana stuknęła zdecydowanie za głośno, na

szczęście jednak filigranowe cacko nie pękło. – Przede wszystkim nie jest to twoja sprawa. Po wtóre, nawet jeśli ją uprzedzisz, to zastanów się, na Boga, kobieto, w czym jej to dopomoże? Przecież nie zdoła zapobiec biegowi zdarzeń. Jeżeli teściowie podejmą decyzję, by odprawić ją z domu, uczynią to bez względu na twoją ingerencję.

– I właśnie nad tym tak mocno ubolewam. Uważam, że Aurelia powinna wiedzieć, co się święci. To dałoby jej czas, by mogła się jakoś przygotować.

– Jak? – zapytał Seweryn.

– Nie wiem – odparła Matylda, czując narastającą bezsilność. – W tym przypadku element zaskoczenia może być naprawdę druzgocący. Ona bez tego cierpi. Ale nie mam pojęcia, jak można by jej pomóc.

– Sama przyznajesz, że twoje wysiłki na nic by się zdały. Zrobiłabyś tylko z siebie wścibską istotę. A nie daj Boże jeszcze, by wieści o tym rozniosły się po Krynicy lub dotarły do Krakowa. W nierozważny sposób uprzykrzyłabyś sobie pobyt tutaj, a kto wie, czy i nie powrót do domu? Nie zapominaj, że doktor Cercha zalecił, abyś unikała nadmiernych ekscytacji. To się nie godzi! – powiedział dobitnie. Na znak, iż rozmowę uważa za zakończoną, sięgnął po kawę.

– Nie godzi? – powtórzyła za nim zbulwersowana kobieta. – Drogi mężu! Jestem zdania, że nie godzi się w takiej sytuacji knuć podłych intryg. Należy uświadomić pani Aurelii, jaki befsztyk chce jej wysmażyć ta osóbką. Należy ją uprzedzić i przygotować na stawienie czoła złym ludziom.

– Ani mi się waź, Matyldo! – wykrzyknął zdenerwowany Seweryn, odstawiając na stół opróżnioną filiżankę. – Chcesz wywołać skandal? Zdajesz sobie sprawę z tego, co ludzie będą o tobie mówić, gdy się dowiedzą, że podsłuchiwałaś jak jakaś

prostaczka? W ogóle nie powinnaś była przysłuchiwać się tej rozmowie. Co też ci strzeliło do głowy?

– A co niby miałam zrobić twoim zdaniem? – Głos Matyldy zawibrował na pograniczu szlochu. – To one były tak nierozważne, że nie rozejrzawszy się wprzód, po prostu zaczęły mówić straszne rzeczy.

– Według mnie powinnaś była się ujawnić, kiedy jeszcze było to możliwe. Należało kaszlnąć albo po prostu wyjść z cienia. Postąpiłaś niegodnie – łajał ją niczym pensjonarkę.

– Nie traktuj mnie, jakbym była małą dziewczynką. Dobrze wiem, że to nie było zachowanie godne damy, ale... – Urwała, ponieważ właściwie nie znalazła argumentów na swoją obronę. A potem dodała z głębokim smutkiem: – Zrozum, Sewerynie, mnie po prostu szkoda tej kobiety. Jej romantyczna historia jest zarazem nader przygnębiająca. Nie potrafię przejść obojętnie obok tego, że Drzewiccy uczynili z niej zabawkę. Póki żył Jan, była dla nich wystarczająco dobra. A teraz, gdy ów mężczyzna leży w mogile, nikt nie liczy się z jej uczuciami. Przecież tak nie można – tłumaczyła.

– Nie pojmuję twojego sentymentu dla zupełnie obcej kobiety. Przecież nie masz z nią nic wspólnego. Sama wspomniałaś, że została ci zaledwie przedstawiona i ponad to nie zamieniłyście ze sobą ani słówka. Zapewne do końca sezonu kuracyjnego wcale nie będziesz z nią miała do czynienia. Skoro jest w żałobie, na pewno nie bawi na salonach. Na zaproszenie do państwa Drzewickich raczej nie możesz oczekiwać.

– To dość oczywiste – odparła Matylda. – Nawet przez myśl mi nie przeszło, by narzucać się teraz tym ludziom. Trzeba uszanować ich żałobę. Ale jeśli oni wypędzą Aurelię ze swego domu, będzie to potworny czyn.

– Ależ Matysiu! Nie przyjmuj tego za pewnik. Nie znasz jej teściów, nie wiesz, jakie mają zamiary. Nie możesz z góry zakładać, że ulegną złym podszeptom. Więcej wiary w ludzi, moja droga. Swoją drogą nie rozumiem, skąd w tobie aż taki sentyment do obcej kobiety – powtórzył.

– Ja też tego nie pojmuję – przyznała. – A jednak coś każe mi interesować się jej losem. Odczuwam przykrość na samą myśl o jej krzywdzie.

Seweryn uścisnął delikatnie dłoń żony. Potem ucałował ją czule.

– Mój ty skarbie, jesteś prawdziwym aniołem. Właściwie cieszę się, że jesteś tak uwrażliwiona na krzywdę ludzką. To bardzo szlachetne. Mimo wszystko jednak zaklinam cię: nie popełnij jakiegoś szaleństwa, kiedy stąd wyjadę. Nie chciałbym, abyś w imię źle pojmowanej szlachetności stała się bohaterką skandalu. Przysięgnij mi, że nie będziesz ingerować w cudze sprawy – zażądał.

Póty świrował ją wzrokiem, aż w końcu wymamrotała cichutko:

– Obiecuję.

W rzeczy samej także nie rozumiała, co ją skłania do aż takiego zaangażowania w sprawę kobiety, która jest jej obca. Czy odezwała się romantyczniejsza strona jej natury? Zapewne tak. Matyllda wiedziała, że wywiązanie się z obietnicy złożonej mężowi nie przyjdzie jej z łatwością. Pokusa, by w jakikolwiek sposób uprzedzić Aurelię przed czarnymi chmurami zbierającymi się nad jej głową, była przemożna.

Ech... Byłabym głupią gąską, gdybym nie dostrzegła niezręczności tej sytuacji – westchnęła.

Podśluchiwanie uchodziło na sucho służbie, a i to nie zawsze. W eleganckim towarzystwie postrzegano je bardzo negatywnie,

choć oczywiście korciło. Matylda jednak dałaby sobie uciąć rękę za to, że niejedna plotka została puszczona w obieg właśnie dlatego, że ktoś coś przez przypadek usłyszał i postanowił zrobić z tego użytek.

Ach, ta okropna obłuda! – zżymała się w duchu. Osobiście uważała, że życie byłoby znacznie prostsze, gdyby ludzie mówili sobie prawdę i nie posuwali się do podłego intrygowania.

Seweryn wyszedł na taras, by spokojnie wypalić cygaro. Potrzebował chwili na przemyślenia. Nie chciał tego mówić żonie, gdyż uważał, że ten temat powinien już dawno zostać puszczony w zapomnienie, lecz dobrze wiedział, jak smakuje skandal, w który jest uwikłana rodzina. Wiele lat wcześniej Adamczykowie padli ofiarą znacznej niezręczności towarzyskiej, której skutki ciągnęły się za nimi bardzo długo. Z tego powodu najstarsza siostra Seweryna, Kazimiera, straciła narzeczonego. Oczywiście nie było w tym ani odrobiny jej winy, a mimo to została skompromitowana. Zdruzgotana panienska wstąpiła do klasztoru, gdzie zresztą rychło wyzionęła ducha – ponoć z nieutulonego żalu i tęsknoty za szczęściem, które jej wydarto. Na szczęście Zuzanna była wówczas na tyle młoda, że cień niemiłych wydarzeń nie zaszkodził jej równie mocno jak starszej siostrze. Kilka lat po tym, jak Kazimiera złożyła śluby zakonne, Zuzanna zrobiła przyzwoitą partię. W dużej mierze pomógł jej w tym dość wysoki posag.

Tak czy inaczej, Seweryn za nic w świecie nie chciał, aby jego nazwisko ponownie zostało zszargane. Uważał, że ostracyzm towarzyski jest czymś wyjątkowo przykrym i uciążliwym. Szkodzi nie tylko na salonach, ale również w świecie interesów, a on miał sporo do stracenia. Nieposzlakowana opinia dla kogoś takiego jak Adamczyk była na wagę złota. Bo cóż to za prawnik,

o którym szepcze się pokątnie różne nieprzyjemne rzeczy? A żona prawnika, podobnie jak żona Cezara, powinna pozostawać poza wszelkimi podejrzeniami.

Nim wyjadę do Krakowa, rozmówię się z Zuzanną – pomyślał. – Poproszę ją, by miała oko na tę trzpiotkę. Matysia potrafi zachowywać się bardzo niefrasobliwie. Jak raz coś jej strzeli do głowy, to nie odpuszcza. Obawiam się, by i w tym przypadku nie wykazała się równie wielką zaciętością.

Matylda wybierała się do zakładu hydropatycznego na zalecone przed doktora Cerchę zabiegi. Pierwotnie miała jej towarzyszyć Zuzanna, lecz szwagierka wciąż utykała na nogę. Panowie natomiast poszli na wycieczkę w góry okalające uzdrowisko, by przed opuszczeniem Krynicy nacieszyć oczy widokami.

Adamczykowej nie pozostało więc nic innego, jak tylko wyjść w towarzystwie służącej, która miała pomóc jej w toalecie, bowiem tego dnia czekały ją masaż oraz kąpiele, które zdecydowanie wolała od zabiegów borowinowych. Hanka niosła więc torbę z kostiumem, w który Matylda miała się przebrać w łazienkach wodoleczniczych. Na kostium ten składała się krótka do kolan sukienka z czarnej wełenki zapinana z przodu na guziczki. Wkładało się ją bez gorsetu, a pod nią sięgające połowy łydki proste pantalone niemalże pozbawione ozdób i przypominające raczej męskie spodnie niż damski fatalaszek. Prócz owych spodni nieodzowne były również pończochy, wszak ciało należało wstydliwie zasłaniać przed ciekawskimi spojrzeniami. A gdy już odbyło się kąpiel, służąca pomagała włożyć suche rzeczy i można było poddać się dobroczynnym dłoniom panny masażystki, która wprawnymi ruchami ugniatała newralgiczne miejsca. Zabiegi te były dość męczące, ciepła kąpiel działała usypiająco, więc w drodze powrotnej Matylda zatrzymywała się na ogół w którejs

kawiarni, by pobudzić się filiżanką aromatycznej mokki, zjeść ukradkowo serniczek polany czekoladą, czego kategorycznie zabraniał doktor Skórczewski, i w ten przyjemny sposób zebrać siły na wędrówkę do pensjonatu. Hani, by jej nie wydała przed nikim, że łamie zalecenia dietetyka, dawała jakąś drobną monetę i półgodzinne wychodne.

Przed opuszczeniem hotelu Matylda pokpiwała w duchu, że w całym swym życiu nie przeszła tylu kroków, ile pokonała od przyjazdu do kurortu, ponieważ ostatnio wszędzie musiała docierać pieszo.

Wychodząc z apartamentu, dostrzegła, że drzwi sąsiedniego pokoju są uchylone. Przez szczelinę widać było służącą szorującą na klęczkach podłogę upstrzoną farbami. Obok, przy rozstawionych sztalugach, stał pan Gierymski, lecz jego uwagi nie zaprzętało rozpięte na nich płótno. Spoglądał bowiem uważnym wzrokiem na uwijającą się służkę. W jego oczach nie było tego obmierzłego łakomstwa, które czasami obserwowała u innych panów, lecz jakaś dziwna tkliwość, wręcz jakby pożałowanie. Może litował się nad zmęczoną dziewczką? Może choć trochę obchodziła go jej dola? Wszak był takim bystrym obserwatorem otoczenia! Tak porywająco mówił o naturalizmie w swej pracy oraz o konieczności pokazywania na obrazach świata takim, jakim jest w rzeczywistości: bez zbędnych upiększeń.

Matylda kojarzyła, że dziewczyna nosi imię Eudokia i uchodzi za przygłupią, a zatrudniona została do najcięższych prac, takich jak noszenie wody czy sprzątanie pokoi.

Szkoda jej – pomyślała. – Wcale ładna. Ale w przypadku służ uroda to częściej przekleństwo niż źródło szczęścia. Potem przypomniała sobie jednak historię Aurelii, która przeczyła stereotypom, i odetchnęła z ulgą. A może świat nie jest aż taki

zły? Może również Eudokią, mimo swej niepełnosprawności, znajdzie prawdziwe szczęście? Wszak taki artysta niekoniecznie musi być racjonalny. Jest przede wszystkim esteta, więc może doceni jej urok?

Ciemną chmurą na romantycznym obrazku było wspomnienie zasłyszanej podczas balu rozmowy. *Nie zostawię tego, o nie!* – stwierdziła buntowniczo, choć w rzeczy samej musiała przyznać, że nie ma pojęcia, w jaki sposób jej ostrzeżenie miałyby pomóc wdowie.

Wędrując deptakiem, daremnie wypatrywała Drzewickiej. Przez moment zastanawiała się, czy nie zapytać Heleny o jej adres, lecz po krótkim namyśle odrzuciła ten pomysł. Nie wypadało nachodzić niemalże obcej osoby w domu, w którym panuje żałoba. Zwłaszcza gdy sprawa, z którą chciała tam pójść, była, delikatnie ujmując, wyjątkowo niezręczna.

Seweryn i Tytus szykowali się do podróży. Panie miały pozostać w kurorcie, a na ich mężów czekało mnóstwo pracy w kancelarii prawnej, której byli współnikami. Dzień wcześniej Adamczyk poprosił Zuzannę, by miała oko na jego ukochaną trzpiotkę. Chodziło głównie o zadbanie o to, by Matylda nie popadła w jakieś tarapaty. Jeszcze tylko upewnił się, że Matylda dobrze czuje się w kurorcie, jest otoczona należytą opieką, ma odpowiednie towarzystwo i raczej nie powinna narzekać na nudę, aby sam z czystym sumieniem mógł powrócić do swoich spraw. Nim wsiadł do landa powożonego przez Witalisa Juraszkę, zapowiedział żonie, że przyjedzie mniej więcej za trzy, może cztery tygodnie i pozostanie z nią przez kilka dni.

Dla Matyldy rozpoczął się monotony okres pobytu w uzdrowisku. Nagle kobieta poczuła się nader samotna, chociaż znaczną część czasu spędzała z Zuzanną oraz jej dziećmi. Sęk w

tym, że Adamczykową i Strzelecką dzieliło dokładnie dziesięć lat. Choć Matysia lubiła na swój sposób Zuzę, nie znajdowała z nią wspólnego języka. Starsza od niej szwagierka raczej bywała postrachem, a nie bratnią duszą. Kobiety nazbyt mocno się od siebie różniły.

Matylda była bardzo żywotna, ciekawa świata i spragniona rozrywek. Interesowały ją nie tylko fatałaszki, ploteczki i cudze flirty, ale również sprawy poważne, które wzbudzały głębokie oburzenie Zuzanny. Matylda bowiem popierała idee głoszone przez sufrażystki. Ba! Sama się pomiędzy nimi udzielała.

Emancypantki wywoływały zgorszenie Strzeleckiej, uważała je za dopust boży i wręcz twierdziła, że ich dążenia mogą naruszyć odwieczny porządek świata, gdyż miejsce kobiety jest w domu przy mężu oraz dzieciach. A jeżeli panie zaczną sięgać po tytuły naukowe i mieszać się w politykę, doprowadzą do tego, że domowe ogniska zaczną wygasać.

Stateczną, wręcz nobliwą Zuzannę pochłaniali synowie i różne dotyczące ich przyziemne sprawy, które wciąż pozostawały poza sferą zainteresowania Matyldy. Choć Adamczykowa starała się tego nie okazywać, nużyły ją opowieści o dziecięcych przypadłościach, psotach i wszystkich troskach związanych z wychowywaniem potomków. Marzyła o własnych maluszkach, ale to nie oznaczało od razu, że czerpie przyjemność z wysłuchiwania opowieści o cudzych. Zasadniczo nie tylko ją to nużyło, ale również sprawiało jej ból.

Nie jest łatwo być bezdzietną mężatką, gdy wokół są same szczęśliwe rodziny lub panny na wydaniu. Nie potrafiła rozmawiać ani z pierwszymi, ani z drugimi.

Panny na wydaniu skupiały całą uwagę na kawalerach i robieniu dobrych partii. Z perspektywy czasu sprawiały wrażenie nieco bezrozumnych, chociaż kilka lat wcześniej

Matylda sama zachowywała się podobnie jak one. Ach! Te ich głupiutkie rozmowy, westchnienia, przewracanie oczami, udawanie istot uduchowionych i znacznie potulniejszych niż w rzeczywistości. Całe to trzepotanie rzęsami, oblewanie się rumieńcem, te wszystkie „wachlarzowe” niuansiki! A wszystko po to, by złapać męża.

Teraz dla Matyldy kiermasz małżeński był po prostu infantylny i zakłamy. W rzeczy samej cieszyła się, że podobne błahostki ma już z głowy. Nie musiała tańczyć z mężczyznami, którzy budzili jej niechęć. Nie musiała być przymilną dla absolutnie każdego dżentelmena i każdej matrony. Odkąd została panią Adamczyk, więcej uchodziło jej na sucho i ochoczo z tego przywileju korzystała. Kiedy było jej to na rękę, unikała towarzystwa, w którym nie czuła się najlepiej, zawsze przecież mogła wymówić się gorszym samopoczuciem. W przypadku młodej mężatki takie rzeczy nikogo nie dziwiły.

Pierwsze dni w Krynicy upłynęły dość szybko, bowiem Adamczykowa uczyła się nowych miejsc, poznawała doktorów oraz panny pielęgnyjące pacjentów, korzystała z wielu uroków uzdrowiska. Później jednak w jej rzeczywistość wkradła się dotkliwa nuda. Spacer po deptaku, zawsze w towarzystwie Zuzanny, często wręcz z czwórką jej niesfornych synów, były po prostu nużące. Kiedy kobietom towarzyszyli młodzi Strzeleccy, należało mieć oczy dookoła głowy, mimo że w ślad za nimi postępowała również bona. Gdy panie wybierały się na przechadzki samotnie, również nie było to szczególną przyjemnością, ponieważ szwagierki nie interesowało wędrowanie nieznanymi szlakami. Strzelecka zdecydowanie wolała krążyć po wielokrotnie wydeptanych alejkach. Na domiar złego wciąż rozprawiała o tym samym, doprowadzając Adamczykową do szału.

W obecności szwagierki nie wypadało Matyldzie flirtować z obcymi mężczyznami. Nie miała także z nią o czym plotkować. Zuzannę bardzo trudno było namówić na jakiegokolwiek inne rozrywki poza spacerem, teatrem bądź kawiarnią. Nie grywała ani w krokieta, ani w bardzo modnego ostatnimi czasy tenisa. Dla niej pełnią szczęścia była prezentacja pięknych toalet podczas przechadzania się wolnym krokiem.

Niestety nawet towarzystwo Heleny nie wносиło oczekiwanego powiewu świeżości. Dla Matyldy było ono tym bardziej uciążliwe, że kiedy zeszły się dwie szczęśliwe mężatki i matki, to pogawędki zwykle oscylowały właśnie wokół dzieci i spraw małżeńskich. Czasami pani Cercha rzucała jakąś luźną uwagę dotyczącą nowatorskich metod terapeutycznych, o których rozmawiał z nią małżonek. Nic więc dziwnego, że przeważnie spacer po deptaku przyprawiały Matyldę o migrenę.

Kobieta odnosiła wrażenie, że każdy dzień podobny jest do poprzedniego. Te same miejsca, te same twarze, ta sama nuda. Za całą rozrywkę musiał wystarczyć teatr lub wyjście do kawiarni, bo jakże udać się na bal bez towarzystwa męża? Zuzia, jej prywatna strażniczka moralności, twierdziła, że to wprost nie wypada. Co innego, gdyby któraś z nich miała córkę na wydaniu. Wtedy, a i owszem, wypadałoby bywać na balach, by rozejrzeć się za dobrą partią dla panienki. Ale samotnym mężatom to po prostu nie uchodziło.

– Byłybyśmy zdecydowanie zbyt łatwym celem dla uwodzicieli – tłumaczyła znudzonej Matyldzie. – Nie chcesz chyba trafić na usta całej Krynicy? Zważ, że widać tutaj wiele osób, które znamy również z Krakowa. Gdyby któraś z nas stała się ofiarą skandalu, echo takich wydarzeń na pewno dotarłoby także do miasta. Seweryn kilkakrotnie uczulał mnie na to, byśmy się nie

wplątywały w nic, co mogłoby nam przysporzyć kłopotów. Żona prawnika musi się cieszyć nieposzlakowaną opinią.

Matylda westchnęła ciężko, myśląc, że Zuzanna zdecydowanie zbyt mocno wzięła sobie do serca przysięgę złożoną Sewerynowi i niepotrzebnie uzupełniła ją o własne widzimi się. Przecież nic by się nie stało, gdyby odrobinę poluzowała cugli, które wciąż trzymała silną i pewną dłonią. Adamczykowej już dawno wywietrzały z głowy myśli o tym, by uprzedzić Aurelię, że krewna zmarłego męża spiskuje przeciwko niej. A to był właściwie jedyny powód, dla którego Seweryn z taką nieufnością pozostawiał ją samopas w Krynicy. Z całą pewnością nie obawiał się zdrady, wszak Matylda nie dawała mu najmniejszych powodów do zazdrości. Było jej więc przykro, ponieważ nigdy wcześniej nie czuła się równie pilnie strzeżona i obserwowana. Przecież nie pociągało jej wywoływanie skandali! Owszem, los tamtej kobiety wzbudzał w niej niezrozumiałe emocje, lecz to nie oznaczało od razu, że należy w związku z tym popełniać jakieś szaleństwo.

Niepotrzebnie wyznałam mu, że nieumyślnie podsłuchałam rozmowę obcych osób. Właśnie z tego powodu Seweryn uznał, że jestem nieobliczalna i nie można mnie obdarzyć zaufaniem. To dlatego obydwój z Zuzą traktują mnie jak krnąbrną małą dziewczynkę – rozważała ze smutkiem.

– Och, Zuziu! Chodzi mi tylko o jeden bal. Przecież mogłybyśmy chociaż raz pójść na tańce. Nie proszę cię, abyśmy robiły to każdego wieczoru – próbowała przekonać szwagierkę, by skorzystały z bodajże największej atrakcji kurortu. W Krakowie sezon balowy trwał przede wszystkim w karnawale, tutaj tańczyło się podczas krótkich i ciepłych letnich nocy. To była nader przyjemna odmiana, gdy nie trzeba było przykrywać lekkiej toalety ciężkim futrem bądź salopą, gdy nie

marzło się w przerwach pomiędzy tańcami, nie ryzykowało się zapalenia płuc, kiedy rozgrzane zabawą ciało niespodziewanie owiewał przeciąg.

– Cierpliwości, Matysiu. Niedługo przyjadą tutaj Tytus z Sewerynem. Wtedy z całą pewnością udamy się na niejeden bal. Nadrobisz zaległości i wytańczysz się za wszystkie czasy.

Och... – jęczała w duchu Matylda. – Ona traktuje mnie niczym panienkę na wydaniu. To już lepiej było mi w Krakowie, tam nikt nie pilnował mnie na każdym kroku.

Marzyła o tym, by poznać kobietę, której sytuacja życiowa byłaby zbliżona do tej, w jakiej sama tkwiła. Ale jak na złość wśród tych kuracjuszek, które miała okazję spotkać, brakowało młodych bezdietnych mężatek. W tym sezonie w kurorcie przebywały głównie albo matrony z córkami, którym pilnie należało poszukać narzeczonego, albo mężatki z nieco młodszym przychówkiem. Z panienkami nie lubiła przestawać. Z młodymi matkami tym bardziej.

I co z tego, że doktor Maksymilian obiecywał uleczenie jej z waporów oraz hysterii? Na razie nie widziała szans na to, by jej humor choćby odrobinę uległ poprawie. Co więcej, z dnia na dzień czuła się coraz mocniej znudzona, osamotniona i wręcz rozgoryczona tym, że pozwoliła mężowi, by ją tu przywiózł. Odnosiła dość nieprzyjemne wrażenie, że w Krynicy wszyscy poza nią bawią się świetnie. Solennie więc sobie postanowiła, że nigdy więcej tutaj nie powróci. Gdy czasami wymykała się na samotną przechadzkę, kierowała kroki pod pomnik Matki Boskiej Zdrojowej i zanosila do niej ciche modły o to, by kuracja przyniosła zamierzone efekty. Liczyła bowiem, że jeżeli w końcu stanie się brzemienną, to więcej nie będzie musiała przyjeżdżać do Krynicy.

Cel uświęca środki – myślała z rozgoryczeniem, poddając się kolejnym zabiegom w zakładzie hydropatycznym, to znowu wysłuchując napomnień doktora Skórczewskiego dotyczących jej diety.

Od ostatniej rozmowy z Felicytą minęło kilka dni, więc Litworowa uznała, że najwyższa pora przekonać się, jakie są efekty podejmowanych przez nią prób. Postanowiła pójść z wizytą do ciotki wczesnym popołudniem. Tym razem zabrała ze sobą dzieci. Liczyła na to, że jeśli Felicyta jeszcze nie podjęła działań, to Staś i Teosia poruszą jej serce. Drzewicka z całą pewnością spragniona była kontaktu z maluchami, wszak nie doczekała własnych wnuków. Zamieszkanie w domu Litworów byłoby więc dla niej szansą na przebywanie w bliskości tych aniołków. Mogłaby z powodzeniem zastąpić im babcię, której nawet nie pamiętały. Wszyscy byliby wówczas uszczęśliwieni!

Jakież było zaskoczenie Emilii, gdy w salonie ujrzała Aurelię. Znienawidzona kobieta siedziała z niewinną miną, czytając na głos książkę. Na widok gości odłożyła egzemplarz na etażerkę i jak gdyby nigdy nic poprosiła służącą o przyniesienie kawy oraz ciastek.

Coś takiego! – pomyślała oburzona Emilia. – *Przybłęda czyni honory domu, wciąż czuje się tu jak u siebie!* Od razu doszła do wniosku, że zapewne ciotka jeszcze nie odbyła zapowiedzianej rozmowy. Być może stanęła jej na przeszkodzie wrodzona delikatność, którą w głębi duszy siostrzenica określała naiwnością. Litworowa uznała, że będzie musiała ponownie zajrzeć do ciotki w któreś przedpołudnie, czyli wówczas, gdy z dużą dozą prawdopodobieństwa nie zastanie Aurelii. Ponowi wówczas propozycję, że w imieniu Felicyty rozmówi się z jej synową.

Pokojówka przyniosła tacę z aromatycznym naparem. Dzieci zostały uraczone wyłącznie lemoniadą. Nawet jeśli miały ochotę na ciasteczka, które kusily z talerzyka posypką z grubo mielonego cukru, nie dały tego po sobie poznać. Nauczona przez matkę dyscypliny, grzecznie zajęły miejsce na kanapie. Emilia była z nich niezwykle dumna. W gościach jej pociechy było wyłącznie widać, ponieważ nigdy nie dawały się we znaki dorosłym. Mogła więc śmiało zabierać je ze sobą, gdy wychodziła z mniej oficjalnymi wizytami, wiedząc, że nigdy nie przyniosą jej wstydu. Z satysfakcją odnotowała cień bólu przemykający przez twarz Aurelii, gdy Felicycja głaskała na powitanie ich rumiane buzie.

Litworowa doskonale wiedziała o tym, że młodzi Drzewiccy daremnie starali się o potomka. Ciotka zwierzyła się z tego niegdyś swej siostrze, a ta nie omieszkała powtórzyć wszystkiego córkom. Od tamtej pory minęło ładnych parę lat, a dzieci jak nie było, tak nie było. Dla Emilii stanowiło to jedynie powód do zadowolenia. Nie potrafiła współczuć tej kobiecie. Już samo znoszenie jej obecności w towarzystwie kosztowało ją sporo emocji.

– Ciasteczko? – zaproponowała pani domu, podsuwając Emilii talerzyk.

– Ach nie, ciociu, dziękuję – odparła.

– Obawiasz się, że utyjesz?

– Nic z tych rzeczy. Ostatnio dość często dokucza mi wątroba. Słodyczne zdecydowanie jej nie służą.

– Byłaś u doktora?

– Oczywiście. Zalecił mi właśnie lekką dietę.

– A coś prócz tego? – drążyła Felicycja. – Słyszałam, że kołaczyki krynickie kuzyna Hugona są nader skuteczne –

wspomniała o tabletkach produkowanych przez lokalnego aptekarza z odparowanej wody mineralnej.

– Zażywam. Jak samopoczucie, droga cioteczko? Widzę cię, zdaje się, w znacznie lepszym humorze... – Litworowa szybko zmieniła temat. Należała bowiem do niezwykle rzadkiego gatunku ludzi, którzy nie znajdują upodobania w opowiadaniu o swych przypadłościach.

– Rzeczywiście, czuję się zdecydowanie lepiej – odparła pani domu. – Nie mogę w nieskończoność pogrążyć się w bólu. Coś się kończy, coś się zaczyna... – dodała enigmatycznie. – Nadszedł czas, abyśmy w Ksawerym wpuścili do domu odrobinę świeżego powietrza.

Uwadze Emilki nie umknęło, że ciotka spojrzała znacząco na Aurelię. Z trudem opanowała uśmiech triumfu. A więc Drzewicka szykowała się do batalii ze swą, właściwie była już, synową.

– Zaiste, ciociu, zmiany są niekiedy konieczne. Choć za nimi nie przepadamy, stanowią zasadniczą część naszego życia.

Aurelia jak zwykle milczała. Nieco wcześniej sięgnęła po kanwę, choć wszyscy doskonale wiedzieli, że nie znosi haftów i innych robótek. Udawała jednak bardzo pochłoniętą rozpoczętym wzorem, ponieważ dzięki temu nie musiała nawiązywać kontaktu wzrokowego z Emilią.

Litworowa skosztowała kawy.

– Wyborna – pochwaliła napar.

– Rzeczywiście – przytaknęła Felicycya. – Pan Jules doskonale zaopatruje swój sklep. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że większość towarów przywozi z myślą o kuracjuszach, ale i my, mieszkańcy Krynicy, korzystamy na jego przedsiębiorczości. Coraz rzadziej odnoszę wrażenie, że mieszkamy na głuchej prowincji.

Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie. Świadczyło to o tym, że faktycznie jest w przyzwoitej formie. Już dawno nie rozmawiała z tak pogodnym wyrazem twarzy o fraszkach. Emilia ostatni raz równie odprężoną widziała ją jeszcze za życia Jana – zanim kuzyn gwałtownie się rozchorował.

– Jak dobrze, kochana ciociu, że znowu znajdujesz przyjemności w drobiazgach codziennego dnia.

– To całkowita zasługa mojej drogiej Aurelii – oznajmiła Felicycy, spoglądając bacznie na Emilię. – Uważamy z Ksawerym, że sam miłościwy Bóg postawił ją na naszej drodze.

– A to dopiero! – wyrwało się nieopatrznie Litworowej.

Tymczasem Drzewicka kontynuowała:

– Przypuszczam, że niebawem w Krynicy rozejdą się wieści o tym, co postanowiliśmy uczynić wraz z mężem. Mianowicie wszczęliśmy kroki prawne, by Aurelia została uznana za naszą córkę.

– Ale jak to? – zdziwiła się Litworowa. Coraz trudniej przychodziło jej panowanie nad emocjami. Odnosiła wrażenie, jakby padła ofiarą jakiegoś niesmacznego żartu. Wszak o czymś zupełnie innym rozmawiała niedawno z ciotką. Dawała jej wówczas życzliwe rady, a Felicycy zdawała się skłaniać ku temu, by je zastosować. Skąd więc nagle aż taka zmiana frontu?

– Dobrze zrozumiałam? Chcecie z wujaszkiem adoptować Aurelię?

Zerknęła na młodą wdowę, która z beznamiętnym wyrazem twarzy dźgała igłą w kanwę. Wzrok miała utkwiony w robótce, więc trudno było wywnioskować, co też chodzi jej po głowie. Emilia była jednak święcie przekonana, że gdyby kobieta uniosła spojrzenie, dostrzegłaby w jej oczach blask triumfu.

Aurelia, domyślając się, że dla Litworowej jest persona non grata, odłożyła robótkę. Wstała z zajmowanego fotela i

majestatycznie podeszła do teściowej. A może matki? Pochyliła się i uścisnęła jej dłoń.

– Pozwól, mateczko, że oddalę się do swojego pokoju. Będiesz miała okazję spokojnie pokonwersować z Emilią. Ja natomiast chciałabym przygotować się do jutrzejszych lekcji z moimi podopiecznymi.

– Oczywiście, dziecino – odparła łagodnie Felicjta, wyciągając rękę i pieszczotliwym gestem gładząc policzek synowej. A może córki?

Emilia dygotała wewnątrz z oburzenia, spoglądając na pełną słodyczy scenę.

Gdy Aurelia się oddaliła, Drzewicka zadzwoniła po służącą i poprosiła ją, by zabrała dzieci Emilii do ogrodu. Przypuszczała bowiem, że nie obędzie się bez niezbyt przyjemnej rozmowy. Temat, który zostanie poruszony, zdecydowanie nie był przeznaczony dla dziecięcych uszu.

Skoro kobiety zostały same, Emilia ponowiła pytanie o adopcję.

– Tak, moja droga, właśnie o tym usiłuję ci powiedzieć. Od teraz Aurelia jest naszą córką, a nie synową. Proszę więc, abyś właśnie tak ją traktowała.

– Skąd taka decyzja? – zapytała Litworowa. Udało jej się zapanować nad drzeniem głosu i nie zdradzić, jak mocno wstrząsnęła nią nowina.

– Uznaliśmy z Ksawerym, że tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Boimy się z mężem samotnej starości. Jesteśmy jednak zbyt starzy, aby myśleć o przygarnięciu pod nasz dach sierotki na wychowanie.

– Ależ proponowałam wam gościnę w moim domu właśnie z tego względu! Nie chciałam, abyście się czuli osamotnieni – przypomniała Emilia.

– Starych drzew się nie przesadza. Nawet jeśli miałyby to być tak blisko. Głównym powodem naszej decyzji jest ogromne przywiązanie do Aurelii. Wszak tylko ona została nam po Janku. I choć zdajemy sobie sprawę z tego, że pewnego dnia Aurelia może zechcieć ułożyć sobie życie na nowo, to chcemy nawet w takim przypadku występować w roli jej rodziców. To oczywiste, że kobieta o równie lotnym umyśle nie może ot tak po prostu wrócić na wieś. Nie po to zadbaliśmy o jej edukację, by ją teraz odprawić. Poza tym przyzwyczailiśmy Aurelię do określonego stylu życia oraz wygod, jakich nie znalazłaby w rodzinnej chyży. Byłoby więc niegodziwością z naszej strony, gdybyśmy pozwolili jej odejść. I nie chodzi mi bynajmniej o to, że reputacja naszej rodziny zostałaby narażona na szwank, a ludzie uznaliby nas za okrutnych. Tym, co o mnie mawiają, akurat dawno temu przestałam się przejmować. Gdy człowiek czuje upływający czas i dostrzega nadciągające widmo kostuchy, mniej zważa na sprawy doczesne, więcej na potrzeby serca. Tak naprawdę w tym wszystkim przeważało nasze wielkie przywiązanie do Aurelii, która jest dla nas niczym córka. Wiem, że dzięki niej czekająca nas starość nie będzie tak smutna i samotna, jak byłoby to w sytuacji, gdyby Aurelia zechciała wrócić do swych prawdziwych rodziców.

– Och... Ciociu! – jęknęła rozgoryczona siostrzenica. – Przecież oferowałam tobie i wujkowi miejsce w naszym domu. Nie byłibyście samotni. Mieszkalibyście wśród bliskich i życzliwych osób, otoczeni troską i rodzinnym ciepłem. Jesteśmy waszymi najbliższymi krewnymi – przypomniała.

– Tak, tak... Wiem o tym, drogie dziecko. Ale czemu mielibyśmy z Ksawerym żyć kątem w cudzym domu, skoro mamy własny? Kocham to miejsce i nie wyobrażam sobie, abym miała je opuścić. Podobnie zresztą nie wyobrażam sobie, by

nasza willa miała zostać zmieniona w pensjonat – dodała znacznie surowszym tonem.

– Ależ ciociu! Nigdy w życiu nie zrobiłabym niczego bez twojej akceptacji. To była tylko propozycja wynikająca z chęci pomocy.

– Dobrymi chęciami jest wybrukowane piekło. Czy kiedykolwiek użalałam się na brak pieniędzy? Mówiłam, że nie wystarcza mi środków do życia? – zapytała ciotka. – Fundusze, jakimi dysponuje mój mąż, całkowicie zaspokajają nasze potrzeby. Nie muszę nawet ruszać posagu, który złożony jest u bankierów. Na cóż mi więc dodatkowe przychody? Do grobu tego wszystkiego nie zabiorę. Wolę, by w moim domu toczyło się normalne życie. Powiem więcej: mam nadzieję, że za jakiś czas Aurelia zechce wyjść ponownie za mąż i obdaruje nas wnukami.

– Wnukami – powtórzyła za nią Emilia.

– Tak, wnukami.

– Ależ to nie będą wasze wnuki! To będą dzieci obcej kobiety i obcego mężczyzny. A gdzie więzy krwi? W moim domu żyłabyś wśród siostrzanych wnuków, którym mogłabyś zastąpić babcię. Moje maleństwa spragnione są takiej relacji rodzinnej. Matka Dionizego jest osobą oschłą, nie okazuje im czułości. Kiedy tutaj z nimi przychodzę, wiem, że zawsze znajdziesz dla nich tkliwe słowo i gest.

– I to się nigdy nie zmieni – zapewniła Drzewicka. – Zawsze będą mi bliscy. Uważam jednak, że szczerze przywiązanie jest ważniejsze niż więzy krwi. A do Aurelii przywiązana jestem całym sercem.

– Och! Ale w swej dobroci jak zwykle nie pomyślałaś o tym, co powiedzą ludzie – stwierdziła Emilia.

– Cóż mieliby mówić? – odparła pytaniem ciotka. – Jednego na pewno nie powiedzą: nie zarzucą mi, że przepędziła wdowę.

– A choćby to stanie się pożywką dla plotek, że ledwo wraz z wujem pochowaliście syna, a natychmiast kupiliście sobie córkę. Będą was wytykać palcami! Zresztą nie tylko was, bo i tych ludzi z Powroźnika także. – Celowo pominęła nazwisko Juraszków.

– Phi! – prychnęła Felicycya. – Gdybym chciała się przejmować plotkami, osiwiiałabym, będąc w twoim wieku – zakpiła, zezując na pierwsze siwe nitki srebrzące się na skroniach siostrzenicy. Sama bardzo długo mogła się pochłubić nieskazitelną barwą włosów. Ponieważ była blondynką, posiwiiała niemal niedostrzegalnie.

– A ja, ciociu, upieram się przy stanowisku, że to, co zrobiliście z wujem Ksawerym, jest formą kupczenia.

– To nie jest kupczenie. Juraszkowie nie otrzymali od nas żadnego zadośćuczynienia za zrzeczenie się formalnych praw do dorosłej córki, a jedynie zapewnienie, że będziemy ją traktować z ogromną miłością i należyтым szacunkiem. Niełatwo było ich przekonać do naszej racji. Oni pragnęli, by Aurelia wróciła pod ich dach. Ostatecznie jednak przyznali, że jesteśmy jej w stanie zapewnić naprawdę godne życie. I uwierzyli, że w naszym postępowaniu nie ma wyrachowania, lecz kierujemy się wyłącznie dobrem Aurelii. Zresztą nie zamierzamy utrudniać naszej córce kontaktów z jej krewnymi. Nigdy tego nie robiliśmy.

Jedna wielka kochająca się rodzina – stwierdziła z przekąsem Litworowa. W porę ugryzła się w język i nie wygłosiła komentarza. Od dawna irytowało ją, że w określonych okolicznościach w domu Drzewickich można spotkać prostaków. Że zasiadają oni w jadalni, są goszczeni w salonie i podejmowani, jakby należeli do okolicznej socjety. I pomyśleć, że do niedawna była przekonana, iż nareszcie jej kontakty z

tymi ludźmi zostaną ucięte i nie będzie więcej narażona na ich towarzystwo. Tymczasem ciotka spletała jej naprawdę paskudnego psikusa. Zamiast uciąć znajomość, zabrnęła w nią jeszcze głębiej. Jak to było możliwe? Co takiego zrobiła Aurelia, że do tego stopnia obydwójce z wujem jedli jej z ręki? Poznała jakiś kompromitujący sekret rodzinny? Trzymała ich w szachu?

– Wiesz co? Uważam, że dałaś się omotać tej kobiecie. Nie pojmuję, jak mogłaś postawić obcą osobę ponad własnych krewnych.

– Droga Emilio, radzę ci, abyś przestała dramatyzować. Kiedy umierała twoja nieszczęsna matka, obiecałam jej, że zatroszczę się o twoją przyszłość. Słowa dotrzymam, lecz na własnych warunkach. Wszak nie przysięgałam jej, gdy leżała na łożu śmierci, że oddam ci cały mój majątek. Miałam tylko czuwać nad tym, by nie zabrakło ci środków do życia. Jesteś moją chrzestną córką, więc to oczywiste, że nie pominęłam cię w testamencie. Bo zdaje się, że wyłącznie z tym wiąże się twoje oburzenie. Jednakże o tym, jak będziemy wraz z Ksawerym dysponować całą naszą fortuną, decydujemy sami i nic nikomu do tego. Wbrew temu, co uważasz, Aurelia nie jest wyrachowaną istotą. Wcale nie zależało jej na tym, abyśmy formalnie załatwili sprawę. Była bardzo zaskoczona, że tak na to nalegamy. Nie ma więc tutaj mowy o tym, by ktokolwiek kogokolwiek omotał. Powtarzam: podjęliśmy z mężem świadomą decyzję i jest ona nieodwołalna. Wiem, że miałaś zakusy na nasz dom i pozostałe dobra, ale musisz się pogodzić z tym, że nie zawsze dostaje się od losu to, czego się chce. Ufam, że masz dość taktu i godności, by przyjąć to z należytych respektem i nie będziesz się ośmieszała dalszymi pretensjami w oczach moich, Aurelii bądź osób postronnych. A jeżeli

posuniesz się do jakichś niegodziwości, zapewniam, że wykreślę cię z testamentu całkowicie.

– Ależ ciociu! – Głos Emilii zadrżał szlochem. Przerażona kobieta uświadomiła sobie, że może wiele stracić. Bardzo liczyła na zapis w testamencie, który w przyszłości pozwoliłby na opłacenie studiów Stasia, a Teosi zapewniłby posag. – Wszak nie mam żadnych pretensji. Nigdy nie powodował mną materializm. Jeśli dawałam ci jakieś życzliwe rady, to wyłącznie dlatego, że zależało mi na dobrym imieniu rodziny. Nie chciałam, aby plotkowano o nas w towarzystwie.

– O nas? – podłapała Drzewicka. Uniosła brew i spojrzała znacząco na chrześnicę. – Ja tutaj nie widzę materii dla plotkarzy, a już na pewno nie do snucia domysłów na twój temat. Drogie dziecko, popadasz w przesadę. A teraz proszę, skończmy już tę nieprzyjemną rozmowę – powiedziała stanowczo.

– Cioteczko kochana, nie żyw do mnie urazy, ja naprawdę miałam czyste intencje. Nie chciałam niczyjej krzywdy. Wszak to oczywiste, że nawet gdybyś mnie posłuchała i odprawiła Aurelię, należałoby jej dać jakieś zadośćuczynienie, ale skoro postanowiłaś inaczej, szanuję twoją decyzję – zapewniła prędko Litworowa.

Przecież nie mogła dopuścić, by matka chrzestna wpadła w gniew i całkowicie ją wydziedziczyła. Dionizy nie był szczególnie zaradny, w związku z tym Litworom dość często brakowało pieniędzy. Felicjta z wrodzonym taktem wspierała ich w trudnych chwilach. Emilia nawet nie musiała zabiegać jakoś specjalnie o pomoc. Gdy tylko mimochodem wspominała, że mają z mężem problemy finansowe, ciotka od razu oferowała pożądane kwoty lub zwracała się do Ksawerego, aby uregulował ich zobowiązania. Emilia, choć nie przepadała za

rachunkami, orientowała się w tym, że w szufladzie wujka musi spoczywać sporo weksli opatrzonych podpisem Dionizego. Wiedziała również, że wuj nigdy nie zrobi z nich użytku. Wystawione były wyłącznie pro forma.

– No już dobrze, dobrze... – Felicycyta uścisnęła dłoń chrześnicy.
– Doskonale wiesz, że zależy mi, abyśmy pozostawały w jak najlepszych stosunkach. Twoja matka była moją jedyną i ukochaną siostrą. Gdy odeszła do domu Pana, pozostawiła po sobie ogromną pustkę. O ile nie przepadałam nigdy za twym ojcem, o tyle jej los zawsze mnie obchodził. A miłość siostrzaną przeniosłam również na ciebie oraz na Klarę, chociaż siłą rzeczy to ty, jako chrzestna córka, jesteś mi bliższa. Cieszę się więc, że nie żywisz do mnie urazy. Musisz sobie przecież zdawać sprawę, że gdybym odprawiła Aurelię, ludzie wytykaliby mnie palcami. Podjęliśmy z Ksawerym jedyną słuszną decyzję – powtórzyła. – Kierowały nami zarówno względy towarzyskie, jak i pobudki serca.

Kiedy wizyta Emilii dobiegła końca, Felicycyta odetchnęła z ulgą.

Jak dobrze, że mam to już z głowy – pomyślała. Spodziewała się, że siostrzenica będzie wcieloną pretensją, gdy usłyszy o tym, co się wydarzyło. Jednak gniew Litworowej okazał się znacznie mniejszy, niż założyła. Cieszyła się, że tej rozmowie nie przysłuchiwała się Aurelia. Zdecydowanie łatwiej było omówić drażliwą kwestię pod jej nieobecność.

Zachowanie kamiennego wyrazu twarzy w drodze do domu kosztowało Emilię mnóstwo zachodu. Trudno było utrzymać nerwy na wodzy, gdy nagle jej świat legł w gruzach, a wszystkie plany i marzenia posypały się w drobny pył. Tak bardzo liczyła na to, że nareszcie pozbędzie się Aurelii! Już właściwie widziała się w pięknej willi należącej do Drzewickich. Oczyma

wyobraźni przerabiała ją na pensjonat, przyjmowała tam gości i zarabiała na tym mnóstwo pieniędzy bez konieczności przymilania się do kogokolwiek.

Niełatwo było utrzymać się z pensji Dionizego. Potrzeby rodziny wciąż rosły, a ślubny zarabiał tyle co kot napłakał. Litworowie irytowali się tym, że wuj nie chce dać Dyziowi podwyżki, a zamiast tego woli co jakiś czas wykupywać jego weksle lub opłacać rachunki u krawca, modystki, szewca czy piekarza lub rzeźnika. Wszak wyższe apanaże rozwiązałyby większość problemów finansowych rodziny.

Stary drań lubi nas trzymać w garści – rozmyślała zniechęcona kobieta. – Musi nas upokarzać zapomogami.

Emilia wpadła niczym burza do domu. Od razu oddała dzieci pod opiekę służącej, a sama zaczęła się miotać nerwowo po salonie. Gdy niechcący zawadziła o etażerkę i strąciła jakieś filigranowe cacko, zaklęła tak szpetnie, że zdumiony byłby nawet szewc. Nikt ze znajomych, kto zobaczyłby ją w tym momencie, nie uwierzyłby, że to ta sama pani Litwora, która bryluje w towarzystwie i jest stawianym za przykład młodym pannom uosobieniem dobrych manier.

I cóż jej z nienagannej opinii, skoro stanowiła wyłącznie ułudę?

Od dłuższego czasu palił jej się grunt pod nogami i doskonale zdawała sobie sprawę, że jeżeli nie znajdzie sposobu na to, by się choć odrobinę wzbogacić, cały czar pryśnie. Nie stać jej było na dalsze utrzymanie obecnego poziomu.

Niewielka willa Litworów wymagała znacznych nakładów pieniężnych. Ciemnozielona farba pokrywająca deski elewacji zaczynała się łuszczyć, a gont na dachu klekotał podczas mocniejszych podmuchów wiatru. Pokoje straszyły pociemniałymi tapetami, dywany, które Emilia dostała w

spadku po matce, wytarły się i straciły pierwotny urok. Niedogrzewane zimą pomieszczenia woniały stęchlizną. Pani domu usiłowała ratować sytuację, paląc liczne kadzidełka. Kotary wiszące w oknach tak układała, by dawały sporo cienia maskującego stare obicia. Wyszczerbiona zastawa stołowa pamiętała zdecydowanie lepsze czasy, bowiem dom i znajdujące się w nim dobra należały przed laty do rodziców Emilii. Może gdyby jej ojciec nie był hulaką i nie przetrwonął większości posiadanych zasobów z szansonistkami, dzisiaj stary domek prezentowałby się znacznie lepiej. Zapewne nawet zostałby rozbudowany, jak to było w przypadku kilku innych krynickich budynków. Nic więc dziwnego, że Emilia spoglądała łakomym wzrokiem na piękną willę ciotki i rachowała w duchu, jakie mogłaby z niej uzyskiwać profity. Taka Witoldówka czy Wisła przynosiły właścicielom spore dochody, czemu więc dom Pod Lipami nie miałby zostać równie efektywnie wykorzystany?

Właściwie Emilia i Dionizy od dawna żyli ponad stan, wydając pieniądze, których nie mieli. Gdyby nie pomoc wujka Ksawerego, zapewne niejeden weksel spędzałby im sen z powiek.

Litworowa miała już szczerze dość przymilania się wujostwu o każdego talara. Może i wykazywali się wyjątkową hojnością, lecz dla Emilii to było zdecydowanie zbyt mało. Znacznie przyjemniej byłoby zyskać własne stałe źródło dochodów, a przestronna willa Drzewickich doskonale nadawała się do tego, by zarabiać na niej fortunę. Być może nawet z myślą o pensjonacie wybudowano ją przed wielu laty, lecz Drzewiccy nigdy nie wykorzystali potencjału tego budynku. Zadowalali się przychodami z tartaku. O ile Emilia miała dobre rozeznanie w

ich sytuacji finansowej, wujostwo nie czerpali na swe wydatki nawet z posagu ciotki.

Chociaż kto wie? Może przetrzebiła go ta wieśniaczka? Wszak trzeba było Aurelię godnie wyposażyć, nim pokazano ją na salonach. Jan nigdy nie żałował pieniędzy na suknie oraz klejnoty dla ślubnej, nie wspominając już o całej reszcie rzeczy. Dodatkowo zaopatrzył żonę w wierzchowca, który z punktu widzenia Emilii stanowił zwyczajną fanaberię. Krynica nie była na tyle dużą miejscowością, by poruszać się po niej konno. A z wizytami do Powroźnika Aurelia mogła chadzać pieszo, była do tego przyzwyczajona.

Młoda kobieta krążyła więc po bawialni, zżymając się w duchu. W myślach życzyła młodej Drzewickiej wszystkiego najgorszego.

– A niech ją diabli! – syknęła w pewnym momencie. W porę ugryzła się w język. Wiedziała bowiem, że służąca lubi podsłuchiwać. Ale korciło ją, by na głos wypowiedzieć myśl, która od dłuższego czasu ją nawiedzała. Żywiła nadzieję, że wdowa spadnie pewnego dnia z konia i skręci sobie kark. Albo roztrzaska głowę o jakiś kamień. Albo ktoś na nią napadnie, gdy będzie wracała z Powroźnika. Albo po prostu ciężko zachoruje, podobnie jak jej mąż nieudacznik, choć Litworowa była głęboko przekonana, że choroba Jana stanowiła naturalny skutek wcześniejszego wypadku.

Emilia raz po raz podchodziła do okna, wypatrując, czy Dionizy nie wraca z biura. To był jedyny człowiek, któremu mogła zwierzyć się szczerze ze swej troski, tylko przed nim nie musiała udawać potulnej, łagodnej i dobrze wychowanej damy. On jeden jedyny widywał ją taką, jaką była w rzeczywistości. Nawet matka i siostra nie poznały ciemniejszej strony jej duszy, którą obnażała niekiedy przed mężem. Zresztą z Dionizym

dobrali się jak w korcu maku: byli do siebie kubek w kubek podobni. Obydwoje mieli nieposkromiony apetyt na życie i na pieniądze. I obydwoje równie dobrze potrafili się z tym kamuflować, by w towarzystwie uchodzić za ludzi bezinteresownych, taktownych, wyrozumiałych – krótko mówiąc, ucieleśnienie wszelakich cnót.

Z ulgą powitała Dionizego wracającego z tartaku, choć nie od razu zwierzyła mu się ze swego utrapienia. W czasie podwieczorku panowała nad emocjami. Nie chciała rozpoczynać rozmowy z mężem ani przy potomkach, ani w sytuacji, gdy mogła ich usłyszeć posługaczka.

Kiedy rodzina skończyła posiłek, pani domu poleciła Pelasi, by prędko uprzątnęła stół, a następnie zabrała dzieci na spacer. Irytowało ją niepomierne już samo to, że do dyspozycji miała tylko dwie służące. Jedna zajmowała się kuchnią i porządkami, a druga podawała do stołu, dbała o garderobę i opiekowała się dziećmi. Niełatwo było prowadzić dom na najwyższym poziomie, mając tak ograniczone możliwości. Emilia musiała dokonywać cudów, by wobec osób postronnych ich życie prezentowało się jak należy. Swoje pracownice trzymała twardą ręką.

– Co cię tak wzburzyło, lisiczko? – zapytał Dionizy. – Odkąd wróciłem z biura, widzę, że jesteś wciąż naburmuszona. Czyżby wizyta u ciotki Felicyty poszła nie po twojej myśli?

– Jakbyś zgadł – odparła, ponieważ mąż wiedział o jej planach na godziny poobiednie. Zaraz z rana wspomniała mu o tym, że wybiera się do krewnej, by wybadać, czy sprawa Aurelii posunęła się do przodu. – Nawet sobie nie wyobrażasz tego, co się stało! – wykrzyknęła wzburzona. – Lepiej usiądź, bo jak ci powiem, to z wrażenia chyba padniesz.

Mężczyzna wzruszył tylko ramionami, sięgnął do szkatułki po cygaretkę i zamiast usiąść, jak zasugerowała małżonka, stanął w otwartym na oścież oknie. Emilia zwykle gniewała się o dym wypełniający salon. Twierdziła, że wsiąka w zasłony oraz obicia mebli, i z paleniem odsyłała ślubnego do gabinetu. Tym razem jednak nie zareagowała, widząc, jak przypala papierosa. Nie przebierając w słowach, opowiedziała mu o przebiegu wizyty u krewnej, na każdym kroku podkreślając, jak mocno poczuła się skrzywdzona jej decyzją i jak bardzo gardzi Aurelią.

– Ta mała prostytutka wkradła się w łaski ciotki i pozbawiła mnie dziedzictwa! – wykrzykiwała z oburzeniem. – Chrzestna jest chyba niespełna rozumu. Chce jej oddać w przyszłości cały swój majątek, pojmujesz? A mnie... mnie... swej najbliższej krewnej, córce swojej siostry, swojej chrześnicy... – zająknęła się – obiecała zaledwie jakiś skromny zapis w testamencie. A przecież kiedy matula leżała na łożu śmierci, Felicyna zapewniała ją, że zatroszczy się o nas. Owszem, póki żył Jan, mogłam się spodziewać, że przypadnie mi w udziale zaledwie jakiś ochłap, bo to dość oczywiste, że zasadniczą część majątku ciotka przekazałaby synowi. W sytuacji, gdy on zmarł, jest chyba jasne, że jestem chrzestnej najbliższa. Tymczasem ona wolała przyhołubić jakąś obcą dziewczuchę. Wieśniaczkę!

– Szaleju się baba najadła – odparł Dionizy. – To już postanowione? – Wolał się upewnić, czy żona nie wyolbrzymia.

– Obawiam się, że tak. Jestem głęboko przekonana, że owe kroki prawne, o których wspomniała ciotka, zostały już podjęte. Ona nie należy do osób, które plotą trzy po trzy.

– Hm... Właściwie mogę zrozumieć, że chciała zapewnić przyszłość swojej pupilce. Ale po co od razu było chodzić z tym do sądu?

– Być może uznała, że jeśli sprawa nie zostanie załatwiona w sposób formalny, to w przyszłości będziemy dochodzić swoich praw. To tylko świadczy o tym, jak ona mało mi ufa. A tak się starałam! Byłam zawsze dla niej uprzedzająco miła, wręcz usłużna. Wspierałam ją na duchu w najtrudniejszych chwilach jej życia. A ona tak mi odpłacała! – mówiła z goryczą kobieta. – I teraz jeszcze ma czelność oczekiwać, że będę traktowała Aurelię tak, jakby faktycznie była jej rodzoną córką. Och... Niedoczekanie! Nigdy nie nazwę tej dziewczuchy kuzynką! Już ja zadbam o to, by towarzystwo nią pogardzało. Na szczęście moje słowo jeszcze coś znaczy na salonach! – wykrzykiwała z furią.

– Ochłoń, moja droga – powiedział Dionizy tonem zupełnie spokojnym, jakby cała rzecz nie dotyczyła go w najmniejszym stopniu. – Tutaj trzeba zachować rozsądek. Złością niczego nie wskóramy. Jeśli zaczniesz oficjalnie uprzykrzać życie Aurelii, ciotka całkowicie się od ciebie odwróci. Uważam, że powinnaś wykorzystać dobre stosunki, jakie chyba wciąż was łączą. Bo nadal was łączą, prawda? Nie obraziłaś się na nią na amen?

– No co ty? Dyziu! – oburzyła się ślubna. – Przecież znasz mnie nie od dzisiaj. Wiesz, że jestem mistrzynią dyplomacji i zawsze zachowuję się tak, jak wymagają tego okoliczności. Owszem, ciotka zaskoczyła mnie swoją decyzją, lecz starałam się jak najmniej dać to po sobie poznać. Zresztą franca zboliała na koniec sama mnie prosiła o to, bym nie kruszyła kopii. Ona mnie potrzebuje – podsumowała z satysfakcją – choćby po to, by zapewnić Aurelii otwarte salony. Doskonale wie, że jeśli ja obdarzę jej pieśczożkę przyjaźnią, to również inni tak będą czynili. Felicjta musi sobie zdawać sprawę z tego, że śmierć Jana zmieniła wszystko. I że o ile wcześniej Aurelia była tolerowana wśród socjety, to gdy minie czas żałoby, z całą pewnością ludzie będą ją traktowali jak zapowietrzoną. To ja

mam być złotym biletem Aurelii do najlepszych domów w Krynicy – wyjaśniła racjonalnie. Emocje nieco opadły, ton jej głosu był znacznie spokojniejszy. – Tak więc sam widzisz, mój drogi mężu, że mogę naprawdę wiele. Jeśli zechcę, zaszkodzę Aurelii. Już ona mnie popamięta! – Ponownie uderzyła w gniewne tony.

– Powtarzam ci, ochłoń. Gniewem nic nie wskórasz. Nie chcemy, aby Felicyna całkowicie się do ciebie zraziła. Na twoim miejscu wykorzystałbym pozycję, którą zapewniłaś sobie do tej pory. Nigdy nie pomyślałaś o tym, że o ile przyjaciół dobrze jest mieć w zasięgu wzroku, o tyle wrogów dobrze byłoby mieć jeszcze bliżej, by bacznie śledzić ich poczynania? Moim zdaniem powinnaś całkowicie zmienić front. Zbliź się do Aurelii. Wy, kobiety doskonale to potraficie! Postaraj się wybadać ją i jej sekrety. Może ma na sumieniu coś, co mogłoby ją zdyskredytować w oczach towarzystwa? A przynajmniej sprawić, by odwróciła się od niej ciotka. Najlepiej byłoby, gdybyś choć trochę się z nią zaprzyjaźniła. To pozwoliłoby uspić czujność Aurelii. A reszta dokonałaby się później sama. – Spojrzał znacząco na żonę. – Kwestia Jana też bardzo długo wydawała nam się beznadziejna, a jednak los nam pomógł. Wprawdzie Drzewiccy mocno pokrzyżowali nasze plany, ale to jeszcze nie oznacza, że mamy zrezygnować ze schedy!

– Możesz być pewny, że nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa. Mam swoje sposoby – syknęła złowieszczo ślubna, ciesząc się w duchu, że mąż tak dobrze ją rozumie. – Nawiasem mówiąc, nie pojmuję, co ta mała żmija robi, że tak potrafi sobie wszystkich zjednywać.

– Jakimś cudem musiała omotać starego. Mnie jakoś do tej pory nie udało się wkraść w jego łaski, choć wyłażę ze skóry, by udowodnić swą użyteczność dla tartaku. Ech... Myślałem, że po

śmierci Jana wuj uczyni mnie swą prawą ręką i to ja będę zarządzał interesem, do czasu aż ty go odziedziczysz. No bo komu innemu miałby go niby zapisać? Tymczasem on w ogóle nie próbuje mnie wdrażać w swoje sprawy i zleca mi najnudniejszą robotę, jaką jest prowadzenie rachunków. Buchalterię byle głupek mógłby poprowadzić. Co innego handel drzewem i jego obróbka! Cholera jasna! Emilio! Musimy zapobiec przejściu tego wszystkiego w ręce Aurelii!

PRZYJACIÓŁKI

Krynica

Z wolna po Krynicy zaczęły rozchodzić się pogłoski o tym, że państwo Drzewiccy postanowili adoptować własną synową. Dla niektórych osób było to spore zaskoczenie. Spodziewano się raczej, że prędzej czy później odprawią dziewczynę na wieś – tam, skąd pochodziła. Byli również tacy, którzy twierdzili, że właściwie nie są zdziwieni ich decyzją, bowiem Aurelia ma wyjątkowy urok osobisty, a osamotnieni ludzie z całą pewnością łakną w domu stałej obecności kogoś, kto umili im niechybnie nadciągającą starość.

Nikt jednak nie miał czasu na to, by przyglądać się sprawie bliżej i uważniej, ponieważ trwała pełnia sezonu kuracyjnego. Każdy właściciel pensjonatu zajęty był gośćmi. Rozmyślano nad rozrywkami dla pensjonariuszy, zaopatrzeniem, obsługą. Zajęć było huk. Względny spokój mieli jedynie ci mieszkańcy miejscowości, którzy nie przyjmowali letników, a na życie zarabiali w inny sposób. Tych było niewiele, gdyż znacząca większość mieszkańców Krynicy świadczyła usługi przybyszom. Kupcy, lekarze, hotelarze, właściciele cukierni oraz kawiarni mieli pełne ręce roboty. Tak czy owak, wieści rozeszły się wśród kryniczan, okazały się prawdziwe i dość szybko spowszedniały.

Wzmianki docierały także do kuracjuszy. Dla nich stanowiły przede wszystkim ciekawostkę czy też barwną opowieść o tym, jak zwyczajną łemkowską dziewczynę spotkał los na miarę baśniowego Kopciuszka.

Matylda nowiny zasłyszała od doktorowej Cerchowej.

– Wiedziałam, że nie pozostałaś obojętna na historię pani Drzewickiej – podsumowała swoją opowieść Helena. – Co więcej, teraz gdy Aurelia jest już niemalże formalnie córką państwa Drzewickich, Felicjta i Ksawery postanowili znowu otworzyć swój salon dla gości. Oczywiście nie z takim rozmachem jak w czasach sprzed żałoby. Niemniej jednak zaczynają przyjmować. Myślę, że dobrze byłoby złożyć im choćby kurtuazyjną wizytę. Znam tych ludzi nie od dzisiaj. Co ty na to, Matyldo? Wybrałabyś się do nich wraz ze mną? Zdaję sobie sprawę, że odwiedziny u kogoś w takiej sytuacji mogą nie być szczególną atrakcją, zwłaszcza że przyjechałaś tutaj przede wszystkim po to, by wypoczywać oraz... – Urwała o włos od popełnienia gafy. Chciała bowiem wspomnieć o histerii. Ostatecznie wybrnęła z wrodzoną sobie dyplomacją: – Oraz poddawać się zbawiennym działaniom wód.

– Ależ Helenko, z największą przyjemnością wybiorę się z tobą do Drzewickich – oznajmiła Matylda. Wszak nie mogła przepuścić okazji, by osobiście upewnić się, czy w pięknych opowieściach nie ma przesady i przyszłość łemkowskiej dziewczyny rzeczywiście została przesądzona z korzyścią dla niej.

– Przyznaj lepiej, że jesteś niezwykle ciekawa ich córki – skomentowała Zuzia. Sama nie wykazywała się podobnym entuzjazmem, wychodząc z założenia, że zdrowiej i bezpieczniej jest wetknąć nos w książkę niż w cudze sprawy.

– Nie przeczę. Ale w moim zainteresowaniu nie ma chyba niczego zdrożnego.

– Wspaniale! – skwitowała pani Cercha. – Już sobie pozwoliłam na wysłanie biletu wizytowego do ich domu. Jeżeli więc tylko macie ochotę, jutro możecie mi towarzyszyć.

– Uważam, że całkowicie wystarczy, jeśli pójdzie z tobą Matyllda – stwierdziła Zuzanna. – Chociaż państwo Drzewiccy skrócili oficjalny czas żałoby, sądzę, że mimo wszystko nie należy narzucać im się ze zbyt licznymi wizytami. Byłaby to spora niezręczność.

W rzeczy samej Strzelecka nie była zainteresowana odwiedzinami u tych ludzi. O to, że Matyllda nie popełni żadnego szaleństwa, była całkowicie spokojna. Towarzystwo Heleny z pewnością gwarantowało przyzwoite zachowanie szwagierki.

Czasami Zuza irytowała się, że Seweryn poślubił taką niepoprawną trzpiotkę. O Matyldzie można było powiedzieć wiele dobrego, to poczciwa osóbką, ale daleko jej było do dobrze ułożonej damy. Być może gdyby nie echo skandalu sprzed lat, które wciąż ciągnęło się za Adamczykami, Seweryn zrobiłby lepszą partię i poślubił przykładowo jakąś zubożałą szlachciankę, by podnieść rangę rodziny. Matyllda pochodziła z mieszczaństwa. Jej rodzice nie przywiązywali nazbyt dużej wagi do konwenansów. Pozostawiali swoim dzieciom nadmierną swobodę, co skutkowało niekiedy jakimiś nieopatrzonymi wybrykami. W rezultacie Matyllda miała już na koncie sporo gaf towarzyskich i uraziła niejedną damę, pogardzając zaproszeniem do jej domu, nie składając rewizyty bądź paplając nieopatrznie jakieś głupstwa. Na szczęście wiele jej wybaczano, tłumacząc sobie zmienne nastroje Matyldy to odmiennym stanem, którego rzecz jasna nie zaznała do tej pory, to właśnie brakiem owego stanu. Nic więc dziwnego, że nim Seweryn wyjechał do Krakowa, kilkakrotnie przypomniał siostrze, by miała baczenie na poczynania jego żony.

Salon Drzewickich sprawiał bardzo przyjemne wrażenie. Urządzony był z ogromnym smakiem i w przeciwieństwie do

wielu podobnych miejsc nie został przeładowany nadmiarem bibelotów. Nie wyczuwało się tu także charakterystycznej woni kadzideł czy stęchlizny – tak znamiennej dla innych bawialni. Widać Felicjta nie bała się uchylania okien i częstego wietrzenia pokoi.

Obydwie panie Drzewickie odziane były żałobnie, lecz ich oczy nie nosiły śladów łez. Matylda skonstatowała, że na policzkach Aurelii pojawiły się zdrowe rumieńce. Kiedy zestawiała jej aktualny obraz z tym, który zapamiętała sprzed kilku dni, dostrzegła zasadniczą różnicę. Najwyraźniej poczucie bezpieczeństwa zrobiło swoje.

Kobiety prowadziły niezobowiązującą konwersację. Matylda z zaskoczeniem wyłapywała z rozmowy znajome nazwiska. Dowiedziała się, że parę lat wcześniej, podczas karnawału, Drzewiccy gościli w Krakowie.

– Jakże to możliwe, że państwa wówczas nie poznałam? – zdziwiła się niepomiernie.

– Ach, cóż... Było to dość dawno temu. Minęło, zdaje się, sześć lat – oznajmiła Aurelia. – A później jakoś nie nadarzała się okazja. Zresztą zimą niełatwo stąd wyjechać. Śnieg zasypuje gościniec i nawet podróż do Muszyny staje się uciążliwa.

– Rzeczywiście, musi to być kłopotliwe.

– Wciąż trwają przymiarki do połączenia nas ze światem, ale jakoś rozchodzi się to po kościach – wtrąciła Felicjta.

– Czyli mówią panie, że gościły ostatnio w Krakowie sześć lat temu? – Matylda ponownie podjęła ten temat. Zamilkła na chwilę, a później, po chwili namysłu, dodała: – No tak! Nie mogłam wtedy państwa poznać, ponieważ byliśmy w żałobie. Zmarł mój tato, więc dla mnie tamten karnawał był niestety stracony. Miałam wówczas debiutować w towarzystwie, a zamiast tego opłakiwałam ojca. Dopiero w następnym roku

mogłam oficjalnie wkroczyć na salony. I tak pięknie się złożyło, że właśnie wtedy poznałam mojego męża. Wzięliśmy ślub kilka miesięcy później – wyznała szczerze Matylda i z miejsca poczuła się niezręcznie, bowiem uświadomiła sobie, że rozmawia z wdową, która jest mniej więcej jej rówieśnicą. Być może obydwie brały ślub w podobnym czasie. Już po chwili nasza ją refleksja, że właśnie dlatego historia Aurelii tak mocno ją porusza, ponieważ odrobinę przypomina jej własną: były w zbliżonym wieku, obydwie wyszły za mąż z miłości, żadna z nich nie dochowała się pociech. Zasadnicza różnica to taka, że w przypadku Matyldy jeszcze wszystko było możliwe. Aurelia natomiast, z racji tego, że nie urodziła dzieci pierwszemu mężowi, miała nikłe szanse na ponowne zamążpójście. Wszak nie od dzisiaj wiadomo, że panowie po to biorą sobie żony, by mieć potomków. Kobieta taka jak Aurelia mogła liczyć co najwyżej na wdowca obarczonego licznym drobiazgiem. Takiego, któremu potrzebna jest nie towarzyszka życia, ale po prostu piastunka.

Okropny jest los kobiet! – zżymała się w duchu Matylda. – *Oczekuje się od nas, że będziemy potulne, miłe i będziemy rodziły dzieci. A gdy z jakiegoś powodu ich nie mamy, traktowane jesteśmy jak istoty wybrakowane. Przecież to oczywiste, że bardzo pragnę mieć własne maleństwa. Ale prócz tego życzyłabym sobie być osobą dostrzeganą jako równoprawna partnerka w dyskusjach. Chciałabym, aby ludzi bardziej interesował mój światopogląd niż powierzchowność. Abym, podobnie jak mężczyźni, miała prawo do kształtowania otaczającej mnie rzeczywistości.* Nie chodziło jej bynajmniej o to, jak ma wyglądać jej dom, ponieważ ambicje Matyldy wybiegały daleko poza Mały Rynek w Krakowie. Ona pragnęła równouprawnienia, partnerstwa, a nawet możliwości

podejmowania decyzji politycznych. W pełni popierała działania sufrażystek i wszelkie ruchy emancypacyjne. Miała szczerze dość postrzegania jej jako osóbkę o małym rozumku, nierozumiejącej realiów społecznych.

W dość krótkim czasie rozmawiające podzieliły się na dwie grupki. Helenka przysiadła się bliżej Felicyty i bardzo intymnie o czymś ze sobą rozprawiały. Młodsza z kobiet ścisnęła dłonie starszej. Zniżyły głosy niemalże do szeptu, choć zapewne ich intencją nie było robienie tajemnic przed pozostałymi paniami, które de facto szybko znalazły wspólny język i przestały zwracać uwagę na stateczniejsze damy.

Matylda i Aurelia pograżyły się w przyjemnej pogawędce. W pewnym momencie córka gospodarzy poczuła ochotę na opuszczenie domu.

– Dzień taki piękny, aż żal siedzieć w salonie – zauważyła. – Nie ma pani czasem ochoty na spacer? Mamy dość ładnie utrzymany ogród.

– Z przyjemnością go obejrzę – odparła Matylda, mimo że przechadzek miała szczerze dosyć.

Ostatnio Adamczykowa odnosiła wrażenie, że niczego innego nie robi, tylko wciąż wędruje i wędruje, i wędruje. Ale czym innym były bezsensowne przechadzki deptakiem, gdzie tak naprawdę najważniejsze było prezentowanie najmodniejszych sukien *à la Paris*, a czym innym mógłby być spacer z tą miłą osóbką.

To niesamowite, jak szybko odnalazła w młodej Drzewickiej pokrewną duszę!

Gdy panie wyszły na zewnątrz, ich rozmowa nadal gładko płynęła. Przez chwilę padały achy i ochy pod adresem pięknie utrzymanego ogrodu. W pewnym momencie jednak Matylda wypaliła dość szczerze:

– Helenka opowiedziała mi swego czasu historię pani życia. To niesamowite! Właściwie to temat na piękną powieść. Eliza Orzeszkowa na pewno potrafiłaby zrobić z niego użytek.

– Ach... Orzeszkowa! – wykrzyknęła Aurelia. – Jest zdecydowanie moją najukochańszą pisarką. Moje pierwsze zetknięcie z prawdziwą powieścią to napisany właśnie przez nią *Pamiętnik Waławy*. Otrzymałam tę książkę w prezencie od mego nauczyciela. Wcześniej czytywałam wyłącznie poezję oraz szkolne czytanki. Bardzo lubię Mickiewicza, mam tomik jego *Poezycji*. To pamiątka rodzinna, ale może kiedyś nadarzy się okazja, abym ją pani pokazała. Wiąże się z nią dość niezwykła historia, bo jest rzeczą oczywistą, że do chłopskich chat rzadko trafiają książki – paplała w najlepsze, nie zważając na zmieszanie Adamczykowej.

– Nie gniewa się pani na mnie za tę uwagę? – zapytała Matylda, którą od razu ogarnął wstyd za wygłoszone wcześniej słowa.

– Ależ skądże znowu? Tutaj wszyscy wiedzą, gdzie przyszłam na świat. Jaki byłby sens w robieniu z tego tajemnicy? Nikt nigdy nie czynił sekretu z mojego pochodzenia. Powiem więcej: jestem dumna z moich prawdziwych rodziców. Wszak właśnie ich staraniom zawdzięczam to, kim jestem dzisiaj. Gdyby nie posyłali mnie do szkoły i z dość znaczącym uszczerbkiem dla siebie nie opłacali dodatkowych lekcji, dzisiaj byłabym pewnie zwykłą wiejską gąską. Nawet gdybym spodobała się Janowi, skąd mam wiedzieć, jak dalej potoczyłyby się moje losy? Głęboko wierzę, że oczarował go nie tylko mój wygląd, ale również to, że jednak mam w główce coś więcej niżli fraszki – powiedziała żartobliwym tonem.

Matylda w lot podjęła ten wątek.

– Tak się paskudnie utarło, że panowie wolą głupiutkie dziewczątka. W ich obecności czują się mądrzy i bardzo doceniani.

– Jan zdecydowanie nie należał do takich mężczyzn. Lubiliśmy ze sobą rozmawiać i spędzać wspólnie czas. Nigdy nie dał mi odczuć, że uważa mnie za kogoś stojącego niżej w hierarchii społecznej. Ani że, z racji płci, to on ma nade mną przewagę. W naszym małżeństwie nie było miejsca na nudę – wyznała z nutą nostalgii. – Och! Teraz to ja powinnam panią przeprosić za me wynurzenia.

– Ależ skądże, pani Aurelio! Przyjemnie posłuchać, jak mówi pani o swoim mężu. To miłe natrafić w końcu na kobietę, która jest szczerą i otwartą. Cały ten salonowy blichtr... Ech. Szkoda słów! Wszystko jest w nim na pokaz: sztuczne i przekłamane. Każdy stroi się w najpiękniejsze piórka, choć niejedna dobrze wychowana dama ma diabła za skórą, a w ustach słodkie kłamstewka.

– O! Czyżby i pani zdążyła odkryć, ile fałszu i obłudy jest wśród elit? – zdziwiła się Drzewicka.

– No cóż... Nie jestem szlachcianką, lecz córką mieszczan, podobnie zresztą jak mój mąż. Bywamy jednak dużo na salonach, również wśród ludzi dobrze urodzonych. Oni tak wybitnie potrafią dać odczuć innym osobom, że uważają je za gorsze od siebie! Niby nie wprost, niby mimochodem, ale na każdym kroku podkreślają swoją wyższość. Panowie świata! – rzuciła z przekąsem. – W rzeczy samej nie są nikim innym, jak tylko potomkami sprzedawczyków, którzy prehandlowali wolność naszej ojczyzny, pokrywając kłamstwa głoszeniem wzniosłych idei. Większość naszych elit to zgnuśniali ignoranci siedzący w żydowskich kieszeniach. Żyją na pokaz za cudze pieniądze, wstydząc się kalania dłoni pracą. Pod tym względem

my, mieszczanie, na pewno stoimy wyżej: swój dobrobyt zawdzięczamy odpowiednim wysiłkom. No... Dość politykowania. – Zaśmiała się, a następnie stwierdziła: – Tak czy owak, uważam, że życie byłoby znacznie prostsze, gdyby ludzie byli ze sobą szczerzy i nie ubierali wszystkiego w pozłotkę pięknych słówek, które tak naprawdę niewiele znaczą.

– Och... Matyldo! Nawet sobie pani nie zdaje sprawy, jak przyjemnie jest spotkać osobę, która jest ze mną tak zgodna. Pominąwszy moją teściową, istotę o na wskroś otwartym sercu i umyśle, nie spotkałam chyba nikogo, kto miałby podobny tok rozumowania jak ja. Odnoszę wrażenie, że całe moje otoczenie jest niezwykle skostniałe i przesycone fałszem. I że nam, kobietom, nawet gdy już jesteśmy mężatkami, nie wypada wyrażać swojego zdania wprost. Ilekroć bywałam sama z moim mężem i rozmawialiśmy tylko we dwoje, mogłam śmiało wyrażać myśli. W towarzystwie musiałam się znacznie bardziej pilnować.

– Czyniono pani jakieś przykrości z powodu pochodzenia?

– Nie. Właściwie muszę przyznać, że przez okoliczne elity zostałam przyjęta z życzliwością, ale jestem głęboko przekonana, że to całkowita zasługa pozycji społecznej moich teściów oraz zmarłego męża. Przez wzgląd na nich oraz szacunek, którym byli i są darzeni, szanowano również i mnie. Gdyby jednak moi teściowie nie podjęli decyzji o tym, aby mnie uznać formalnie za córkę, to zapewne za jakiś czas jedynym, co mogłabym zrobić, byłby powrót do Powroźnika. Brałam także pod uwagę możliwość opuszczenia tego miejsca na dobre. Wyjechania daleko stąd, gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna, i rozpoczęcia życia na nowo. Chociaż pewnie tam zostałabym czyjąś pokojówką. Ale wydaje mi się, że to byłoby i tak o wiele prostsze niż pozostawanie tutaj i narażanie się na ciekawskie

spojrzenia oraz plotki. A swoją drogą – uśmiechnęła się łagodnie – nawet sobie pani nie wyobraża, jakie to niezwykle uczucie mieć aż czworo rodziców: dwie matki i dwóch ojców. Na dodatek oni wszyscy pragną wyłącznie mojego dobra. Teściowie posunęli się do tak radykalnych kroków właśnie po to, by zagwarantować mi utrzymanie obecnej pozycji społecznej nawet wówczas, gdy ich zabraknie. Przepraszam za te wszystkie wynurzenia. Rozmawia mi się z panią tak dobrze, jakbyśmy się znały od zawsze. A ja właśnie poczułam potrzebę opowiedzenia komuś o moich przeżyciach.

– Ależ pani Aurelio! Proszę nie przepraszać. Ja także dostrzegam w pani bratnią duszę. I jeśli mi wolno, jeśli mogę się odważyć... – zająknęła się Matylda. – Chciałabym, abyśmy mówiły do siebie po imieniu. Wierzę bowiem, że nasza znajomość przetrwa nawet wówczas, gdy wyjadę do Krakowa.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, droga Matyldo, jak niezwykle jest mi miło z tego powodu! – wykrzyknęła Drzewicka i uścisnęła jej dłoń. Wierzyła, że słowa Adamczykowej są szczerze i wypływają wprost z serca.

– Bardzo się cieszę, Aurelio. Wiesz, wyznam ci, że jeszcze do niedawna żałowałam przyjazdu do Krynicy. Nie znalazłam tutaj towarzystwa, które by mnie pociągało i w którym czułabym się dobrze. Źle mi wśród mężatek mających dzieci, ponieważ mocno od nich odstaję. Ale źle mi także wśród panienek. Nie jest łatwo w naszym świecie być bezdzietną kobietą.

Od tamtego popołudnia Matylda i Aurelia stały się niemal nierozłączne. Adamczykowa przestała odczuwać przykrość na myśl o spędzeniu reszty lata w Krynicy.

Aurelia natomiast cieszyła się, że ma z kim spędzać popołudnia. Po śniadaniu, tak jak do tej pory, działała na rzecz Towarzystwa Przyjaciół Krynicy. Wracała do domu na obiad,

później spotykała się z Matyldą. Wieczory poświęcała rodzinie. W niedziele z reguły odwiedzała własnych rodziców w Powroźniku.

Matylda zwykle wieczorami chadzała do teatru lub kawiarni – zawsze w towarzystwie swej szwagierki. Czasami dołączała do nich Helena lub inne kuracjuszki. Właściwie przestała ją nudzić schematyczność owych rozrywek. Musiała przyznać, że trupy teatralne z Krakowa oraz ze Lwowa, które przybyły na sezon do kurortu, spisywały się nad wyraz dobrze. Wystawiano taką różnorodność sztuk, że było w czym wybierać.

Tydzień za tygodniem upływały nadzwyczaj szybko. Młode kobiety bardzo dużo spacerowały razem, lecz nie po wydeptanych szlakach. Aurelia zabierała zwykle Matyldę w miejsca, które znane były głównie mieszkańcom okolicy. Komitywa młodych dam błyskawicznie zmieniła się w szczerą przyjaźń. Panie rozmawiały ze sobą właściwie o wszystkim. Z biegiem czasu zaczęły się sobie zwierzać nawet z najgłębszych sekretów, których nie powierzyłyby absolutnie nikomu. Znajdowały dla siebie wzajemnie słowa pociechy, gdy popadały w smutny nastrój. Obydwie marzyły o potomstwie, lecz w przypadku Aurelii wizja macierzyństwa całkowicie się oddaliła. Drzewicka właściwie nie wierzyła w to, że kiedykolwiek dane jej będzie tulić własne dzieci. Nie ustawała natomiast w podnoszeniu na duchu Matyldy, zapewniając ją, że pobyt w Krynicy dobrze jej zrobi i że prawdopodobnie w listach z Krakowa napisze o stanie błogosławionym. Obiecały sobie solennie, że dołożą starań, by ich znajomość przetrwała nawet wtedy, gdy dojdzie do rozłąki. Już zdążyły wymienić się adresami. A jeśli okoliczności będą im sprzyjały, spotkają się za rok.

Aurelia nie chciała składać deklaracji na wyrost, lecz postanowiła, że jeżeli Seweryn nie wyrazi zainteresowania wysłaniem ponownie żony do kurortu, to ona uprosi swoją przybraną matkę, by zaprosiła państwa Adamczyków choć na parę tygodni w gościnę.

Przebywający w Krakowie Seweryn regularnie prowadził korespondencję ze swoją żoną oraz siostrą. O ile początkowo listy od Matyldy przepełnione były pretensjami o to, że zostawił ślubną samą i skazał ją na nudę, to wkrótce zasadniczo zmieniły charakter. Potwierdzały to zresztą również wieści przekazywane przez siostrę. Wiele wskazywało na to, że Matylda odnalazła się w uzdrowisku, spędzała przyjemnie czas i nawet zawarła jakąś miłą znajomość.

Zuzia wychwalała pod niebiosa towarzyszkę szwagierki jako kobietę bardzo sympatyczną, wartościową i naprawdę godną zaufania. Nazwisko kobiety wzmiankowanej w liście wydało mu się znajome, lecz jakoś nie potrafił przyporządkować go do żadnej z osób, które osobiście poznał podczas swojego krótkiego pobytu w Krynicy. Absolutnie nie skojarzył go z opowiadaniem żony o tym, jak to nieopatrznie podsłuchiwała rozmowę dwóch obcych pań podczas balu. Do tamtej sprawy nie przywiązał większego znaczenia, ponieważ Zuzanna uspokoiła go w kolejnych listach, że Matylda nie wikła się w żadne skandale i postępuje nader rozważnie – jak przystało na żonę szanowanego prawnika.

Co więcej, Maksymilian Cercha, z którym także regularnie wymieniał wiadomości, chwalił zaangażowanie Matyldy. Zauważył, że na twarz podopiecznej powrócił ładny koloryt i ślicznie się zarumieniała, w oczach pojawiły się ogniki, których wcześniej nie dostrzegał. Ruch na świeżym powietrzu na pewno doskonale wpłynął na jej kondycję psychiczną i fizyczną.

Matylda nabrała apetytu na zdrowe jedzenie, przestała się odżywiać wyłącznie słodyczami, coraz chętniej natomiast sięgała zarówno po mięso, jak i owoce. Pozytywne skutki diety odnotował doktor Skórczewski, który nie omieszkał podzielić się swoją wiedzą z Maksymilianem. Tak więc obydwaj medycy zadowoleni byli z postępów czynionych przez pacjentkę. Gratulowali sobie wzajemnie skuteczności kuracji.

Seweryn wraz z Tytusem wrócili do Krynicy, by spędzić z żonami kolejne dwa tygodnie. Ku swemu przyjemnemu zaskoczeniu Adamczyk zastał ślubną całkowicie odmienioną. Potwierdziły się więc wszystkie informacje wyczytane z listów medyka. Co więcej, jego ukochana nie tylko wypiękniała w oczach, ale również tryskała dobrym humorem.

– Jak dobrze widzieć cię taką radosną, mój skarbie! – zauważył.

Państwo Adamczykowie wybierali się właśnie na bal. Zgodnie ze złożoną wcześniej obietnicą Seweryn zamierzał wynagrodzić ślubnej wszystkie zaległości w tej dziedzinie. Podbudowany pomyslnymi wieściami, przywiózł nawet z Krakowa upominek: piękny perłowy naszyjnik z kameą pośrodku. Prezent został przyjęty z nie mniejszą radością niż sama obecność ofiarodawcy.

– Wiesz, Sewerynie? Bardzo się cieszę, że tutaj trafiłam. Rzeczywiście potrzebowałam odmiany. W Krakowie o tej porze roku jest okropnie duszno. Upał doskwiera na każdym kroku. A tutaj, pośród malowniczych lasów i gór, czuję się doskonale. Powietrze jest niezwykle rześkie i krystaliczne, a wody ze źródeł czynią cuda. Koniecznie powinieneś ich pokosztować. Na pewno ci nie zaszkodzą. Zwłaszcza że ostatnimi czasy miewałeś problemy, gdy najadłeś się zbyt obficie. – Nie omieszkała przypomnieć mężowi, że i on nie jest okazem zdrowia.

– Dla ciebie wszystko. Mogę pić tę wodę całymi dzbanami. Skoro tobie pomogła, to myślę, że i mnie dobrze zrobi. Zamierzam dobrze wykorzystać najbliższe dwa tygodnie – powiedział nieco dwuznacznie, ponieważ od razu objął żonę w pól, mocno ją do siebie przycisnął i wpił się ustami w jej wargi.

Całował ją z pasją, jakiej już dawno nie odczuwał. Metamorfoza ślubnej: rumieniec na policzkach oraz iskry w oczach wzbudziły w nim pożądanie. Gdyby nie to, że obydwójce byli już gotowi do pójścia na bal, pewnie zostałyby z ukochaną w apartamencie, by pokosztować jej wdzięków.

– Co robisz! – skarciła go z łagodnym oburzeniem. – Zniszczysz mi fryzurę. Biedna Hanka musiała się nieźle namozolić, by ułożyć mi włosy w twarzowy sposób. W Krakowie zwykle czesze mnie fryzjer – przypomniawszy – a ona zajmuje się wyłącznie toaletami. Tutaj musi zadbać absolutnie o wszystko. Nie przysparzaj jej więc pracy, ponieważ nie ma wprawy w upięciach.

Rzeczywiście godzinę wcześniej Hania z wysiłkiem ułożyła włosy swej pracodawczyni. Kilkakrotnie usiłowała spiętrzyć je bardzo wysoko nad czołem, wykorzystując przy tym specjalną włosianą podkładkę, która wciąż się przekrzywiała. Pasma, prócz tego, że miały sprawiać wrażenie, jakby było ich nieprawdopodobnie dużo, musiały też być zaczesane w miarę gładko, bez sterczących kosmyków. Całą fryzurę charakteryzowały objętość oraz prostota, a te wbrew pozorom wcale nie były łatwe do uzyskania, gdyż czupryna Matyldy nie należała do bujnych. Adamczykowa od zawsze spoglądała z zazdrością na kobiety, które matka natura wyposażyła znacznie hojniej niż ją – tak że nie musiały uciekać się do sztuczek z

dopinanymi pasmami. Jej własne były zdecydowanie zbyt krótkie i za rzadkie.

Chcąc osłodzić mężowi połajankę, wycisnęła na jego wargach szybkiego całusa. Zaraz też się odsunęła, by czasami nie uroił sobie, że daje mu przyzwolenie na dalsze umizgi. Owszem, miała ochotę pofiglować z mężem, tęskniła za nim, ale obiecywała sobie, że uczynią to później. Na razie ważniejsze było wyjście na bal, wszak czekała na tę chwilę dobre cztery tygodnie, z zazdrością spoglądając na panie, które wychodziły wieczorami potańczyć. Niektórym szczęściarom mężowie towarzyszyli przez cały okres pobytu w kurorcie. Inne nie miały przy sobie cerberów w postaci czujnych szwagierek. W Krynicy nie brakowało samotnych dżentelmenów i to właśnie przed nimi Zuzanna tak gorliwie usiłowała chronić Matyldę. Cóż, Strzelecka miała doświadczenie w tej kwestii, często bowiem wyjeżdżała na sezon letni do Dusznik. A gdy wracała do Krakowa, opowiadała, jakie tam kwitły romanse i flirty. W ostatnich tygodniach wciąż przestrzegała Matyldę, twierdząc, że w takich miejscowościach nie brak donżuanów wypatrujących okazji, by zdobyć łatwe trofeum.

Świtało. Pierwsze promienie słońca już wychylały się zza otaczających kurort lesistych wzgórz. Cienie, jeszcze wydłużone, kładły się szarymi smugami na deptaku. Dla wielu kuracjuszy nadeszła pora wypoczynku, dla służby obsługującej uzdrowisko nastawał kolejny dzień pracy.

Eudokia obudziła się ze snu. Wciąż miała przed oczami majaki, w których widziała samą siebie odzianą w piękne stroje, wiodącą beztróskie, próżniacze życie. Wprawdzie nie potrafiła sobie wyobrazić takiej codzienności, ale marzyła o świecie, w którym nie trzeba na kłęczkach szorować brudnych podłóg, nosić wody i spełniać kapryśków bogaczy.

Jeszcze przez krótki moment pogrążona była w błogostanie na pograniczu jawy i snu. Gdy jednak podniosła powieki, z przerażeniem uświadomiła sobie, że przebywa w miejscu, w którym nie miała prawa się teraz znajdować: w pokoju kuracjusza. Co więcej, że mężczyzna śpiący za jej plecami przygniata ją swym ramieniem. Słyszała dobiegające z tyłu pochrapywanie.

Jak najdelikatniej wysunęła się z jego objęć. Musiała opuścić pokój, zanim ktokolwiek się zorientuje, że zabawiła tutaj zdecydowanie za długo. Wszak zatrudniając Eudokię, gospodyni nie omieszkała jej przestrzec, że za nieobyczajne zachowanie kara jest tylko jedna: wyrzucenie na bruk.

Zmęczeni tańcami Adamczykowie wracali do hotelowego apartamentu. Wchodząc po trzeszczących drewnianych schodach na piętro, minęli spłoszoną dziewczkę. Plaskanie bosych stóp stłumił dywan.

– A ta co tutaj robi? – mruknął Seweryn, ponieważ dla służby przeznaczona była osobna klatka schodowa. – Pewnie zasiedziała się u któregoś z kuracjuszy. Bezwstydnica!

– Daj spokój, kochany – zmitygowała go ślubna. – Może po prostu ktoś wezwał ją z jakąś posługą.

– Aha... O tej porze tylko z jedną. Ciekawe, od którego z panów się wymknęła.

– Nas nie powinno to obchodzić – zauważyła żona, odgadując, czyj numer opuściła niepełnosprawna dziewczyna. Zdążyła już poznać z widzenia większość służby, zauważyła więc, że Eudokią interesuje się kilku samotnych mężczyzn. Nader często widywała ją wychodzącą choćby z pokoju zajmowanego przez artystę malarza.

Gdy przekroczyli próg apartamentu, Sewerynowi od razu wywietrzała z głowy Drowniakówna. Zatrzasnął drzwi, a

następnie przygarnął do siebie żonę.

– Uff... Nareszcie – wyszeptał jej na ucho. – Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak bardzo za tobą tęskniłem.

Znaczył pocałunkami ślad od małżowiny po mocno wycięty dekolt wieczorowej sukni. Jego gorący oddech wręcz palił szyję Matyldy. Wygłodniali miłości, przywarli do siebie w ścisłym uścisku. Nie było czasu na rozpinanie sukni, rozsznurowywanie gorsetu, rozczesywanie misternie ułożonej fryzury. Liczyło się tu i teraz. Pragnienie wypełniające zmysły, buzująca krew, żar ciała. Seweryn ujął żonę w talii i posadził ją na komodzie. Zadarł spódnicę oraz sute falbany halek. Musiała mu pomóc, gdyż wąska w biodrach toaleta znacząco krępowała jej ruchy. Mężczyzna zniecierpliwionymi dłońmi rozpiął spodnie i rozluźniał sztywny kołnierzyk koszuli, który nagle zaczął niemiłosiernie go uwierać. W końcu, uwolnieni od odzieży, mogli stopić się w jedno.

Nazajutrz podczas śniadania Seweryn zaproponował, że odprowadzi żonę na pierwszy z zaplanowanych na ten dzień zabiegów. Wyszli nieco wcześniej, niż było to konieczne, bowiem po drodze zamierzali wstąpić do Zdroju Głównego, by napić się wody źródlanej.

Na deptaku natknęli się na Aurelię. Matylda z miejsca dokonała prezentacji.

– Ach, więc to pani jest nową przyjaciółką mojej żony. Bardzo mi miło.

Seweryn uśmiechnął się do kobiety odzianej we wdowie szaty. I momentalnie sobie uświadomił, że Drzewicka jest właśnie tą osobką, o której usłyszał od żony przed wyjazdem do Krakowa. Frapowało go, w jaki sposób panie się ze sobą zaznajomiły. Czyżby jednak Matylda nie posłuchała jego ostrzeżeń? Byłby tym srodze zawiedziony! Wszak stanowczo zakazał jej

wychodzenia przed szereg i informowania nieznanym pani, że usłyszała jakieś związane z nią plotki. Mimo szybko narastającego zdenerwowania cierpliwie przeczekał, aż damy wymienią ze sobą zwyczajowe uprzejmości. Dopiero gdy odeszli na bezpieczną odległość, zagadnął żonę o Aurelię.

– Możesz mi wyjaśnić, moja droga, jakim cudem zaprzyjaźniłaś się z tą kobietą? Przecież obiecałaś mi, że nie będziesz się wtrącała w nie swoje sprawy – przypomniał gniewnym głosem.

– Ależ Sewerynie! – oburzyła się ślubna. – To nie jest tak, jak myślisz! Ani słowem nie wspomniałam Aurelii, że usłyszałam, jak tamte panie o niej rozmawiają. Przyznaję, że korciło mnie, by to zrobić, lecz posłuchałam twych napomnień. Nasza zażyłość powstała zupełnym przypadkiem i zawdzięczam ją Helence. To ona wprowadziła mnie do domu Drzewickich.

– Czyżby minął czas żałoby? – zdziwił się mężczyzna, konstatuując, że widział na własne oczy wdowę ubraną w czerń, a nie w znacznie lżejszy fiolet czy szarości.

– Niezupełnie. Od śmierci Jana minęło nieco ponad pół roku. Państwo Drzewiccy postanowili jednak otworzyć salony, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Z całą pewnością nie spotkamy tych ludzi ani na balu, ani w teatrze. Przyjmują jednak wizyty.

– Ufam, że zachowałeś umiar i dyskrecję.

– Ależ oczywiście. Jak w ogóle możesz w to wątpić? – nadąsała się żona. – Dla twej wiadomości: sprawa Aurelii rozwiązała się sama. Otóż okazało się, że Drzewiccy postanowili uznać ją za rodzoną córkę i nawet zaczęli załatwiać tę sprawę formalnie.

– No widzisz? – skwitował z satysfakcją. – Wszak powtarzałem ci, że ludzie tacy jak oni nie narażą na szwank swojej reputacji i nie wyrzucą wdowy na bruk. Chociaż akurat nie przyszło mi na

myśl, że zechcą ją adoptować. Tego się raczej nie praktykuje w przypadku dorosłych osób. To pięknie z ich strony, że do tego stopnia zatroszczyli się o przyszłość synowej. Widać brali pod uwagę, że w razie ich śmierci dalsza rodzina może próbować pozbawić Aurelię dziedzictwa – podsumował z uznaniem.

– Też tak uważam – przyznała żona.

– A zatem, moja droga, jak zwykle miałem słuszność. Gdybyś próbowała w to ingerować, po prostu zbłąźniłabyś się przed tymi ludźmi, a przynajmniej przed Aurelią. Choć i tak jestem mocno zaskoczony, że to właśnie w niej znalazłaś odpowiednie dla siebie towarzystwo.

– Och... Ty jej nie znasz, Sewerynie! – wykrzyknęła entuzjastycznie Matyllda. – Ona jest tak miłą i sympatyczną osobą, że po prostu nie da się nie lubić. Kiedy z nią rozmawiam albo po prostu przebywamy razem, czuję pokrewieństwo dusz.

– No, no, no – rzucił żartobliwie Seweryn. – Nie chcesz mi chyba przez to dać do zrozumienia, że powinienem być zazdrosny?

– No wiesz? – Tym razem to ona udała oburzenie. Przyszło jej do głowy, że w słowach męża można się dopatrzeć wyjątkowo sprośnego podtekstu, podczas gdy jej zażyłość z Aurelią miała zupełnie czysty charakter. Drzewicka była po prostu przyjaciółką, o jakiej marzyła całe swoje życie.

– Kobieto, puchu marny! – odparł Seweryn, przewracając wymownie oczami.

– Sewerynie, a może wybierzesz się ze mną do Aurelii? – zaproponowała ślubna.

– Nie sądzę, by to był najlepszy pomysł. Czułbym się niezręcznie, nachodząc tych ludzi. Nawet jeśli otwarli salony na wizyty, to mimo wszystko czuję, że jednak nie wypada. Wam, kobietom, prędzej to ujdzie, ponieważ łakniecie towarzystwa

nawet w trudnych chwilach. Być może wizyty u państwa Drzewickich są mile widziane z uwagi na to, że pani domu liczy na odwiedziny, które będą ją podnosiły na duchu i wpływały pozytywnie na jej humor – stwierdził. – Jeśli więc masz ochotę, wybierz się tam sama. My z Tytusem planujemy dzisiaj wycieczkę po okolicznych górach. Obiecywaliśmy sobie już przy poprzedniej wizycie, że będziemy dużo maszerować. O ile wiem, Zuzanna nie przepada za takimi wyprawami. Ona preferuje przechadzki deptakiem, my potrzebujemy większego wysiłku.

– Czyli spotykamy się na obiedzie, a później każdy z nas sam organizuje sobie czas wolny – upewniła się żona.

– Niezupełnie, duszko. Aby cokolwiek zobaczyć, musimy wyruszyć jak najprędzej. Ale nie martw się, zdążymy wrócić przed wyjściem do teatru. Wieczorem znowu będziemy nadrabiali zaległości towarzyskie.

Dwa tygodnie w kurorcie upływały na niekończących się balach, wyjściach do teatru, rautach, przechadzkach deptakiem i oczywiście popijaniu kryniczanki. Czas minął niczym z bicza strzelił i Seweryn wraz ze szwagrem nawet się nie obejrżeli, gdy nadeszła pora na kolejny powrót do miasta.

Tym razem Adamczyk wyjechał z poczuciem, że tak naprawdę żona nie odczuje jego nieobecności. Zauważył bowiem, jak bardzo pochłonięta jest nowo zawartą znajomością. I zastanawiał się, czy to jest powód do niepokoju, czy raczej do radości, że Aurelię określa mianem przyjaciółki. Uspokoił się jednak, myśląc, że właściwie kobiety są pod tym względem bardzo dziecinne i mniej ostrożne od mężczyzn. Darzą ludzi większym zaufaniem, łatwiej się otwierają. Zresztą nawet Zuzia w rozmowie z nim potwierdziła, że towarzystwo Aurelii doskonale wpłynęło na Matyldę. Nie było zatem większego

powodu do zmartwienia, choć ta ogromna komitywa faktycznie wydawała się dość dziwna.

W towarzystwie Aurelii nie było mowy o nudzie. Nawet wieczorne wyjścia do teatru nie bawiły Matyldy równie mocno jak czas spędzony w towarzystwie wdowy. Owszem, zdarzały się chwile, gdy Aurelia bywała w zdecydowanie gorszym nastroju. W jej oczach szkliły się łzy, a na twarzy wyraźnie widać było smutek. Mimo to kobieta znajdowała w sobie wewnętrzną siłę i potrafiła uśmiechać się mimo łez. Zawsze miała w zanadrzu jakąś interesującą historię do opowiedzenia Matyldzie. A im posępniejsza była, tym bardziej ciągnęło ją, by coś zrobić.

– Mam przecucie, że jeżeli usiądę na kanapie i zacznę się nad sobą rozczulać, to będzie jeszcze gorzej – wyznała pewnego dnia. – Kiedy wędruję po moich ukochanych okolicach i odwiedzam ulubione miejsca, gdy jestem zmęczona tak bardzo, że po powrocie do domu brak mi sił na cokolwiek, wtedy nie mam czasu na uzalanie się nad sobą. Zresztą czy wolno mi się roztkliwiać? To oczywiste, że nigdy nie zapomnę o mężu. On na zawsze pozostanie w moim sercu i myślach. Ale dzięki temu małżeństwu zyskałam coś bardzo cennego. I nie chodzi mi bynajmniej o zabezpieczenie materialne, ponieważ przyzwyczajona byłam do skromnego stylu życia i bez trudu czy żalu potrafiłabym rozstać się z luksusami. Ale przywiązanie do mnie moich teściów, a właściwie teraz już nowych rodziców, jest wręcz bezcenne. Ci ludzie szczerze mnie kochają, czuję to. Zresztą ja także darzę ich głęboką miłością oraz szacunkiem.

– To musi być niesamowite uczucie – stwierdziła Matylda. – Masz czworo rodziców, podczas gdy zarówno ja, jak i Seweryn straciliśmy już naszych. Wiesz? Smutno być samemu. Szczególnie brakuje mi mateczki. W chwilach kiedy było mi

najtrudniej, kiedy tak rozpaczliwie pragnęłam dziecka, a ono się nie pojawiało, najbardziej tęskniłam za mamą. Chciałam się do niej przytulić, położyć głowę na jej kolanach, poczuć dotyk jej dłoni. Co ja bym dała w takich momentach, by pogłaskała mnie po włosach i powiedziała, że wszystko będzie dobrze! Abym znowu poczuła się jak mała dziewczynka: kochana i bezpieczna. Zazdroszczę ci, Aurelio, ale tak pozytywnie i bez zawiści – oznajmiła.

– Wiem, o czym mówisz. Choć sama nigdy nie zaznałam takiego chłodu i osamotnienia, to jednak rzeczywiście wówczas, gdy było mi ciężko, matczyne czułość zawsze dodawała mi siły. To zdumiewające, prawda? Jesteśmy dorosłymi kobietami, mamy już własne życie i bagaż doświadczeń, a mimo to ciągnie nas w matczyne objęcia.

– Uważam, że z tego po prostu się nie wyrasta. Być może gdybym sama była matką, to wówczas mniej łaknęłabym bliskości rodzicielki. Może byłabym tak zajęta, że nie miałabym czasu tęsknić i wspominać? – wyznała Matylda, wędrując dziarsko ramię w ramię z Aurelią.

NADZIEJA

Powroźnik

– Dokąd mnie dzisiaj zaprowadzisz? – zapytała Matylda pewnego letniego popołudnia.

To miała być ich ostatnia tak długa wspólna wycieczka przed wyjazdem Matyldy.

Nazajutrz Adamczykowa spodziewała się Seweryna. Mąż zamierzał pozostać z nią w Krynicy przez tydzień, a następnie całą rodziną planowali powrót do Krakowa. I już było jej smutno na myśl, że nie będzie codziennie widywać Aurelii, a jedyna forma kontaktu, jaka im pozostanie, to wymiana listów. W całym życiu nie czuła się równie dobrze w towarzystwie żadnej kobiety. Kiedy jeszcze była panną, dziewczęta stanowiły dla niej właściwie konkurencję na drodze do zrobienia dobrej partii. A gdy już wyszła za mąż, okazało się, że z innymi mężatkami trudno jej znaleźć wspólny język. Tamte rozmawiały o macierzyństwie: dzieciach i związanymi z nim radościami oraz troskami. Ona tylko przysłuchiwała im się z narastającym bólem.

– Dzisiaj zrobimy sobie troszkę dłuższy spacer – zapowiedziała Aurelia. – Chciałabym ci pokazać miejsce, z którego pochodzę. O ile, rzecz jasna, nie przeraża cię perspektywa wizyty w chłopskiej chacie.

– Ależ skądże! – wykrzyknęła Adamczykowa. – Z przyjemnością poznam twoją rodzinę. Nie ukrywam, że jestem ogromnie ciekawa ludzi, pomiędzy którymi dorastałaś.

– Nie obiecuj sobie zbyt wiele. Pochodzę z prostej rodziny. Mój tato jest pszczelarzem. Witalisa już miałaś okazję spotkać, wiózł

cię przecież z Muszyny – przypomniała.

– I przyjemnie zapadł w moją pamięć – oznajmiła Matylda.

Adamczykowa nauczona już była, że na spotkania z przyjaciółką należy wkładać najwygodniejsze trzewiki i nie ma sensu stroić się w zbyt eleganckie kostiumy, bowiem Aurelia modą interesowała się raczej powierzchownie, a nad piękno stroju przedkładała jego praktyczność. Po blisko trzech miesiącach znajomości kobieta miała nieodparte wrażenie, jakby znały się od zawsze. I musiała oddać sprawiedliwość Helence: nie przesadziła ani trochę, opowiadając, że Drzewicka zna doskonale całą okolicę i chyba wszystkie związane z nią legendy.

– Mam nadzieję, że czujesz się na siłach, by pójść na nieco dłuższy spacer? Czeką nas mniej więcej godzinna wędrówka.

– Dam radę – odparła entuzjastycznie Matylda. – W ostatnich tygodniach przeszłam tak wiele mil, że niestraszne mi są żadne odległości. I wiesz co, Aurelio? Nigdy wcześniej nie czułam się równie dobrze. W Krakowie nauczona byłam jeździć wszędzie dorożką. Odbywałam zaledwie króciutkie spacery po Rynku i okolicy. Czasami przeszłam się Plantami. A w rzeczywistości najczęściej zaglądałam do cukierni pana Piaseckiego, co w ogóle nie służyło mojej kondycji i figurze.

– Ach! Figurę masz piękną – stwierdziła Aurelia. – Jesteś uosobieniem kobiecości.

– Uosobieniem kobiecości byłabym wówczas, gdybym powiła chociaż jedną dziecinę.

– Moja droga, za dużo o tym myślisz! Zresztą ja popełniałam dokładnie ten sam błąd. Wciąż martwiłam się, że nie jestem brzemienna. Teraz najbardziej żałuję, że zamiast po prostu cieszyć się życiem i obecnością Jana, skupiałam uwagę tylko na jednym. Ale nic to, nie rozprawiamy dzisiaj o smutnych

sprawach. Jest pięknie, pogoda nam sprzyja, nie ma upału, aż chce się żyć i wędrować przed siebie. Jeżeli nasza wyprawa bardzo cię zmęczy, to jestem pewna, że Witalis chętnie odwiezie nas do Krynicy. Proponuje mi podwózkę za każdym razem, gdy przychodzę do rodzinnego domu. A ja mu odmawiam, bo nawykła jestem do chodzenia pieszo. Niegdyś codziennie pokonywałam tę drogę tam i z powrotem, idąc do pracy w Pijalni Głównej.

– Czy twoi rodzice mówią po polsku? – zagadnęła Matylda, zmieniając radykalnie temat.

– Oczywiście. Jak chyba wszyscy Łemkowie z okolicy. Od pokoleń żyjemy tutaj obok siebie: Polacy, Rusnacy i Żydzi. Robimy razem interesy. Musimy więc się rozumieć. Nie martw się, na pewno dogadasz się z moimi bliskimi.

– Ach, to cudownie! – odetchnęła z ulgą. – Czułabym się niezręcznie, gdybym nie mogła swobodnie z nimi rozmawiać, choć oczywiście mogłabym prosić cię o tłumaczenie poszczególnych wypowiedzi. Ale łatwiej jest gawędzić, gdy odbywa się to bez pośredników.

– Wiadomo. Tłumacz zawsze może coś nieumyślnie przekręcić, a wtedy nieporozumienie gotowe. Choć akurat w tym przypadku nie ma powodów do obaw. Sama widzisz, że biegle władam obydwoma językami. Ale zawsze przyjemniej jest, gdy nie trzeba zastanawiać się nad każdym słowem.

– Och... Z tym zastanawianiem się to ja mam wiecznie problemy. Zuzia często mnie strofuje, że szybciej mówię, niż myślę, przez co nieustannie popełniam gafy. Zresztą Seweryn także daje mi czasami odczuć, że paplam za dużo.

– W naszej sferze towarzyskiej zdecydowanie zbyt często trzeba się gryźć w język – zauważyła Drzewicka, co od razu pociągnęło za sobą komentarz przyjaciółki.

– Wiesz, Aurelio, co mnie chyba najbardziej irytuje? – zapytała Matylda, a następnie, nie czekając na jej odpowiedź, ciągnęła: – To, że mężczyźni uczynili się panami świata. Uważają, że pozjadali wszystkie rozумы, a my, kobiety, jesteśmy głupiutkimi gąskami rozumu pozbawionymi całkowicie. Nie myślę tu akurat o moim Sewerynie, bo on jest dość wyrozumiały w tej kwestii i nie protestuje, kiedy wychodzę na spotkania sufrażystek. Nie wszystkie moje znajome mają tyle szczęścia. Niektórym z nich mężowie zabraniają tej aktywności. Bardzo często mężczyźni wyśmiewają nasze chęci. Uważają, że nie powinniśmy walczyć o prawa wyborcze, bo nam się po prostu nie należą i jesteśmy zbyt głupie na to, by decydować o naszej przyszłości, ojczyźnie i polityce. Ach! Nawet sobie nie wyobrażasz, ile razy słyszałam, że polityka nie jest dla kobiet i że najlepiej będzie, jeżeli zajmiemy się rodzeniem dzieci oraz haftami.

– Słyszałam i ja podobne poglądy – odparła Aurelia. – Być może jednak z racji tego, że jestem prostego pochodzenia, traktuje się mnie troszkę inaczej niż inne kobiety z towarzystwa. Więcej uchodzi mi na sucho. Ilekroć wyrażam moje zdanie, panowie, a i owszem, spoglądają na mnie niczym na jednoroźca lub inne cudaczne stworzenie, lecz nie komentują tego szczególnie zjadliwie. Zresztą Jan zachęcał mnie, abym szczerze wypowiadała myśli.

– Zazdroszczę ci! Ja z Sewerynem mogę swobodnie rozmawiać tylko wtedy, kiedy jesteśmy we dwoje. W towarzystwie muszę się pilnować na każdym kroku. Chciałabym dożyć czasu, gdy kobiety będą traktowane na równi z mężczyznami. Mam nadzieję, że dojdzie do tego niebawem i że pozostawimy przyszłym pokoleniom lepszy, nowocześniejszy świat.

– Też mam takie pragnienie – oznajmiła Aurelia. – Szkoda tylko, że tu, na prowincji, feminizm jest w powijakach. Nie

uświadczysz prawdziwej sufrażystki. Tak naprawdę większość ludzi skupiona jest na tym, by prowadzić działalność uzdrowiskową. Ale czy to źle?

– Nie! Skądże, Aurelio? Przecież muszą być miejsca, w których człowiek po prostu wypoczywa z daleka od polityki, przepychanek i interesów.

– Otóż to. U nas ludzie zbierają siły do działania. No sama powiedz, czy takie widoki nie poprawiają nastroju? – Machnęła dłonią, wskazując pejzaż malujący się przed ich oczami: łagodne lesiste wzniesienia i dolinę Kryniczanki szemrzącej wzdłuż drogi.

– Masz rację. Ludziom są potrzebne oazy spokoju, w których najważniejsze jest obcowanie z naturą. Wiesz? Czasami myślę, że gdyby kobiety rządziły światem, nie byłoby wojen. Do wszystkiego dochodziłybyśmy pokojowymi rozmowami i porozumieniem. Po co i o co rozlewać krew? Czy ci wszyscy politycy, którzy tak niefrasobliwie wysyłają na wojnę naszych dzielnych mężczyzn, zabiorą do grobu jakiegokolwiek bogactwa? Wezmą ze sobą choćby piędź ziemi? Choćby jednego halera?

– Nigdy w życiu. Nadzy przychodzimy na świat i nadzy stąd odchodzimy. Choć składają nas w trumnach w odzieży, nawet ta pozostaje tutaj z naszymi doczesnymi szczątkami.

Były tak zaaferowane rozmową, że ani się nie spostrzegły, gdy dotarły do Powroźnika.

– Jesteś bardzo zmęczona? Potrzebujesz odpoczynku czy masz może ochotę coś zobaczyć?

– To nieprawdopodobne, ale w ogóle nie poczułam znużenia. Co ciekawego chcesz mi pokazać?

– Zamierzam zaprowadzić cię do cerkwi. To bardzo stary budynek, liczy blisko cztery stulecia. Kilkadziesiąt lat temu

został przeniesiony z innego miejsca, ponieważ w poprzednim narażony był na podtapianie. Lubię tam się modlić.

– Jesteś wyznania prawosławnego – zgadywała Matylda.

– Wierzę w tego samego Boga co ty. Od kilku lat modłę się nawet do niego w taki sam sposób. W Krynicy chodzę do kościoła katolickiego. Do cerkwi zaglądam wyłącznie wtedy, kiedy odwiedzam rodziców.

– Nie miałaś problemu ze zmianą wiary?

– Nie – odparła Aurelia. – Przecież mówiłam ci, że to ten sam Bóg. Dla Niego liczy się to, co mamy w sercach. A to, w jaki sposób go czcimy, jest zapewne sprawą drugorzędną.

– A zatem chodźmy do cerkwi – zdecydowała Matylda.

– Oczywiście. A później zajdziemy do chaty moich rodziców. Na pewno ugoszczą nas jakimś tutejszym przysmakiem. I jeśli będziesz zmęczona, Witalis odwiezie nas do Krynicy.

Paraska siedziała przed chałupą, pracowicie ubijając masło. Kiedy jednak dostrzegła córkę oraz towarzyszącą jej Matyldę, zawołała synową i powierzyła jej maselnicę. Sama zamierzała zająć się gośćmi.

– A kogoż to nam, Ałenko, prowadzisz? – zagadnęła.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Matulu, przyprowadziłam moją przyjaciółkę, Matyldę. Wspominałam ci o niej.

– Gość w dom, Bóg w dom. Miło panią poznać, Matyldo. Cieszę się, że przyszła pani z Aurelią. Ostatnio córka dużo o pani opowiadała.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

– Ależ oczywiście. Cieszę się, że w tym eleganckim świecie nasza Aurelia znalazła miłą towarzyszkę. Jeszcze do niedawna była bardzo osamotniona.

– Oj, matulu! – roześmiała się Aurelia.

Nazarymowa spojrzała na nią z czułością. Dobrze było widzieć wdowę w pogodnym nastroju.

– Zapraszam do chaty. Nie będziemy przecież siedziały na podwórzu.

Weszły do przyjemnie chłodnej, ciemnej sionki, z której Paraska wprowadziła je do paradnej izby. Zaraz za nimi do pomieszczenia wsunęli się pozostali domownicy, łącznie z Anastazją, która usiadła w kąciku z maselnicą, by dokończyć pracę rozpoczętą przez świekrę. Przy niedzieli nikt nie podejmował się żadnych ciężkich zajęć, bydło było należycie zaopatrzone, żniwa dobiegły końca, można więc było posiedzieć i pogwarzyć.

Juraszkowie początkowo byli nieco onieśmieleni widokiem eleganckiej letniczki, jedynie Witalis, który na co dzień miewał do czynienia z kuracjuszami, nie odczuwał żadnego skrępowania. Zaczął więc zagadywać Adamczykową o wrażenia z pobytu w kurorcie. Po wyrażeniu zachwytów nad pięknem okolicy Matylda bez skrępowania zapytała o coś, co nurtowało ją od dłuższego czasu.

– Powiedzcie mi, zacni gospodarze, bo od dawna się nad tym zastanawiam: jak to jest, że wy Rusnacy i Polacy potraficie żyć ze sobą w zgodzie na jednej ziemi? Nie toczycie żadnych sporów. My w Krakowie ledwo się znosimy z Austriakami.

– A jest o co się sprzeczać? – wyraził zdziwienie Nazarym. – Od wieków żyjemy obok siebie, pilnując własnych spraw, nie brużdząc jedni drugim. Uzdrowski charakter Krynicy przysłużył się także nam, Łemkom. Dzięki kuracjom wielu moich bliskich i znajomych zyskało sposób na zarabianie.

– To prawda – poparł go Witalis. – Dla nas sąsiedztwo Polaków jest jak najbardziej pozytywne, chociaż myślę, że mimo wszystko mamy z wami zdecydowanie mniej wspólnego niż

Żydzi. Zresztą od dłuższego czasu mówi się o tym, by podzielić Krynice pomiędzy Łemków a Polaków.

– Podział Krynicy? – podjęła Adamczykowa. – Nic na ten temat nie słyszałam.

– Ach, bo kuracjuszom zapewnia się wyłącznie przyjemności. Nasze miejscowe sprawy załatwiamy między sobą, bez angażowania w to gości – odparł Dymitr. On i starszy brat podobni byli do siebie jak dwie krople wody. Gdyby nie to, że Dymitr miał znacznie jaśniejsze włosy, byłiby wręcz nie do rozróżnienia.

Nazarym pospieszył z wyjaśnieniami.

– Część uzdrowiskowa uzyskałaby prawa miejskie, a łemkowska pozostałaby wsią. Moi ziomkowie od dawna walczą o swoje. Chcielibyśmy usankcjonować naszą wielowiekową obecność na tym terenie. Marzy nam się, aby mieć coś w rodzaju własnej republiki: ze swoim językiem, prawodawstwem i ważnymi społecznie instytucjami. Już od ponad dziesięciu lat zabiegają o secesję zarówno Polacy i Żydzi, jak i Łemkowie. Nam jest właściwie na rękę, by panowie z Zakładu Zdrojowego i pobliskiego terenu utworzyli sobie Nową Krynice. Nie mamy nic przeciwko podziałowi, byle dla Łemków pozostała Stara Krynica, czyli dawne Krzenycze. Właściwie nie wiem, czemu do tej pory ten podział nie nastąpił.

– No jak to: czemu? Ojczy! Toć wiadomo, że brak porozumienia wynika stąd, że jakoś trzeba podzielić majątek, teren i wyznaczyć granice gmin.

– Możliwe. W ostatnim czasie mało interesowałem się kwestiami wybiegającymi poza nasz dom. Zakładam jednak, że prędzej czy później wszyscy się ze sobą spokojnie dogadają.

– No właśnie. Najważniejsze jest znalezienie porozumienia bez rozlewania krwi – dodała Aurelia, zadowolona, że jej

krewni nie zbyli pytania przyjaciółki.

– Tutaj przynajmniej sprawa jest jasna, bo życie zgodnie od lat – przyznała Adamczykowa. – Właściwie nasz kraj jest jakiś taki wielonarodowościowy. Można więc się cieszyć, że u was panuje zgoda i spokój. Gorzej w Krakowie, bo tam Austriacy swoją obecnością wprowadzają dysonans, podobnie jak na pozostałych terenach Rosjanie i Niemcy, którzy podzielili się tym, co od zawsze należało do Polaków.

– Rzeczywiście oni nam nie są potrzebni, podobnie jak zatargi i wojny – odparła Paraska. – Ale i tutaj Austriacy mataczą. Mało to brakowało, by zlikwidowali uzdrowisko?

– Na szczęście doktor Dietl temu zaradził – przypomniała Aurelia. – To oczywiste, że nie uczynią z nas na siłę Austriaków, bo my czujemy się właśnie Łemkami, choć ja od kilku lat bardziej jestem Polką. Zdecydowanie nie utożsamiam się z Austrią, mimo że jestem poddaną Habsburga. I choć my tutaj na prowincji żyjemy z dala od wstrząsów szarpiących naszą ojczyznę, szczęśliwie ominęła nas rzeź przed pięćdziesięcioma laty, to jednak chcielibyśmy, aby nasza sytuacja była bardziej klarowna.

– O właśnie! Niepotrzebny nam zaborca, który narzuca, jakim językiem powinniśmy władać! – obruszył się Dymitr.

– My też nie chcemy zaborców, dlatego urządzaliśmy powstania. Moi przodkowie, choć są mieszczanami, a nie szlachtą, także w nich walczyli – powiedziała z dumą Adamczykowa.

– Nasze ziemie uniknęły nawet niepokojów powstańczych. Być może dlatego, że w tamtym okresie dla tutejszej ludności ważniejsze było przetrwanie. Dalsze funkcjonowanie Zakładu Zdrojowego stanowiło dla nas być albo nie być. Gdyby Austriacy przeforsowali likwidację uzdrowiska, do czego mocno się

przymierzali, bylibyśmy dzisiaj bardzo ubodzy – wyjaśnił Nazarym. – Kiedy w krakowskich salonach panowie radzili nad zrzućeniem jarzma niewoli, okoliczni mieszkańcy rozmyślali o tym, co zrobić, by nie pogorszyły się nasze i tak wówczas dość ciężkie warunki bytowe. Zresztą kto niby miałby walczyć w sprawie, za którą tysiące Polaków oddało życie? Żydzi zawsze pilnują swoich interesów. My Łemkowie nie mieshamy się w to, czym zajmuje się polska szlachta. A Polaków było wówczas tutaj zbyt mało, by angażowali się w zryw narodowościowy.

– Żyjecie cicho i spokojnie, jak u Pana Boga za piecem – stwierdziła Matylda. – Zdajecie się całkowicie niezależni od jarzma zaborczej niewoli.

– To tylko pozory – odparł Witalis. – I nas gnębią podatkami czy przymusową służbą w wojsku.

– A gdybyście mogli wybierać, wolelibyście panowanie Austriaków czy Polaków?

– Trudno ocenić. Najlepsza byłaby niezależna od niczyich wpływów republika łemkowska – powiedział Dymitr. W jego głosie wyczuwało się nieznaczną agresję. – Cóż nam z panowania polskich szlachciców? Dla nich niegdyś byliśmy tylko pańszczyźnianą siłą roboczą.

– A ja właściwie sama nie wiem. – Aurelia uznała, że należy trochę załagodzić wydzwięk wypowiedzi brata. – Nie potrafię jednoznacznie określić mojej narodowości. Urodziłam się jako Rusnaczką, lecz w papierach stoi, że jestem Polką.

– Dość skomplikowane. – Przyjaciółka się uśmiechnęła. – Ja wiem jedno: zdecydowanie jestem Polką i chciałabym żyć w wolnym kraju, który zajmuje należne mu miejsce na mapach Europy. Ale kiedy patrzę wstecz na naszą historię, to zauważam, że wszystkie powstania, które do tej pory organizowano, czyniły więcej szkód niż dobrego. Mężczyźni

przelewali krew i oddawali życie, matki traciły synów, żony mężów, dzieci ojców. W odwecie konfiskowano nam majątki i narzucano kolejne ograniczenia. Szlachta zapłaciła ogromną cenę za to, że pragnęła wolności. Końcowy efekt jest taki, że nasza arystokracja znajduje się w fatalnej kondycji. Kiedyś oni rządili krajem, dzisiaj pomału odchodzą w cień. Teraz życie towarzyskie najprężniej się toczy w mieszczańskich salonach. To mieszczenie kształcą swoich synów w uniwersytetach. To ze starych krakowskich rodów wywodzą się dzisiejsi lekarze i prawnicy. Mocno podupadła szlachta siedzi w kieszeniach żydowskich bankierów. Z jednej strony spłacają powstańcze długi. A z drugiej przetrwaniają resztki swych majątków i marzą o powrocie do dawnej świetności. Ale mój mąż mawia, że to już właściwie niemożliwe, ponieważ świat za bardzo się zmienił. Jeżeli kiedyś odzyskamy wolność, a wierzę, że do tego dojdzie, to wówczas nie szlachta będzie rządzić narodem, tylko ludzie światli wywodzący się z różnych warstw społecznych. Szlachta była potęgą w czasach, gdy mieliśmy monarchię dynastyczną.

Juraszkowie spojrzeli na nią z uznaniem. Nie przypuszczali, że z kobietą z wyższych sfer można rozmawiać o polityce. Do tej pory uważali, że każda dama myśli jedynie o fraszkach lub strojach. Owszem, z Aurelią często podejmowali podobne dysputy, być może ze względu na jej koligacje z Drzewickimi. Krewna często powtarzała im, o czym rozmawia się w krynickich salonach, dodając własne przemyślenia i komentarze. Nigdy jednak nie prowadzili podobnej dyskusji choćby z panią Felicytą, gdy bywali gościnnie w domu Pod Lipami.

– W Europie żyje jeszcze dość monarszych rodów. Zapewne gdyby dobrze prześledzić ich drzewa genealogiczne, okazałoby

się, że są mocno związani z waszymi Jagiellonami – zauważył Nazarym. – Bo mniemam, że władcy elekcyjni nie wzbudzają w pani większego sentymentu.

Rozmowa o polityce pochłonęła całe popołudnie. Matylda z przyjemnością i odwagą wygłaszała swe poglądy, ciesząc się, że jest traktowana poważnie i nikt jej nie zarzuca infantylności. Gdy podobne pogawędki odbywały się w salonach, zazwyczaj w takich okolicznościach panie bywały tylko biernymi słuchaczkami. O polityce rozprawiali mężczyźni, twierdząc, że kobiety po prostu się na tym nie znają, ponieważ są wyłącznie dla ozdoby.

Adamczykowa nader przyjemnie spędziła popołudnie wśród Juraszków. A kiedy przyszedł moment powrotu do Krynicy, Paraska ofiarowała jej spory zapas ciasteczek wypiekanych z miodem.

– To ja panie odwiozę. – Witalis poderwał się z ławy, gdy przyjaciółki opuszczały gościnne progi chyży. Jak zawsze chętny był do tego, by służyć ukochanej Aurelii pomocą.

– Ależ panie Witalisie, nie ma potrzeby! – odparła Matylda. – Proszę korzystać z uroków niedzielnego wypoczynku. Mnie ruch doskonale służy. W Krakowie wciąż gnuśniałam, tutaj odnajduję w sobie całe pokłady energii.

Krynica

Uwadze Emilii nie umknęło, że Aurelia w ostatnich tygodniach mocno zbliżyła się z jakąś letniczką. Początkowo, gdy usłyszała od Felicyty, że Drzewiccy postanowili uznać Aurelię za swoją córkę, unikała towarzystwa przyszywanej kuzynki. Potrzebowała czasu, by jakoś przetrwać tę myśl i się z nią oswoić. Układała strategię działań, które niebawem zamierzała

podjąć. Nie zerwała jednakże kontaktu z chrzestną matką. Bardzo często zaglądała do Felicyty, zwłaszcza w godzinach porannych tuż po śniadaniu. Później zaczęła zachodzić tam również popołudniami z myślą o tym, że wypadałoby zbliżyć się chociaż trochę do Aurelii. Stopniowo zwiększała częstotliwość owych wizyt, ale wciąż robiła to nadaremno. Tak się bowiem składało, że nie zastawała Aurelii w domu.

Zagadnięta o nią Felicyta cierpliwie tłumaczyła, że córka wyszła na przechadzkę ze swoją nową znajomą.

Ileż można oprowadzać kogoś po okolicy? – zżymała się w duchu Emilia, słysząc, że znowu nie spotka wdowy. Jeśli jej plan miał się powieść, musiała się zbliżyć towarzysko z tą dziewczuchą. Nie zrezygnowała z tego, co uważała za sobie należne. Ale żeby pozbyć się Aurelii, musiała się z nią najpierw zaprzyjaźnić, potem znaleźć u niej jakiś słaby punkt, a następnie go wykorzystać.

Była gotowa na wszystko.

Kiedy chciała, potrafiła być słodka jak miód.

Na razie na drodze do realizacji jej planów stała Adamczykowa. Emilia nie miała innego wyjścia, musiała przeczekać, aż kuracjuszka wyjedzie z Krynicy, a jej znacznie łatwiej będzie zmanipulować Aurelię. O ile Emilia się nie myliła, młoda Drzewicka, choć została zaakceptowana przez okoliczną socjetę, z nikim szczególnie blisko się nie żyła. A przecież każdy człowiek potrzebuje towarzystwa innych osób. Kogoś życzliwego, z kim może porozmawiać o różnych sprawach. I bardzo dobrze, gdy jest to rówieśnica. Któż bowiem lepiej zrozumie młodą kobietę niż druga młoda kobieta? Nawet jeśli Aurelię łączyła z Felicytą wielka serdeczność, mimo wszystko dzieliła je znaczna różnica wieku. Właściwie Felicyta

mogłaby być babką Aurelii. *W takiej sytuacji trudno znaleźć prawdziwie wspólny język* – rozumowała Emilia.

Na razie, by nie tracić czasu, urabiała sobie grunt. Musiała trochę odbudować swój wizerunek w oczach ciotki. Tamta pamiętna rozmowa z Felicytą uświadomiła jej jedno: chrzestna matka dostrzega znacznie więcej, niż mogłoby się wydawać, i wcale nie jest tak naiwna oraz łatwowierna, jak zakładała Emilia. Litworowa z całą pewnością została przez nią zaszufładowana jako pazerna istota. Należało więc nieco popracować nad zmianą tej opinii, choć Emilia wiedziała, że to nie będzie łatwe, ponieważ zbliżała się jesień, a z nią chłodniejsze dni. Teosia i Staś zdążyli wyrosnąć z ciepłych okryć. Emilię czekało sprawienie im nowej garderoby, a to pociągało za sobą znaczne wydatki. W poprzednich latach o tej porze roku, gdy tylko napomknęła o konieczności kupna bucików bądź ciepłego sukna na płaszcze, ciotka dawała jej jakąś sumę na zaspokojenie potrzeb dzieci.

Pensji Dionizego nie wystarczało na pokrycie takich kosztów. Właściwie wystarczyłoby, gdyby Emilia zadowalała się towarami nieco gorszej jakości, ale przecież musiała trzymać określony poziom. Nie mogła pozwolić na to, by ją lub dzieci wytykano palcami. Ona i jej rodzina musieli mieć wszystko, co najlepsze.

Emilia zaglądała więc często do ciotki, uśmiechając się do niej czule i przymilnie, zagadując, starając się zatrzeć nie najlepsze wrażenie, jakie wywarła na krewnej tamtą niefortunną rozmową. A ciotka jak to ciotka – okazywała jej zrozumienie oraz serdeczność. I bodajże pierwszy raz w życiu to Emilia dostrzegła drobne wyrachowanie w jej postępowaniu. Otóż Felicycie bardzo zależało na tym, by Emilia serdecznie odnosiła

się do Aurelii. „Kuzynce” potrzebny był ktoś życzliwy i popularny w sferach towarzyskich Krynicy.

– Lada dzień wyjadą ostatni kuracjusze – zauważyła Felicjta pewnego dnia, gdy Emilia zajrzała do niej z wizytą.

– Tak, w rzeczy samej, w naszej miejscowości zrobiło się znacznie luźniej. Coraz mniej obcych kręci się po deptaku oraz okolicy. Wiesz, ciociu, uwielbiam te chwile, gdy Krynica pustoszeje. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wielu mieszkańców naszej miejscowości może się utrzymać właśnie dzięki letnikom i to im zawdzięczamy nasz dobrobyt, ale jednak lubię ten czas, kiedy panuje tutaj spokój i cisza.

– Ja mam mieszane uczucia – stwierdziła ciotka. – Na razie nigdzie nie wychodzimy wieczorami. Ale zazwyczaj kiedy opuszczają nas aktorzy teatru lwowskiego czy krakowskiego, w Krynicy zaczyna się robić nader smutno. Brakuje mi spektakli na wysokim poziomie. Gdy zaczyna sypać pierwszy śnieg, zawsze nachodzi mnie myśl o tym, że lada moment zostaniemy odcięci od świata, a do łączności z Muszyną czy Żegiestowem pozostaną jedynie sanie. Gdyby do nas docierała kolej, podróż do Krakowa byłaby dużo szybsza i prostsza. Zimą prowincja staje się wyjątkowo senna i ospała – mówiła nostalgicznie. – Przypuszczam, że wam, młodym, doskwiera to szczególnie. Pewnie dlatego tak ochoczo wiele osób wyjeżdża wówczas do miasta. Kiedy jeszcze żył Jan, namawiałam go niejednokrotnie, by zabrał żonę i pojechał do Krakowa na karnawał, lecz wciąż odkładał to na kiedy indziej. Zawsze coś stawało mu na przeszkodzie. A teraz jest już na to za późno. I tak sobie myślę, że mój biedny syn nie wytańczył się wystarczająco. Powinien był się bawić i cieszyć życiem, póki miał możliwość. Choroba spadła na Janka niespodziewanie.

– Nikt nie czeka na żadną chorobę, ciociu. One zawsze pojawiają się nieproszone, zwłaszcza gdy chodzi o tak młodego człowieka.

– W rzeczy samej. Dlatego właśnie jestem rada, że została nam przynajmniej Aurelia. Dobrze, że mój syn zdążył się ożenić i nacieszyć małżeństwem. Wiem, że jego największym pragnieniem było szczęście ukochanej. Wciąż to podkreślał i mówił o tym nawet na łożu śmierci, zanim całkowicie utracił świadomość.

– Czy to właśnie dlatego postanowiłaś uznać ją za córkę? – zagadnęła Emilia.

– Przyznaję, że jego prośba o opiekę nad Aurelią wpłynęła na moją decyzję. Ale nie zrobiłam tego wyłącznie na jego prośbę, bo on nie miał na myśli aż tak radykalnych kroków. Przypuszczam, że marzył raczej o tym, abyśmy zadbali o jej przyszłość, gdy już zostanie wdową. Biedak wiedział, że odchodzi.

Pierwszy raz mówiła o śmierci jedynaka aż tak otwarcie. I choć oczy zaszklily jej się łzami, zapanowała nad słabością. Wyglądała na pogodzoną z losem.

– Nie martw się, ciociu. Pomogę ci w wywiązaniu się z obietnicy, którą złożyłaś synowi. Będę dla Aurelii prawdziwą kuzynką. Zadbam o to, by w towarzystwie nie czuła się wyobcowana – zapewniła ciotkę. Czuła, że właśnie na takie słowa liczy Felicjta.

– Poczciwa z ciebie osóbką – odparła ciotka. – Wiedziałam, że zrozumiesz sytuację i nie będziesz żywiła urazy. Rzadko myślę się w ocenie innych ludzi. Przecież jesteśmy rodziną, dobrze wiesz, że cię nie skrzywdzę. I że w mojej ostatniej woli jesteś wymieniona w znaczący sposób. A na razie powiedz mi, moja droga, czy potrzebujesz jakiejś pomocy przed nadciągającą

zimą? Dzieciom przydałby się pewnie i krawiec, i szewc – stwierdziła nader domyślnie. – A i ty zapewne chciałabyś sobie sprawić nowy płaszcz przed nadchodzącym sezonem.

– Ciocia jak zawsze łaskawa – odparła Litworowa, robiąc słodką minkę.

– A więc nie martw się wydatkami, moje dziecko. Możesz spokojnie udać się i do krawca, i do szewca. Zresztą Aurelię też będę musiała wysłać do krawca. Niebawem nadejdzie pora na rzucenie ciężkiej żałoby. Nie chcę, by moja córka ugrzęzła na dobre w fioleciech oraz szarościach, wolałabym oglądać ją w ładniejszej garderobie. Mogłabyś jej doradzić w kwestii doboru odpowiednich ubrań, szczególnie płaszcza. Masz wszak doskonały gust, a ona wciąż potrzebuje jakichś drobnych sugestii.

– Z przyjemnością, cioteczko – odparła Emilia.

Jestem urodzoną aktorką – pomyślała. – *Powinnam była zatrudnić się w jakiejś trupie w charakterze komediantki.* Zachowanie kamiennej twarzy nie przysporzyło jej najmniejszego kłopotu i nie stanowiło wyśrubowanej ceny za to, że ciotka opłaci rachunki. Zwłaszcza że Felicjta nie będzie kręciła nosem, gdy Emilia zamówi dość kosztowne rzeczy, o które Dionizy z całą pewnością miałyby ogromne pretensje.

Oczywiście wolałaby nie być skazaną na życzliwość krewnej. Gdyby przejęła jej willę i uczyniła z niej pensjonat, tak jak od dawna jej się marzyło, nie musiałyby przymilać się o każdego talara.

Pogoda jak na połowę września była znośna, choć ciągnęło już mocno chłodem, gdy przebywało się w cieniu. Roślinność, wcześniej szmaragdowozielona, powoli zaczynała przyoblekać się w żółtą szatę. Liście na drzewach blakły, łąki traciły soczystość. Przyroda, zmęczona upalnym latem, łaknęła

odrobiny wytchnienia. Wieczorami i porankami coraz chłodniejszy wietrzyk muskał kuracjuszy przechadzających się po deptaku. Drżące z zimna panie przykrywały ramiona szalami i sięgały do kufrow po cieplejszą odzież. Wachlarze pomалу odchodziły w zapomnienie. Już nie dało się długo w noc przesiadywać na balkonach lub tarasach. A i dni zdawały się zaczynać później oraz leniwiej. Pod okna podpełzała mgła. Coraz krótsze dni wskazywały na to, że niechybnie zbliża się moment pożegnania z kurortem.

Adamczycy oraz Strzeleccy gotowi byli do opuszczania Krynicy. Wszystkie rzeczy mieli spakowane w liczne kufry i walizki. Dzieci Strzeleckich, odziane w podróżne ubranka, siedziały na krzesłach rozstawionych w hallu, niespokojnie przebierając nóżkami i „kołysząc diabełki” na stopach, czego wyjątkowo nikt zdawał się nie dostrzegać. Zwykle matka karciała potomków za wiercenie się, tym razem jednak z obłędem w oczach sprawdzała, czy nie zapomniała o niczym. Kolejny raz przeliczała kufry i inne sakwojaze, posyłała Andzię do numeru, by ta upewniła się, czy aby na pewno wszystkie szuflady, szafy i szafeczki zostały opróżnione. Potem sama wracała do apartamentu, by osobiście przetrząsnąć każdy zakamarek. Nie do końca polegała na swojej służbie. Musiała osobiście sprawować nad wszystkim pieczę. Ostatecznie, uspokojona, że nic nie zostało pominięte, zdała klucze w recepcji.

Rodzina oczekiwała już tylko na fiakra, którego spodziewano się lada moment. Do Muszyny miał ich powieźć Witalis. Zanim jednak zjawił się ze swoim wozem, do hotelu wbiegł mocno zziębnięty goniec dzierżący w dłoniach okazałą wiązaną kwiatów. Zapytał w recepcji o *madame* Adamczyk.

– Uff... Dzięki Bogu zdążyłem w ostatniej chwili! – wykrzyknął uradowany, dowiedziawszy się, że rodzina Adamczyków oczekuje na transport. – Eskulap obdarzyłby mnie ze skóry, gdybym nie dotarł na czas. Ależ mam dzisiaj urwanie głowy! Wielu kuracjuszy opuszcza Krynice. Jakże nadażyć ze wszystkim? – użalał się w głos ni to do siebie, ni to do ludzi zgromadzonych w hallu. Zaraz jednak podszedł do Matyldy i wręczył jej bukiet. – Szanowna pani, doktor Skórczewski przesyła kwiaty w dowód wdzięczności za to, że zaufała mu pani i poddała się kuracjom, które zlecał. Życzy państwu szczęśliwej podróży! – rzucił niemalże na jednym oddechu i skłonił się nisko.

Seweryn wygrzebał z kieszeni jakąś monetę i wcisnął mu w garść za fatygę.

– Jak miło! – ucieszyła się Matylda. – Prześliczne róże. Mam nadzieję, że nie ucierpią w podróży do Krakowa. Szkoda by ich było.

Ledwo wypowiedziała te słowa, gdy drzwi wejściowe ponownie stanęły otworem. Dobiegła zza nich skoczna muzyka. Do hallu weszła Aurelia, która zapowiedziała dzień wcześniej, że odprowadzi znajomych na stację w Muszynie. Przywitała się z Adamczykami oraz Strzeleckimi, a następnie oznajmiła:

– Witalis już czeka na zewnątrz.

Momentalnie zrobił się spory zamęt, bowiem służba i bagażowi zaczęli przenosić kufry oraz inne pakunki. Kiedy państwo wyszli na zewnątrz, zobaczyli odświętnie ubranego woźnicę. Lando, którym przyjechał, udekorowane zostało bujnym kwieciami oraz wstążkami. Poza Witalisem przed pensjonatem stali łemkowscy grajkowie, wygrywając skoczną piosenkę.

Juraszko skłonił się nisko przed rodziną Adamczyków.

– Szanowni państwo, zapraszam do wozu.

Rodzina rozlokowała się na ławkach. Kobiety zachwycaly się muzykami oraz dekoracją ekwipażu.

– To już taka tradycja, szanowne panie, że zawsze żegnamy miłych gości w uroczysty sposób – odparł Rusnak.

Aurelia usiadła oczywiście obok Matyldy. Panie od razu pograżyły się w rozmowie.

– Ach, te kobiety! Spędziły razem niemalże trzy miesiące i wciąż nie mogą się nagadać – zakpił szeptem Seweryn do szwagra. Głośno nie ważyłby się wypowiedzieć niegrzecznej uwagi.

Kraków

Powrót z Krynicy mocno nadwyrężył siły witalne Matyldy. Po przybyciu do Krakowa kobieta czuła się wyjątkowo znużona i osłabiona. Ku ogromnemu zmartwieniu Seweryna przez kolejne trzy dni niemalże nie wychodziła z buduaru, spędzając większość czasu w łóżku. Mężczyznę gnębiła myśl, że prawdopodobnie cała kuracja spełzła na niczym i wszystkie dobroczynne efekty pobytu w kurorcie zostały zniweczone uciążliwą podróżą. Aż nazbyt dobrze pamiętał swoją żonę rozżaloną, z waporami i histeryzującą o bzdury. Bał się, że znowu stanie się taka jak przed wyjazdem na leczenie.

Jak na złość Maksymilian wciąż jeszcze przebywał w uzdrowisku, choć lada dzień spodziewano się jego powrotu, ponieważ sezon dobiegł końca.

Niech no wróci jak najszybciej – modlił się w duchu Adamczyk.

Czym prędzej posłał umyślnego z bilecikiem do mieszkania państwa Cerchów. W liściku owym prosił o to, by doktor zajrzał do Matyldy jak najszybciej po przyjeździe do miasta.

Adamczykowa sama zaskoczona była gwałtownością, z jaką pogorszyło się jej samopoczucie. Już pod koniec pobytu w kurorcie czuła się osłabiona. Czyżby nadmiar wrażeń, liczne wycieczki oraz życie towarzyskie nadwyrężyły jej zdrowie? Ostatni tydzień przed wyjazdem do Krakowa upłynął nader intensywnie. Każdy wieczór małżonkowie rozpoczynali w teatrze, a kończyli na balu. Po tańcach Matyldzie musiało wystarczyć zaledwie kilka godzin snu, bowiem żal było przesypiać całe dni. Po pierwsze, miała ustalone godziny kuracji w zakładzie hydropatycznym, a po drugie, zależało jej na tym, by jak najwięcej czasu spędzać z przyjaciółką. Mogła więc zrozumieć osłabienie i senność. Ale brak apetytu i mdłości? To aż nazbyt przypominało dolegliwości, które męczyły ją, zanim doktor Cercha zalecił wypoczynek na łonie natury. Znowu odczuwała wstręt do jedzenia i nie chodziło bynajmniej wyłącznie o potrawy z mięsa. Niechęć wzbudzały nawet uwielbiane niegdyś słodczyce. Gdy po raz kolejny zwróciła zawartość żołądka do miednicy, nawiedziła ją nagle niesamowita myśl. Jej oczy aż zogromniały z wrażenia i otworzyła usta, które momentalnie zasłoniła palcami.

– O mój Boże, czyżby?

Bała się dokończyć ową myśl na głos. A jednak trzy dni później doktor Cercha, który właśnie zjechał z Krynicy, potwierdził to, czego sama zaczęła się domyślać.

KORESPONDENCJA

Krynica

Wraz z zakończeniem sezonu kuracyjnego ożywało życie towarzyskie stałych mieszkańców Krynicy. Właściciele pensjonatów, kupcy i urzędnicy, którzy wcześniej zajęci byli głównie umilaniem pobytu letnikom, teraz nareszcie mieli czas dla siebie. Mogli sobie pozwolić na zasłużony odpoczynek. Częściej składano wizyty, oddawano się plotkom i innym drobnym przyjemnościom.

Również do domu Drzewickich coraz chętniej zaglądali goście. Przede wszystkim gnała ich ciekawość. Wprawdzie wieści o tym, że uznali prawnie swą synową za córkę, rozeszły się w Krynicy dawno temu, ale wtedy mało kto zaprzętał sobie tym głowę. Teraz ich odwiedzano, składano wyrazy uszanowania. Wiele osób podziwiała Drzewickich za wyjątkowo wspaiałomyślny gest. Przeważnie odnoszono się do ich decyzji nader pozytywnie. Felicycja i Ksawery usłyszeli wiele pokrzepiających słów. Mimo to drżeli nieco o pozycję towarzyską przysposobionej córki. Dlatego Felicycie bardzo zależało na tym, aby w rodzinie nie było żadnych rozłamów i aby Aurelia została zaakceptowana zarówno przez Emilię, jak i przez Klarę, choć w tym przypadku większą rolę odgrywała Emilia. Po pierwsze, była chrzestną córką Felicyty, a po drugie to właśnie ona cieszyła się popularnością na salonach. Drzewicka nie mogła swojej chrześnicy odmówić dobrego wychowania. Nawet jeśli przez moment uznała ją za pazeńską, potrafiła to zrozumieć, a nawet wybaczyć. Dlatego z

przyjemnością witała Litworową w swych progach. I cieszyła się, że wieczorami przebywa z nimi Aurelia.

Wcześniej młode kobiety nieczęsto miały okazję do pogawędki. Nie żeby się unikały – o to Felicita nie podejrzewała żadnej z nich. Po prostu w minionych miesiącach nie nadarzała się sposobność do wspólnego spędzania czasu. Emilię pochłaniało prowadzenie domu. Aurelia w sezonie letnim wciąż przebywała z nowo poznaną przyjaciółką.

Po wyjeździe kuracjuszy wszystko się zmieniło.

Emilia słuchała życzliwych rad swego męża. Dionizy, jakkolwiek wiele mogłaby mu zarzucić, był doskonałym obserwatorem. Potrafił trafnie oceniać ludzi i przewidywać ich zachowania. Kobieta ufała, że dzięki jego podpowiedziom rzeczywiście dopnie swego. Teraz najważniejsze było odbudowanie zaufania Felicity oraz zdobycie sympatii ze strony Aurelii. Pierwszym nie martwiła się szczególnie. Ciotka zawsze miała do niej słabość. Gorzej z Aurelią – ta często przypominała dzikie zwierzę gotujące się do ataku bądź ucieczki, a w jej oczach gościła nieufność. Młoda Drzewicka nie mogła jednak zdawać sobie sprawy z tego, że trafiła na naprawdę wytrawnego przeciwnika, bo Emilia gotowa była na wiele, byle osiągnąć zamierzony cel.

Tak, Litworowa była desperatką.

Miała także wybitną wprawę w zjednywania sobie ludzi. Kiedy było jej to potrzebne, potrafiła być słodka niczym miód, wychodząc z założenia, że w ten sposób osiągnie więcej niż złościwością czy docinkami. W wielu sytuacjach wolała udawać dobroduszną idiotkę, choć wewnątrz aż się w niej gotowało.

Powinnam zostać zawodową pokerzystką – myślała sama o sobie. W odległej Ameryce na Dzikim Zachodzie na pewno

nieźle by sobie radziła. Kamiennym wyrazem twarzy zwiódłaby niejednego wytrawnego gracza.

– Pochwal się, Emilko, czy zajrzałaś już do pracowni krawieckiej? – zagadnęła pewnego dnia Felicycyta.

– Jeszcze nie, kochana ciociu – odparła Litworowa przymilnym tonem. – Do tej pory przeglądałam żurnale. Czekałam też na najświeższy numer *Tygodnika Mód i Powieści*, to doskonałe źródło informacji. Zamierzałam uważnie przyjrzeć się temu, co zdominuje modę w najbliższych kilku sezonach, nim zlecę uszycie płaszcza. Chcę, by nowe okrycie posłużyło mi przez dłuższy czas. Muszę starannie planować wydatki – stwierdziła.

Felicycyta taktownie przemilczała tę uwagę. Odgadła bowiem, że chrześnica wolałaby utrzymać w sekrecie, za czyje pieniądze miał być sprawiony ów płaszcz.

– Ale masz już jakiś pomysł?

– Owszem. Uważam, że moda na balonowe rękawy wkrótce zacznie przemijać. Chyba nie da się zrobić większych nad te, które nosimy od paru lat. Już i tak mało brakuje, byśmy musiały wchodzić bokiem przez drzwi. Polecę więc, by w moim nowym okryciu bufy były znacznie mniejsze. Myślę, że jutro już będę mogła pójść na pierwsze przymiarki. Aurelio, a może zechcesz mi towarzyszyć u krawca? Cioteczka wspominała, że planujesz szycie salopy. Ostatnio sporo naczytałam się o tym, co jest modne w Paryżu. Jeśli zechcesz, chętnie udzielę ci jakiejś drobnej podpowiedzi – dodała słodkim głosem.

Aurelia podchwyciła wzrok przybranej matki. Felicycyta spoglądała na nią błagalnie. Młoda wdowa doskonale rozumiała, o co chodzi. Kilkakrotnie słyszała od niej, jak bardzo zależy jej na tym, by rodzina żyła ze sobą w zgodzie.

– Oczywiście. Pójdę z tobą, jeśli sobie tego życzysz – powiedziała cicho i bez większego entuzjazmu. Zaaprobowała pomysł wyłącznie po to, by sprawić przyjemność swej dobrodziejce.

– Och, cudownie, jestem podekscytowana! Zawsze różniej jest pójść do krawca z jakąś życzliwą osobą. Można sobie wzajemnie coś doradzić, a to wiele znaczy. Bo czasami jest tak, że wymyśli sobie ktoś jakąś koncepcję i się nie zastanowi, czy kolor mu pasuje do karnacji albo czy fason odpowiednio leży, a dobra duszyczka zawsze coś podpowie.

Kraków

Matylda siedziała przy sekretarzyku i nerwowo gryzła obsadę pióra. Przed nią na pulpicie spoczywała karta, na której zaczęła pisać list do przyjaciółki. Obok na podłodze leżało kilka zgniecionych papierowych kulek. Adamczykowa od wielu dni mobilizowała się, by listownie podzielić się z przyjaciółką radością, jaka na nią spadła.

Tylko jak napisać o wielkim szczęściu osobie, dla której owo szczęście pozostaje jedynie w sferze największych marzeń? Jak delikatnie przekazać coś, co być może zrani Aurelię?

Tak bardzo się boję – stwierdziła Matylda – że nasza krótkotrwała przyjaźń właśnie zostaje wystawiona na próbę. Nie mamy jednak za sobą szeregu wspólnie spędzonych lat. Upadków i wzlotów. Wydarzeń, które by naszą przyjaźń nierozzerwalnie wiązały. Czy braterstwo dusz, które poczułyśmy w Krynicy, nie jest zbyt małe?

Zanurzyła pióro w kałamarzu i napisała kilka banalnych zdań zawierających miejskie plotki. Później wspomniała coś o Zuzannie i jej dzieciach. O sukni, którą zamierzała sobie sprawić. I o towarzystwie dobroczynności, w którym mimo nie

najlepszego samopoczucia zaczęła się udzielać, biorąc przykład z Aurelii. A kiedy wyczerpała już wszystkie tematy i nie miała pomysłu na to, co jeszcze mogłaby dodać, jej dłoń zawisała nad kałamarzem.

Chyba powinnam zakończyć w tym miejscu – pomyślała Adamczykowa. – *Przecież to sam początek. Wszystko się jeszcze może zdarzyć. Może nie powinnam przedwcześnie dzielić się moją radością i zakłócać spokoju Aurelii? Nie! To głupstwo!* – skarciła się momentalnie w duchu. Wszak od pomyślnej diagnozy postawionej przez doktora Cerchę minęło już ładnych parę tygodni. W tym czasie przyjaciółki kilkakrotnie wymieniły korespondencję, ale teraz nie było sensu dalej zwlekać z ujawnieniem prawdy, gdyż do Drzewickich pisywała listy również Helenka. Ta poczciwa duszyczka mogła w którymś momencie napomknąć o stanie Matyldy. Przyjaciółce zrobiłoby się pewnie w dwójnasób przykro, gdyby nowinę poznała nie u źródła.

– Prawdziwa przyjaźń udźwignie wszystko. Aurelia jest tak poczciwą istotą, że na pewno zrozumie. Przecież po to pojechałam do Krynicy, by się poddać leczeniu. Kuracja przyniosła zamierzone efekty. O właśnie! – wykrzyknęła kobieta. A następnie dopisała ostatnie zdania listu:

Droga Przyjaciółko, chciałabym Ci jeszcze zdradzić, że kuracja przebyta w Krynicy przyniosła zamierzone efekty i pod moim sercem wzrasta maleńka nadzieja...

Potem dodała standardowe pozdrowienia i pożegnanie.

Od razu zapakowała list w kopertę i napisała adres. Przywołała pannę służącą i poleciła jej odniesienie przesyłki na pocztę. Bała się bowiem, że mogłaby się rozmyślić i nie wysłać korespondencji. Wszak wystarczyłoby przepisać treść na nowo, nie uwzględniając najważniejszej informacji.

Prawdziwa przyjaźń musi być oparta na bezwzględnej szczerości. Przyjaciółka to taka istota, która nie tylko powinna wspierać na duchu w ciężkich chwilach, ale z którą również można podzielić się dobrymi wieściami. I chyba to w przyjaźni jest najtrudniejsze: uniesienie ciężaru cudzego szczęścia, gdy samemu jest się nieszczęśliwym.

Krynica

Aurelia przebiegła wzrokiem po ostatnich liniijkach listu Matyldy. Widząc najważniejszą wiadomość spośród wszystkich, poczuła, że jej płucom nagle zaczyna brakować tchu. Nie po raz pierwszy w życiu przekleła idiotyczną konieczność noszenia gorsetu narzucaną przez modę. Fiszbiny boleśnie wpijały się w jej ciało i nie pozwalały swobodnie oddychać.

A może nie chodziło o fiszbiny?

Może chodziło właśnie o tę informację, którą przeczytała na samym końcu?

Zerwała się i przeszła kilka kroków po pokoju, ciesząc się, że jest w bawialni sama i nikt nie widzi jej wzburzenia. Matka na pewno zaraz zaczęłaby ją dopytywać o to, co się stało. Już po chwili rzuciła się bokiem na kanapę i wtuliła twarz w łokieć ułożony na oparciu. Jej plecy zadrgały żalonym łkaniem. Targały nią zazdrość i ból. Przyjaciółka przeżywała szczęście, którego jej nigdy nie będzie dane zaznać!

Nagle jednak wyprostowała się i otarła twarz zalaną łzami.

Aurelio Drzewicka! Co ty wyczyniasz? – skarciła się w myślach. – Jak możesz być osobą tak zawistną o cudze szczęście? Przecież kochasz Matyldę niczym siostrę! Powinnaś teraz cieszyć się razem z nią, a nie zniżać się do tak prymitywnych uczuć!

Jeszcze raz spojrzała na list. Rozprostowała delikatnie kartkę, którą nieopatrznie zmięła. Upewniła się, że dobrze rozumie

ostatni urywek. Musiała jak najszybciej napisać odpowiedź. Wstała i podeszła do sekretarzyka. Wyjęła zeń świeży arkusz oraz atrament. Odkręciła kałamarz i zanurzyła w nim pióro. Słowa, które zabrzmiały w jej myślach, same spłynęły na papier.

Matysiu moja ukochana, będę na Ciebie teraz krzyczeć! Dlaczego najważniejszą nowinę w całym liście napisałaś na samym końcu? Zaledwie króciutką wzmianką, jakbyś się wstydziła tego, że jesteś przy nadziei? Przecież tak bardzo czekałaś na tę chwilę! Pamiętasz, jak pocieszałam Cię i wspierałam na duchu? Jak zapewniałam, że czas spędzony w Krynicy nie będzie daremny? Że woda ze źródła Bocian wywrze pożądany skutek? Przyjaciółko najdroższa! Przyjmij moje szczerze gratulacje. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo cieszę się Twoim szczęściem...

Rok 1895

Krynica

Trudno było ukrywać rosnący brzuch nawet pod dość grubą warstwą ciepłych ubrań. Eudokia, choć powszechnie uchodziła za przygłupią, miała swój rozum i doskonale wiedziała, jakie skutki pociągnie za sobą raptowne przybieranie w pasie. Była chuda niczym szczapa, więc nawet zimowa odzież nie maskowała należycie wypukłości. A czujnym oczom gospodyni mało co umykało.

Pod koniec ubiegłego lata Drowniakówna dostała dość ostrą reprymendę od samej pani Seifert, którą doszły słuchy, że posługaczka źle się prowadzi. Parę dni wcześniej Eudokia dała się przyłapać Aurelii Drzewickiej. Wdowa szła z wizytą do apartamentu Adamczyków, gdy dziewczyna opuszczała pokój zajmowany przez samotnego mężczyznę. A ponieważ służka nie miała przy sobie wiader, dla Drzewickiej sprawa musiała być oczywista. Kobieta próbowała wtedy zatrzymać Eudokię,

zapewne po to, by ją skarcić, lecz ta szybko zbiegła schodami na parter, udając, że nie słyszy nawoływania.

Czy to Aurelia doniosła wówczas Seifertowej?

Drowniakówna uważała, że to możliwe, i była zła na córkę pszczelarza za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. *Wstrętna baba! Sama wsadziła tyłek pomiędzy bogaczy, a teraz innym nie daje skorzystać!* – rozmyślała z niechęcią.

– Wynoś się stąd i niech cię więcej nie widzę! – krzyczała rozjuszona gospodyni, nie dając dojść do głosu niepełnosprawnej słudze. – Tu jest porządny hotel, a nie lupanar! Z kimżeś się złądaczyła, franco?

Eudokia nie zamierzała się tłumaczyć, zresztą i tak nikt by jej nie zrozumiał. Dopiero gdy znalazła się na zaśnieżonej ulicy, pogłaskała wypukły brzuch i wymruczała po swojemu:

– Ma-lar-sa Ma-tej-ko.

Potem wybuchła żalonym płaczem, lamentując niezrozumiale o swym cierpieniu i niesprawiedliwym losie.

Dokąd teraz pójść? Gdzie szukać ratunku? Wiedziała, że do roboty nikt jej nie przyjmie, bo nie dość, że spodziewała się dziecka, to jeszcze trwał zimowy przestój w uzdrowisku. Po chwili namysłu postanowiła, że pójdzie do Powroźnika. Może tam zlitują się nad nią jacyś dalsi krewni nieżyjącej matki. Albo znajdzie schronienie u Pawła Hryniaka³⁰, który litościwie czasami ją wspierał.

Tylko co pocznie później, gdy małeństwo przyjdzie na świat?

Zaświtało jej w głowie, że powinna szukać pomocy u tego, co zmaistrował jej brzuch, choć nie była pewna, czyją zasługą był jej kłopot. Pragnęła, by nowe życie pochodziło od kogoś z malarzy. Może talent ojca przeszedłby na małe? Może jej potomek też zostałby znanym artystą?

Najdroższa Matylde! Smutno mi, że nie przyjedziesz tego roku. Żałoba po Janie dawno temu dobiegła końca. Choć przyznaję, że chętnie nadal nosiłabym wciąż ciemne rzeczy, mateczka wymogła na mnie, bym ponownie zaczęła stroić się w jasne barwy. Sprawiałam więc sobie śliczną wiosenną garderobę: piękne suknie i kostiumy. Ba! Mam nawet toaletę balową, której fason podpowiedziała mi Emilia. Wiesz? Ona świetnie zna się na nowinkach mody, czasami podziwiam jej cierpliwość w nieustannym wertowaniu żurnali. Mnie tak naprawdę się nie chce. Owszem, lubię ładnie wyglądać, chyba jak każda kobieta, ale bez przesady, wszak kto niby miałby mnie teraz podziwiać?

Tak czy owak, często bywam z rodzicami w teatrze. A gdy jeszcze trwał karnawał, wybraliśmy się nawet kilkakrotnie na bal. Oczywiście matka przesiedziała cały wieczór. Nie zatańczyła ani razu, nawet z moim ojczulkiem. Ale za to mnie nakłaniali, bym jak najwięcej tańczyła. I cieszyli się każdym wpisem w moim karneciku. Zdumiewające, prawda? Sądziłam raczej, że woleliby, abym wciąż pozostawała wierną pamięci Jana i zachowywała się tak, jak przystało skromnej wdowie. Tymczasem oni chcą, abym się bawiła i bywała wśród ludzi.

Nie uwierzysz, co się stało niedawno! Otóż moja przybrana mateczka wyznała, że wraz z ojcem przeznaczyci dla mnie posag. Wiesz, co to oznacza? Że dają mi przyzwolenie na ponowne zamążpójście! Nie chodzi bynajmniej o to, że chcieliby się mnie pozbyć z domu, bo wciąż podkreślają, jak się cieszą, że u nich pozostałam. I często, kiedy gościmy u nas moją prawdziwą rodzinę z Powroźnika, wyrażają im wdzięczność za to, że pozwolili na takie posunięcie. Tak sobie więc myślę, że oni rzeczywiście traktują mnie jak rodzone dziecko i w ponownym zamążpójściu upatrują dla mnie szczęścia. Wszak czyż nie jest pragnieniem każdego rodzica jak najlepsze wydanie córki za mąż?

Mnie, przynajmniej na razie, trochę przeraża myśl, że miałabym związać się z jakimkolwiek innym mężczyzną. Jak dobrze, że przynajmniej moi dobroczyńcy nie wywierają presji. Ale mój niepokój wzbudza myśl, że wieści o posagu, który jest znaczny, rozejdą się szybko po okolicy, a wtedy może się pojawić jakiś desperat, który zechce poślubić bezdzietną wdowę. Brr!

Kraków

Kochana Przyjaciółko! Nawet nie wiesz, jak bardzo jest mi przykro, że tego lata nie będzie nam dane się spotkać. Z przyjemnością przyjęlibyśmy gościnę u Ciebie czy nawet zatrzymali się w pensjonacie, ale niestety maleńka Konstancja jest bardzo delikatna, nie chcę jej narażać na trudy podróży. Wiem, być może trzęsę się nad nią mocno na wyrost, ale to moja jedyna dziecina: upragniona i wyczekiwana, więc każde jej kichnięcie wywołuje u mnie dreszcz emocji.

Nie zmienia to faktu, że niesamowicie tęsknię za naszymi rozmowami, wspólnymi przechadzkami i w ogóle za Krynica jako taką. Zaprezentowałaś mi to piękne miejsce od zupełnie innej strony niż Helcia. Na samym początku mojego pobytu wydawało mi się, że Krynica to tylko deptak, Dom Zdrojowy czy Góra Parkowa oraz kilka ładnych willi i nic więcej. A tymczasem Ty pokazałaś mi urocze zakątki, leśne ścieżki, łemkowskie wioski oraz płynące w nich błogie i spokojne życie. Zaprowadziłaś mnie do źródeł, z których nie miałabym szansy skosztować wody, gdybym spacerowała samym tylko deptakiem. Nauczyłaś mnie, jak oddychać pełną piersią. Dzięki Tobie poczułam, że powietrze w Krynicy pachnie zupełnie inaczej niż w Krakowie. Bardzo mi tego teraz brakuje! Czasami nawet myślę, że również Konstancji dobrze zrobiłoby, gdyby pooddychała trochę Waszym cudownym, rześkim powietrzem. Nie wierzę, że to pozostaje bez znaczenia dla zdrowia. Nawet doktor Cercha wspominał kiedyś o tym, jak ważne jest otoczenie dla kondycji pacjenta.

SPISEK

Powroźnik

Życie płałało czasami figle.

Kiedyś Eudokia, jak chyba każda dziewczyna, marzyła o tym, by pewnego dnia stanąć na ślubnym kobiercu i przed srogim obliczem popa złożyć przysięgę ukochanemu mężczyźnie. Później, gdy zaciążyła, dotarło do niej, że owe marzenia są niczym bańki z mydlin: piękne, lecz nietrwałe. Nigdy nie udawało jej się utrzymać na dłoni lśniącej tęczowymi barwami kuleczki dłużej niż przez kilka ulotnych chwil. Jej szczęście też trwało niewiele dłużej: tylko przez jedno upalne lato, gdy czuła się kobietą pożądaną przez artystów, którzy przyjechali do Krynicy, by wśród malowniczych pejzaży szukać natchnienia.

Nie stała się niczyją muzą.

Żaden książę z bajki nie poprawił jej smutnej doli.

Lato minęło, po nim nastąpiła sroga zima. A wraz z nadejściem wiosny marzenia ostatecznie prysły.

Krótko po pamiętnej awanturze urządzonej przez gospodynię z Trzech Róż Eudokia została nakłoniona do małżeństwa z kuchcikiem, ku któremu nie miała nijakiej chęci. Wy tłumaczono jej jednak, że to dla dobra jej oraz bachora, którego nosi w brzuchu. Kuchcik ponoć za pięćdziesiąt złotych reńskich przyznał, że miał z nią chwilę uciechy i że to on jest ojcem bękarta. Nikt jej nie zapytał, czy to prawda, cóż zresztą mogłaby im wyjaśnić taka niedojda? Kogo obchodziło to, że kuchcik wzbudzał w niej jedynie odrazę i szczerze go nie znosiła? Nie splunęłaby nawet za nim, nie mówiąc o tym, by pozwoliła mu się choćby tknąć.

Nie był wymarzoną artystą.

I nie żeby ten ochlaptus nie próbował! A jakże? Dobierał się do niej zaraz po ślubie, twierdząc, że to mu się należy, lecz ona go do siebie nie dopuściła.

Przekłeta godzina, w której wydano ją za mąż!

Wstrętny spisek uknuty przez podłych ludzi, którzy chcieli odgrodzić ją od ma-lar-sa!

Pewnego czerwcowego dnia Aurelia wyprawiła się do Powroźnika. Dawno nie odwiedzała swoich krewnych i miała nadzieję, że nie żywią o to do niej urazy. Dzień był piękny, pogodny, na szczęście niezbyt gorący. Na wycieczkę wybrała niedzielę, bowiem spodziewała się wtedy zastać rodzinę w obejściu. W tygodniu mogłoby być gorzej, ponieważ zaczął się czas sianokosów.

– Ałenko! Dziecko drogie, jak się cieszę, że cię widzę! – wykrzyknęła Paraska na widok zsiadającej z wierzchowca Aurelii. – Dawno cię u nas nie było.

– Przepraszam. Chciałam przyjechać wcześniej, lecz mijająca wiosna nie była dla nas zbyt łaskawa. Najpierw rozchorował się ojciec, a później przybrana mateczka. Musiałam zostać w domu, by ich pielęgnować. Zaniedbałam nawet te dzieciaczki, co je uczę.

– A co dolegało Drzewickim? – zapytała zafrasowana gospodyni.

– Obydwoje byli mocno przeziębieni. Niby nic groźnego, ale w ich wieku nawet przeziębienie może źle się skończyć. Mateczka bardzo kaszlała, więc bałam się, by nie wywiązało się zapalenie płuc. Na szczęście obydwójce byli pod opieką doktora Ebersa, a ja wciąż zaopatrywałam ich w medykamenty z apteki Nitribittów. Z obawy, by służąca czegoś nie poplątała w zamówieniu, chodziłam tam osobiście.

– Ale wszystko już dobrze? – upewniła się gospodyni.

– Tak, jest zdecydowana poprawa, inaczej by mnie tu nie było. Nie gniewaj się więc na mnie, matulu, że tak cię ostatnio zaniedbałam.

– A gdzieżby mi się było gniewać, dziecko? Toć masz zobowiązania wobec tamtych ludzi! Nie można byłoby odpłacać im złą monetą za okazane serce. No chodźże do izby, nie będziemy przecież stały u płotu. Przygotowałam właśnie napitok. – Paraska wspomniała o orzeźwiającym kwaśnym napoju przyrządzanym z serwatki zmieszanej z sokiem z kiszonych ogórków i zaprawionej solidnie koprem.

Aurelia uwiązała konia. Matka z córką weszły w progi chałupy. W sieni pachniało świeżym chlebem.

– Ach, cóż za smakowity aromat! – westchnęła z lubością Drzewicka.

– Anastazja dopiero co wyjęła chleb z pieca. A zaraz będą jeszcze podpłomyki. Jeśli poczekaś cierpliwie, to dostaniesz.

– Z miodem oczywiście – upewniła się z uśmiechem córka.

– A jakże! Wejdźmy do paradnej izby, bo w kuchennej Nastka skubie teraz pierze.

– O tej porze? – zdziwiła się Aurelia.

– A jakoś przez zimę nie znaleźliśmy czasu. Jak dzień krótki, to źle się takie rzeczy robi. Od świeczki oczy bolą, męczą się szybko.

– To ja pomogę – zadeklarowała Aurelia.

– A gdzież tam? Zaraz byś się cała obrała w puch! Szkoda takiego szykownego stroju. – Obrzuciła spojrzeniem nową amazonkę córki.

Aurelia od kilku miesięcy starała się jak najczęściej jeździć konno, by przełamać lęk, który zrodził się w jej głowie tuż po wypadku Jana. Przemieszczała się stępa – bez pośpiechu. Nawet

przez myśl jej nie przeszło, żeby galopować. W przeciwieństwie do innych dam nie dosiadała konia bokiem, tak jak nakazywał dobry zwyczaj, lecz kazała sobie przysposabiać zwyczajne męskie siodło. Aby nie gorszyć ludzi podkasaną suknią, zamówiła u krawca specjalną amazonkę według własnego pomysłu. Spódnica zapinana była z boku na guziki. Kiedy chciało się dosiąść konia, wystarczyło je rozpiąć. Nawet wtedy wydawało się, że to zwyczajna suknia, ponieważ materiał zachodził na siebie tak, że nie było widać rozcięcia. Pod spódnicą były jednak wszyte wygodne i luźne spodnie z tego samego materiału. Aurelia mogła więc jeździć na koniu po męsku. Nawet jeśli początkowo kogoś w okolicy dziwił jej wygląd, szybko zaprzestano komentowania stroju. W Krynicy wręcz twierdzono, że córce Drzewickich uchodzi znacznie więcej niż innym paniom.

Kobiety usiadły przy stole w paradnej izbie. Paraska, by nie mitrzyć czasu, zaraz wzięła się do łatania jakiejś kapoty. Wpierw jednak krzyknęła na synową, aby przyniosła poczęstunek dla Aurelii.

– Co słyhać w Powroźniku? – zagadnęła Drzewicka, gdy już omówiły różne wydarzenia rodzinne.

– Ano jakoś leci. Kowalowa po raz kolejny została babcią. U najstarszego syna nareszcie urodził się chłopczyk.

– Ach! Będę musiała jej pogratulować. Ciotka na pewno jest bardzo szczęśliwa, bo do tej pory mieli tam same dziewczynki. To i wujaszek pewnie rad, że wyrośnie mu godny następca.

– A pewnie, pewnie! Wielka to radość. – Matka pokiwała głową. – Zresztą nie tylko u nich powiększyła się rodzina. Przybyło w parafii dzieciątek, pop nie nadąza z chrzcinami.

– Zawsze najwięcej maluszków rodzi się na wiosnę. Pewnie dlatego, że w letnie noce ludzie są bardziej skorzy do

figlowania, niż gdy trzyma ziąb.

– A ty pamiętasz, Ałenko, taką biedulę, co to mieszkała tutaj niedaleko? Eudokia jej na imię, z Drowniaków pochodzi. Słyszałaś coś o niej?

– To nie ta czasami, co nosiła wodę w pensjonacie w Krynicy? Mowę ma wyjątkowo ciężką.

– Właśnie o nią mi chodzi. Trzymali ją do posług w Trzech Różach. Rzeczywiście ma coś nie tak z mową, bo ciężko ją zrozumieć.

– Co z nią? – zagadnęła Drzewicka.

– Ano złądaczyła się bidula zeszłego lata. Gospodyni wyrzuciła ją z roboty, zarzucając niemoralne zachowanie, gdy zauważyła, że Eudokii rośnie brzuch.

– O tym niestety wiem. Zaciążyła chyba z jakimś kuracjuszem – powiedziała Aurelia. Smutno jej się zrobiło na wspomnienie niepełnosprawnej dziewczyny, która nie dość, że miała problemy z mówieniem, to jeszcze niedosłyszała. – Przeszłego lata w tamtym pensjonacie wypoczywało wiele osób. Dużo było samotnych panów. Wiem, że gospodyni ją wypędziła, ale jak ludzie się o tym dowiedzieli, to wszczęli larum, że nieładnie potraktowała niebogę. – Aurelia pominęła milczeniem własny udział w tej sprawie. – A może ty wiesz, co się z nią potem stało?

– Ano coś tam mi się obilo o uszy – odparła Paraska. – Zdaje się, że ślub z kuchcikiem na niewiele się zdał. Ten łachudra, wyobraź sobie, przepił i przetrwonil pieniądze w gospodach. A jak był pijany, to rozpowiadał, że dziecko nie jest jego. Nieszczęsna Eudokia urodziła syneczka w szopie, w naprawdę ciężkich warunkach. Oj, biedna dziewczyna, biedna! Jak ona sobie teraz w życiu poradzi? – użalała się nad nią Nazarymowa. – Z dzieckiem przy piersi nijak do roboty nie pójdzie, a tamten pijus też jej nie pomoże.

Rozmowa na moment ucichła. Aurelia rozmyślała o tym, jak niewiele brakło, by i ona podzieliła los Drowniakówny. I ją, podobnie jak Eudokię, mógł omotać jakiś mężczyzna, naopowiadać bajek, obiecać złote góry, a na ostatek zostawić z brzuchem.

Och, należało ją uprzedzić, by nie spoufalala się zanadto z letnikami – przypomniała sobie, jak przyszło jej to do głowy latem. Zauważyła bowiem pewnego razu, jak jeden z artystów malarzy mieszkających w pensjonacie śmiało sobie poczynił z dziewczyną, kiedy myła poplamioną farbami podłogę w jego pokoju. Schylił się, myśląc, że nikt tego nie widzi, i klepnął ją w pośladek. A Eudokia, zamiast zaprotestować przeciwko takiemu traktowaniu, w ogóle nie zareagowała. Kto wie? Może przy innych podobnych okazjach uśmiechała się nawet do uwodziciela? Może liczyła na to, że ów książę z bajki zabierze ją ze wsi i na zawsze uwolni od obowiązku noszenia ciężkich kubłów?

– Starsza jestem od niej, powinnam była ją przestrzec. Może posłuchałaby mojej rady? – Wyraziła tę myśl na głos, lecz Paraska tylko pokręciła głową.

– Ach, dziecko – powiedziała – to na nic. Ani ona pierwsza, ani ostatnia. Pop tylko ma urwanie głowy z takimi, bo musi obmyślać imiona dla bękartów.

– Tak jakby kobiety same nie potrafiły wybrać – skomentowała kąśliwym tonem córka.

– Ano, potrafią, ale nie mogą – odparła matka. – Jak się taka złąjdaczy, to musi potem godzić się z tym, że nie ma prawa sama wybrać imienia dla dziecięcia.

– Ale przecież Eudokia, gdy wydawała dziecko na świat, była mężatką. Oficjalnie dziecko ma ojca.

– Niby ma, ale nikt nie wierzy, że berbec jest od tamtego chłystka. Wszyscy gadają, że to bękart. Siłą rzeczy wieści doszły również do popa.

– Ech... Może gdyby opłacony drań nie kłapał paszczą na prawo i lewo, to ludzie zostawiliby bidulę w spokoju. No to jak w końcu dali małemu na imię?

– Epifaniusz³¹.

– Całkiem ładnie – stwierdziła Aurelia.

– Ponoć Eudokii też się spodobało, choć ona chciała Nikifora. Ciesz się lepiej, dziecino, że dla ciebie los był łaskawszy i wyszłaś dobrze za mąż – podsumowała matka, spoglądając znacząco na córkę.

– Może dlatego – odparła Drzewicka – żem w stanie panińskim trzymała Jana na dystans.

– Porządna dziewczyna. Dobrze cię wychowaliśmy.

– Nie przeczę – młoda się uśmiechnęła – ale powinnaś być też sprawiedliwa względem Jana, matulu. Pewnie cię to zaskoczy, ale on nigdy nie próbował... No wiesz... – Urwała.

– No coś takiego? – zdziwiła się Juraszkowa. – Choć właściwie nie powinno mnie to dziwić, bo jemu dobrze z oczu patrzyło.

– Aleście nie chcieli mu oddać mojej ręki – przypomniała córka.

– Ano nie byliśmy do końca przekonani, czy to słuszna decyzja. Wiadomo, co taki pan ma w głowie? Wtedy chciał, bo był w tobie zakochany, ale co by było, gdyby mu się odwidziało? Nie ma co roztrząsać tej kwestii. Wszystko dobrze się wtedy skończyło. No... prawie dobrze – poprawiła się z miejsca, gdyż w bajce córki zabrakło słów „i żyli długo i szczęśliwie”.

Rok 1896
Krynica

– Ach, Dyziu, to takie rozczarowujące! Od dwóch lat robię, co tylko mogę, by zaprzyjaźnić się z Aurelią, a ona wciąż zachowuje się, jakbym była dla niej obcą osobą. Niby jest miła i grzeczna, ale trzyma mnie na spory dystans.

– Może nie dość się starasz? – zasugerował mąż.

– No co też ty wygadujesz? Już mi obmierzło nieustanne bycie przymilną. Usiłuję uprzedzać wszystkie jej oczekiwania. Chwałę niezbyt gustowne suknie, doradzam w wyborze kolejnych toalet, podpowiadam wzory nowych fryzur. Sama nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. W jej obecności czuję się jak pustogłowa idiotka. A przecież to zwykła prostaczka spod strzechy, która na niczym się nie zna! – obruszyła się kobieta.

– A próbowałaś z nią rozmawiać o czymś więcej niżli tylko o strojach?

– Ależ oczywiście. Omawiałyśmy sztuki teatralne, przeanalizowałyśmy wszystkie flirty dostrzeżone podczas karnawału. No... przynajmniej ja starałam się na ten temat rozmawiać. Ale jej takie kwestie nie obchodzą. Nie wiem, o czym można dyskutować ze zwykłą wieśniaczką! Moda ją przerasta, romanse nie interesują. Plotki jednym uchem wpuszcza, a drugim wypuszcza. Sama nigdy nie ma nic ciekawego do opowiedzenia. Straszna z niej nudziara. Od Felicyty wiem, że kiedy nigdzie nie wychodzi, to siedzi w domu i czyta książki albo pisze listy do tej swojej przyjaciółeczki z Krakowa – dokończyła z przekąsem.

– I co? Nigdy nic ci nie zdradziła? Nie powierzyła żadnego sekretu? Nie wyraziła się z niecierpliwością o Drzewickich? Nie wspomniała o jakimś flircie, miłostce? Nigdy nie próbowała z nikim romansować?

– Dyziu! Ta bryła lodu? Obserwowałam ją podczas niejednego balu. Tańczy sztywno, jakby kij połknęła. Wszystkich trzyma na

dystans, nie tylko mnie. Ilekroć jakiś dżentelmen próbuje z nią flirtować, ona go po prostu zbywa. Lornetki w teatrze używa wyłącznie do spoglądania na scenę. Nuda! – Dla zaakcentowania swych słów ziewnęła przeciągle.

– To niedobrze, bo pewnie lada dzień przyjedzie tutaj jej przyjaciółeczka. Jak byliśmy ostatnio u ciotki, słyszałem, że o tym wspomniały. Dwa lata temu widywałem je dość często spacerujące razem po mieście lub po okolicy. Wciąż ze sobą paplały, jakby nie mogły się nagadać. Obawiam się, że gdy faktycznie pojawi się tu Matylda, będziesz miała niełatwe zadanie.

– Trudno, nic więcej nie wskóram. Skoro w ciągu minionych dwóch lat nie osiągnęłam celu, trzeba spróbować jakiejś innej metody. Bo ja już dłużej nie dam rady udawać, że ją lubię. Dyziu, musisz coś wykombinować. Z Janem tak gładko ci poszło... – przypomniała, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu.

– Niech no ja pomyślę... – zastanowił się Dionizy. – Wprawdzie już kiedyś skorzystaliśmy z tego rozwiązania, ale może powinniśmy jeszcze raz posłużyć się wypróbowanym sposobem?

– Nareszcie! – wykrzyknęła z ekscytacją. Oczekiwała bowiem, że mąż, zamiast marudzić, że wciąż nie mają zapewnionego spadku, zabierze się do działania.

– Wspominałaś kiedyś, że wieśniaczka często jeździ konno do Powroźnika...

– Oczywiście. Wywołała nawet drobny skandalik, ponieważ kazała sobie uszyć dość dziwaczną amazonkę, w której może dosiadać konia okrakiem.

– Chcesz powiedzieć, że jeździ w męskim siodle?

– Otóż to! Mówiłam ci przecież o tym. Tak właśnie mnie słuchasz! – stwierdziła oburzona. – Gdybyś czasem nadstawił uszu, to pewnie by do ciebie dotarło.

– Oj, dobrze, dobrze! Pokaż mi mężczyznę, którego interesują damskie fatałaszki. Nie złość się, nie pora na to. Właściwie trochę mnie teraz zmartwiłaś, bo z damskiego siodła zdecydowanie łatwiej spaść – zauważył. – Ale skoro udało się spłoszyć konia Jankowi, to czemu nie mielibyśmy zrobić tego samego z jej wierzchowcem? Odgaduję, że Aurelia jeździ traktem i nie zbacza z drogi. Wprawdzie to dość uczęszczany szlak, lecz jest tam sporo miejsc, gdzie można byłoby urządzić zasadzkę. Trzeba będzie przekupić jakiegoś pętaka, by strzelił z procy do konia. Zwierzę powinno się spłoszyć, ponieść i zrzucić Aurelię. Dokładnie tak, jak było z Janem. Istnieje szansa, że ta idiotka skręci sobie kark. Mimo wszystko damskie siodło jest pod tym względem bezpieczniejsze, bo z takiego tylko by się zsunęła i co najwyżej połamala nogi. Ale w przypadku męskiego siodła łatwiej o to, by przetrąciła sobie kręgosłup. Zawsze jeszcze może zahaczyć butem o strzemię, tak że koń pociągnie ją za sobą. Bywały podobne przypadki – analizował chłodno, jakby nie rozprawiał o morderczych planach, lecz jedynie o błahostce.

Żona spojrzała na niego z uznaniem.

– Mam nadzieję, że jak najprędzej się z tym uporasz. Najlepiej, zanim przyjedzie do Krynicy jej przyjaciółeczka. Bo obawiam się, że gdy pojawi się Adamczykowa, Aurelii zabraknie czasu na eskapady do Powroźnika.

– Bądź dobrej myśli, moja ty diaboliczko-lisiczko. Liczę na to, że w ciągu kilku najbliższych dni weźmiemy udział w uroczystości pogrzebowej. Myślę, że nadeszła pora, abyś przewietrzyła z zapachu naftaliny czarną suknię. Może ci się przydać.

– Oby się to powiodło. Gorzej, jeśli Rusnaczka tylko spadnie z konia i mocno się potłucze.

– Przypominam ci, że Jan też tylko spadł z konia i się potłukł. Na szczęście uderzył się w głowę wystarczająco mocno. Nie wątpię, że późniejsza choroba Janka była tego skutkiem.

– Ale co zyskamy, jeśli na przykład okaże się, że Aurelia przeżyje i będzie kaleką? Uważam, że to znacznie gorsza sytuacja, ponieważ ciotka będzie się nad nią jeszcze bardziej roztkliwiać.

– Moja droga, nie wyszukuj problemów w każdym rozwiązaniu, które ci podpowiadam. Nawet kalectwo Aurelii będzie nam na rękę. Zawsze się znajdzie jakiś typ spod ciemnej gwiazdy, który za parę groszy wdrapie się po balkonach na piętro i pod osłoną nocy wejdzie do jej pokoju. Poduszka dokona reszty. A medyk pewnie stwierdzi, że po prostu zasnęła snem wiekuistym. Jeśli natomiast spadnie i nic jej się nie stanie, trudno, pomyślimy nad innym sposobem – oznajmił.

– Mam nadzieję, bo mnie już znużyło oczekiwanie na cud.

– Ja też jestem już tym znużony. Liczę także, że gdy Aurelii przydarzy się coś złego, to serce twojej biednej cioteczki tego nie przetrzyma. Byłoby idealnie, gdyby stara oddała nam przysługę i sama usunęła się ze świata.

– Owszem, pod warunkiem, że najpierw zmieni testament na moją korzyść. Bo jeśli tego nie zrobi, będziemy dziedziczyły po równo z Klarą, a tego też bym nie chciała. Mojej siostrze wiedzie się zdecydowanie lepiej niż nam. Zresztą to ja jestem chrześnicą Felicyty – przypomniała.

– Faktycznie jest to pewien kłopot – odparł mąż. – No i jest jeszcze wuj Ksawery, ten też może być nieobliczalny. Zakładam, że jego byłoby znacznie trudniej urobić. Idealna sytuacja

nastąpiłaby wówczas, gdyby Ksawery zniknął ze świata przed Felicytą.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste. Ludzie nie umierają na pstryknięcie palcami – stwierdziła rozgoryczona kobieta.

– Nie. Ale w pewnym wieku śmierć jest bardziej prawdopodobna. Rozmyślałem nawet, czy nie zacząć w ogóle wszystkich działań od wuja. W tartaku nietrudno o wypadek. Ale obawiam się, że gdyby teraz na Aurelię spadła żałoba, to mogłaby znacząco wpłynąć na jej dalsze poczynania. Nie chcielibyśmy przecież, by prostytutka na dobre zamknęła się w domu. To też niczemu by nie służyło. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli najpierw wyeliminujemy właśnie ją. Potem ty ze swoim wrodzonym wdziękiem urobisz ciotkę tak, by zmieniła testament na twoją korzyść. Resztą będziemy się martwić za jakiś czas – zdecydował.

Felicyta dość długo nie mogła dojść do siebie po ostatnim przeziębieniu. Właściwie nadrabiała miną, ponieważ jej samopoczucie wciąż było nie najlepsze. Nie chciała jednak martwić córki. Widziała, jak bardzo Aurelia przejmuje się jej stanem.

Jesteśmy już starzy z Ksawerym – pomyślała kobieta, spoglądając na swoje pomarszczone dłonie. – Kiedy te wszystkie lata przeleciały? Zdawać by się mogło, że zaledwie wczoraj byliśmy młodzi.

Ostatnio wciąż zadręczała się tym, że Aurelia zbyt długo pozostaje we wdowieństwie. Uważała, że przybrana córka nie powinna do końca życia dźwigać ciężaru samotności. Co więcej, była przekonana, że gdyby Aurelia wyszła za mąż w najbliższym czasie, to zapewne doczekałaby się upragnionych dzieciątek.

W przeciwieństwie do wszystkich innych osób z otoczenia wcale nie obarczała wdowy winą za brak potomków. Pamiętała swoje zmagania o to, by urodzić chociaż jedno dziecko. Długo nie mogła przekazać mężowi upragnionych nowin. Właściwie już straciła nadzieję, gdy nagle pojawił się Jan. I choć swych poglądów nie głosiła nigdy w towarzystwie, uważała, że jednakową winę za brak dzieci mogą ponosić zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Przeczowała, że w tym przypadku zawodził najpierw Ksawery, a w następnym pokoleniu właśnie Jan. Wszak jej siostra bez trudu powiła dwie córki. Zresztą pierwszą z nich wydała na świat krótko po ślubie. Wśród Nitribittów nigdy nie było tego rodzaju problemów. Natomiast w rodzinie Drzewickich od kilku pokoleń dzieci rodziło się nader mało. Felicycja nie potrzebowała więcej dowodów na poparcie swej teorii.

Długo szykowała się do odbycia poważnej rozmowy z córką. Wiedziała, że prędzej czy później musi to zrobić, wszak nie mogła skazywać Aurelii na samotność. Gnębiło ją poczucie winy, że to z powodu adopcji młoda kobieta nie wyszła ponownie za mąż. Być może czuła się zobowiązana do tego, by dozgonnie roztaczać opiekę nad przybranymi rodzicami.

Felicycja zdecydowanie nie mogła pozwolić na tak wielkie poświęcenie. Nie taka intencja przyświecała jej oraz Ksaweremu, kiedy załatwiali formalnie tę sprawę. Pewnego dnia postanowiła wykorzystać fakt, że mąż po obiedzie wrócił do tartaku. Rodzina nie miała planów wieczornych. Tego dnia amatorski teatr nie wystawiał żadnej sztuki. Czeką ją więc spokojne popołudnie.

Aurelia przyszła do salonu z książką, zamierzała czytać. Felicycja z przyzwyczajenia sięgnęła po kanwę. Naciągnięty na niej miała fragment szala, na którym pracowicie haftowała

bardzo skomplikowany ornament kwietny. Już planowała, że gdy dokończy dzieło, ofiaruje je córce. Aurelia nie miała cierpliwości do takich prac, a Felicyta ani przez moment nie próbowała jej do nich przymuszać.

– Droga córeczko, powinnyśmy porozmawiać – powiedziała, zanim wdowa otwarła książkę.

– Coś się stało?

– Ależ nie, nie martw się – odparła szybko Drzewicka, widząc, że na twarzy Aurelii pojawił się wyraz zdenerwowania.

Młoda kobieta odetchnęła z ulgą.

– O co chodzi?

– Jak już doskonale wiesz, w ubiegłym roku ustaliliśmy dla ciebie wraz z Ksawerym kwotę posagu.

– Tak, pamiętam, ale to było całkowicie zbyt wysokie – odparła Aurelia.

– Ja tak nie uważam. Sądziłam wówczas, informując cię o tym, że zrobisz z wiedzy dobry użytek, córeczko. Wiem, że pamięć o Janie wciąż jeszcze jest żywa. Nie przecz. Widzę, jak niekiedy popadasz w zadumę i ocierasz ukradkowo łzy. Myślę jednak, że najwyższa pora, abyś spróbowała o nim zapomnieć. Powinnaś wyjść za mąż, zanim będzie na to za późno.

– Ależ mateczko, co ty mówisz? – zdziwiła się kobieta.

– Mówię to, co podpowiada mi serce. Boję się o twoją przyszłość. Pewnego dnia mnie i Ksawerego zabraknie. Z biegiem czasu odejdą również Paraska i Nazarym. Twoje rodzeństwo już dawno pozakładało rodziny, dochowało się dzieci. Bardzo cię kocham i zależy mi na twoim szczęściu, dlatego nie chcę, abyś została sama.

– Och! Ja też bardzo cię kocham, ale błagam, nie uszczęśliwiaj mnie na siłę. Nie chcę wychodzić za mąż. Dobrze mi z wami w domu. Nie wyobrażam sobie, bym miała się związać z

jakimkolwiek mężczyzną, i nie boję się samotnej starości. Jest jeszcze bardzo odległa – odparła pogodnym głosem.

– Nawet sobie nie zdajesz sprawy z tego, jak szybko przemija życie! – zaprotestowała matka. – Ani się obejrzysz, jak posiwieją ci skronie, twarz się pomarszczy, a na dłoniach odkryjesz nieładne żółte cętki. Byłoby przygnębiające, gdybyś w takiej chwili nie miała nikogo obok siebie. Proszę, dziecko, pomyśl o ponownym zamążpójściu. Wiem, że niejeden mężczyzna spogląda na ciebie z zainteresowaniem. Cieszysz się powodzeniem podczas balów, a twój karnet nigdy nie jest pusty. Gdy jesteś w teatrze, panowie, zamiast oglądać sztukę, wołają cię lornetować, lecz zrażeni twym chłodem i brakiem choćby delikatnie zachęcającego uśmiechu, nie podejmują żadnych starań. Wiem jednak, że niejeden byłby zainteresowany poślubieniem cię. I mam na myśli nie tylko wdowców, ale również kawalerów.

– Obawiam się, że kawalerzy nie są dla mnie – odparła z goryczą Aurelia. – Gdyby taki wziął ze mną ślub, pragnęłby mieć dzieci. Postąpiłabym podle, przyjmując oświadczyzny. Bo nawet jeśli absztyfikant na początku mówiłby, że nie ma to dla niego znaczenia, przypuszczam, że z upływem lat pojawiłyby się jakieś pretensje. I na co by mi przyszło? To już lepiej mi tak, jak jest.

– Teraz tak mówisz, ale co będzie w przyszłości, kiedy nas zabraknie?

Aurelia zerwała się z fotela i przysiadła u stóp swej przybranej matki. Ujęła i mocno ścisnęła jej dłonie.

– Mateczko kochana... Cóż mam zrobić, kiedy moje serce jest nieczułe? Nikt nie potrafi obudzić go do żywszego bicia.

– A może po prostu nie dajesz mu na to szansy? – zagadnęła matka. – Może powinnaś przynajmniej spróbować? Niekiedy

zdarza się tak, że miłość przychodzi z czasem.

– No dobrze, skoro tak bardzo ci to nie daje spokoju, przysięgam, że nie pozostanę sama na starość. Jeśli nie poczuje nic do żadnego mężczyzny i moje serce nie zacznie żywiej bić w czyjeś obecności, to i tak wyjdę za mąż. Po prostu w stosownym momencie rozejrzę się za jakimś wdowcem. Najlepiej takim z własnymi już dziećmi. To najlepsza gwarancja, że nie będzie mi doskwierała samotność. Powiedz mi, że satysfakcjonują cię moje plany – poprosiła.

Felicyta westchnęła nieznacznie.

– Niezupełnie o to mi chodziło – stwierdziła ze smutkiem. – Ale cóż, rozumiem cię. *Bo serce nie sługa, nie wie co to pany...* – Urwała.

– *I nie da się przemocą okuwać w kajdany*³² – dokończyła za nią córka.

– W takim razie trzymam cię za słowo. Mam nadzieję, że od teraz będziesz przychylniejszym okiem spoglądać na mężczyzn. A nuż któryś wzbudzi w tobie głębsze uczucie? A wybierać jest w czym, bo właśnie przyjeżdżają letnicy. Skoro już o letnikach mowa, powiedz mi, kochana, czy tego sezonu przyjedzie w końcu Matylda? Polubiłam tę twoją przyjaciółkę. Miła taka i rezolutna. Miała na ciebie doskonały wpływ przed dwoma laty. Sprawiała, że zaczęłaś się uśmiechać.

– Tak. W ostatnim liście pisała, że zarezerwowali z Sewerynem apartament w pensjonacie Trzy Róże. Zamierzają tutaj pozostać aż dwa turnusy – oznajmiła z ogromnym ożywieniem.

Felicyta uśmiechnęła się, widząc radość córki.

– W takim razie będziesz musiała koniecznie ich do nas zaprosić. Z przyjemnością znowu spotkam się z Adamczykami.

– Ależ oczywiście.

Już ja sobie porozmawiam z Matyldą – zaplanowała w duchu Felicjy. – Przeciagnę ją na swoją stronę i przekonam, by zaczęła namawiać Aurelię do ponownego zamążpójścia. Trzeba tę uparciuszkę wydać za mąż. To, co sobie umyśliła, jest jedną wielką bzdurą. Nie może odkładać decyzji o związaniu się z jakimś miłym mężczyzną do czasu, aż zamknę oczy.

Wiedziała, że przekonanie przybranej córki, by nie czuła się zobowiązana do opieki nad nią oraz nad Ksawerym, nie będzie łatwe. Liczyła jednak, że sojusznik w postaci przyjaciółki bardzo jej w tym pomoże.

– Wybiorę się po obiedzie do Powroźnika – oznajmiła Aurelia matce. – Jutro przyjeżdża Matylda z rodziną, więc dzisiaj chciałabym odwiedzić moich krewnych.

– Ach tak, oczywiście jedź, kochana. Nie zapomnij wziąć jakichś łakoci dla swoich bratanków. I ja cieszę się na wizytę twej przyjaciółki.

Ponad stołem wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z mężem. Kiedyś napomknęła mu o tym, że zamierza przeciagnąć Matyldę na swoją stronę i zawiązać z nią nieszkodliwy spisek. Ksawery zgadzał się ze swoją małżonką w kwestii ponownego zamążpójścia Aurelii. Podobnie jak ślubna, wychodził z założenia, że młoda kobieta powinna ułożyć sobie życie na nowo. Przy odrobinie szczęścia może doczekaliby nawet wnuków. Bo przecież dzieci Aurelii byłyby ich wnukami. Może nie krwią z krwi i kością z kości, ale chociaż potomkami kobiety, którą uznali za swoje dziecko. Byłoby przynajmniej komu pozostawić majątek.

Po zakończonym posiłku Aurelia poleciła, by osiedlano dla niej wierzchowca. Osobiście zajrzała do kuchni i poprosiła kucharkę o spakowanie łakoci.

Na zewnątrz panował lipcowy upał. W ciemnej amazonce Drzewickiej było zdecydowanie zbyt gorąco. W takich chwilach z rozrzewnieniem wspominała dawne czasy, gdy nie musiała nosić gorsetu krępującego ruchy oraz tych wszystkich warstw halek i sukien. W zgrzebnej koszuli było zdecydowanie chłodniej. Pocieszała się jednak myślą, że większa część gościńca biegnie w cieniu rozłożystych drzew.

Koń szedł niespiesznie, dźwięcznie stukając kopytami o trakt. Tuż obok szemrała Kryniczanka. Aurelia wciąż nie miała dość odwagi, by kłusować. Od dawna jeździła wyłącznie stępa. Czasami poganiała konia zaledwie do truchtu.

Kobietę przepelniała radość na myśl o tym, że nazajutrz spotka się z przyjaciółką. Zamierzała zrobić Matyldzie niespodziankę i wraz z Witalisem wybrać się po nią do Muszyny. Do Powroźnika jechała właśnie w celu omówienia szczegółów z bratem.

Z daleka pozdrowiła ludzi pielących zagony ziemniaków. Przymuszczała, że jej bliscy również zajęci będą robotą w polu. Siostry mogą ewentualnie zbierać porzeczki. Czas był po temu najwyższy. Kiedy ostatnio widziała się z krewnymi, matka wspominała, że zamierza nastawić wino i że specjalnie trzyma dłużej owoce na krzakach, by mocno dojrzały. Dzięki temu będą słodsze i szybciej zaczną fermentować. Obiecała podarować córce kilka butelek. Jak twierdziła, zimą, dobrze zagrzane, zaprawione miodem oraz przyprawami korzennymi, stanowi doskonały lek na przeziębienia. A Felicycie ze swym nadwątłym zdrowiem powinna je popijać bez konkretnego powodu.

Mam najlepszą rodzinę na świecie – rozmyślała Drzewicka, delikatnie luzując koniowi cugle. Wzruszało ją, że jedni o drugich się troszczą i nie ma pomiędzy nimi niesnasek. Nie

próbowali rywalizować o jej względy ani przeciągać jej na swoją stronę. – *Naprawdę nie mogłabym mieć więcej szczęścia. Obydwie moje matki są wspaniałymi istotami, chociaż każda z nich jest inna* – wciąż nie mogła się temu nadziwić.

Nagle jej koń, idący dotąd spokojnie, stanął dęba. Z gardła przerażonej kobiety wydobył się krzyk, który spłoszył ptaki siedzące na gałęziach drzew. Całe stado wzbiło się z łopotem skrzydeł ku niebu. Wierzchowiec zaczął pędzić na oślep. Aurelia trzymała się kurczowo, z trudem utrzymując równowagę.

– Stój! Stój, zatrzymaj się! Prr! – wołała.

Próbowała ściągnąć cugle, lecz zwierzę w ogóle nie reagowało na jej polecenia. Nerwowo stukało kopytami o bruk, gnając przed siebie. Aurelia bała się, że lada moment runie na gościniec i skręci sobie kark lub przetrąci kręgosłup. Sama nie wiedziała, jakim sposobem zdołała zapanować nad ogierem, gdyż w pewnym momencie zwolnił do truchtu, a następnie ponownie przeszedł w stępa.

Rozdygotana Drzewicka zeskoczyła na trakt. Serce jej łomotało niczym dzwon. Przypomniała sobie wszystkie powody, dla których nie jeździła konno przez wiele miesięcy. Aż nazbyt dobrze pamiętała wypadek, któremu uległ Jan. I choć nie było to do końca potwierdzone, przypuszczała, że jego późniejsza choroba musiała być z nim związana, bowiem mąż wówczas mocno uderzył się w głowę i właściwie od tamtego dnia nieustannie uskarżał się na ból.

– O dobry Boże! – wykrzyknęła. – Kasztanku, co się stało? – zapytała zwierzątko, głaszcząc go kojąco po łbie. – Coś cię wystraszyło? Pewnie źmija – próbowała odgadnąć. – No już dobrze, dobrze. – Dokładała starań, aby głos był łagodny, mimo że wciąż odczuwała ogromne zdenerwowanie.

Ponieważ do Powroźnika nie było daleko, postanowiła resztę drogi pokonać pieszo, choć Jan często powtarzał, że po upadku z konia należy go jak najszybciej ponownie dosiąść, ponieważ tylko w ten sposób można się wyzbyć lęku przed jazdą. Ona wprawdzie nie spadła, więc stres był mniejszy, lecz i tak przeżyła chwilę grozy. Zignorowała dobrą radę wyłącznie dlatego, że chciała, aby Kasztanek ochłonął należycie. Szła niespiesznie, trzymając konia za uzdę i wciąż do niego przemawiając. Znała wierzchowca wystarczająco, by wiedzieć, że coś musiało go naprawdę solidnie wystraszyć. Do tej pory był niezawodny i nie robił jej podobnych niespodzianek.

Ponieważ w gruncie rzeczy nic złego jej się nie przydarzyło, postanowiła, że nie będzie o tym wspominać przy rodzicach. Ani przy tych z Powroźnika, ani przy tych z Krynicy. Nie chciała ich martwić.

[zapraszam na... \(P\)](#)

DZIEDZICTWO

Krynica

Podobnie jak dwa lata wcześniej, Adamczykowie i Strzeleccy znów przyjechali niemalże całą rodziną, ponieważ Zuzia i Tymoteusz znowu zostawili dwóch najstarszych synów w mieście. Zjawili się w Krynicy nieco później, ale za to postanowili zostać do końca trzeciego turnusu. To i tak było dużo, ponieważ zazwyczaj kuracjusze przyjeżdżali do uzdrowiska na znacznie krótszy okres. Oczywiście panowie towarzyszyli swoim żonom wyłącznie przez jakiś czas. Potem wrócili do Krakowa, gdyż wzywały ich obowiązki służbowe. Matylda, choć nie zachodziła ku temu wyraźna potrzeba, nadal konsultowała się z doktorem Cerchą oraz Skórczewskim. Przedpołudniami poddawała się licznym zabiegom. Później jadła obiad z siostrą męża. Każdą wolną chwilę starała się poświęcić Aurelii.

Uwolniona od ciężkiej żałoby dama towarzyszyła przyjezdnym w teatrze. Tym razem panie pozwalały sobie również na to, by samotnie udawać się na bale wydawane w Domu Zdrojowym. Mężczyzn chętnych do tańca nigdy nie brakowało, a nad moralnością młodej mężatki niestrudzenie czuwała sroga szwagierka, na szczęście okazując znaczną wyrozumiałość.

Pobyt w kurorcie upływał więc szybko i przyjemnie.

Ku swej ogromnej uldze Aurelia stwierdziła, że widok maleńkiej Konstancji nie wywołuje bólu serca ani prymitywnej zazdrości. Przeciwnie, budzi wielką serdeczność. Wszak miała do czynienia z córeczką ukochanej przyjaciółki. Miłe było

również odkrycie, że mimo upływu czasu przyjaźń ani trochę się nie rozluźniła. Kobiety wciąż pozostawały bratnimi duszami i potrafiły rozmawiać godzinami absolutnie o wszystkim. Nie było mowy o tym, by nudziły się w swoim towarzystwie. Czasami Matylda zostawiała córeczkę pod opieką bony. Panie wykorzystywały wówczas okazję do odbywania dalszych wycieczek po okolicy. Adamczykowa z przyjemnością wracała na znajome szlaki. Kilka razy Aurelia wymyśliła dla Matyldy i Zuzi oraz ich dzieci dodatkowe atrakcje w postaci wyjazdów do Żegiestowa bądź Muszyny. O pomoc w ich realizacji poprosiła oczywiście brata, który niestrudzenie służył im jako fiakier.

Powroźnik

Ciężka była dola niepełnosprawnej sieroty obarczonej maluchem. W ponurych barwach rysowała się przyszłość zarówno matki, jak i jej dziecka. Wątyły chłopczyk, synek Eudokii, już teraz sprawiał wrażenie opóźnionego w rozwoju, choć przed kilkoma tygodniami ukończył zaledwie pierwszy rok życia. Nie reagował jednak prawie wcale na głosy i nie gaworzył jak inne maluchy. Kiedyś kowalowa, która litościwie odbierała poród Drowniakówny, nie wzięwszy nic za posługę, z czystej ciekawości zajrzała dziecku do buzi. Pchnęło ją ku temu już samo to, że gdy Epifaniusz przyszedł na świat, płakał słabiej i mniej niż inne dziatki. A z upływem miesięcy sytuacja nie ulegała zmianie.

– Ma przyrośnięty język, nie dziwota, że nie próbuje chociażby wołać matki.

Rówieśnicy małego Epifaniuszka potrafili mówić: ma-ma, ba-ba, ta-ta. Gdy czegoś chcieli, wołali da, wyciągając rączki ku przedmiotom pożądania. Drowniaczek kulił się w ramionach Eudokii, chował buzię w jej nędznej koszulinie i był drobniutki.

– Jakże sobie taka bida poradzi kiedyś w życiu? – westchnęła Paraska, gdy kuma opowiedziała jej o swej obserwacji.

– Ano tak jak Jewdokia: dzięki miłosierdziu dobrych ludzi. Jakby nie Paweł Hryniak, pewnikiem obydwójce pomarliby zimą z chłodu, a jakby nie jałmużna wyżebrana pod cerkwią, to skonaliby z głodu.

Eudokię często widywano w powroźnickiej cerkwi. Nosiła na rękach swojego syneczka i coś tam do niego mruzczała niezrozumiale. Pokazywała małemu obrazki wiszące na ścianach. Czasami dało się wyłowić z jej bełkotu jakieś słowa.

– Ni-ki-for. To twój ojciec. Ma-lar-sa.

Jakby na przekór popowi, który dał małemu na chrzcie imię Epifaniusz, nazywała chłopca Nikiforem. Bo dziecko było jej i któregoś z artystów. Wara więc innym od małego! Nikt nie będzie jej mówił, jak ma się zwracać do własnego potomka: żaden pop, kuchcik ani żadna paniusia w jedwabiach.

Z kuchcikiem już dawno nie miała do czynienia. Łajdus najpierw wziął pieniądze od gospodyni za przyznanie się do ojcostwa. Potem je przepił, a ludziom, którzy chcieli go słuchać, głosił, że nie miał nic wspólnego z Drowniakówną. Na ostatek zniknął z jej życia, pozostawiając po sobie jedynie kilka gorzkich wspomnień.

Niby była jego żoną, ale jakby wcale nią nie była. Dziecko w księgach parafialnych wpisano pod jej nazwiskiem.

Wierzyła, że kiedyś w jej synku objawi się talent artysty, którego w myślach namaściła na Nikiforowego ojca. Przed kimś takim świat musi stanąć otworem.

Zapewniła dziecku najlepsze dziedzictwo.

Krynica

Sezon kuracyjny trwający od maja do września mocno wpływał na życie towarzyskie stałych mieszkańców Krynicy. Dla większości z nich był to okres wytężonej pracy, gdy brakowało czasu na przyjemności. Nic więc dziwnego, że wizyta Henryka Ebersa mocno zaskoczyła Ksawerego. O tej porze roku powszechnie szanowany doktor nie miał nawet chwili wytchnienia.

– Jak miło pana widzieć! – ucieszyła się na jego widok Felicyna i od razu zaprosiła gościa do bawialni, gdzie wskazała mu najwygodniejszy fotel.

– Co słyhać w eleganckim świecie? – zagaił Ksawery.

– Praca, praca i jeszcze raz praca – odparł medyk. – Ale czasami trzeba się od niej oderwać i zająć ważnymi sprawami. Drodzy przyjaciele, nie będę czarował, że moja obecność tutaj ma charakter wyłącznie towarzyski. Wybaczcie szczerą, sami doskonale wiecie, czym jest lato w uzdrowisku dla lekarza.

– Ależ my to doskonale rozumiemy, panie Henryku – odparła pani domu. – Proszę bez ogródek mówić o tym, co pana sprowadza w nasze skromne progi.

– Dziękuję, droga pani Felicyno. Sprowadza mnie do państwa troska o Krynice. Chociaż mieszkam tutaj zaledwie parę lat, pokochałem to miejsce jak żadne inne. Czuję, że to mój świat, moja mała ojczyzna, na której rozwoju ogromnie mi zależy.

– Jak nam wszystkim – odparł Drzewicki. – Każdy, kto tutaj się osiedla, z łatwością zapuszcza korzenie. Sam urodziłem się i wychowałem w Krakowie. Gdy ojciec zaproponował mi przeprowadzkę, w pierwszej chwili popukałem się w czoło. Cóż ja, dorosły wówczas mężczyzna, miałbym porabiać na prowincji, z dala od uciech i wygod wielkiego miasta? A jednak postanowiłem przyjechać na próbę, poświęcić kilka miesięcy i rozeznąć się w sytuacji. Jak sam pan widzi, wsiąknę na dobre.

W czym mogę pomóc? Bo domyślam się, że chodzi o wsparcie jakiejś idei.

Przyzwyczajony był do tego, że ludzie zwracają się do niego z różnymi prośbami. Nie szczędził więc pieniędzy na wspieranie działalności charytatywnych i ochoczo angażował się w przedsięwzięcia, które miały służyć dobru społecznemu. Dumny był z przysposobionej córki, która szła poniekąd w jego ślady swą pracą na rzecz komitetu.

– Tym razem nie chodzi o datek – uprzedził Ebers, pocierając się delikatnie po gładko ogolonym policzku. Nie ulegał modzie na noszenie zarostu, nie wystarczało mu czasu i cierpliwości na należyte pielęgnowanie brody, więc nad fanaberie przedkładał wygodę. Uważał, że to znacznie higieniczniejsze niż zapuszczanie owłosienia, o które nie każdy odpowiednio potrafi zadbać. – Jak państwo wiecie, mniej więcej trzynaście lat temu powstał zamysł podziału Krynicy.

– Oczywiście słyszeliśmy o tym. Chodzi o to, by wydzielić rejon Zakładu Zdrojowego i nadać mu status odrębnej miejscowości, a nawet gminy. Uzyskanie praw miejskich znacząco podniosłoby rangę uzdrowiska.

– Tak, tak. Właśnie w tym rzecz. Podział na Nową Krynice oraz Krzenycze, czy jak kto woli Starą Krynice, zdaje się sprawą nagłą. Łemkowie pragną spokojnego sielskiego życia, my potrzebujemy rozwoju. Nikt nie chce wydzierać im gruntów, które uprawiają z dziada pradziada, ale jakoś trzeba podzielić ziemię i wytyczyć granicę. Wszyscy byśmy na tym skorzystali. Oni zachowaliby upragniony święty spokój i wiejski charakter swej części, my moglibyśmy się rozwijać, rozbudowywać Krynice, doprowadzić tutaj linię kolejową.

– Ach, to bardzo by się przydało – stwierdziła Felicja.

– Ha! Gdyby dojeżdżały tutaj pociągi, zimą Krynica tętniłaby życiem. Można byłoby podejmować gości w pensjonatach przez cały rok. Nasza społeczność zarobiłaby na tym krocie. Pojawiłyby się nowe atrakcje: ślizgawki, kuligi, bale karnawałowe...

– Tylko że doprowadzenie linii kolejowej znacząco uszczupliłoby przychody wielu Łemkom – zauważył Drzewicki.

– Nazarym Juraszko kilkakrotnie o tym wspominał, choć miał na myśli nie tyle własny dobrobyt, co ziomków.

– No tak, wasi przyjaciele mają przecież pszczoły. Ale o ile mnie pamięć nie myli, ich pierworodny jest fiakrem.

– Owszem. Wozi letników. A poza sezonem zatrudniam go w tartaku. Juraszkowie to zacni i rozumni ludzie, często wymieniamy poglądy.

– Powiedz mi więc, przyjacielu, o czym się rozprawia w chyzach? Właśnie po to tutaj przyszedłem. Ciekaw jestem wieści gminnych. Przed rokiem powstała inicjatywa doprowadzenia tutaj torowiska, lecz na razie ugrzęźliśmy w martwym punkcie. Potrzebuję jakiejś mądrej wskazówki, abym wiedział, jak rozmawiać z Łemkami.

– Cóż, nie czarujmy się – odparł Ksawery – to przedsięwzięcie godzi w ich interesy. Wiele osób straci źródło dochodów. Fiakrzy w tym przypadku polegną.

– Hm... Zaiste, to poważny problem. Ale brak bezpośredniego połączenia blokuje dalszy rozwój kurortu. Moglibyśmy przyjmować znacznie więcej kuracjuszy, gdybyśmy nie byli odcięci zimą od świata. Wyobraź sobie, Ksawery, ile sam byś zyskał, gdyby Krynica była całorocznie działającym uzdrowiskiem. Z całą pewnością powstałoby więcej hoteli i pensjonatów. Nie wspomnę już o profitach, jakie miałybyś podczas budowy linii kolejowej. Wszak na to potrzeba mnóstwo

podkładów. Do tego jeszcze drewno na wzniesienie dworca. Twój tartak nie nadążałby z realizacją zamówień.

– Tak, to prawda. Byłby w tym znaczący interes. Być może nawet zapewniłbym w ten sposób utrzymanie kolejnym ludziom.

– Otóż to! Niejeden fiakier mógłby się przekwalifikować na robotnika lub drwala albo pozostać przy swym zajęciu, lecz zamiast kuracjuszy woziłby materiały budowlane.

– To ma sens – przyznał Drzewicki. – Nie ukrywam, że darzę Łemków wielkim sentymentem, wszak zawdzięczam im córkę. Nie podjąłbym się więc działań, które wpędziłyby ich w nędzę.

– Nikt nie mówi o pogorszeniu warunków bytowych. Owszem, fiakrzy musieliby poszukać innego zajęcia, ale każdy nowy pensjonat i hotel to również nowe miejsca pracy. Kuracjusze, szczególnie ci z pękatymi portfelami, potrzebują obsługi. Zresztą nie możemy się nastawiać wyłącznie na kurowanie bogaczy. Łatwiejszy i tańszy dojazd przyciągnąłby mniej zamożne osoby, którym przydałyby się noclegi o nieco niższym standardzie. A to oznacza powstawanie kolejnych obiektów i robotę przy ich wznoszeniu – mówił zapalczywie medyk.

– Dostrzegam w tym same plusy – wtrąciła Felicyna.

– Otóż to, *madame*. Tylko czy Łemkowie zauważą dla siebie perspektywę? Czy przychylą się do naszych planów?

– Nie jest to niemożliwe – stwierdził powściągliwie Ksawery. – Zdaje się, że im także secesja mogłaby być na rękę. O ile zdołaliby w ten sposób utworzyć własną republikę łemkowską, by mogli sami o sobie stanowić.

– To już jest coś!

– Problem w tym, że mój tartak nie podołałby takiemu rozmachowi. Nie ukrywam, że jestem już stary i coraz częściej czuję się zmęczony. Nie mam sił na prowadzenie

przedsiębiorstwa, a o jego rozwoju nawet nie myślę. Od śmierci Jana przymierzam się do zamknięcia interesu – przyznał szczerze pan domu. – Nie mam komu go powierzyć.

– Fatalnie – sapnął Ebers. – Ale zaraz, zaraz! Czemu tak łatwo chcesz się poddać? Przecież masz córkę. Znam dobrze Aurelię, to wyjątkowa kobieta. Nie tylko piękna, ale i nad podziw bystra. Główkę ma nie od parady. Nie przyszło ci na myśl, by jej przekazać firmę?

– Kobieta prowadząca tartak? – zdziwił się Ksawery.

– A co w tym dziwnego? Nie żyjemy w zapyziałym średniowieczu. Kobiety tyle mówią o emancypacji. Sufrażystki aktywnie walczą o miejsca na uniwersytetach i o prawo wyborcze. Wiele pań z powodzeniem prowadzi różne działalności: pensjonaty, szkoły dla panien, pracownie krawieckie... Czymże się różni tartak od innego zakładu? Ważne, by poznać się dobrze na drewnie i na rachunkach. A z ludźmi kto jak kto, ale Aurelia z całą pewnością sobie poradzi!

Felicyta i Ksawery spojrzeli po sobie.

– Jan często zabierał Aurelię do tartaku – przypomniała kobieta.

– Hm... Może i masz rację, przyjacielu? Szkoda byłoby, gdyby dzieło mojego życia poszło w obce ręce albo upadło. Muszę koniecznie rozmówić się na ten temat z naszą córką.

– Koniecznie! – poparł go doktor. – Jestem przekonany, że zyskałbyś godne następstwo.

Drzewicka słuchała jego słów z mocno bijącym sercem. Dobrze jej było ze świadomością, że postronni ludzie doceniają przymioty intelektualne Aurelii.

Poznaliśmy się na niej wszyscy – pomyślała o sobie, mężu i synu. – Nie jest głupiutką wiejską dziewczką. To naprawdę nietuzinkowa istota.

TAJEMNICA

Krynica

Za oknem padał deszcz. Bębnił monotonnie o kryte gontem dachy, podzwaniał melodyjnie o szyby, chlupotał w kałużach. Znacznie uprzykrzał życie zarówno kuracjom, jak i stałym mieszkańcom Krynicy. Przechodnie przemykali deptakiem, kryjąc się pod lśniącymi czaszami parasoli. Życie towarzyskie niemalże zamarło. Ludzie, którzy zdobyli się na opuszczenie suchych schronień, tłoczyli się w Domu Zdrojowym bądź w kawiarniach.

Ksawery zamknął się w gabinecie, by przejrzeć bieżące rachunki. Aurelia wraz z przybraną matką siedziały w salonie. Czas upływał im stosownie do upodobań: na lekturze oraz haftowaniu. Niekiedy Aurelia odkładała na bok mocno zaczytany tom *Poezji* Mickiewicza, by zabawić matkę rozmową. To znowu recytowała na głos wybrane wiersze.

Tego dnia panie nigdzie się nie wybierały. Nie spodziewały się także żadnych odwiedzin. Młoda Drzewicka przypuszczała, że przyjaciółka pozostanie w pensjonacie razem ze swoją córeczką.

Jakież było więc zdziwienie, gdy nagle kobiety usłyszały ruch przy drzwiach, a następnie służącą, która zapowiedziała pojawienie się gościa. Już po chwili do salonu weszła Matylda, przynosząc ze sobą zapach deszczu. Mimo że szła osłonięta parasolem oraz peleryną, które zostawiła w hallu, dół jej sukni był wilgotny.

– Dziecko drogie! – wykrzyknęła na jej widok Felicjta. – Usiądź, proszę, jak najbliżej kominka i porządnie się wysusz.

Jeszcze gotowa jesteś złapać zapalenie płuc.

Adamczykowa, choć nie zmarzła szczególnie mocno po drodze, z przyjemnością przyjęła jej propozycję. Wyciągnęła dłonie w stronę trzaskającego radośnie ognia, rozpalonego nie tylko po to, by ogrzać pomieszczenie, ale przede wszystkim aby zapobiec jego zawilgoceniu. Rozalka przyniosła dla przybyłej filizankę gorącej czekolady zaprawionej szczyptą ostrej papryki. Prócz niej dostarczyła kawę oraz ciasteczka.

– Naprawdę chciało ci się wychodzić z pensjonatu w tę paskudną aurę? – zapytała ucieszona jej widokiem przyjaciółka.

– Zdecydowanie! Koniecznie musiałam coś ze sobą zrobić. Pada już trzeci dzień. Nuda jest tak dotkliwa, że nie mogłam wysiedzieć w pokoju. Nawet Konstancja źle znosi tę pogodę i albo jest marudna, albo śpi. Akurat niedawno zasnęła, więc zostawiłam ją pod opieką bony, a sama pomyślałam, że was odwiedzę. Zdecydowanie przyjemniej jest nudzić się w dobrym towarzystwie – stwierdziła z typowym dla siebie optymizmem.

– Co ciekawego czytasz, Aurelio? – zagadnęła, wskazując ruchem głowy tomik poezji w mocno podniszczonej okładce, który na jej widok przyjaciółka odłożyła na etażerkę. – Domyślam się, że to jakaś twoja ulubiona lektura.

– Och! Zdecydowanie tak! Chociaż właściwie czytanie to sprawa umowna, ponieważ większość zebranych w książce wierszy znam na pamięć. Cieszy mnie jednak samo ujmowanie w dłonie tego tomu – oznajmiła, sięgając po obiekt zainteresowania Matyldy. – Stanowi dla mnie ważną pamiątkę. Dostałam go od mej matki. Pamiętasz? Wspominałam ci kiedyś o tym.

– Oczywiście, że pamiętam. Mówiłaś, że do waszej rodziny od dawna należała jakaś książka. Mogę ją obejrzeć?

– Ależ proszę! – odparła Aurelia, podając przyjaciółce tom.

Matylda przesunęła pieśczośliwie opuszkami po okładce nadgryzionej zębem czasu. Odgadywała, że książka musiała zostać nabyta w Krakowie albo przynajmniej stamtąd przyjechać, ponieważ w prywatnym księgozborze Adamczyków znajdowały się woluminy oprawione w identyczny sposób. Każdy z nich opatrzony został sygnaturą introligatora, który to zrobił. Sama lubiła dużo czytać, więc kolekcja posiadana przez męża od dawna nie stanowiła dla niej żadnych sekretów. Zresztą regularnie ją wraz z Sewerynem uzupełniali o nowe pozycje. Aby książki ładnie prezentowały się w bibliotece, najpierw oddawali je do oprawy. Identyczny znak, pozostawiony przez rzemieślnika, dostrzegła również na tym woluminie.

Uchyliła twardą okładkę i dostrzegła mocno pożółknięty papier. Na tytułowej stronie znajdowała się dedykacja napisana wyblakłym atramentem, a właściwie jej fragment, ponieważ część kartki uległa zniszczeniu, jakby ktoś ją rozdarł. Jakież było jej zdziwienie, gdy rozpoznała charakter pisma. Patrzyła z uwagą na skreślone w języku francuskim litery.

– To niemożliwe – powiedziała półgłosem.

Podpis pod dedykacją, chociaż nie był całkowicie czytelny, doskonale znała. Dziwiła się, że przyjaciółka nie spróbowała go rozszyfrować. Wszak gdy się bliżej przypatrzeć zamaszystym i nieco splątanym literom, można było dostrzec zarówno imię, jak i nazwisko ofiarodawcy. Natomiast dopisek zrobiony innym rodzajem atramentu, wskazujący na poprzednią właścicielkę książki, wręcz zaparł dech w piersiach Matyldy. Spojrzała pytająco na Drzewicką.

– Widzę, że zaskoczyła cię moja książka – stwierdziła Aurelia.

– Będiesz tak dobra i opowiesz mi historię tego tomu? Mówiłaś, że jest dość niezwykła.

– Oczywiście. Dawno chciałam to zrobić, ale nie było okazji.

W kilku zdaniach opowiedziała Matyldzie o tym, skąd *Poezyje* wzięły się w posiadaniu rodziny Juraszków. Na koniec dodała:

– Widzę po twojej minie, że coś wiesz. Czyżbyś znała ofiarodawcę tej książki? Bo poprzedniej właścicielki nie miałas prawa nigdy spotkać. Jak już wspomniałam, tajemnicza pani Eleonora zmarła wiele lat temu nieopodal stąd, w Powroźniku.

Matylda zawahała się chwilę przed udzieleniem odpowiedzi.

– Masz rację, Eleonory nigdy nie miałam okazji poznać, choć mam pewne przypuszczenia, kim mogła być. Ale za to podpis osoby dedykującej tom nie jest mi obcy. Spójrz na niego uważnie. Naprawdę nie dostrzegasz w nim nic dziwnego?

Aurelia zmarszczyła czoło. Choć znała kartę tytułową na pamięć, uważnie przyjrzała jej się kolejny raz.

– Niestety, nie uczyłam się języka francuskiego. Bo dedykacja jest, zdaje się, ułożona po francusku, czyż nie?

– Tak, masz rację, to jest język francuski – oznajmiła Matylda.

– Po przetłumaczeniu na polski brzmi: „Ukochanej siostrze na pamiątkę szesnastych urodzin”... – Urwała. Jej serce łomotało tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z klatki piersiowej.

– A podpis? Przecież to on jest najważniejszy – przypomniała mocno zaintrygowana Aurelia. – Czy trafnie odgaduję, kto go wykonał? Nie dopasowałam sobie imienia i nazwiska na siłę? – Jej serce niemalże zamarło w oczekiwaniu na potwierdzenie, gdyż zdążyła już uważnie przyjrzeć się zamaszystym literom i rozszyfrować każdą z nich.

– To podpis Seweryna. Mojego męża – dodała Adamczykowa, choć było to całkowicie zbędne. Sprawa wydawała się oczywista i coraz bardziej zaskakująca.

– Och... to niesamowite! Nigdy nie mówiłaś, że twój mąż miał dwie siostry.

– Bo też nie widziałam potrzeby, by wspominać ten fakt. Właściwie siostry były trzy. Najstarsza, Kazimiera, zmarła w klasztorze dość młodo. Eleonora, druga z rodzeństwa, uwikłała się w okropny skandal. To wydarzyło się bardzo dawno temu. Na ile znam sytuację, Seweryn rozpoczął wówczas gimnazjum, więc musiał liczyć wtedy mniej więcej czternaście lat, Zuzia znacznie mniej, jest młodsza o cztery lata, ale wiem, że Eleonora mogła być siedemnastolatką. Wieku Kazi nie znam. W domu Seweryna imię Eleonory zostało właściwie na wiele lat zapomniane. Póki żyli moi teściowie, nigdy nie wspominali o wyrodnej córce. To był temat tabu – wyjawiała z nieznacznym zażenowaniem. – Nigdzie nie zachował się żaden jej wizerunek: ani zdjęcie, ani portret. Próżno szukałabyś jakiegokolwiek pamiątki. Kiedyś odważyłam się zapytać Seweryna o to, co stało się z jego siostrą, czy ma z nią jakiś kontakt i czy w ogóle próbował śledzić jej losy. Odparł jednak, że życzeniem rodziców było, aby na zawsze została zapomniana. Dopiero po ich śmierci wynajął prywatnego detektywa, który usiłował ją odszukać. Mimo starań podejmowanych przez blisko rok człowiek ten nie natrafił na żaden ślad. Jeśli więc tomik rzeczywiście należał do siostry mojego męża, to przynajmniej już wiemy, co stało się z Eleonorą. Nieszczęśnica nie żyje od z górą ćwierć wieku, więc nic dziwnego, że detektyw nie mógł niczego ustalić – podsumowała.

– A zatem trzeba będzie koniecznie pokazać książkę Sewerynowi – uznała Aurelia. – Jeśli on rzeczywiście stwierdzi, że jest to egzemplarz, który swego czasu ofiarował w prezencie siostrze, gotowa jestem mu go zwrócić. Dla niego na pewno ma większą wartość niż dla mojej rodziny. Bo dla nas to tylko pamiątka po kobiecie, która zatrzymała się na krótko w naszym domu.

– Rzeczywiście bardzo chciałabym, aby mąż ją obejrzał. Jeżeli oznajmi, że mamy do czynienia z prezentem ofiarowanym przez niego siostrze i nie zaszedł żaden zbieg okoliczności, to przypuszczam, że zechce porozmawiać z twoją rodziną o ostatnich chwilach Eleonory. Mam nadzieję, że państwo Juraszkowie wyrażą na to zgodę.

– Bez wątpienia, Matylodo. Przecież ich znasz: są życzliwymi ludźmi, skorymi do pomocy – odparła Aurelia.

– Cóż to za niesamowita historia! – wtrąciła Feliccyta, która do tej pory przysłuchiwała im się w milczeniu. – Ach, jakże byłoby pięknie, gdyby z pomocą tomiku dało się ustalić coś tak ważnego. I gdyby na łono rodziny, choćby nawet pośmiertnie, wróciła zbłąkana duszyczka.

– Zaiste, pani Feliccyto. Jestem głęboko przekonana, że zarówno Seweryn, jak i Zuzanna będą niezwykle wdzięczni, jeśli czegokolwiek się dowiedzą. Na pewno zechcą złożyć kwiaty na grobie swej siostry.

– A kiedy twój szanowny małżonek wybiera się do Krynicy?

– Spodziewam się go w przyszłym tygodniu. Ach! Ależ jestem podekscytowana! – wyznała Adamczykowa. – Nawet nie będę o tym wspominać w liście do męża, ponieważ obawiam się, że korespondencja mogłaby się z nim rozminąć. Zresztą najpierw trzeba mu tę książkę pokazać, a dopiero gdy ją weźmie do ręki, opowiedzieć związaną z nią historię. Później moglibyśmy się wspólnie wybrać do Powroźnika. Co o tym myślisz, Aurelio?

– To doskonały plan. Sama też jestem niezwykle zaintrygowana i ciekawi mnie rozwiązanie zagadki. Choć niewiele wiem na ten temat, jestem przekonana, że letniczka, która przed laty mieszkała u moich rodziców, to właśnie wasza krewna. Przykre jest, że tak młodo zmarła. Matula wspominała, że chorowała przed śmiercią na suchoty. Właśnie z tego

powodu ojciec nie odwiózł jej do żadnej z krynickich willi, tylko zaproponował gościnę w Powroźniku. W tamtym czasie zdarzało się, że moi rodzice przyjmowali gości, którzy pragnęli wypocząć na łonie natury, a nie stać ich było na pobyt w drogich pensjonatach. Byli jeszcze dość młodzi, zaledwie kilka lat po ślubie. Potrzebowali wówczas pieniędzy, ponieważ tatko zakładał pasiekę – wyjaśniła Aurelia. – Sęk w tym, że kobieta, która u nas przebywała, podała się za sierotę. Na dodatek nosiła inne nazwisko.

– Nazwisko miała pewnie po mężu – zauważyła roztropnie Matylda. – Gorzej z tym sieroctwem... Moi teściowie zmarli stosunkowo niedawno.

– Hm... A może zataiła prawdę o swoich krewnych celowo? – podsunęła pani domu. – Skoro wplątała się w skandal, miała ku temu powody. Może nie chciała, by łączono ją z tamtym wydarzeniem, na wypadek gdyby na swej drodze życiowej spotkała kogoś z Krakowa?

Sprawa książki zdominowała całe popołudnie. Kobiety nie potrafiły już rozprawiać absolutnie o niczym innym. Kiedy w czasie podwieczorku dołączył do nich Ksawery, również jemu opowiedziały o swoich przemyśleniach.

– Zaiste, ciekawa sprawa – odparł mężczyzna, podkreślając siwego wąsa. – Co więcej, uważam, że wasza gdybanina wcale nie jest na wyrost. Możliwe, że uciekająca przed skandalem dziewczyna znalazła schronienie właśnie w Powroźniku.

Próbowali jeszcze snuć przypuszczenia, co też mogła porabiać w okresie pomiędzy wyjazdem z Krakowa a śmiercią w okolicy, lecz nikomu nic nie przychodziło na myśl, zwłaszcza że Matylda nie miała nawet mglistego pojęcia, ile czasu to trwało. Informacje, które posiadała od Seweryna, były nader skąpe. Zuzia tego tematu nie chciała nigdy poruszać. Raz tylko

wspomniała, że odczuwa do zaginionej siostry ogromny żal, ponieważ z powodu jej skandalicznego zachowania miała problem ze zrobieniem dobrej partii. Choć w rezultacie zadowolona jest ze swojego małżeństwa i bardzo kocha Tytusa, to zanim wyszła za mąż, minęły aż trzy sezony. Kawalerowie ze znamienitych rodzin nie byli skorzy do małżeństwa z panną, na której nazwisku ciążył cień skandalu. Na szczęście Tytus nie żywił uprzedzeń i nie uważał, by echo minionych wydarzeń aż tak mocno rzutowało na narzeczoną. Zresztą sama zainteresowana dokładała starań, aby jej zachowanie było nienaganne. Nikt nie mógł jej absolutnie niczego zarzucić.

Matylda, choć była bardzo rozentuzjasmowana odkryciem, postanowiła mimo wszystko nie zdradzać niczego nawet Zuzannie. Po pierwsze: nie miała całkowitej pewności, czy książka rzeczywiście należała do zaginionej siostry Seweryna i Zuzi. Po drugie: jeśliby się okazało, że to nie jest prawdą, nie chciała im robić nadziei na ustalenie tego, co się stało z ich siostrą. Po trzecie: nie była przekonana, czy Zuzanna ucieszyłaby się w ogóle z wieści o tym, że wpadła na trop Eleonory. Być może nadal chowała w sercu urazę.

Matyldzie bardzo trudno przychodziło utrzymanie sekretu przed szwagierką oraz mężem, gdy ten przyjechał do Krynicy. Seweryn znał ją jak nikt inny i z błysku oczu potrafił wyczytać wiele. Wypytywał więc żonę o to, co ją tak ekscytuje, lecz ona milczała niczym grób. Na szczęście nie musiała wkładać wiele wysiłku w wyciągnięcie go z wizytą do Drzewickich. Wcześniej uzgodniły z Aurelią plan działania.

Kiedy towarzystwo rozlokowało się w bawialni i podano już kawę, Aurelia wyciągnęła do Seweryna dłoń z książką.

– Uważam, że powinien pan na to zerknąć – oznajmiła.

Mężczyzna, podobnie jak kilka dni wcześniej żona, rozpoznał oprawę tomu. Zamarł, kiedy podniósł okładkę.

– O dobry Boże! – wykrzyknął. – Jakim cudem weszła pani w posiadanie książki, która należała do mojej siostry? Utrzymuje pani jakąś formę kontaktu z Eleonorą? Gdzie ona jest, co porabia i jak się miewa? Czy mieszka w okolicy? – zasypał Drzewicką lawiną pytań. W jego spojrzeniu widać było ekscytację. – Bardzo chciałbym się z nią spotkać.

– Ogromnie mi przykro – odparła Aurelia – ale spotkanie niestety nie jest możliwe.

Następnie przekazała mu cały posiadany przez siebie zasób wiedzy.

– Chcę pojechać na jej grób – oświadczył mężczyzna. – I jeśli nie będzie to stanowiło uciążliwości dla państwa Juraszków, pragnąłbym z nimi porozmawiać. Wiem, że minęło już wiele lat, ale może pamiętają jeszcze cokolwiek z tamtego okresu? Choćby i ostatnie słowa Eleonory...

– Oczywiście, to żaden kłopot. Byłam wczoraj w Powroźniku i uprzedziłam moich rodziców, że być może zechce się pan z nimi zobaczyć. Byli bardzo poruszeni, gdy objaśniłam, w czym rzecz. Niestety nie powiedzieli mi nic więcej ponad to, co już sama wiedziałam. Stwierdzili tylko, że jeśli faktycznie odnaleźli się krewni zmarłej, to rzeczywiście chcieliby z nimi zamienić kilka zdań.

– A zatem czy możliwa będzie ta wizyta jeszcze dzisiaj? – zapytał Seweryn. Najchętniej wskoczyłby na konia i pognął tam jak najprędzej. – Mamy wczesne popołudnie, a mnie bardzo na tym zależy.

– Ależ oczywiście. Poproszę, by zaprzęgnięto bryczkę. Niebawem będziemy gotowi do wyjazdu.

– Dobrze byłoby, gdybyśmy po drodze zahaczyli o Trzy Róże i zabrali ze sobą Zuzannę. Wszak jeśli przecucie nas wszystkich nie myli, chodzi o naszą siostrę. Mam nadzieję, że zgodnie z zapowiedzią została z Tytusem w hotelu. Zamierzali słuchać występów jakiejś śpiewaczki – oznajmił.

– To drobiazg, panie Sewerynie – odparła Aurelia.

Gdy oczekiwali na ekwipaż, Adamczyk ze wzruszeniem oglądał książkę. Tego, że stanowiła ona własność jego siostry, nie kwestionował. Pamiętał doskonale tę dedykację, od razu rozpoznał własny charakter pisma i podpis.

Nurtowało go mnóstwo pytań, między innymi to, czy rzeczywiście osoba, która zmarła u Juraszków, była jego siostrą. Równie dobrze mogła być to kobieta podszywająca się pod Eleonorę, choć nie widział powodów, dla których mogłaby to robić. Albo ktoś, w czyje posiadanie książka trafiła przez przypadek. Wiedział, że już niedługo wyjaśni wiele wątpliwości. Miał spore szanse na to, by poznać losy zaginionej dziewczyny. Choć rodzice jej się wyparli, braterskie przywiązanie nie prysło niczym bańka mydlana. Nie zapomniał o Eleonorze. Często ją wspominał i rozmyślał o tym, co się z nią stało. Gdyby nie wiązała mu rąk przysięga złożona matce oraz ojcu, podjąłby poszukiwania znacznie wcześniej. Nie chciał jednak przysparzać im zmartwień i narażać się na ich gniew.

Powroźnik

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Toć to wykapana nieboszczka Eleonora! – wykrzyknął Nazarym na widok Zuzanny.

Brat i siostra spojrzeli po sobie. Chyba nie potrzebowali już więcej słów ani dowodów.

– Przebóg! I ja żem panią rozpoznał, kiedym panią dwa lata temu wiózł z Muszyny do Krynicy – wtrącił Witalis,

przypatrując się uważnie Strzeleckiej. – Byłem pewien, że znam pani twarz, chociaż nie do końca przypominałem sobie skąd. Obstawiałem raczej, że pani często bywała niegdyś w uzdrowisku. Wszak kiedy nieboszczka Eleonora zgasła, byłem kilkuletnim pętkiem. Czas mógł więc zatrzeć moje wspomnienia z tamtego okresu.

Juraszkowie zaprosili gości do paradnej izby. Zgodnie ze zwyczajem poczęstowali ich czym chata bogata. Seweryn, Zuzanna i Matylda byli jednak zbyt przejęci, by choćby skubnąć pachnącego wybornie świeżo upieczonego kołacza z miodem.

Przez chwilę goście z ciekawością rozglądali się po wnętrzu łemkowskiej chyży. Znać było, że gospodarze nie należą do biedaków oraz że miłują porządek. Podłoga była wyszorowana, kąty omiecione z pajęczyn. Nigdzie nie widać było nawet drobinki kurzu. Pobielone ściany ozdabiały liczne obrazki. W kącie pokoju umieszczono udekorowany świeżym kwieciem ołtarzyk z ikoną, przed którą płonęła świeczka. Wszystkie meble wykonane zostały starannie, co więcej, pomalowano je w ludowe wzory. Stół przykrywała haftowana serweta, a na łóżkach piętrzyły się pierzyny obleczone w bielusieńkie poszwy ozdobione tym samym motywem.

– Szanowni państwo, pozwoliliśmy sobie zakłócić wasz mir domowy, ponieważ przypadkowo dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie przed laty gościliście naszą siostrę – odezwał się w końcu Seweryn. – Książkę, która obecnie znajduje się w posiadaniu Aurelii, dawno temu podarowałem Eleonorze z okazji urodzin. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że wasza letniczka i moja siostra to ta sama osoba. Chcielibyśmy dowiedzieć się, jak nieboszczka spędziła ostatnie chwile. Przez lata nie mieliśmy o niej żadnej informacji. Wynająłem nawet detektywa, by ją odszukał, lecz jego działania były daremne.

– Istotnie dawno temu w Muszynie zaczepiła mnie schorowana, niezamożna wdowa. Cierpiała na suchoty, dlatego miała problem ze znalezieniem kwatery. Ani tam, ani w Krynicy nie leczą takich chorób. Ponieważ wyglądała marnie i nie miała sił na wyruszenie ani w powrotną, ani w dalszą drogę dylizansem, zaproponowałem jej gościnę w naszym domu. Przedstawiła się jako Eleonora Leitner. Niewiele o sobie mówiła. Wspomniała, że pochodzi z Krakowa, ale wyjechała stamtąd wraz z mężem, który wkrótce po ślubie zmarł właśnie na suchoty i prawdopodobnie to on ją zaraził. Nie miała przy sobie wielu rzeczy. Ot, płócienny kuferek, w którym trzymała trochę bielizny i suknię na zmianę.

– Z tych rzeczy nic nie ocalało – wyjaśniła jego żona. – Ale po nieboszczce zachowało się to. – Wyjęła z sakiewki przytroczonej do taśmy od zapaski niewielkie zawiniątko. Widać przygotowana była na tę wizytę. Położyła na stole chusteczkę, której brzegi zdążyły się już wystrzępić. Ostrożnie zaczęła rozsupływać rogi, a gdy ją rozłożyła, oczom zgromadzonych ukazały się: różaniec, srebrna obrączka, takiż łańcuszek i krzyżyk. – Zachowaliśmy te rzeczy właśnie z myślą o takiej chwili – wyjaśniła kobieta – choć może powinniśmy byli włożyć to razem z nieboszczką do grobu. Pomyśleliśmy jednak, że jeśli da Bóg, to kiedyś odnajdą się jej krewni i może rozpoznają drobiazgi. Strzegłam ich bardzo pilnie.

Seweryn i Zuzanna spojrzeli z uwagą na rozłożone na stole skromniutkie precjoza. Obydwoje bezradnie pokręcili głowami.

– Niestety, nie przypominam sobie tych przedmiotów – odparł mężczyzna.

– Ja tym bardziej – dorzuciła skonfundowana siostra. – Sama niewiele pamiętam Eleonorę. Gdy zniknęła z naszego życia,

była dorastającą panienką, a mnie wciąż trzymano w pokoju dzieciennym.

– Szkoda. Myśleliśmy, że to w czymś pomoże – stwierdził Juraszko. – Eleonora miała jeszcze ze sobą książkę, ale jej życzeniem było, by ta trafiła kiedyś w ręce Aurelii. – Spojrzał na córkę.

Drzewicka uśmiechnęła się łagodnie.

– Czy właśnie dlatego postanowiła mi ją ofiarować, że przyszedłam na świat, w czasie kiedy tutaj przebywała? – zapytała rodziców. – Wiem przecież, że pani Eleonorze zawdzięczam imię.

Nazarym skinął głową na Paraskę. Kobieta nabożnie uczyniła znak krzyża, a następnie ujęła w dłoń ikonę. Odwróciła ją i podważyła delikatnie mocowanie ramy. Po chwili wyjęła z za niej pożółkłą kartkę złożoną we dwoje. Oddała ją mężowi.

– Szanowny panie, prawda jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż się wszystkim wydaje. – Juraszko zwrócił się do Seweryna, jakby ignorując pytanie postawione przez córkę. – Najlepiej będzie, jeśli spojrzysz pan na ten list. – Podał Sewerynowi arkusik papieru wydobyty z ołtarzyka.

Seweryn ostrożnie rozprostował nadgryziony zębem czasu karteluszek. Włożył w oko monokl i przeczytał kilka zdań skreślonych słabą dłonią, na co wskazywały niezbyt wyraźne litery. To, co napisane zostało wyblakłym atramentem, zaparło mu dech w piersiach. Z wrażenia mężczyzna położył dłoń na sercu.

– O dobry Boże! – wykrzyknął. Potem spojrzął na siedzącą w pobliżu Aurelię.

– Sewerynie, co się stało?! – zawołała Zuzanna, widząc, że brat poblądł na twarzy i ciężko oddycha.

Mężczyzna odruchowo wyciągnął ku niej rękę z kartką, lecz siostra nie wzięła od niego arkusza. Rzuciła tylko wzrokiem i stwierdziła, że nie będzie w stanie nic odszyfrować, ponieważ nie wzięła ze sobą binokli.

– Przeczytaj na głos – zażądała Matylda.

Seweryn odchrząknął, a następnie spełnił jej prośbę.

– „W obliczu nadciągającej śmierci ja, Eleonora Leitner z domu Adamczykówna, powierzam opiekę nad córką moją, Aurelią Leitner, Parasce oraz Nazarymowi Juraszkom z Powroźnika, ufając, że ci bogobojni i nad wyraz szlachetni ludzie nie skrzywdzą mojej dzieciny i wychowywać ją będą jak swoją. A co po mnie zostało, niech idzie na utrzymanie dziecka”.

– Prawda to? – zapytał gospodarza, choć charakter pisma nie budził jego wątpliwości. Wiedział, że trzyma w dłoni krótki list napisany przez siostrę niemalże w godzinie śmierci.

– Jak mi Bóg miły – odparł Nazarym i huknął mocno zaciśniętą pięścią w pierś tak, że aż zadudniło. – Nie pokazywaliśmy wcześniej listu absolutnie nikomu, bo baliśmy się tego, co może być tu napisane. Prawda jest taka, że prócz Aurelii nikt z nas nie potrafi czytać w waszym języku. Nade wszystko chcieliśmy chronić ją przed złym losem. Nie poszliśmy z tym nawet do popa czy nauczyciela z obawy, by nie zabrano nam dziecka i nie umieszczono go na zmarnowanie w jakimś przytułku.

Goście zgromadzeni w paradnej izbie Juraszków zamarli. Zapanowała cisza jak makiem zasiał, lecz niemalże od razu dało się słyszeć głuchy łoskot. Kilka par oczu skierowało się w stronę Aurelii, która zerwała się z ławy, a następnie upadła zemdlna, nie powiedziawszy wcześniej nic.

Nagle wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Matylda i Zuzanna w podekscytowaniu pisnęły. Paraska zaczęła rozpaczliwie

szlochać. Seweryn upuścił kartkę i rzucił się na ratunek Drzewickiej. Adamczykowa przytomnie złapała list leżący na podłodze, utkwiała w nim wzrok i ponownie na głos odczytała to, co przed chwilą padło z ust Seweryna.

– O mój Boże! A to dopiero sensacja! – wykrzyknęła. – Zuziu, czy ty to słyszałaś?

Ośłupiała szwagierka siedziała z otwartymi ustami. Dopiero po chwili stuporu wyszeptała:

– Matysiu, uszczypnij mnie szybko, bo nie mogę w to uwierzyć. Mocniej, ponieważ zdaje mi się, że śnię – zażądała, gdy bratowa spełniła jej prośbę.

Tymczasem Seweryn wraz z Nazarymem ułożyli Aurelię na jednym z łóżek. Paraska pobiegła po wodę do izby kuchennej, natomiast pozostałe kobiety od razu przystąpiły do nieprzytomnej. Wspólnymi siłami zaczęto ją cucić.

– Trzeba koniecznie poluzować sznurówkę w gorsecie – stwierdziła Matylda. – Lepiej więc, aby mężczyźni odeszli stąd na chwilę. Muszę rozpiąć jej suknię.

Na szczęście okazało się to zbędne. Aurelia zamrugła powiekami, westchnęła ciężko, jakby jej piersi przygniatał ogromny ciężar, a potem powiodła przytomnym wzrokiem po zgromadzonych w izbie osobach.

– Czy mnie się coś przyśniło? – zapytała głosem drżącym z emocji. Seweryn przysiadł na brzegu pośłania i ujął jej dłoń.

– Obawiam się, Aurelio, że to nie jest sen. Właśnie dowiedzieliśmy się, że jesteś moją siostrzenicą.

– Ale jak to? Dlaczego? Jakim cudem? – Zdumiona Drzewicka spojrzała na kobietę, którą do tej pory nazywała swoją rodzoną matką. Podciągnęła się na pośłaniu, by usiąść. Opuściła nogi na podłogę. Wciąż odczuwała zawroty głowy, lecz ciekawość wzięła górę nad słabością.

– Ałenko, córeczko moja ukochana! Dowiedziałaś się właśnie prawdy. Nie ja cię powiłam. Jesteś dzieckiem tej nieszczęsnej letniczki, która wyzionęła ducha w naszym domu. Pani Eleonora, gdy wysiadła z dyliżansu w Muszynie, rozpytywała ludzi o odpowiednią dla siebie kwaterę. Zagadnęła też Nazaryma. On zaproponował nocleg u nas, bo nie bał się suchotniczki. Wtedy zaczęła się martwić o to, czy w okolicy znajdzie mamkę. Była brzemienna, na ostatnich nogach. Cud, że w ogóle przetrzymała trudy podróży. Zakładała, że wycieńczona chorobą nie poradzi sobie z wykarmieniem dzieci.

– Ucieszyła się, gdy usłyszała, że moja ślubna też jest na dniach – wtrącił Nazarym. – I właśnie w taki sposób trafiłyście tutaj.

– Twoja matka – podjęła Paraska – nim wydała ostatnie tchnienie, powierzyła cię mojej pieczy. Wiedziała, że umrze, bo nie było dla niej ratunku. Pluła krwią przy każdym oddechu tak mocno, że wręcz nie mogła złapać powietrza. Przyszłaś na świat tuż po Sofijce. Po moim porodzie kowalowej spieszyło się do krów, więc jej nie zatrzymywałam, bo czułam się dobrze. Twoją matkę dopadło odrobinę później. Choć sama byłam jeszcze osłabiona, osobiście odbierałam poród, bowiem twoja matka nie chciała przy sobie obcej akuszerki. Pani Eleonora rzeczywiście nie miała pokarmu, więc to ja cię karmiłam. Już wtedy obdarzyłam cię wielką macierzyńską miłością. Byłaś taka maleńka, bezbronna, delikatna... W porównaniu z moją córką zdawałaś się krucha niczym kurczaczek. Bałam się, że zgaśniesz razem ze swą matką. Eleonora zmarła dwa dni po porodzie. Przed śmiercią zdążyła skreślić ten list, który właśnie przeczytaliście. Nie wystarczyło jej sił, by napisać cokolwiek więcej.

– Dlaczego nigdy nie powiedziałaś mi prawdy? – zapytała Drzewicka.

– Bo świat jest okrutny dla sierot – odparła Paraska. – Postanowiliśmy z Nazarymem, że przed wszystkimi będziesz bliźniaczą siostrą Sofii.

– I nikt poza wami o tym nie wiedział? – zdziwiła się bohaterka niecodziennych wydarzeń.

– Nikt. Urodziłaś się w środku nocy, więc rano, gdy Ksenia przyszła sprawdzić, jak się miewam, powiedziałam jej, żeś się ze mnie wymknęła tak gładko i prędko, że nie było potrzeby wzywać jej z powrotem. Boczyła się trochę, wiadomo, bo to dla doświadczonej akuszerki despekt, żeby bliźniaczki nie zauważyć, ale jakeśmy ją w kumy poprosili, zaraz się udobruchała. Naszego sekretu nie wyznałam nawet popowi. Niech Bóg wybaczy mi ten grzech! Zrobiłam to wszystko z troski o ciebie. Od razu pokochaliśmy cię z Nazarymem jak własne dziecko i nie chcieliśmy, by dręczył cię okrutny los sieroty. By ludzie wytykali cię palcami jako znajdę albo, co nie daj Panie Boże, jako bękarta. Sierotom źle się żyje. Sama dobrze wiesz, na co przyszło nieszczęsnej Eudokii. Nad sierotą nikt się nie ulituje, nikt się za nią nie wstawi. Nikt nie poda ręki w ciężkiej chwili.

– Mój Boże, nigdy w życiu bym się nie domyśliła! Nie odgadłabym tego! Przecież zawsze miałaś dla mnie tyle czułości! Czasami nawet wręcz myślałam, że troszczysz się o mnie więcej niż o pozostałe moje rodzeństwo – wyznała Aurelia.

– Nie chciałam, byś choć przez moment pomyślała, że nie jesteś moją córką – powiedziała Paraska. – Zwłaszcza gdy ludzie na mnie wygadywali, zem się musiała złądaczyć z jakimś kuracjuszem.

– A ja musiałem bronić honoru żony – dodał Nazarym. – Mogłem to czynić tylko w jeden sposób: dbając o ciebie jak o rodzinę.

– Czy to dlatego hojnie łożyliście na moją edukację?

Nazarym przytaknął.

– Poniekąd tak. Mimo że zawsze byłeś dla nas jak córka, nie zapomnieliśmy o tym, że tak naprawdę należysz do lepszego świata. Bo choć twoja matka była osobą zubożałą, dało się u niej zauważyć dobre urodzenie. A ty jakaś taka mądrzejsza byłeś nad inne dzieciaki ze wsi. Łatwo się uczyłaś, zapamiętywałaś wszystko. Grzechem byłoby, gdybyśmy to zmarnowali. Chcieliśmy choć tak odplacić ci za to, że pozbawiliśmy cię wiedzy o twoich prawdziwych korzeniach.

Zapadła cisza. Słyszeć było jedynie brzęczenie muchy tłukącej się o szybę. Wszyscy w napięciu spoglądali na Drzewicką. Ciekawi byli jej reakcji na wyznania Juraszków.

– O mój Boże! O mój Boże! – jęknęła Aurelia po momencie stuporu. Chwyciła dłoń Paraski i zaczęła obsypywać ją żarliwymi pocałunkami. – Matulu! Matulu, moja kochana! Ojczy! Przecież ja wam tak wiele zawdzięczam! – wykrzyknęła, ponieważ zdała sobie sprawę z tego, jaki podły mógłby być dla niej los, gdyby Juraszkowie nie zataili prawdy i nie okazali jej tyle dobroci. Wszak mogli ją pozostawić łaskawie w swojej chałupie, ale traktować jak przybłędę. Mogli obarczać ją pracami ponad siły, wyzyskiwać niczym komornicę. Tymczasem, choć obca, była dla nich najukochańszym i najbardziej rozpieszczonym dzieckiem. Doskonale wiedziała, jak okrutny jest świat. Nie mogła więc żywić do nich żalu o to, że od zawsze ją okłamywali. W rzeczy samej przygarnęli ją i wychowali jak swoją. Gdyby nie opłacali jej nauki, pozostałaby ciemną wiejską dziewczyną. Zapewne nie oczarowałaby

wówczas ukochanego mężczyzny. Kto wie? Może podobnie jak Eudokia szukałaby okazji, by w ramionach jakiegoś letnika zapomnieć choć na parę minut o smutnej rzeczywistości? Może desperacko próbowałaby odmienić swoją dolę, ostatecznie pogarszając jedynie sytuację?

Jej myśli galopowały niczym rozpędzone wierzchowce.

Była zdumiona tym, jak wiele miłości zaznała w swoim życiu. Czyż bowiem można bardziej kogoś kochać? Kochali ją Juraszkowie. Kochali ją Drzewiccy. A prócz nich miała jeszcze matkę, która wydała ją na świat.

– Moja najprawdziwsza matula, Eleonora... Wyrzekła się mnie przecież na łożu śmierci... Czy ona mnie kochała? – zapytała, spoglądając na Paraskę.

– Ptaszynko, nie możesz mieć najmniejszych wątpliwości. Nie wyrzekła się, ale jedynie oddała cię pod naszą opiekę. Kobieta, która pod sercem nosi przez dziewięć miesięcy dziecię, nie może go nie kochać. Płakała rozpaczliwie, wiedząc, że lada moment może umrzeć. Tuliła cię ze wszystkich sił. Twoja główka czerwona była od jej krwi, bo Eleonora wciąż obsypywała cię pocałunkami. A potem kazała cię wycierać, abyś się od niej nie zaraziła. Błagała mnie na wszystkie świętości, abym była dla ciebie jak najlepsza.

– Nie tylko ciebie, matulu, prosiła o opiekę nad Ałenką – wtrącił się milczący dotąd Witalis.

Drzewicka spojrzała uważnie na człowieka, którego do tej pory uważała za ukochanego braciszka.

– Wiedziałeś o wszystkim? – zapytała zdumiona.

– Tak – przyznał skruszony. – Błagam, nie sroż się na mnie, zem zachowałem sekret. Przed Świętą Przepiętą przysięgłem pani Eleonorze, że nikomu o tym nawet nie pisnę. Ona sama zdawała mi się istotą jak z bajki, równą bogom czy królom.

Kiedy więc powiedziała, że pasuje mnie na twojego osobistego rycerza, potraktowałem bardzo poważnie jej słowa.

Aurelia nie zdążyła nic odpowiedzieć.

– To nieprawdopodobne! – skomentowała Matylda. – Przyjechaliśmy tutaj po prawdę o Eleonorze. A tymczasem dowiedzieliśmy się prawdy o Aurelii.

– Ja wiem, szanowni państwo, że trudno wam w to pewnie uwierzyć – przemówił gospodarz. – Klnę się jednak przed Bogiem i przed Świętą Przemysłą, że to wszystko prawda. Nie mam żadnego celu w tym, aby was okłamywać. Choć Aurelia nie jest naszą rodzoną dzieciną, kochamy ją jak własną. Zawsze będzie naszą córką. Nawet teraz, gdy jest dorosłą kobietą i gdy ma jeszcze przybranych rodziców. Tak naprawdę zgodziliśmy się na propozycję Drzewickich właśnie dlatego, że chcieliśmy, aby Ałenka mogła żyć w świecie, dla którego została stworzona. Choć wiedzieliśmy, że narażamy się tym samym na ludzkie gadanie, żeśmy sprzedali własne dziecko, nie mogliśmy inaczej postąpić. W działaniach Felicyty i Ksawerego dostrzegliśmy sprawiedliwość boską. Gdyby Aurelia była naszą rodzoną dzieciną, nigdy w życiu nie pozwolilibyśmy im na ten krok, nie widzielibyśmy takiej potrzeby.

– To doprawdy zdumiewające! – wykrzyknęła Adamczykowa. – Już czworo rodziców to dużo, ale sześcioro? Wręcz niewiarygodne. Aurelio! Przecież ty jesteś siostrzenicą mojego męża! Jesteśmy rodziną! Niesamowite! – Cieszyła się niczym dziecko, które właśnie otrzymało gwiazdkowy podarunek. – Od samego początku coś mnie ku tobie ciągnęło! I mimo że nie łączą mnie z tobą więzy krwi, cały czas byłaś mi wyjątkowo bliska.

– Rzeczywiście to zdumiewające – wtrąciła Zuzanna. – Matylda ma nieprawdopodobną intuicję.

W rzeczy samej odczuwała zażenowanie, ponieważ to jej powinno być się serce poruszać, ilekroć Aurelia przebywała w pobliżu. Na jakiej podstawie mogła jednak przypuszczać, że ma do czynienia z córką własnej siostry? Znienawidzonej na domiar złego. Nikt ze zgromadzonych nie zdawał sobie sprawy, ile ją kosztowało zachowanie kamiennej twarzy i nieujawnianie uczuć. Wewnętrznie dygotała z gniewu. Nie, nie z gniewu, lecz z wściekłości, ponieważ powracało właśnie echo skandalu sprzed lat! Zdecydowanie wołałaby, aby ta sprawa nigdy nie wyszła na światło dzienne. Przeklinała w duchu godzinę, w której doktor Cercha zaproponował Matyldzie wyjazd do wód.

Goście odjechali do Krynicy. W paradnej izbie u Juraszków przez chwilę trwały dyskusje o tym, co się wydarzyło. Przerwała je gospodyni, odprawiając Dymitra i Anastazję, którzy nie byli obecni przy rozmowie z Aurelią i jej znajomymi, a teraz koniecznie chcieli się dowiedzieć, w czym rzecz. Zatrzymała tylko Witalisa.

– A jednak wiedziałeś – stwierdziła zdławionym głosem, choć nie od dziś przypuszczała, że syn zna prawdę.

– Oczywiście. Nie umknęło mi, że powiłaś tylko Sofijkę. A potem nagle pojawiło się jeszcze jedno dziecko.

– Miałaś osiem lat! Chłopcy w tym wieku...

– Matko! – przerwał jej Witalis. – Może nie byłem wszystkiego świadomy, ale wiedziałem, że Ałena jest dzieckiem letniczki. Ona mi o tym powiedziała.

– Kto? Eleonora?

– Tak. Pamiętasz, że lubiła dzieci? Pozwalała nam bawić się w izbie, którą żeście jej wynajmowali. Pewnego dnia wyznała mi, że niebawem ona także będzie miała maleństwo. I bardzo się boi, by nie zostało sierotą. Od tamtej chwili częściej przywoływała mnie do siebie. Opowiadała mi bajki i różne

ciekawe historie. A gdy już w domu pojawiła się Ałenka, oświadczyła, że pasuje mnie na rycerza swojej małej księżniczki. Wtedy złożyłem jej przysięgę na wierność – powtórzył mniej więcej to samo, o czym już wcześniej wspominał. – No co? Byłem przecież dzieciakiem.

Paraska westchnęła ciężko.

– Czy to dlatego nie założyłeś rodziny? Liczyłeś na coś ze strony Ałeny? – zapytała zgorszona, gdyż ta myśl dręczyła ją długie lata. Dla niej, mimo wszystko, Aurelia i Witalis byli rodzeństwem.

– Nigdy w życiu! – oburzył się syn.

– Na pewno? – drążyła matka.

– Tak! Klnę się na Boga! – Huknął dłonią w pierś, aż zadudniło.

– Dla Ałeny zawsze byłem i będę wyłącznie bratem. Kocham ją bardzo mocno, ale wyłącznie w sposób, w jaki przystoi miłować siostrę. Opiekowałem się Aurelią, bo tak nakazywał mi honor. Pragnąłem także wywiązać się z przysięgi, którą złożyłem jako dzieciak umierającej kobiecie. Żenić się nie myślę z nijaką panną, bo żadna nie skradła mi serca. A bez prawdziwego miłowania jakoś nie potrafię.

Nazarym z Paraską spojrzeli po sobie. Kobieta odetchnęła głęboko. Poczowała ulgę. Mężczyzna dla odmiany zdawał się pęcznić z dumy.

– Dobry z ciebie chłopak, Witia. Honorowy jak mało kto. Mój syn! – skwitował.

WIĘZY KRWI, WIĘZY MIŁOŚCI

Krynica

Zapadał zmierzch, gdy bryczka Drzewickich wtoczyła się na podjazd przed willę. Felicyna natychmiast porzuciła stanowisko przy oknie i wybiegła naprzeciw przyjezdnym. Ciekawa była rozwiązania zagadki Eleonory, dlatego bardzo się ucieszyła, widząc, że z ekwipażu wysiada kompletne towarzystwo, powiększone dodatkowo o Zuzannę. Nie spodziewała się wprawdzie, że wrócą całą gromadą do jej domu, czekała przede wszystkim na powrót Aurelii. W hallu krzyknęła do Rózi, by podano gościom kolację, zakładała bowiem, że przejażdżka zaostrzyła ich apetyt.

Widząc podekscytowane oblicza osób wysiadających z pojazdu, nie próbowała zadawać pytań, lecz po prostu zaprosiła wszystkich do bawialni. Przybysze sprawiali wrażenie mocno oszołomionych. Matylda nawet na moment nie wypuszczała z dłoni ręki Aurelii. A gdy wchodzili do willi, wręcz objęła ją w pól. Felicyna postępowała za nimi, spoglądając bacznie. Miała wrażenie, że w Powroźniku zaszło coś naprawdę istotnego – coś, co wstrząsnęło nimi dogłębnie. Dopiero gdy rozlokowali się w fotelach i na kanapach, zagadnęła:

– Moi kochani, bądźcie tak dobrzy i jeśli to nie tajemnica, zdradźcie, czego dowiedzieliście się od państwa Juraszków.

Choć Juraszkowie byli prostymi łemkowskimi chłopami, zawsze mawiała o nich z głębokim szacunkiem. Uważała, że tak po prostu wypada – wszak byli prawdziwymi rodzicami Aurelii. Należało im się uznanie choćby z racji tego, że wychowali swą córkę naprawdę pięknie: na wspaniałą, ciepłą, kochającą osobę.

– Mateczko, nawet sobie nie wyobrażasz, jakie wieści przywieźliśmy – odparła córka.

Policzki miała pobladłe, a jej oczy płonęły blaskiem, jakiego Felicjta nigdy wcześniej u niej nie widziała. Obawiała się nawet, czy młoda kobieta nie dostała gorączki.

– Zatem opowiadajcie – poprosił Ksawery, który również do nich dołączył. – Moja duszka wręcz umierała tu z ciekawości. Nie mogła się doczekać waszego powrotu. Dreptała tam i z powrotem od okna do drzwi i wyglądała, czy nadjeżdżacie.

– Szanowni państwo – odezwał się Seweryn – doprawdy sam nie wiem, jak takie wieści przekazać. Dotyczą one również i was, choć nie aż tak bezpośrednio jak mnie, Eleonory oraz paru innych osób.

Zdumienie państwa Drzewickich było bezgraniczne. Nie przypuszczali, że także mogą być zamieszani w tę historię.

– Otóż okazało się, że w Powroźniku rzeczywiście przed laty gościła moja siostra i tam dokonała żywota. Zostawiła po sobie kilka drobnych pamiątek i jedną naprawdę wielką.

Mężczyzna przeniósł wzrok na Aurelię. Spoglądał na nią tak wymownie, że z wrażenia Felicjta krzyknęła, a potem zdławiła wszelkie dźwięki dłonią przyłożoną do ust. Dopiero po chwili odważyła się zadać pytanie.

– O dobry Boże! Czy trafnie się domyślam, że nasza Aurelia jest córką waszej siostry? – Jej głos zawibrował ogromnymi emocjami.

To Seweryn wziął na swoje barki ciężar opowiedzenia całej historii Felicjcie oraz Ksaweremu. Reszta mu nie przerywała, siedzieli w milczeniu, wodząc wzrokiem po sobie. Słyszając te sensacje, pani domu pobladła. Targały ją mieszane uczucia. Z jednej strony cieszyła się, że zagadka została rozwiązana, ale z drugiej martwiła się, że teraz córka zechce ją opuścić i odjechać

ze swoją prawdziwą rodziną do Krakowa. Oczywiście nie mogłaby jej tego zabronić – z więzami krwi nie mogła prowadzić rywalizacji. Wiedziała, że kiedy minie pierwszy szok i niedowierzanie, Aurelia będzie chciała dobrze poznać swe korzenie. Na razie jednak Felicjta siedziała obok niej na kanapie i trzymała jej dłoń. Czowała, jak chłodna jest skóra córki, chociaż dzień był bardzo ciepły i nawet wieczór nie szczędził kuracjom krynickim duchoty. Po policzkach starszej Drzewickiej spływały łzy. Nie potrafiła nad nimi zapanować. Bodajże pierwszy raz w życiu nie wiedziała, jakie słowa są stosowne w takiej sytuacji.

– Mateczko. – Pierwsza odezwała się bohaterka wieczoru. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem tym wstrząśnięta. Do głowy mi nie przyszło, że spotka nas w Powroźniku taka niespodzianka. Nie wskazywało na to nic w zachowaniu moich pra... – Urwała, ponieważ chciała powiedzieć „prawdziwych rodziców”, lecz w porę sobie uprzytomniła, że przecież Juraszkowie także nie są jej krewnymi. – Oni zawsze byli dla mnie bardzo dobrzy – uzupełniła ze wzruszeniem. – Podobnie zresztą jak ty i ojczulek Ksawery. Trudno mi to wszystko ogarnąć myślami. Jednego jestem pewna: moja miłość i przywiązanie do was oraz do Juraszków nie zmalowały ani o włos. Mamie Eleonorze zawdzięczam dar życia. A wam zawdzięczam to, że jest ono szczęśliwe i przepełnione miłością tak wielką, że wręcz niewyobrażalną.

– Co zamierzasz zrobić, córeczko? – zapytała Felicjta zdławionym głosem, mocno akcentując ostatni wyraz.

– Na razie jestem oszołomiona i niczego nie planuję. Muszę ochłoniąć.

– Z całą pewnością, droga Aurelio. Niemniej jednak będę cię namawiał na to, abys pojechała z nami do Krakowa – odezwał

się Seweryn. – Nie oczekuję, że na zawsze, ale chciałbym cię gościć choć przez parę miesięcy, abyśmy mogli się wzajemnie lepiej poznać.

– Pomyślę o tym w stosownym czasie – zapewniła go młoda kobieta. – To pewne, że będę chciała poznać bliżej moją prawdziwą rodzinę. Ale na razie mam chyba dość wrażeń – dodała. – Nie pogniewacie się na mnie, jeśli was opuszczę? Chciałabym się położyć.

– No tak, to oczywiste – odparła Matylda. – Nie gniewamy się na ciebie. Doskonale rozumiemy twoje przeżycia. Każdy z nas jest mocno zaskoczony. Zajrzę do ciebie jutro. Tylko błagam, Aurelio – dodała z uśmiechem – nie nazywaj mnie ciotką. O ile w przypadku Seweryna słowo „wujek” jakoś by mnie nie raziło, to czułabym się niezręcznie, gdybyś z przyjaciółki przemianowała mnie na ciotkę.

Kobiety wstały, Aurelia uścisnęła Matyldę.

– Do zobaczenia jutro, moja kochana przyjaciółko – powiedziała na odchodnym, a potem z delikatnym szelestem sukni opuściła salon, w którym momentalnie rozgorzała dyskusja na temat ujawnionych minionego popołudnia sensacji.

Kiedy w końcu goście opuścili willę Drzewickich, Felicjta z płaczem padła w ramiona męża.

– Och... Ksawery! – wykrzyknęła z rozpaczą. – Oni nam ją zabiorą! To ich krewna, najbliższa rodzina. Boję się, że uznają, że dla nas jest nikim, a miejsce Aurelii jest w ich domu.

– Nie martw się na zapas, duszko – powiedział mężczyzna, przytulając ją do siebie i głaszcząc kojąco po plecach rozedrganych szlochem. – Sądzę, że Aurelia jest do nas dość mocno przywiązana i nie opuści nas z dnia na dzień. Nawet jeśli wyjedzie do Krakowa, by poznać bliżej swoich krewnych, to wierzę, że za jakiś czas tutaj wróci. Wszak z Krynicą wiąże

się całe jej życie i wszystkie wspomnienia. Tutaj ma przyjaciół, mnóstwo życzliwych osób i jakkolwiek by na to patrzeć, rodzinę. Wszak kto jak kto, ale ty powinnaś doskonale wiedzieć, że więzy krwi to nie wszystko. Liczą się także więzy miłości, wzajemne przywiązanie i szacunek.

– Może i masz rację? Nie na darmo się mawia, że nie ta matka, która urodziła, lecz ta, która wychowała. To oczywiste, że nie będę próbowała zatrzymać Aurelii siłą, jeśli zechce stąd odejść. Ale już teraz serce pęka mi z bólu na myśl o ewentualnym rozstaniu.

– Zachowaj optymizm, moja droga – uspokajał ją Ksawery. – Zaufaj Aurelii. Ona na swój sposób jest również naszą córką. Przeżyliśmy razem wiele dobrego i złego, takich rzeczy nie da się ot tak zapomnieć. Spróbuj postawić się w jej sytuacji. Potrafisz sobie wyobrazić, jak wielkim szokiem były dla niej dzisiejsze nowiny? Po czymś takim pewnie trudno racjonalnie myśleć. Każdy na jej miejscu pragnąłby dowiedzieć się o swoich korzeniach jak najwięcej. Nie mamy prawa jej tego utrudniać.

Nazajutrz Aurelia odczuła nieodpartą potrzebę, by pojechać do Powroźnika. Była jednak zbyt rozemocjonowana, aby wsiadać na wierzchowca, zwłaszcza że ostatnio koń się spłoszył. Nie chciała ryzykować, że znowu wystraszy go jakaś żmija, a ona spadnie i skręci sobie kark w sytuacji, kiedy dzieje się mnóstwo dramatycznych rzeczy.

Przede wszystkim musiała ponownie porozmawiać z Paraską oraz Nazarymem i podziękować ludziom, którzy uchronili ją przed wyjątkowo niewdzięcznym losem sieroty, za to, że tak się o nią zatroszczyli, i zapewnić ich o swoim przywiązaniu. Choć w głębi duszy czuła delikatne ukłucia żalu, że przez tyle lat wyrastała w kłamstwie i Juraszkowie nie ujawnili prawdy

nawet wówczas, gdy dorosła, to jednak nie potrafiła ich za to znienawidzić. Rozumiała, czym się kierowali.

Zresztą, czy mając świadomość, kim jest w rzeczywistości, zrobiłaby cokolwiek? Niby Łemkowie znali nazwisko Eleonory, lecz czy Aurelia miałaby dość determinacji oraz tupetu, aby pojechać do Krakowa i odszukać swoich krewnych? A może znając prawdę o swoim pochodzeniu, odczuwałaby lęk na myśl o tym, że prawdziwa rodzina ją odrzuci? Odżegnają się od niej tak, jak odżegnali się od Eleonory... Wszak zawsze mogłaby zostać uznana przez nich za uzurpatorkę. Kogoś, kto podszywa się pod zaginioną krewną po to, by ciągnąć z tego korzyści materialne. Oczywiście znając Adamczyków, wiedziała, że nie zachowaliby się w tak nikczemny sposób. Ale na jakiej podstawie mogłaby przed laty zakładać, że są szlachetnymi ludźmi?

Jeszcze nim wyjechała do Powroźnika, wezwał ją do siebie Ksawery i oznajmił, że to, czego się wczoraj dowiedzieli, nie zmienia absolutnie nic we wzajemnych relacjach oraz że z punktu widzenia jego oraz Felicyty Aurelia wciąż jest ich córką. Są do niej bardzo mocno przywiązani i życzą jej wszystkiego, co najlepsze. Dobro Aurelii leży im na sercu. Oczywiście zaakceptują każdą decyzję, jaką podejmie, niemniej jednak pragną, aby zawsze traktowała ich dom jak własny, a propozycja, którą onegdaj złożyli, by wdrożyła się w prowadzenie tartaku, jest wciąż aktualna.

Mocno podbudowały ją te słowa. Na razie bowiem nie wyobrażała sobie, że miałaby opuścić Krynicę na zawsze.

Po powrocie z Powroźnika Aurelia usiadła w salonie z przybranymi rodzicami. Pograżona była w głębokiej zadumie. Lada moment spodziewała się przyjaciółki i już cieszyła się na jej odwiedzinę, choć przyszło jej na myśl, że właściwie powinna

była umówić się z nią w hotelu. Miała mnóstwo pytań do Seweryna. Poprzedniego dnia nie wyjaśniła z nim najważniejszej kwestii, a mianowicie tego, dlaczego jej matka musiała odejść z rodzinnego domu.

Co takiego zrobiła Eleonora, że wywołała skandal, który na długi czas pogrzyżył towarzysko Adamczyków? Z całą pewnością przed laty wydarzyło się coś bardzo nieprzyjemnego. Do tej pory nikt nic na ten temat nie wspomniał, ponieważ wszyscy zaaferowani byli odkryciem tajemnicy. Drzewicka miała jednak przeczucie, że echo tamtych wydarzeń rzutuje również na obecne życie rodziny. To tłumaczyłoby dystans ze strony Zuzanny. Bo choć Strzelecka nie powiedziała absolutnie nic, Aurelia wyczuła jednak delikatną niechęć z jej strony. Być może Zuzanna wciąż żywiła żal do Eleonory, a teraz rozciągnęła go również na nią.

Drzewickiej bardzo zależało na jak najszybszym uzyskaniu wyjaśnień. O ile wcześniej Zuzia była jej zupełnie obojętna – rozmawiały ze sobą uprzejmie, ale bez szczególnego zaangażowania, to teraz wzbudzała spory niepokój. Czy wchodząc w rolę ciotki, nie zacznie okazywać niechęci? Aurelia zawsze uważała ją za osobę dosyć surową i wymagającą. Wiedziała, że Matylda bardzo liczy się z jej zdaniem. Kiedyś nawet przyjaciółka zakpiła, że tak na dobrą sprawę Zuzanna nieformalnie pełni rolę jej teściowej.

Ku przyjemnemu zaskoczeniu Aurelii Matylda przyszła wraz z mężem.

– Dzień dobry, Aurelio – przywitał się z nią Seweryn, w naturalny sposób przechodząc na bezpośrednią formę komunikacji. – Nie mogłem sobie odmówić przyjemności spotkania z tobą. Wciąż nie potrafię oswoić się z myślą, że

jesteśmy spokrewnieni. Wszystko wydarzyło się całkowicie niespodziewanie.

– Rzeczywiście – przyznała. – Jestem niezwykle rada pańskiej wizycie. Prawdopodobnie jest pan jedyną osobą, która może mi cokolwiek opowiedzieć o mojej świętej pamięci matce. Rano byłam w Powroźniku, lecz nie dowiedziałam się nic ponad to, co już wiem. Mateczka krótko tam przebywała, więc Juraszkowie nie zdążyli jej dobrze poznać.

– Aurelio, panie Sewerynie – wtrąciła się Felicyna. – Przypuszczam, że sprawy, o których chcielibyście ze sobą porozmawiać, wymagają dyskrecji. Pewnie poruszyicie jakiś bolesny temat. Łatwiej o niektórych rzeczach gwarzy się w cztery oczy. Jeśli więc macie ochotę, nie krępujcie się, możecie wyjść do ogrodu lub skorzystać z gabinetu Ksawerego. My z mężem dotrzemy towarzystwa Matyldzie.

Seweryn skłonił się przed panią domu.

– Dziękuję, *madame*. Chętnie skorzystam z tej propozycji. Faktycznie niezręcznie będzie rozmawiać o pewnych kwestiach, ale Aurelii należy się prawda. Jeśli więc masz ochotę, droga siostrzenico, wyjdźmy do ogrodu.

– Oczywiście. Poproszę pokojówkę, by tam podała nam kawę. Wezmę tylko szal i możemy wyjść.

Potrzebowała lekkiego okrycia, ponieważ tego dnia powiewał chłodny wietrzyk. W drodze do Juraszków trochę nawet zmarzła.

Zaprowadziła Seweryna do niewielkiej altanki usytuowanej pośrodku ogrodu. Oczekali, aż służąca przyniesie zastawę.

– Opowie mi pan o tym, co się stało z moją mamą? Co takiego zrobiła, że rodzice się jej wyrzekli? Czy chodziło o małżeństwo z moim ojcem?

– Tak, w rzeczy samej. Ale nim to zrobię, chciałbym cię prosić o jedno: nie tytułuj mnie panem, wszak jesteśmy rodziną. Rozumiem, że niekoniecznie możesz mieć ochotę nazywać mnie wujem, więc może po prostu zwracaj się do mnie po imieniu. Co ty na to?

– Oczywiście, Sewerynie – odparła krótko.

– Świetnie. Teraz mogę wrócić do meritum. Otóż twoja matka w wieku siedemnastu lat wdała się w romans z Austriakiem. Zgorszenie budziło to, że była wówczas dochodzącą uczennicą renomowanej pensji. Codziennie wychodziła z domu na lekcje...

– Urwał. Niełatwo było przedstawiać zmarłą w negatywny sposób.

– Ale tam nie docierała, tak? – uzupełniła Aurelia.

– Tak. Przez kilka tygodni zwodziła rodziców. Do szkoły posyłała przez służącą informację, że jest chora. Nie wiem, jak poznała tego człowieka. Nikt nigdy o tym nie mówił. Wiem tylko, że Franz Leitner był obywatelem wrogiego państwa, które zniewoliło nasz naród.

– Żołnierz? Policjant? Urzędnik państwowy? – usiłowała odgadnąć.

– Nie. Z tego, co mi wiadomo, Franz nie miał określonej profesji. Pół biedy, gdyby był dobrze urodzonym mężczyzną o nienagannych manierach. Być może rodzice jakoś pogodziliby się z faktem, że moja siostra zakochała się w Austriaku. Takie rzeczy się przecież zdarzają. Problem w tym, że ów człowiek nie miał ani godnego uwagi pochodzenia, ani zawodu, który zapewniłby przyzwoite życie mojej siostrze. Na ile zdążyłem się rozeznać, wiem, że był zwyczajnym uwodzicielem. To jeszcze nie wszystko... – Urwał. Spoglądał na siostrzenicę z zażenowaniem, jakby następne słowa nie chciały mu przejść

przez gardło. – Doprawdy, Aurelio, powinienem chyba na tym poprzestać.

– Ależ nie, proszę! Wyznaj mi całą prawdę. Nie jestem małą dziewczynką, znam życie również od mrocznej strony. Nie musisz mnie oszczędzać, jestem wystarczająco silna, by udźwignąć każdą wiadomość.

Mężczyzna spoglądał na nią z konsternacją. Siedzieli w urokliwej ażurowej altance, którą oplatał bujnie rozrosły klematis. Przed oczami Seweryna roztaczały się piękne widoki, pozostające w olbrzymiej sprzeczności z ohydą, o której nie chciał, lecz musiał powiedzieć.

– Nie wiem, jak mam ci to wyznać. Przez wiele lat myślałem, że to tylko oszczerstwa i plotki, ale wynajęty przeze mnie detektyw potwierdził wszystko, co rodzice mówili o tym osobniku. Oczywiście nie przy mnie, ponieważ dzieciom takich rzeczy się po prostu nie opowiada. Rozmawiali między sobą, ale czasami zdarzało się, że co nieco docierało do moich uszu. A kiedy dorosłem już do wieku, gdy poczułem się upoważniony do tego, by o pewne sprawy zapytać wprost, usłyszałem to samo, czym dzielili się w rozmowach między sobą. Człowiek, który uwiódł moją siostrę, był sprytnym złodziejaszkiem. Podróżował z miejsca na miejsce, zmieniał tożsamości, jego ofiarami padały głównie zamożne damy. Detektyw, którego nająłem po śmierci mej matki, ustalił, że był również szpiegiem. Pozyskiwane od żon polityków informacje sprzedawał bez skrupułów. Nie wysługiwał się konkretnemu rządowi, ubijał interesy tam, gdzie je wietrzył.

– Płatny sprzedawczyk – podsumowała z goryczą Aurelia.

– Niestety tak. Bardzo mi przykro. Jeśli mogę coś dodać na usprawiedliwienie Eleonory, to chyba tyle, że była wtedy bardzo młoda i niedoświadczona. Uległa urokowi kogoś, kto

miał wprawę w uwodzeniu naiwnych kobiet. Zaskoczony jestem, że w ogóle się z nią ożenił. Miał przynajmniej odrobinę przyzwoitości. Inne jego ofiary zostawały porzucone i skompromitowane. Tyle ustalił detektyw. Nie wiadomo, czy i gdzie skonał Franz. Ślad po nim urywa się właściwie w Krakowie. Teraz już wiemy, że nie zmienił nazwiska, skoro Eleonora w swej ostatniej woli podpisała się jako pani Leitner. No, chyba że ślub z nią także był mistyfikacją. Równie dobrze ten człowiek mógł upozorować własną śmierć, by uwolnić się od balastu w postaci łatwowiernej, brzemiennej kobiety. Po wspólnej ucieczce z całą pewnością nie zatrzymywali się w żadnych przyzwoitych hotelach. Gdyby tak było, zachowałyby się jakieś informacje w księgach gości. Zapewne więc wynajmowali prywatne mieszkania, niekoniecznie pod nazwiskiem Leitner. Może po ślubie przybrali inne, by zatrzeć za sobą ślady, i dopiero w godzinie śmierci Eleonora podpisała się tak, a nie inaczej. Przykro mi, że nie mam dla ciebie lepszych wieści – podsumował.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Aurelia trawiła uzyskane informacje. Zapomniana kawa stygła w filiżankach, żadne z nich nie miało na nią ochoty.

– Zuzia chowa urazę do mej matki, prawda?

– Niestety tak. Dorastała w cieniu skandalu. Na każdym kroku musiała udowadniać, że jest inna i nie można mierzyć jej tą samą miarą co starszą siostrę. Pamięć o wyczynach Eleonory i jej hm... ukochanego na długo utrzymała się wśród naszych znajomych. Plotki o tym, co się wydarzyło, rozeszły się błyskawicznie. A wszystko dlatego, że Eleonora została przyłapana z tym człowiekiem. Co więcej, on był podejrzany o kradzież w domu naszych bliskich znajomych. Został nawet aresztowany, lecz jakimś cudem zdołał zbiec. Uciekł wówczas z

Krakowa, zabierając ze sobą Eleonorę. Moja siostra zostawiła krótki list z wyjaśnieniami, w którym twierdziła, że Franz został niesłusznie oskarżony. Tak czy owak, z tego właśnie powodu zostały zerwane zaręczyny Kazi, ponieważ poszkodowanymi byli jej niedoszli teściowie.

– Rozumiem – odparła ze smutkiem Drzewicka. – Cóż za fatalne dziedzictwo ciąży na mnie!

– Aurelio, to nie jest twoja wina. Nie obwiniaj się za błędy popełnione przez twą matkę. Jestem przekonany, że Zuzanna nie będzie ci okazywała niechęci za to, co zrobiła Eleonora w odległej przeszłości. Nie możesz za to pokutować! Zuzia musi po prostu ochłonąć i nabrać dystansu. Przez wiele lat żyła w przeświadczeniu, że wyszła za mąż z rozsądku, ponieważ nie była w stanie zrobić partii, która bardziej by jej odpowiadała.

– Ale przecież ona i Tytus wyglądają na zgodne małżeństwo – zauważyła.

– Nie bierz tego do siebie, lecz jestem zdania, że za niektórymi kobietami czasami trudno jest nadażyć. Potraficie bardzo zawikłać najprostsze sprawy. Ufam, że pewnego dnia ty i Zuzia znajdziecie wspólny język. To w gruncie rzeczy bardzo poczciwa osóbka. I uwierz mi, naprawdę bardzo się cieszę, że los sprawił mi taką niespodziankę. W przeciwieństwie do Zuzanny nigdy nie żywiłem urazy do Eleonory. Była moją ukochaną siostrą. Tęskniłem za nią, gdy zniknęła z naszego życia.

– Dionizy, Dionizy! – wykrzyknęła Emilia, wbiegając do salonu niczym burza. – Nie wyobrażasz sobie, czego się właśnie dowiedziałam!

– Nawet nie próbuję zgadywać, ale po twojej minie widzę, że wieści są naprawdę nietuzinkowe. Opowiadaj.

Żona wróciła właśnie od ciotki.

– Ciekaw jestem, jak to wpłynie na naszą sytuację – powiedział mężczyzna po wysłuchaniu Emilii.

– Mam nadzieję, że teraz wujostwo zmienią testament na moją korzyść. Wszak Aurelia ma własną rodzinę. Tamci ludzie powinni zabezpieczyć ją materialnie.

– No tego to się nie spodziewałem w najśmielszych wyobrażeniach! – stwierdził mąż. – W rzeczy samej zdrowy rozsądek podpowiada, że mogą teraz zmienić ostatnią wolę. Wszak Aurelia ma zupełnie innych rodziców, niż było nam wszystkim wiadomo. Prostacy, wśród których dorastała, dopuścili się oszustwa. Pewnie chcieli osiągnąć w związku z tym jakieś korzyści!

– Ech... Co mnie obchodzą Rusnacy? Wiesz, czego najbardziej się obawiam? Że Adamczykowie mogą nie być zainteresowani zabezpieczeniem Aurelii dobrobytu materialnego ani tym bardziej oficjalnym wprowadzeniem jej na łono swej rodziny. Pomyśl tylko: wszak to jeszcze jedna osoba do podziału majątku – stwierdziła Emilia. – Na razie ciotka była powściągliwa w komentowaniu wydarzeń, bo to wszystko spadło na nich jak grom z jasnego nieba. Sami Adamczykowie musieli być mocno oszołomieni. Ale jak już przemyślą sprawę, to kto wie, jak postąpią? Urzędowe uznanie Aurelii za krewną mogłoby ściągnąć skandal na ich rodzinę. Wiesz, co ludzie by na ten temat wygadywali? Do Aurelii mogłaby przyłgnąć łątka bękarta. Bo kto wie, czy jej matka miała ślub z tamtym człowiekiem? Swoje tajemnice zabrała do grobu.

– Hm... Masz rację. Może powinnaś podzielić się z ciotką swoimi przemyśleniami?

– Uchowaj Boże! Ona jeszcze gotowa przestrzec Aurelię przed zbytym spoufalaniem się z tamtymi ludźmi. Że niby mogą zrobić jej krzywdę. I że nigdzie nie będzie przybłędzie

bezpieczniej niż pod jej dachem. Właściwie uważam, że należy czynić wręcz przeciwnie i delikatnie sugerować, że skoro Aurelia ma własną rodzinę, to koniecznie powinna się z nimi zbliżyć. Bo to oni mają wobec niej różne zobowiązania. Wiesz, co mi się marzy? Żeby mała zmija tak mocno pokochała swoich krewnych, by się stąd wyniosła raz na zawsze. A najlepiej, żeby w ogóle ucięła stosunki z Drzewickimi.

– Mało realne – uznał Dionizy. – Na ile zdążyłem poznać tę cwana bestię, to wiem, że z samego wyrachowania będzie dbała o to, aby z Drzewickimi żyć jak najlepiej. Pokorne cielę dwie matki ssie. Dla prostytutki to może być tylko źródło dodatkowych korzyści. Ciekaw jestem jej dalszych kroków. A nuż uniesie się honorem i odejdzie do swoich krewnych? Gdyby usunęła się nam z drogi, ułatwiłaby wiele spraw. Sam teraz nie wiem, co dalej robić: czekać na rozwój wypadków czy nadal szukać sposobności, by się jej pozbyć? Jeśli tak, to trzeba pomyśleć nad jakimś sensownym planem, nie możemy przecież w nieskończoność strzelać z procy do jej konia.

– Masz jakiś pomysł? Bo w moim odczuciu ten z koniem był doskonały i chyba najbezpieczniejszy.

– Byłby, gdyby nie to, że potrzebny jest do tego łapserdak, który niby dla żartu tego konia spłoszy. Sam nie mogę się posunąć do działania, bo gdyby nie daj Boże ktoś mnie zobaczył kręcącego się po okolicy w momencie wypadku, mógłbym sobie napytać biedy. Nie mogę też w nieskończoność angażować w nasze plany postronnych ludzi. Bo w końcu ten łebek gdzieś nas zdradzi. Upije się w knajpie, zacznie mleć ozorem i powie o jedno słowo za dużo. A z tego kłopot gotowy.

– No to może trucizna? – zasugerowała Litworowa.

– Truciznę można wykryć. Dzisiejsza medycyna stoi na tak wysokim poziomie, że wprawne oko lekarza od razu rozpozna,

że ktoś został otruty.

– I co teraz będzie, Sewerynie? – zapytała Zuzanna, gdy udało jej się w końcu spotkać z bratem sam na sam.

Celowo wyciągnęła go na przechadzkę po ogrodzie przylegającym do hotelu, chciała rozmówić się z nim bez świadków strzygących uszami. Wszak musiała chronić rodzinę przed kolejnym skandalem! Powodowała nią nie tylko troska o własną pozycję towarzyską, ale również o przyszłość synów, zwłaszcza dwóch najstarszych, z których jeden niebawem miał rozpocząć studia prawnicze, a drugiego w przyszłości chciała posłać na medycynę. Nie zamierzała dopuścić, by chłopcy ucierpieli na skutek skandalu, który niczym zły sen od blisko trzydziestu lat włókł się za rodziną.

– Z czym? – zapytał w roztargnieniu Adamczyk.

– No jak to z czym? Z tym okropnym odkryciem! Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to może mieć skutki?

– Nie myślałem o tym w ogóle. Jestem tak zaaferowany, że nie zastanawiam się nad tym, co ludzie powiedzą. Właściwie uważam, że nie powinni mieć nic do gadania na ten temat. Aurelia nie jest przecież bękartem.

– Ale jest córką złodzieja i skandalistki.

– Zuzanno! – skarcił ją brat. – Jak możesz?

– Jak? I ty się jeszcze pytasz? Dlaczego mamy płacić za błędy młodości naszej niefrasobliwej siostrzyczki? – Jej głos ociekał złościwością. – Mało przykrości zazналиśmy z jej powodu?

– To było tak dawno temu, że w ogóle nie ma co do tego wracać.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Wcisnął pod pachę laseczkę, którą z przyzwyczajenia zabrał ze sobą na przechadzkę; teraz tylko mu przeszkadzała.

– Nie byłoby, gdyby nie twoja propozycja, by Aurelia pojechała z nami do Krakowa. Jak zamierzasz przedstawić ją w towarzystwie? Jako naszą cudownie odnalezioną krewną? Przecież to od razu pociągnie za sobą falę plotek i domysłów. A gdy ujawnisz, kim faktycznie jest, podli ludzie momentalnie przypomną sobie o wyczynach jej pożałowania godnej matki!

– Nasza siostrzenica nie może odpowiadać za coś, co wydarzyło się, zanim przyszła na świat.

– Tak! Jasne! Siostrzenica... tylko tego brakuje, by zaczęła nazywać mnie ciotką, a ciebie wujaszkiem!

– To porządna kobieta. Jest przyjaciółką Matyldy...

– Pff! – fuknęła niecierpliwie Zuzia, poprawiając parasolkę, by promienie słońca nie padały na jej twarz. – Akurat na opiniach Matyldy nie można polegać. Dobrze wiesz, że twoja żona bywa nieodpowiedzialną trzpiotką. Nie mam nic przeciwko Aurelii. Nie kwestionuję łączącego nas pokrewieństwa, ale wolałabym, abyśmy nie wprowadzali jej oficjalnie na łono rodziny. Zwłaszcza zważywszy na jej pogmatwaną przeszłość.

– Nie widzę nic zdrożnego w historii jej życia. Wychowywali ją zacni ludzie. Później trafiła pod skrzydła Drzewickich, którzy zapewnili jej ogładę salonową...

– Och! – przerwała mu siostra. – Dobrze wiesz, że nie chodzi o to, czy ma braki w wychowaniu. Zachowuje się, o dziwo, poprawnie, choć zdarzają jej się jakieś uchybienia. Jest owocem skandalu! Córką Austriaka, przez którego Kazia młodo dokonała żywota! Dosadniej nie potrafię tego wyrazić. Opamiętaj się, Sewerynie, i nie galopuj tak z wprowadzaniem jej pomiędzy naszych bliskich! Zaraz pewnie jeszcze powiesz, że powinniśmy oddać tej dziewczynie posag Eleonory, który rodzice podzielili pomiędzy nas! Nie-do-cze-ka-nie! – wykrzyknęła wzburzona.

– Ach! Więc o to ci chodzi? Martwisz się o uszczuplenie swego budżetu?

– A czemu nie? Mam na wychowaniu sześciu synów! Sześciu! Wiesz, co to oznacza? Muszę każdego z nich wykształcić i zapewnić im przyszłość. Ty masz tylko córkę, dla której ustanowisz jakiś tam posag. To znacznie mniejsze obciążenie.

– Nie podejrzewałem cię o aż taki materializm – stwierdził rozgoryczony Seweryn. – Nikt nie oczekuje, że asygnujesz pieniądze.

– Na razie. Tak naprawdę nie jesteśmy w stanie ocenić, co siedzi w głowie tej kobiety. Być może gdy minie pierwszy szok, zacznie wysuwać roszczenia finansowe. Och! Przekłeta godzina, w której prawda wyszła na światło dzienne! Matylda ściągnęła na nas wielki kłopot! Zachciało jej się zawierania przyjaźni!

– Myślę, że oceniasz Aurelię nazbyt surowo. Nie wygląda na żadną pieniędzy materialistkę. Matylda niejedną raz mówiła, że nie zna drugiej równie bezinteresownej i życzliwej osoby. Nie chciała nawet tego, by Drzewiccy podejmowali kroki prawne, by uznać ją za córkę.

– No dobrze. Dajmy na to, że ona nie wyciągnie ręki po należną jej część schedy po naszych rodzicach. Ale są jeszcze Drzewiccy! Oni mogą ją do tego nakłaniać.

– Komu jak komu, lecz przybranym rodzicom Aurelii nie brakuje pieniędzy. Wątpię, by upatrywali w ostatnim wydarzeniu korzyści finansowych dla swej córki. Wszak Aurelia jest ich spadkobierczynią. Uważam, że nie masz się czego obawiać. Rozumiem, że martwi cię echo skandalu sprzed lat, ale nie możemy się wyprzeć tego, że to nasza krewna. Nie możesz jej winić za to, co wydarzyło się tak dawno temu! Proszę...

– Zbyt wiele ode mnie oczekujesz – oświadczyła. – Ja jestem zdania, że tę sprawę należy zgasić w zarodku. Przekonać Aurelię, by siedziała sobie cichutko w salonie Drzewickich i nadal udawała ich córkę. Uchowaj Boże, by do publicznej wiadomości przeciekła informacja, kim jest w rzeczywistości! I nie próbuj mnie przekonywać do swoich racji, bo to daremny trud. Nie zmienię zdania!

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę hotelu. Nie przemawiały do niej argumenty Seweryna.

– Czy podjęłaś już decyzję, Aurelio? – zapytała Matyllda pewnego wrześnieowego popołudnia, tuż przed powrotem całej rodziny do Krakowa. Właściwie oczekiwali na wiadomość, czy Aurelia pojedzie wraz z nimi. Sami byli niemalże gotowi do wyjazdu. Służba kończyła pakowanie bagaży.

Przyjaciółki przechadzały się po parku zdrojowym, zapewne ostatni raz w bieżącym sezonie. I chociaż krewni Aurelii zostali zaproszeni do domu Pod Lipami na pożegnalną kolację, przyjaciółka wolała poruszyć temat podczas spaceru, liczyła bowiem na otwartość Drzewickiej. Przy rodzicach mogłaby się czuć skrepowana.

– Tak, Matylldo – odparła Aurelia. – Dobrze się nad tym zastanowiłam i choć bardzo ciekawa jestem waszego domu, Krakowa oraz reszty rodziny, to jednak na razie muszę zrezygnować z wyjazdu.

– Och nie! Nie rób mi tego, Aurelio! – Matyllda była wyraźnie rozczarowana, choć przypuszczała, że może spodziewać się takiej odpowiedzi. Do tej pory przyjaciółka, jak wciąż ją określała, nawet słowem nie zająknęła się o pakowaniu rzeczy, niezbędnych zakupach czy w ogóle podróży jako takiej.

Adamczykowa z miejsca zaczęła namawiać Aurelię do zmiany zdania, niemalże nie dopuszczając jej do głosu.

– Tak bardzo liczyłam na twoją obecność w Krakowie! – dodała na koniec ze smutną miną, widząc, że opór nie mięknie.
– Zrobiłam dla nas mnóstwo planów. Chciałam ci pokazać wiele rzeczy, przedstawić grono interesujących osób, zabrać cię ze sobą wszędzie, gdzie tylko dusza zapragnie! Tak jak ty pokazywałaś mi przed dwoma laty Krynice, tak ja chciałam pokazać ci nasze rodzinne miasto. Przynajmniej w ten sposób mogłabym ci się odwdzińczyć za czas, który mi wtedy poświęcałaś.

– Głuptasie! To nie było żadne poświęcenie – skarciła ją Aurelia. – Bądź pewna, Matysiu, że było mi równie przyjemnie co tobie. A może nawet jeszcze przyjemniej, bo w końcu wyrwałam z głowy smutne przemyślenia na temat mojego losu. Twoja obecność złagodziła tęsknotę za zmarłym mężem.

– W takim razie jedź z nami, no... Nie daj się prosić... – nalegała Adamczykowa. – Co ci staje na przeszkodzie?

Zapewne namowom nie byłoby końca, lecz Aurelia wysunęła najpoważniejszy z argumentów, którymi dysponowała.

– Nie chcę zostawiać Felicyty oraz Ksawerego. Oni mi ufają, kochają mnie i wierzą, że gdybym nawet teraz wyjechała, to nie na zawsze. Mimo wszystko widzę w ich oczach, zwłaszcza matki, ogrom smutku i lęk. Wiem, że jeżeli teraz ją opuszczę, będzie to dla niej przykre przeżycie. Nie chciałabym, aby ze zmartwienia podupadła na zdrowiu. Minionej wiosny mateczka wciąż chorowała. Obiecuję, że odwiedzę was wkrótce – dodała, widząc, że sprawiła Matyldzie przykrość.

– W takim razie koniecznie przyjedź do nas na czas karnawału. – Adamczykowa miała już gotową odpowiedź.

Brali z mężem pod uwagę to, że Aurelia nie pojedzie teraz razem z nimi do Krakowa. Zauważyli, że odkąd Drzewiccy usłyszeli nowiny na temat pochodzenia córki, wyraźnie

zmarkotnieli. Chociaż jeszcze parę tygodni wcześniej ich głównym zmartwieniem było wydanie jej dobrze za męża, to jednak w obliczu widma prawdziwego rozstania musiało im być ciężko. Wszak nie tak dawno stracili jedyne syna. Od tamtej pory Aurelia była najbliższa ich sercom.

– A wiesz? Karnawał to świetny pomysł – stwierdziła Drzewicka. – Mogłabym zostać w Krakowie około miesiąca. Wystarczająco długo, by oddać się balowym szaleństwom, a przy okazji spędzić z wami trochę czasu. Bo na całe następne lato zapraszamy oczywiście w nasze progi. To już postanowione i omówione dogłębnie. Wierzę, że teraz rokrocznie będziecie u nas gościli i nie będziecie się zatrzymywali w hotelu, lecz w naszym domu. Proszę, zgódź się ze względu na moich przybranych rodziców. Są leciwi, chciałabym nacieszyć się ich obecnością w moim życiu tak długo, jak tylko to możliwe. Wiem, że pewnego dnia każde z nich odejdzie i ten moment sprawi mi ogromny ból. Nie chcę więc rozstawać się z nimi na dłużej. Wycierpieli wystarczająco dużo, pragnę oszczędzić im kolejnych przykrości. Gdyby w grę wchodziła wyłącznie moja łemkowska rodzina, pewnie wyjechałabym z wami natychmiast. Paraska i Nazarym są znacznie młodszy od Drzewickich. Prócz mnie mają jeszcze kilkoro innych dzieci, otoczeni są licznymi wnukami. Oni zdecydowanie łatwiej znieśliby rozłąkę. Z tego właśnie względu lepiej będzie, jeśli w następnych latach będziemy się cieszyli swoim towarzystwem głównie tutaj. Nie myśl, że dla mnie jest to forma poświęcenia. Albo że chciałabym się wymigać od wyjazdu do Krakowa. Nic z tych rzeczy! Drzewickich kocham całym sercem. Ale równie mocno serce rwie się do ciebie i do naszej rodziny. A więc jak, Matyldo, mogę liczyć na waszą obecność?

– Oczywiście! Bardzo się cieszę i już teraz przyjmuję zaproszenie! – wykrzyknęła podekscytowana Matylda. – Powiedz mi tylko, czy jesteś całkowicie pewna, że nie sprawimy kłopotu? Może twoi rodzice napomknęli niezobowiązująco o możliwości ugoszczenia nas w waszym domu, by sprawić ci przyjemność?

– Co to to nie! Propozycja wyszła od ojca. A kiedy on coś mówi, to znaczy, że jest tego całkowicie pewien. Nie znam drugiego równie konsekwentnego w działaniach człowieka. Nadmienił ponadto, że moja rodzina jest również ich rodziną.

– Właściwie mnie to nie dziwi. Oni są niezwykle otwartymi i życzliwymi ludźmi. Daj Boże, by człowiek jak najczęściej spotykał takich na swej drodze. Uwierz mi, że jesteśmy obydwój z Sewerynem bardzo szczęśliwi, że trafiło ci się akurat takie życie. Nie chcę nawet myśleć, co by było, gdyby biedna Eleonora skonała w jakimś innym miejscu. Oddano by cię pewnie do sierocińca. Nigdy w życiu byśmy się nie odnaleźli, bo nie mielibyśmy zielonego pojęcia o twym istnieniu.

Rok 1897 **Kraków**

Aurelia od trzech tygodni przebywała w Krakowie. Dobrze jej było w gościnie u Adamczyków, którzy zadbali, by czuła się tu jak u siebie w domu. Przygotowali dla niej osobny pokój, urządzone bardzo gustownie, wedle kobiecego smaku. Wszystkie znajdujące się w nim sprzęty były nowe. Widać po tym, że Seweryn nie szczędził pieniędzy na wyposażenie.

Pierwszego dnia po przyjeździe wuj wskazał Aurelii portret zawieszony na jednej ze ścian salonu.

– Spójrz, to twoja matka – oznajmił. – Po powrocie do Krakowa poleciłem służbie przetrząsnąć dokładnie całe mieszkanie, ze

szczególnym uwzględnieniem strychu. Właściwie chodziło mi głównie o różne schowki, bowiem w pokojach nic nie mogło zostać ukryte. Nie dowierzałem, że matka ot tak pozbyła się absolutnie wszystkich pamiątek po córce. Kobiety są sentymentalne. I rzeczywiście miałem rację, ponieważ na strychu, wśród innych rzeczy, znajdował się ten obraz. Namalowany został krótko przed tym, jak Eleonora zniknęła z naszego domu.

Kobieta podeszła bliżej, spojrzała uważnie na uwiecznioną na płótnie postać. Z całą pewnością nie odziedziczyła wyglądu po matce. To raczej Zuzanna przypominała swoją siostrę. Obydwie miały płowe włosy i niebieskie oczy. Oczy Aurelii były natomiast koloru brązowego, a jej włosy mieniły się ciemną złocistością gryczanego miodu. Matka i córka różniły się także znacząco rysami twarzy. Cechowały je inaczej zarysowane zuchwy i kości policzkowe, inna była linia nosa. Mimo wszystko przyjemnie było w końcu spojrzeć na wizerunek rodzicielki.

– A więc tak wyglądała moja mama – wyszeptała mocno wzruszona.

Od tamtej pory każdego dnia przyglądała się uważnie obrazowi, wciąż odkrywając na nim nowe detale. Cieszyła się, że nie został zniszczony. Poprosiła nawet Seweryna, aby zamówił dla niej kopię portretu. Zamierzała zabrać ją do Krynicy i powiesić w swojej sypialni.

Czas w Krakowie upływał nader przyjemnie. Gdy tylko dopisywała pogoda, panie spacerowały po mieście, odwiedzały kawiarnie, domy mody oraz licznych znajomych i krewnych. Wieczory spędzały w teatrze oraz na balach. Seweryn towarzyszył im przede wszystkim podczas wyjść, ponieważ za dnia pracował.

Kiedy aura kaprysiła, przyjaciółki pozostawały w domu. Zaszywały się wówczas w przytulnym salonie, w pobliżu ognia trzaskającego radośnie na kominku, popijając gorącą kawę lub czekoladę, zajadając łakocie dostarczane z cukierni Piaseckiego. Bona przyprowadzała im wówczas Konstancję. Rozkoszne maleństwo skradło serce Aurelii jeszcze podczas wakacji w Krynicy, teraz miłość tylko się pogłębiała. Wszak ona i dziewczynka były kuzynkami.

Chociaż Drzewicka tęskniła za wszystkim, co zostało w Krynicy, dobrze się czuła w gościnie u Adamczyków. Miała tutaj przebywać półtora miesiąca.

Co drugi dzień pisała obszernie listy do bliskich z uzdrowiska, informując o tym, co porabia oraz jak się miewa. Za każdym razem dołączała mnóstwo pozdrowień od swych gospodarzy. Nigdy nie zapomniała dodać, że brakuje jej obecności Felicyty oraz Ksawerego. Wprawdzie Seweryn zapraszał Drzewickich do siebie, lecz odmówili. Dla nich podróż zimą byłaby nader uciążliwa. Cieszyli się jednak, że córka pojechała do miasta właśnie na okres karnawału.

Dzień zaczynał się powoli, jak to po balu. Aurelia przeciągnęła się leniwie w pościeli. W mieszkaniu panowała cisza, słychać było jedynie mocno stłumione odgłosy dobiegające z odległej kuchni. Znak, że kucharka już przygotowywała późne śniadanie. Drzewicka miała ogromną ochotę na filiżankę gorącej czekolady, która w mieszkaniu brata smakowała wyjątkowo wybornie, lepiej nawet niż w najwykwintniejszych krakowskich kawiarniach.

Czujne uszy Aurelii wyłapały w korytarzu poruszenie. Po chwili ktoś cichutko zastukał do jej drzwi.

– Proszę – zachęciła stojącą za nimi osobę do wejścia.

Do pokoju wsunęła się służąca.

– Dzień dobry, *madame*. Przed momentem przysłano dla pani depeszę – oznajmiła, podając na tacy arkusz papieru.

– Dla mnie? – wyraziła zdziwienie Aurelia.

Z miejsca ogarnął ją niepokój, gdyż ta forma korespondencji nie mogła wróżyć niczego pozytywnego. Drżącą dłonią sięgnęła po blankiet. Pokojówka zostawiła ją samą.

Drzewicka powiodła wzrokiem po wiadomości. *Aurelio stop przyjeżdżaj natychmiast stop ojciec umierający stop matka*. Kobieta poczuła, jak jej płucom zaczyna brakować tchu. Panicznie wręcz obawiała się właśnie takich wieści! Nim wyjechała do Krakowa, dziesiątki razy upewniła się, że rodzicom dopisuje dobre samopoczucie. Mimo wszystko zastanawiała się nawet, czy nie odłożyć wizyty w mieście na bardziej dogodny czas, na przykład na wiosnę. Przecież mogła przyjechać do Krakowa w kwietniu lub maju, a później razem z Adamczykami wrócić na letni sezon do Krynicy. Felicjta jednak nalegała na to, by córka pojechała do miasta właśnie na karnawał. Twierdziła, że czuje się znakomicie. Nie obawiała się przeziębień. Przysięgała na wszystkie świętości, że będą wraz z Ksawerym dbali o zdrowie.

Tak więc spełniły się najgorsze przeczucia Aurelii. Teraz kęsały ją wyrzuty sumienia, że podczas gdy sama dobrze się bawiła w Krakowie, ojciec ciężko zachorował. Natychmiast zerwała się z pościeli i zadzwoniła po służącą.

– Proszę posłać kogoś na dworzec kolejowy po bilet do Muszyny. Muszę bezzwłocznie wyjechać, nawet gdyby podróż miała się odbyć drugą bądź trzecią klasą, choć oczywiście wolałabym pierwszą. Będę potrzebowała sukni podróżnej, ciepłej bielizny oraz okrycia. Moje rzeczy proszę zapakować w kufer i odesłać przy najbliższej sposobności do Krynicy. Dzisiaj nie mogę czekać na to, aż zostaną przygotowane do transportu

– stwierdziła, a następnie zapytała: – Czy obudziła się już pani Matylda?

– Tak, przed momentem pomagałam jej w porannej toalecie.

– Ach to dobrze! – odparła Aurelia.

W czasie, gdy służąca spełniała polecenia, Drzewicka ochlapała twarz chłodną wodą i zmieniła bieliznę. Gdy pokojówka wróciła, poprosiła ją o pomoc we włożeniu ubrania. Przygotowana jak do podróży, poszła na spotkanie z przyjaciółką.

Ani razu nie określiła Matyldy mianem ciotki. Ich relacje pozostały niezmiennie.

– Aurelio! – wykrzyknęła na jej widok pani domu. – Czemu masz na sobie kostium podróżny? Wybierasz się dokądś?

– Tak. Muszę jak najszybciej wracać do Krynicy. Wyjeżdżam zaraz po śniadaniu – oznajmiła Drzewicka i podała depeszę Matyldzie. Ta przeczytała ją prędko.

– O mój Boże! Tak mi przykro! Teraz rozumiem twój pośpiech.

– Pozwoliłam sobie posłać umyślnego na dworzec po bilet.

– A może ktoś powinien ci towarzyszyć? – zaproponowała Adamczykowa. – Nie powinnaś samotnie podróżować.

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Poradzę sobie, ponieważ nie biorę żadnego bagażu. Wiem, że Seweryn ma obowiązki. Ty przecież też nie zostawisz swojej córki – oznajmiła. – A nawet gdybyś chciała wyruszyć ze mną, musiałabyś pewnie spakować przynajmniej parę rzeczy. To mogłoby opóźnić wyjazd do jutra, a każdy dzień zwłoki może pociągnąć za sobą dramatyczne skutki. – Jej głos zdławiony był strachem.

Matylda nawet nie próbowała oponować. Wiedziała, jak bardzo Aurelia przywiązana jest do Drzewickich. Mimo wszystko byłaby spokojniejsza, gdyby z Aurelią pojechała choćby pokojówka. Skoro jednak przyjaciółka nie zabierała ze

sobą bagażu, rzeczywiście mogła podróżować samotnie, ponieważ nie potrzebowała pomocy. A z obecności służącej nie miałyby pewnie większej pociechy, bo żadne z takiej prostej dziewczyny towarzystwo, rozmyślała. Potem złapała się na tym, że przecież Aurelia wychowywała się wśród prostego ludu, więc pewnie znalazłaby wspólny język z każdym. Jedyne, co Adamczykowa mogła zrobić dla przyjaciółki, to polecenie służącej zapakowania przyzwoitego prowiantu na drogę.

– Wątpię, czy będę w stanie cokolwiek przełknąć – stwierdziła zdruzgotana Aurelia.

– Kochana moja, nie zamartwiaj się. Jak dotrzesz do domu, zapewne okaże się, że ojciec wraca do zdrowia. Mam nadzieję, że depesza została wysłana mocno na wyrost.

– Wątpię – odparła Drzewicka. – Znam dobrze moich bliskich. Matka nie należy do osób, które wpadają w panikę z byle powodu. Z całą pewnością nie próbowałyby mnie przyprawić o palpitację serca. Mój Boże, abym tylko zdążyła na czas!

Zakładała, że skoro ojciec jest umierający, chodzi wyłącznie o to, by zdążyli się ze sobą pożegnać. Łzy płynęły po jej twarzy nieprzerwanym strumieniem. W ciągu ostatnich kilku lat bardzo zżyła się z Ksawerym. Ten człowiek stanowił dla niej opokę po śmierci Jana. Gdyby zgasło w nim życie przed jej przyjazdem, odczułaby z tego powodu niezwykłą przykrość. Pragnęła powiedzieć mu, jak bardzo go ceni i kocha. Po raz ostatni uścisnąć Ksaweremu dłoń i nazwać go ojczulkiem. A najlepiej, by w ogóle wieść przekazana depeszą okazała się przesadzona.

Tylko czy możliwe było, aby Felicjta do tego stopnia wpadła w panikę?

Kiedy umierał Jan, siedziała u jego łoża i do ostatniej chwili twierdziła, że syn wyjdzie z choroby. Nie dopuszczała do siebie

myśli, że może go stracić. Walczyła, sprowadzała lekarzy, kupowała każdy specyfik, który jej podpowiedziano. Modliła się żarliwie o cud. Nadzieja nie opuszczała jej nawet w momencie, gdy doktor Ebers orzekł, że już nie ma szansy na to, by Jan wrócił do zdrowia, ponieważ jest w agonii.

Czy więc i w tej sytuacji nie zachowywałaby równie dużego optymizmu? Aurelia była głęboko przekonana o tym, że takie rozumowanie jest słuszne i matka nie wzywa jej bez poważnej przyczyny.

Zmartwiona Matylda odprowadziła przyjaciółkę na dworzec kolejowy. Nim pociąg odjechał, uścisnęła ją ze wszystkich sił.

– Nie za lekko jesteś ubrana? – zapytała, gdyż tego dnia było wyjątkowo zimno.

Siarczasty mróz wymalował skrzące esy-floresy na szybach, szczypał w nosy i policzki. Pod butami skrzypiał śnieg.

– Nie martw się. Nauczona złym doświadczeniem, włożyłam na siebie kilka warstw ubrań. Zdarza się wszak czasami, że pociągi są niedogrzone. Zwłaszcza gdy podróżuje się drugą klasą. Na pierwszą, niestety, zabrakło biletów – oznajmiła. – Teraz jest mi nawet zbyt gorąco, więc w wagonie z przyjemnością zdejmę płaszcz oraz szal.

– No dobrze. Będę się zamartwiała. Gdy już dotrzesz do Krynicy, zadeszuj jak najprędzej i daj nam znać, co z twoim ojcem.

– Oczywiście.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że Drzewicki może się źle czuć – westchnęła ciężko Matylda. Pożegnała Aurelię, a następnie odeszła w stronę Małego Rynku. W głowie nie mogło jej się pomieścić, że Ksawery tak nagle zachorował. Nie wspominała o tym Aurelii, ponieważ nie była pewna, czy niespodzianka się uda, ale listownie nakłaniała Drzewickich do

przyjazdu i dołączenia do córki. Pani Felicycya ani słowem nie wspomniała w korespondencji, że mąż źle się czuje, obiecywała natomiast, że niebawem wyruszą w podróż.

Adamczykowa dotarła do domu przemarznięta do szpiku kości. Od razu kazała sobie podać gorącą czekoladę. Zajrzała do pokoju dziecinnego. Konstancja bawiła się grzecznie z nianią. Na widok matki zawołała:

– Mamusiu, mamusiu, weź mnie na rączki, chcę się przytulić! Tak cię kocham!

Rozczulona do granic możliwości Matylda usiadła na dywanie, by pobawić się choćby przez chwilę z małą. Miała wyrzuty sumienia, ponieważ w ostatnich kilku tygodniach niewiele czasu poświęcała córeczce, która była jej największym skarbem.

Spokój zakłóciła służąca, przynosząc kolejną depeszę. Adamczykowa czym prędzej przeczytała krótką notatkę. Zrobiła to kilkakrotnie, bowiem nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

– O mój Boże! Jakże to możliwe? Co się dzieje! – wykrzyknęła, przykładając dłoń do skroni. – Haniu! Prędko pomóż mi się ubrać! Muszę znowu wyjść! Niech ktoś złapie dla mnie dorożkę!

Przeczucia podpowiadały jej, że wydarzyło się coś wyjątkowo złego i tylko Seweryn może jakoś pomóc w tej sytuacji. Poleciała więc dorożkarzowi, by czym prędzej powiózł ją do kancelarii męża.

Dobry Boże, błagam, niech Seweryn będzie w biurze! Mam nadzieję, że nie pojechał do sądu, tam z całą pewnością nie mogłabym z nim porozmawiać. Niech nie wyśmiej moich przeczuć! Niech jakoś spróbuje zapobiec tragedii!

MRÓZ

Muszyna

Aurelia siedziała w pociągu jak na szpilkach. Podróż dłużyła się w nieskończoność. Przejmował ją lęk, że nie zdąży na spotkanie z ojcem. Drżała nie tylko ze zdenerwowania, ale również z zimna, ponieważ wagon rzeczywiście był niedogrzany. Rada więc była z własnej przeczności, która nakazała jej przed wyjazdem włożenie kilku warstw bielizny.

Gdy już dojeżdżali do stacji, kobieta zaczęła martwić się o to, czy w Muszynie znajdzie jakiegokolwiek fiakra, który zechce bezpiecznie przewieźć ją do domu. Jeśli trakt został zasypany śniegiem, może być z tym problem. W najgorszym razie będzie musiała przejść pieszo dobrze znany szlak – była wystarczająco zdeterminowana. Na szczęście włożyła najwygodniejsze buty, ciepły płaszcz i mufkę, a prócz mufki wzięła nawet rękawiczki. Nie bała się, że pobłądzi. Problemem mógł być raczej wcześniej zapadający zmierzch. Jej obawy wzbudzały także wilki. Starła się o nich nie myśleć, ponieważ bez tego miała dość zmartwień.

Na szczęście kiedy wysiadła w Muszynie, ktoś na nią czekał z saniami. Aurelia ucieszyła się, że matka była na tyle przeczna, by przysłać na stację umyślnego, choć zaniepokoiło ją, że nie jest to zaprzęg z woźnicą Drzewickich. Widocznie potrzebny był na miejscu. Być może kursował tam i z powrotem od willi rodziców do domu lekarza. Wypytywanie fiakra o to, czy ma jakieś wieści na temat Ksawerego, miało się z celem. Ten człowiek był zupełnie obcy. Nie przypuszczała, by miał jakiegokolwiek pojęcie na temat stanu zdrowia jej ojca.

Aurelia umościła się w saniach. Czekala ją nieprzyjemna podróż w chłodzie, przed którym nie było jak się uchronić. Kobieta zasłoniła twarz szalem, by choć trochę zabezpieczyć ją przed uszczyplęciami mroźnych podmuchów. Ponadto mogła jeszcze opatulić się niezbyt czystym pledem.

Ruszyli. Zimny wiatr smagnął ją nieprzyjemnie po oczach. Mimo to bardziej niż aurą Drzewicka denerwowała się tym, że sanie nieśpiesznie suną oblodzonym szlakiem. Nie dało się jednak jechać prędeż. Wzdłuż drogi zalegały potężne zasy, z których porywisty wichur nawiewał biały puch na gościniec. Momentami Aurelia odnosiła wrażenie, że pieszo dotarłaby na miejsce znacznie szybciej, ale przed opuszczeniem pojazdu powstrzymywała ją wizja brnięcia w ciężkiej odzieży poprzez śnieg.

– Stój! Stój, zatrzymaj się! – krzyknął ktoś nagle.

W mroku ledwo rozświetlonym przez latarnie zawieszane u sań zamajaczyła czyjaś postać.

– Pewnie potrzebuje podwózki – bąknął woźnica, podnosząc w górę jedną z lamp.

– Niechże go pan weźmie, trzeba się zlitować. Na taki ziąb nikogo nie można zostawiać w potrzebie – powiedziała Aurelia.

Fiakier zatrzymał konie. Drzewicka usłyszała za plecami jakiś szmer. Nim zdążyła się obrócić, zapadła ciemność.

Aurelię obudziło przeszywające zimno oraz upiorny ból głowy. Kobieta leżała na czymś twardym i zimnym. Była tak skostniała, że nie mogła poruszyć dłońmi. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Słyszała wycie wiatru, ale z całą pewnością nie pozostawała na otwartej przestrzeni, gdyż nie czuła podmuchów lodowatego powietrza. Prawdopodobnie przebywała w jakimś lichym budynku dającym osłonę przed wichrem i opadami. Usiłowała sobie przypomnieć, co zaszło, że znalazła się w tak

zadziwiającym położeniu, ale ostatnie, co zapamiętała, to podróż sańmi z Muszyny do Krynicy. Czyżby z nich spadła?

– Pomocy... – zaskrzeczała przez zaciśnięte przerażeniem i zimnem gardło. Odchrząknęła, a następnie ponownie spróbowała zwrócić na siebie czyjąś uwagę. – Pomocy! Jest tu ktoś? Gdzie ja jestem?

Nie odpowiedział jej nikt. Z całą pewnością nie leżała na gościńcu, ponieważ wokół niej nie było śniegu. Panowały natomiast ciemności, że oko wykol. Kobieta wstała z wysiłkiem, wyciągnęła przed siebie ręce i po omacku ruszyła do przodu. Pokonała kilka kroków, gdy natknęła się na ścianę z drewnianych, nieheblowanych desek. Przez skórę rękawiczek poczuła nierówności. Czyżby była w jakiejś stodole? Wskazywałyby na to zapach starego drewna oraz siana.

Ale skąd mogła się wziąć w tym miejscu?

Gdyby ktoś znalazł Aurelię przy drodze, to raczej zaniósłby ją do jakiejś chałupy, by się ogrzała. Tymczasem ona była na wskroś przemarznięta, zdezorientowana i przebywała w dziwnym, ciemnym pomieszczeniu. Naszło ją straszne podejrzenie, że ktoś zamknął ją tutaj celowo. Zaczęła rozpaczliwie krzyczeć. Po chwili jednak zamilkła. Wysłanie głosu nie miało najmniejszego sensu, skoro zagłuszało ją wycie wichru.

Wiedziała, że musi coś zrobić. Nie mogła tkwić tutaj bezczynnie. Choć nie do końca pamiętała, w jakim celu odbywała podróż, ponieważ wiele rzeczy zacierało się w jej umyśle, przeczuwała, że musiało jej się spieszyć. Powinna się jakoś stąd wydostać i wyruszyć dalej. Dokąd? Chyba do domu.

Dom... – pomyślała i od razu zamajaczyła jej piękna, przytulna willa Drzewickich. Oczyma wyobraźni ujrzała w salonie matkę pochyloną nad kanwą i ojca wyglądającego z gabinetu. Ojca...

Ojca... No właśnie! To chyba on był powodem, dla którego samotnie wyruszyła z Krakowa do Muszyny i dalej.

Depesza! – olśniło ją nagle. Wciąż jednak nie mogła sobie przypomnieć, jak do tego doszło, że zamiast w bezpieczne schronienie rodzinnego domu trafiła do wyziębionego budynku pozbawionego okien.

Powoli obeszła pomieszczenie wzdłuż i wszerz. Kilka razy potknęła się o jakieś rupiecie. Nie znalazła wyjścia, choć napierała na ściany. Zorientowała się, że szopa jest zbita z drewnianych desek i służy głównie do składowania siana. Zaplątała się spódnicą i stopami w jego nędzne resztki podczas obchodu.

Co gorsza, po kilku minutach od odzyskania świadomości dotarło do niej, że ma na sobie wyłącznie kostium podróżny. Gdzieś zapodział się płaszcz oraz szal, zniknęła także futrzana czapka oraz mufka. Ktoś, kto ją tego wszystkiego pozbawił, nie zwrócił na szczęście uwagi na to, że prócz mufki miała jeszcze niezbyt grube rękawiczki wykonane z kozłej skóry. Mimo że nie dawały szczególnie solidnego zabezpieczenia przed chłodem, być może były w stanie uchronić ją przed odmrożeniem dłoni. Pod warunkiem, że wcześniej nie zamarznie, ponieważ nawet ciężki aksamitny kostium podróżny i kilka warstw bielizny nie uratują jej przed mrozem.

Muszę się ruszać – stwierdziła. Wiedziała, że nie może siedzieć beczynnienie, bo wtedy z całą pewnością zaśnie, a następnie zamarznie. Jej wzrok pomału przyzwyczajał się do ciemności. Wyławiała z mroku ściany pomieszczenia, w którym ją zamknęto. Widziała niewielką kopkę siana oraz kilka drewnianych belek, o które wcześniej się potknęła.

Jeszcze raz dokładnie obeszła cały budynek, obmacując wszystkie ściany. Znalazła jakieś graty gospodarskie, stare

powrozy, skrzynię. Na jednej ze ścian natrafiła na zawiasy od przepastnych wrót, przez które prawdopodobnie można było wjechać koniem i wozem. Napierała na nie ze wszystkich sił, lecz nie zdołała ich nawet uchylić.

Ktoś dołożył starań, by nie mogła uwolnić się z więzienia. Bez wątpienia zamknięto ją tutaj celowo. Nie miała tylko pojęcia, kto mógł to zrobić i dlaczego. Przecież nikomu nie wyrządziła krzywdy, żyła cicho, spokojnie, nie narażając się innym. Nie flirtowała z kawalerami, nie romansowała z żadnym żonatym mężczyzną. Nie mogła więc w grę wchodzić kobieca zazdrość. Wprost nie umizgiwał się do niej nikt, a zatem powodem nie mogły być odrzucone zaloty. Z nikim nie miała większego zatargu, choć swego czasu naraziła się właścicielom Trzech Róż. Nie na tyle jednak, by próbowali się na niej zemścić, bowiem z ich punktu widzenia poszło o bzdurę, a Aurelia została okrzyknięta wścibską i przewrażliwioną paniusią.

– Być może z kimś mnie pomyłono – stwierdziła na głos. – W domu czeka na mnie matka i na pewno bardzo się niecierpliwi. Musiała przecież założyć, że skoro dzisiaj rano dostałam depeszę, to od razu wyruszyłam w drogę. Jeśli mój przyjazd do Krynicy będzie się przedłużał, pewnie wyślą kogoś naprzeciwko.

Gdy jakiś czas temu zamarudziła nieco dłużej w Powroźniku, a później pobłądziła w lesie, Felicyna tak bardzo się zdenerwowała, że zarządziła poszukiwania. Aurelia ufała więc, że i tym razem matka tak postąpi.

Uczepiła się tej myśli niczym ostatniej deski ratunku.

Spodziewała się, że wybawienie z opresji może nadejść lada chwila. Tylko czy ludzie idący z pomocą będą wiedzieli, gdzie jej szukać? Przecież w tej zawierusze nikt nie usłyszy żadnych nawoływań. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się szopa, w

której ją przetrzymywano. Pamiętała jednak, że z Muszyny ruszyli traktem wiodącym do Krynicy. Mimo ciemności rozpoznała nawet miejsce, w którym woźnica zatrzymał sanie, by kogoś wziąć, na jej wyraźne polecenie, zresztą.

A może nie?

Może to było ukartowane?

Mimo ćmiącej nieprzyjemnym bólem głowy próbowała skupić myśli, by z chaotycznego kłębowiska wyłowić jak najwięcej istotnych szczegółów.

Na rozdrożu, z którego mieli zabrać tamtą osobę, rósł potężny dąb z przytwierdzoną doń małą kapliczką. Aurelia zauważyła ją, ponieważ woźnica podniósł wówczas na moment latarnię. Poświecił tak, że nie widać było człowieka, który ich zatrzymał, ale za to omiótł światłem pobocze. I właśnie w tym momencie urywały się wszystkie wspomnienia Aurelii.

Jak daleko mogli odjechać od tamtego punktu?

Wielokrotnie przemierzała tę trasę za dnia zarówno pieszo, jak i konno. Mniej więcej pamiętała, jakie budynki znajdują się przy drodze. Skoro wszystko wokół zostało zasypane przez śnieg i sanie ledwo przedzierały się przez rozwiewane wiatrem zasy, to Drzewicka wątpiła, by woźnica ryzykował zjeżdżanie z nieco przetartego płozami gościńca. Nawet najlepsze konie mogłyby nie dać temu rady. Przyjęła więc, że uwięziono ją tuż za Powroźnikiem, gdy jechało się od strony Muszyny. Stała tam szopa, która mogłaby posłużyć w tym celu.

O tym wszystkim rozmyślała Aurelia, dziarsko maszerując tam i z powrotem po niewielkiej powierzchni. Nie mogła usiąść. Wiedziała, że jeśli się podda, to zamarznie. Wymachiwała rękami, kręciła nimi młynki, to znowu oklepywała się dłońmi po bokach, choć to ostatnie, z uwagi na wpijający się w ciało gorset, sprawiało jej dyskomfort. Mimo to nie przestawała, bo

jedynie tak mogła pobudzać krążenie. Gdy tylko nieruchomiała choćby na moment, kęsało ją dotkliwe zimno i od razu ogarniała senność. Opadała z sił, ponieważ od wielu godzin niczego nie jadła. Podręczny sakwojaż, w którym prócz portmonetki z pieniędzmi miała prowiant na drogę, zniknął – zapewne wraz z resztą jej rzeczy.

Jeszcze raz obeszła cały budynek, jak najstaranniej go przeszukując. Nagle ku swej wielkiej radości natrafiła na coś miękkiego. Znalazła starą derkę. Tkanina cuchnęła stęchlizną, lecz mimo to Aurelia szczelnie się nią otuliła. Dodatkowe okrycie oraz nieustanny ruch sprawiły, że odrobinę się zagrzała.

Wróciła przed wierzeje. Z całą pewnością usytuowane były od strony gościńca. Jeśli więc ktoś będzie przejeżdżał drogą, to istniała szansa, że go usłyszy. W akcie desperacji ponownie spróbowała rozchylić wrota. W pewnym momencie odniosła wrażenie, że poddały się nieco naporowi. Podbudowana drobnym sukcesem, przystąpiła do ataku na deski. Usłyszała trzask, jakby jedna z nich pękła. Kobieta obmacała starannie to miejsce i stwierdziła, że faktycznie deska nie wytrzymała nacisku. Mogła być spróchniała lub przeżarta przez robactwo. Gdyby zdołała ją wypchnąć, wydostałaby się na wolność. O ile powstałby otwór wystarczająco szeroki, aby się przez niego przecisnąć.

Musi się udać! – stwierdziła. – Nie zostanę tutaj na pastwę losu. Jeśli stąd ucieknę, spróbuję dotrzeć do chyży Juraszków. Tam się ogrzeję. Matula na pewno da mi ciepłe okrycie, a Witalis odwiezie mnie do Krynicy.

To było zdecydowanie najlepsze, co mogła zrobić. Musiała przecież jak najszybciej dotrzeć do domu i dowiedzieć się, co z ojcem.

Nagle zmroziła ją potworna myśl.

A co, jeśli w rzeczywistości nie pomyłono jej z nikim? Jeżeli telegram był fikcją mającą na celu wyciągnięcie jej od Adamczyków i zwabienie w pułapkę? Nie miała pojęcia, kto i po co miałby to czynić. Niemniej jednak gdyby rzeczywiście była to prawda, oznaczałoby to, że nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Jeżeli Felicjta nie wysłała depechy, to nie oczekują jej w domu.

Tym bardziej więc nie powinna zostać w miejscu, w którym ktoś zamknął ją po to, by skonała na skutek wychłodzenia. Nie na darmo odebrano jej ciepłe okrycia. Być może ktoś, kto wpadł na ten diaboliczny pomysł, pozostawił jej suknię tylko dlatego, że na zeszywniałe zwłoki ciężko byłoby ją włożyć. Z płaszczem i szalem łatwiej sobie poradzić. Jeśli więc rzeczywiście miała umrzeć w tej szopie, to zapewne niebawem oprawca wróci po jej ciało, by je porzucić gdzieś przy drodze i upozorować śmierć bez niczyjego udziału. A wtedy wszyscy pomyślą, że po prostu nie znalazła fiakra, więc postanowiła wyruszyć pieszo z Muszyny do Krynicy. W drodze opadła z sił i najzwyczajniej w świecie zamarzła.

Ta intryga wcale nie była niedorzeczna. Tylko kto mógł chcieć zaszkodzić jej aż tak bardzo?

Zastanawiała się nad tym, raz po raz nacierając na wrota. Zdenerwowanie sprawiało, że działała z determinacją godną mężczyzny. W końcu zdołała wypchnąć osłabioną deskę. Z trudem wcisnęła się w szczelinę. Powoli i ostrożnie przepychała się na wolność, jednak w pewnym momencie utknęła. Wpadła w panikę, gdy poczuła, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Przez chwilę miotła się jak oszalała, lecz nie mogła ani przedostać się na zewnątrz, ani wrócić do szopy. Szybko zabrakło jej już i tak mocno nadwątlonych sił.

Była bliska rezygnacji.

– Boże, to nie może się tak skończyć! – jęknęła półgłosem. – Nie chcę tutaj umrzeć! Nie jestem wiecznie omdlewającą panienką, która może liczyć wyłącznie na wybawcę w postaci rycerza na białym koniu! Muszę sobie poradzić samodzielnie.

Przecież wychowywała się jak każda chłopska córka. Była silna, przyzwyczajona do walki z przeciwnościami losu, nawykła do trudów i mozolnej pracy. Musiała tylko wykrzesać z siebie resztki energii.

Zaczerpnęła powietrza, a następnie z ogromnym wysiłkiem zaparła się dłońmi o deski sąsiadujące z dziurą. Centymetr po centymetrze przesuwiała biodra, rozdzierając przy tym spódnicę z podróznego kostiumu. W końcu poczuła upragniony luz. Nie dowierzała własnemu szczęściu: była wolna!

Wsunęła rękę do szopy i wymacała derkę, którą przezornie pozostawiła tuż przy dziurze. Owinęła się nią, rozejrzała na boki. Zalegający wokół śnieg sprawiał, że noc była widna. Dopisało jej szczęście, ponieważ w czasie, gdy zmagala się z deskami, wiatr nacichł. Zza chmur wyglądał księżyc, oświetlając okolice. Rozpoznała miejsce, w którym ją uwięziono. Rzeczywiście była to szopa, o której wcześniej pomyślała. Do Powroźnika było stąd niedaleko. Uznała, że najrozsądniej będzie udać się właśnie tam. Musiała tylko zachować ostrożność, na wypadek gdyby jej porywacz wrócił. Nie mogła dopuścić, by w tym momencie ktoś ponownie ją złapał i uwięził.

Im dłużej myślała o swoich podejrzeniach, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że faktycznie ktoś życzył jej śmierci.

Mimo wyczerpania, przemarznięcia i znacznego osłabienia brnęła w stronę wsi. Ku jej radości wcześniejsze porywy wiatru nie zawiąły całkowicie gościńca. Maszerowała więc koleiną

wyżłobioną przez płozy sań. Czuła się tak zmęczona, że marzyła, by choć na chwilę usiąść i odpocząć. Trudno było odeprzeć tę pokusę, ale gdy tylko zwalniała kroku, w jej głowie rozlegał się głos, który mówił: *Idź, idź, idź! Nie zatrzymuj się nawet na moment. Na końcu drogi czeka nagroda: ciepła izba, gorąca strawa i suche odzienie.*

Z oddali dobiegało ujadanie psów. Pewnie już ją zwietrzyły. Miała nadzieję, że szczekają na nią, a nie na wałęsające się po okolicy stada wilków. Jeszcze tylko tego brakowało, by niemalże u progu chałupy rozszarpały ją dzikie zwierzęta.

Nasłuchiwała nie tylko wycia, ale również ewentualnego pościgu, ponieważ w ekipę ratunkową przestała już wierzyć.

MATCZYNE RAMIONA

Powroźnik

Drzewicka odetchnęła z ulgą, gdy wśród białych zasp zamajaczyły zabudowania Powroźnika. I choć wcześniej wydawało jej się to niemożliwe, poczuła przypływ dodatkowej energii. Okna domów były ciemne, ale ponad dachami snuły się smużki dymów widoczne w mdłym świetle księżyca. Ludzie spali, grzejąc się przy dogasających piecach.

Ten ostatni odcinek drogi dłużył się w nieskończoność. Coraz ciężiej było stawiać kolejne kroki. Ciężką aksamitną spódnicę oblepiał śnieg, co znacząco utrudniało poruszanie się wyczerpanej kobiecie. Wreszcie ostatkiem sił Aurelia weszła na podwórko Juraszków. Podeszła pod okno izby, w której sypiali gospodarze, i załomotała w szybę, licząc, że nie wpędzi rodziców w popłoch.

– Matulu! Ojczy! To ja, Aurelia! – zawołała.

Tłukła się dotąd, aż obudziła domowników. Chwilę później skrajnie wyczerpana osunęła się w ramiona Nazaryma.

– Ałenko! Wszelki duch Pana Boga chwali! Co ty tu robisz o tej porze?! – wykrzyknął Juraszko.

Paraska załamała ręce, gdy mężczyzna wniósł Drzewicką do izby.

– Jak ty wyglądasz, dziecko? Co to za łachmany?

Juraszkowie od razu zakrzyknęli na krewnych, którzy także pozrywali się z sienników, by podłożyć do pieca i zagrzać jadło. Na blasze stanął garnek z poliwką, czyli żurkiem gotowanym na wywarze z rydzów. Danie szybko zaczęło perkotać, wydzielając smakowity zapach. Juraszkowa wyjęła z kufra czystą bieliznę.

Wypędziła chłopów z izby kuchennej i osobiście pomogła córce w zamianie zeszywniałego kostiumu na świeże suche rzeczy.

– Mój Boże! Mój Boże! Jakaś ty zmarznięta, jakaś zimna! Jak śmierć! – utyskiwała gospodyni.

Córka tak dygotała, że nie była w stanie nawet porozpinać stroju. Paraska nieszczególnie знаła się na niuansach eleganckiej odzieży. Grube, spracowane palce nie mogły uporać się z guziczkami i haftkami.

– Rozerwij, matulu – poprosiła Aurelia. – Szkoda się męczyć, a ten łańch i tak już do niczego mi nie posłuży.

– Aby tylko z tego jakiej choroby nie było – użalała się Juraszkowa nad niespodziewanym gościem. Zaraz cię nakarmię i napoję ziołami. A potem do łóżka – dyrygowała.

– Kiedy ja powinnam do Krynicy.

– A wybijże ty se z głowy, dziewczyno, że po nocy pojedziesz dokądkolwiek. Witalis może by cię odwiózł, ale ja nie pozwolę, abyś wystawiła choćby czubek nosa za drzwi. Musisz się solidnie wygrzać.

– Ale tam na mnie czekają! – jęczała młoda.

– A dyć nic się nie stanie, jak poczekają do rana. Wiedzą, żeś dzisiaj miała przyjechać?

– Nie jestem pewna. Rano dostałam od matki depeszę wzywającą do powrotu. Ale równie dobrze mogłabym zjawić się dzień później, bo wcale nie było powiedziane, czy zdążę na pociąg do Muszyny.

– Coś ci się chyba w głowie pomieszało z tego wszystkiego – skomentowała Paraska.

Rozdygotaną i posiniałą z zimna dziewczynę owinęła w ciepły pled, a następnie przywołała Witalisa, w ślad za którym do pomieszczenia wrócili wiedzeni ciekawością pozostali

domownicy. Tylko dziatwę przegnano do łóżek, bowiem noc była już późna.

– Powiedz no Aurelii, Witalisie, kogoś wiozł rano na stację do Muszyny – poprosiła matka.

– Ano Drzewickich – odparł mężczyzna, czochrając się po kudłatej łepetynie.

– Jak to odwoziłeś ich na stację? Dlaczego akurat ty? I po co? – zdziwiła się Aurelia. – Wszak dostałam depeszę od mateczki, w której stało, że ojczulek jest ciężko chory.

– A niech mnie kule biją! Przecież pan Ksawery zdrowy jest jak ryba! – wykrzyknął Witalis. – Tak się złożyło, że przedwczoraj przysłał tutaj umyślnego z prośbą o podwózkę, bo ich woźnica się rozchorował. A gdym ich wiozł, opowiedzieli mi o tym, że państwo Adamczykowie ślali list za listem i prosili ich, aby przyjechali koniecznie do Krakowa. Postanowili więc zrobić ci niespodziankę i zjechać do miasta chociaż na koniec karnawału. Na własne oczy żem widział, jak wsiadali do pociągu.

– O mój Boże, to oni są w drodze do Krakowa! – wykrzyknęła Drzewicka. Była tak zmęczona i oszołomiona, że momentami przestawała logicznie myśleć.

– Nie! Nie w drodze, Alenko – poprawił ją Nazarym. – Do tej pory z całą pewnością dotarli do twoich krewnych.

– No to wiedzą, żeśmy się rozminęli – stwierdziła Aurelia. – O Boże! Oni wszyscy odchodzą pewnie od zmysłów! Na pewno zdążyli się zorientować, że zaszło coś dziwnego. Matyllda wiedziała o depeszy. Chyba ją nawet u niej zostawiłam. Przecież matka dostanie palpacji serca! – Zaczęła się zamartwiać.

Ogarnęła ją wielka rozpacz. Paraska bezskutecznie próbowała pocieszyć córkę.

– Teraz już nic na to nie poradzimy, ale jutro zaraz z rana trzeba będzie wysłać do Krakowa depeszę, że jesteś cała i zdrowa. A do Krynicy nie ma sensu jechać po nocy. Zostań tutaj, ogrzej się. Skoro świt odwiozę cię do domu – podpowiedział Witalis.

Poparli go zatroskani rodzice. Zresztą pomimo szczerych chęci Aurelia była zbyt wyczerpana, by ponownie wyruszyć w drogę. Do tej pory nie zdołała się rozgrzać, mimo że była ciepło opatulona i siedziała w pobliżu pieca. Juraszkowie zasypali ją gradem pytań o to, jak znalazła się pośrodku nocy w Powroźniku. Opowiedziała więc o swej niefortunnej przygodzie.

– Wszystko to oznacza, że faktycznie ktoś chciał zrobić mi krzywdę – jęczała pobladła niczym śmierć Drzewicka.

– Niedoczekanie! – wykrzyknął Witalis, który za przyszywaną siostrą gotów był skoczyć w ogień. – Niech no tylko ktoś spróbuje cię tknąć, a już ja mu porachuję wszystkie gnaty! Ze mną będzie miał do czynienia! Musisz zgłosić to zdarzenie policjantom z Krynicy, niech szukają draba, który cię zamknął. I lepiej, żeby oni złapali tego człowieka, bo jeśli ja dorwę go w swoje ręce, to rozszarpie na strzępy.

Zmartwiona Juraszkowa poila Aurelię gorącym mlekiem z miodem. Spoglądała z przestraczem na jej blade policzki i podkrążone oczy. Martwiła się, by z wyziębienia Drzewicka nie zapadła na jakieś chorobsko. Zawsze była delikatniejsza od reszty dzieciaków. A odkąd zamieszkała w domu Drzewickich, trzymano ją w cieplarnianych warunkach. Tymczasem ostatnie godziny spędziła na przenikliwym zimnie.

Boże mój, Boże! – pomyślała. – Błagam, niech ona się nie rozchoruje. Młoda jest, całe życie ma przed sobą. Nie pozwól, Miłościwy, by zapadła na suchoty tak jak jej nieszczęsna matula.

Nie pozwoliła dłużej męczyć Aurelii. Rozgoniła towarzystwo do spania, a córkę ulokowała w łóżku w paradnej izbie. Otuliła ją najcieplejszą pierzyną, do pieca zaś dołożyła kilka dodatkowych drew, by dłużej trzymał ciepło.

– Śpij, moje niebożatko, śpij – powiedziała, siadając obok.

– A ty, matulu?

– Ja tu przy tobie posiedzę przez chwilę, poczekam, aż zaśniesz – oznajmiła Paraska.

Wolała czuwać, w razie gdyby u młodej pojawiła się gorączka. Na wszelki wypadek jeszcze nim ta usnęła, wymusiła w nią kubek świeżo zaparzonych ziół.

Gorący napar, ogień buzujący w piecu i pierzyna zrobiły swoje. Ciało Aurelii zaczęło się przyjemnie rozgrzewać. W krótkim czasie młodą kobietę ogarnęła błogość.

Dziwnie było znowu zasypiać pod dachem ludzi, których przez niemalże całe życie uważała za swoich rodziców. W paradnej izbie wśród pobielonych ścian, swojskich sprzętów i świętych obrazków wróciło poczucie przynależności i bezpieczeństwa. Strach minął. Aurelia już nie bała się o życie Ksawerego. Wiedziała, że cieszy się dobrym zdrowiem, skoro wyjechał do Krakowa. Frasowało ją jedynie, że rozminęli się w drodze. Matylda na pewno nie ukrywała, że Aurelię wyciągnęła z Krakowa depesza. Cały czas Drzewicką dręczyło przekonanie, że napędziła rodzicom strachu. Zresztą nie tylko rodzicom, ponieważ Matylda i Seweryn na pewno zachodzą w głowę, co też się stało.

Zmęczenie powoli brało górę. Myśli stawały się coraz mniej natarczywe. Jeszcze przez chwilę Aurelia słyszała oddech matki i czuła dotyk jej dłoni to na swojej ręce, to na policzku. Potem drzemka przeszła w głęboki, pokrzepiający sen.

Krynica

W domu powitała Drzewicką zaskoczona Rozalka.

– Panienska tutaj?! – wykrzyknęła. – Przecież państwo pojechali wczoraj do Krakowa.

– Wiem. Po prostu zaszło nieporozumienie. Rozminęliśmy się, a na domiar złego utknęłam w zaspie i musiałam przenocować w Powroźniku. – Dość oględnie wytłumaczyła swój niecodzienny wygląd, gdyż miała na sobie odświętny strój ludowy należący do Anastazji, a na nim ozdobnie wyszywany biały barani kożuszek, którego szwy pokryte były naszywkami z modrej taśmy.

– Ach, tak! Zapewne więc ta depesza jest do pani, a nie do *madame* – powiedziała służąca, podając Aurelii zalakowany blankiet.

Drzewicka wyciągnęła dłoń po korespondencję, złamała pieczęć pocztową i przeczytała krótką notatkę: *Proszę nie przyjeżdżać stop zaszło nieporozumienie stop Aurelia w drodze do Krynicy.*

– Wszystko jasne – stwierdziła Drzewicka, udając, że nic złego się nie stało. – Przygotuj mi, proszę, gorącą kąpiel. A wcześniej zawołaj tutaj Józka – wspomniała o chłopcu na posyłki. – Zaraz zanotuję dla niego tekst depeszy, którą musi natychmiast nadać do Krakowa.

Usiadła przy sekretarzyku ustawionym w salonie. Wyjęła arkusz papieru i napisała lakoniczną informację: *Jestem bezpieczna w domu w Krynicy. Aurelia.* Miała nadzieję, że to wystarczy, by uspokoić bliskich. Przypuszczała, że rodzice wrócą czym prędzej do domu. Raczej nie spodziewała się, że dotrą jeszcze tego samego dnia, na pewno odczuli trudy podróży. Depeszę powinni dostać w miarę szybko. Tylko czy dadzą jej wiarę?

Teraz, gdy już wróciła w bezpieczne objęcia domu, odpoczęła i rozgrzała się solidnie, frapowała ją wyłącznie jedna myśl, a mianowicie: kto ważył się stworzyć ten szatański plan? Do tej pory wciąż wydawało jej się, że otoczona jest samymi życzliwymi ludźmi. Z nikim nie miała przecież zatargów. To wielki problem wskazać wroga wśród serdecznych osób. Nie miała absolutnie żadnych podejrzeń.

Powątpiewała, by za tym dziwnym wydarzeniem stała rodzina Adamczyków bądź Strzeleckich. Zdążyli już wyjaśnić sobie kwestie finansowe. Aurelia kategorycznie odmówiła przyjmowania od nich jakichkolwiek zadośćuczynień za posag matki, który wiele lat temu został rozdzielony pomiędzy Seweryna oraz Zuzannę i wszedł w skład ich majątków osobistych. Wprawdzie Seweryn chciał wypłacić siostrzenicy stosowną kwotę, ale Aurelia oświadczyła, że wystarczy jej posag ufundowany przez Drzewickich, zwłaszcza że właściwie nie zamierzała wydawać się powtórnie za męża. Nigdy nie dbała o dobra materialne, nie były celem jej życia. Z całą pewnością więc powodem nie mogłyby być pieniądze.

Nie przypuszczała także, by chodziło o cień skandalu sprzed lat. Kiedy krakowska rodzina wprowadzała ją na salony swych krewnych i przyjaciół, nie wspomniano, kim tak naprawdę jest Aurelia. Takie było życzenie Drzewickiej i zostało uszanowane przez jej bliskich. Zuzanna wręcz przyjęła je z ulgą, ponieważ wcześniej wyraźnie dała siostrzenicy odczuć, że obawia się kolejnego skandalu. Nie chciała być nazywana ciotką. Ciekawskim wyjaśniono, że Aurelia jest przyjaciółką domu, a znajomość zrodziła się w Krynicy. Drzewickiej także zależało na tym, by nie wywoływać fali plotek czy domniemań. Zakładała bowiem, że wielu osobom mogła zapaść w pamięć, gdy kilka lat

wcześniej bywała na balach z narzeczoną oraz jego rodzicami.

W rzeczy samej się nie pomyliła.

Otoczająca Drzewicką aura tajemniczości sprawiała, że ludzie do niej lgnęli. Zawarła w Krakowie trochę nowych znajomości. Pojawiło się także kilku adoratorów. Ale ci wszyscy ludzie nie mieli pojęcia o jej prawdziwym życiu i dotyczących go niuansach. Gdyby chciał ją skrzywdzić ktoś pochodzący z Krakowa, z całą pewnością nie próbowałby jej zwabić do Muszyny. Tak więc za sekretem musiał stać ktoś, kto mieszkał na miejscu. I tutaj znowu była w kropce, ponieważ nie utrzymywała zbyt licznych kontaktów towarzyskich.

Owszem, znajomości miała dość rozległe. Bywała razem z Felicją u jej przyjaciół. Drzewiccy często zapraszali do siebie gości. Ale z nikim Aurelia nie była tak mocno zżyta jak z Matyldą. Nikomu nie zwierzała się ze swoich sekretów. Nie intrygowała, nie plotkowała o nikim, nie brała udziału w żadnych salonowych rozgrywkach, nie flirtowała z żadnym mężczyzną, o którego mogłaby być zazdrosna jakakolwiek kobieta: panna bądź mężatka.

Nawet Emilia, za którą niegdyś Aurelia nieszczególnie przepadała, okazywała jej teraz mnóstwo sympatii. Może nie było pomiędzy nimi wielkiej zażyłości, ale mimo wszystko Litworowa należała do najbliższego grona. Często towarzyszyła Aurelii podczas przechadzek. Zawsze chodziła z nią do krawca, modystki czy szewca i doradzała w wyborze toalet oraz galanterii. *Gdyby mnie nie lubiła – stwierdziła Aurelia – z całą pewnością nie zależałoby jej na tym, abym dobrze się prezentowała. Raczej odczuwałaby zawiść o każdy nowy strój. Albo doradzałyby mi tak, żebym wyglądała jak strach na wróble* – tak podpowiadała jej kobieca intuicja.

A zatem w którąkolwiek stronę by spojrzała, wszędzie natrafiała na mur, którego nie była w stanie przebić.

A może byłam świadkiem czegoś nieprzeznaczonego dla niczyich oczu? – zastanawiała się jeszcze. Owszem, wiedziała o kilku flirtach, które nie powinny mieć miejsca. Spośród nich za najbardziej oburzające uważała to, co przytrafiło się Eudokii. Aurelia, choć nigdy tego nie rozpowiadała wśród znajomych, ponieważ wychodziła z założenia, że czynami miłosierdzia nie wypada się przechwalać, należała do grona tych osób, które wstawiły się za ciężarną panną u jej byłych gospodarzy. Swego czasu dość ostro posprzeczała się o to z właścicielką pensjonatu. Ale było to już dosyć dawno! I stanowiło wydarzenie tak małej rangi, że nie przypuszczała, aby w grę wchodził odwet za stary zatarg. Po tamtym epizodzie Aurelia wielokrotnie miała okazję rozmawiać z panią Seifert.

Nie przypuszczała także, aby do Krynicy próbował zwabić ją pan Gierymski lub inny absztyfikant Eudokii, choć wiedzieli, że musiała niejedną raz widzieć, jak obściskują dziewczynę. Zresztą o tej porze roku żaden z nich nie przebywał w Krynicy. *Nie, nie! Ta wersja zdecydowanie pozbawiona jest sensu – skarciła samą siebie. – Gdzieżby tacy znani malarze zawracali sobie głowę jakąś prowincjonalną paniusią, która przyłapała ich na amorach ze służebnicą? Wszak oni ledwo dostrzegali moje istnienie, choć przecież niejednego z tych mężczyzn gościł za życia Jan. Zresztą żadnemu z nich nic nieprzyjemnego nie powiedziałam, mimo że mnie korciło – analizowała chłodno, pamiętając nieprzychylne spojrzenia, jakimi kilkakrotnie się z nimi mierzyła.*

Na przemyśleniach zeszło Drzewickiej całe przedpołudnie i popołudnie. Wciąż nie mogła się zdecydować, czy pójść na posterunek policji i poinformować urzędującego tam

mundurowego o tym, co zaszło. Być może powinna złożyć skargę i żądać ścigania osób, które wystawiły ją na tak poważne ryzyko. Ktoś ewidentnie chciał jej śmierci. Świadczył o tym guz oraz niewielka rana z tyłu jej głowy.

– A może nie było żadnego uprowadzenia? – stwierdziła nagle Aurelia. – Może po prostu spadłam z sań i uderzyłam się o coś? Woźnica zobaczył krew, wystraszył się, że się zabiłam, więc postanowił po prostu ukryć moje ciało, aby wina nie spadła na niego. Zawłókł mnie do tej szopy i tam pozostawił. A szal, płaszcz i mufkę wziął z chęci osiągnięcia korzyści. Przecież zabrał także moją podręczną torbę, w której miałam portmonetkę z odrobiną pieniędzy.

Nagle dość przypadkowy motyw rabunkowy wydał jej się najbardziej prawdopodobny. Sęk w tym, że w tej łamigłówce nie pasował jeden szczegół: nieszczęsna depesza.

Znowu więc Aurelia wróciła do punktu wyjścia.

Krążyła po salonie, trzymając się dość blisko kominka, bowiem wciąż łaknęła ciepła. Nie była w stanie usiąść nawet na moment, niespokojny duch popychał ją naprzód. Żałowała, że nie ma przy niej nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o swoich przemyśleniach.

Nagle z zadumy wyrwał ją ruch od strony korytarza i drzwi wejściowych. Wybiegła z salonu wprost w ramiona przybranych rodziców.

– Aurelio! Dziecko kochane! Odchodziliśmy od zmysłów ze strachu o ciebie! – wykrzyknął Ksawery.

– Co wy tutaj robicie? – zdziwiła się córka. – Nie przypuszczałam, że od razu będziecie wracać. Jesteście pewnie potwornie zdrożeni! – Załamała rękę.

– Byliśmy tak zdenerwowani, że w ogóle nie myśleliśmy o żadnych trudach podróży. Owszem, czas dłużył się, gdy

jechaliśmy pociągiem, ale przez całą drogę zastanawialiśmy się nad tym, co właściwie tutaj się wydarzyło. Jakim cudem żeśmy się rozminęli? Matka twa nie wysyłała żadnej depeszy – oznajmił ojciec.

Zza pleców Drzewickich wyłonili się Seweryn wraz z Matyldą. Uściskom i powitaniom nie było końca.

– Byłam przerażona, gdy Matylda pokazała mi wysłaną rzekomo przeze mnie depeszę – oznajmiła Felicycja. – Wszyscy zakładaliśmy, że to jakiś podstęp i ktoś chciał cię po prostu tutaj zwabić pod naszą nieobecność. Dlatego właśnie bezzwłocznie wróciliśmy. A Seweryn i Matysia byli tak kochani, że postanowili nam towarzyszyć.

– Gdybym tutaj nie przyjechała, w Krakowie umierałabym ze strachu i z ciekawości – wtrąciła Matylda. – Odkąd wyjechałaś, dręczył nas paniczny strach, że coś złego się wydarzyło.

– Nie dostaliście mojej depeszy? – zdziwiła się Aurelia.

– Wysłałaś jakąś depeszę? Kiedy? – zapytał Adamczyk.

– Mogłam to zrobić dopiero dzisiaj rano, ponieważ w drodze z Muszyny utknęłam w Powroźniku. W przeciwnym razie wysłałabym powiadomienie zaraz po przyjeździe do Krynicy. Nie wiedziałam nawet, że wyjechaliście do Krakowa – zwróciła się do rodziców. – Dopiero Witalis mnie oświecił.

– Bo to miała być niespodzianka – oznajmiła Felicycja.

– Tak, teraz już wiem – odparła Aurelia. – Ale kiedy o tym usłyszałam, wy już byliście w Krakowie, a ja w Powroźniku i był środek nocy.

– Na miłość boską, co robiłaś nocą w Powroźniku?! – wykrzyknął Ksawery.

– Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Chodźmy do salonu. Wiem, że jesteście zmęczeni podróżą. Służba zaraz poda ciepły posiłek – powiedziała córka.

Nawet jeśli przez moment miała wątpliwość, czy powinna zdradzać rodzinie, co jej się przydarzyło, teraz uznała, że zatajanie prawdy byłoby równoznaczne z kłamstwem. Wszak wszyscy wiedzieli o fałszywej depeszy. I w związku z nią zakładali różne czarne scenariusze, o czym nie zawahali się jej poinformować.

Kiedy już rozlokowali się wygodnie w bawialni, młoda Drzewicka opowiedziała im pokrótce o swojej nocnej przygodzie. Starła się to zrobić jak najbardziej oględnie, by nie wprowadzić matki w panikę. Niestety mina Felicjy przemawiała sama za siebie.

– Mówisz więc, że sama się uwolniłaś? – dociekał Seweryn, choć siostrzenica wspomniała o tym, jak wydostała się ze stodoły. – Zuch dziewczyna! – pochwalił Aurelię.

– Hm... Aż chciałoby się rzec: moja krew – skwitował Ksawery, spoglądając z podziwem na przybraną córkę.

– Ależ jesteś dzielna! Ja pewnie umarłabym tam z zimna i ze strachu – stwierdziła Matylda. – Prędzej bym zamarzła, niż uciekła. Nie bałaś się, Aurelio, że twoi prześladowcy zechcą ruszyć w pogoń?

– Właściwie w tamtej chwili nie myślałam zbyt racjonalnie. Gdy już się wydostałam ze stodoły, zdominował mnie przede wszystkim strach przed watahą wilków. Na szczęście tej nocy nie błąkały się w rejonie Powroźnika.

Służąca podała ciepłą strawę. Przenieśli się więc do jadalni i tam dalej snuli rozważania na temat tego, co się wydarzyło. Padały liczne domysły. Większość z nich pokrywała się z tym, na co Aurelia wpadła już wcześniej. Wszyscy byli zgodni co do jednego: ktoś nastawał na jej życie. Tylko kto?

– A może powinniśmy zorganizować seans spirytystyczny? – zaproponowała nagle Matylda.

Pomysł był tak nieoczekiwany, że momentalnie na kobietę skierowały się oczy wszystkich zgromadzonych.

– Seans spirytystyczny? – powtórzył za nią mąż. – Ale w jakim celu?

– Ezoteryka jest bardzo popularna przy wyjaśnianiu zawiłych spraw. Wciąż dużo się o tym rozmawia na salonach. Duchy znają nieporównywalnie więcej sekretów niż ludzie. Moglibyśmy wywołać ducha Eleonory.

– Na litość boską! Po co? – obruszyła się Zuzanna.

– Bo to matka Aurelii. A matki zawsze pragną dla swoich dzieci jak najlepiej. Ona mogłaby nam zdradzić, kto i dlaczego stoi za porwaniem.

– O nie! Na to się nie zgadzam! Zostawmy w spokoju duszę mojej siostry.

– Zuzia ma rację, Matysiu. Nie można zakłócać wiecznego snu zmarłym. Akurat tej modzie nie zamierzam ulegać. Jest okrutna i nieodpowiedzialna. Nie wiadomo, jaki ma wpływ na dusze osób, które zasnęły snem wiekuistym i zostały brutalnie przebudzone – oświadczył Seweryn. Spojrzał na żonę z taką surowością, że nawet nie próbowała z nim dalej dyskutować.

Po wielu burzliwych naradach uznali, że najprawdopodobniej ktoś usiłował uprowadzić Aurelię dla okupu. Wszak Drzewiccy posiadali tartak dający niebagatelne przychody. Należeli do zamożnych ludzi. Być może sprawca zajścia uznał, że w akcie desperacji zapłaci każdą cenę, by odzyskać córkę.

– To możliwe – przyznała Felicyta. – Tu w okolicy wszyscy wiedzą, jak wiele Aurelia dla nas znaczy. Utraciliśmy już syna, drugi taki cios byłby dla nas nie do udźwignięcia.

Bohaterka zamieszania nie była przekonana, czy bliscy wysnuli słuszne wnioski, wszak komuś ewidentnie zależało na tym, aby zamarzła. Okup za zwłoki nie mieścił się jej w głowie,

choć dopuszczała koncepcję, że ktoś chciał wyłudzić od Drzewickich pieniądze, nie wywiązując się z obietnicy puszczania jej wolno. Dla porywaczy mogłaby być niewygodnym świadkiem. Widziała przecież twarz woźnicy. Z perspektywy czasu żałowała, że obrzuciła go wówczas zaledwie przelotnym spojrzeniem. Zapamiętała jedynie, że był to ktoś obcy.

Niestety Aurelia nie potrafiła wskazać innego powodu porwania. Przeanalizowała fakty wielokrotnie i nic nowego nie przychodziło jej na myśl.

– To potworne, że ktoś gotów jest posunąć się do skrajnej podłości dla osiągnięcia korzyści! – zbulwersowała się Matylda.

– *Pecunia non olet*³³. Z żądy zysku ludzie gotowi są na podejmowanie czynów, o które nikt by ich nie podejrzewał. Sądzę, że powinniśmy zgłosić porwanie policjantowi. Należy przekazać wszystko, co wiemy, niech stróż prawa zbada sprawę. Inicjator tego wydarzenia koniecznie musi zostać ujęty, bo inaczej do końca życia będziemy żyli w strachu o Aurelię i nie zaznamy ani chwili spokoju. Nie możemy przecież dopuścić, by nasza córka stała się więźniem we własnym domu – powiedział stanowczo Ksawery.

Ból wątroby stawał się nie do zniesienia, lecz nie był w stanie zatrzymać Emilii nawet na chwilę. W każdej innej sytuacji położyłaby się zapewne do łóżka, powierzając opiekę nad dziećmi służącej. Miewała już podobne dolegliwości niejednokrotnie, zwłaszcza gdy jadała zbyt ciężkie posiłki. Doktor Ebers, u którego zasięgała porady, skierował ją z tym problemem do Skórczewskiego. Ten stwierdził, że jeśli Emilia radykalnie nie zmieni diety i nie zacznie się zdrowo odżywiać, dolegliwości nie ustąpią, a wręcz mogą spowodować marskość wątroby. Niby stosowała się do jego zaleceń, lecz na niewiele się to zdawało.

Trochę ulgi przynosiło jej łykanie słynnych kołaczyków krynickich, których recepturę opracował przed laty Hugo Nitribitt³⁴.

Kobieta niespokojnie krążyła po salonie. Jak nigdy wcześniej pozostawała nieczuła na wyblakłe tapety i wytarte dywany. Od czasu do czasu zerkąła na dzieci bawiące się grzecznie w kąciku. Widok Teosi i Stasia koił jej zszargane nerwy. Dionizy przebywał jeszcze w biurze, co było dodatkowym źródłem frustracji, ponieważ bardzo chciała się z nim rozmówić.

O tym, że ich plan spalił na panewce, dowiedzieli się kilka dni temu, gdy pod osłoną nocy Dionizy wrócił do szopy i nie znalazł tam ciała Aurelii. Nie chciał tkwić na mrozie w szczerym polu i pilnować stodoły, bał się bowiem, że sam także może zamarznąć. Niedopatrzenie okazało się katastrofalne w skutkach, ponieważ ta przechera jakimś cudem zdołała się oswobodzić. Rzeczy Aurelii: płaszcz, mufka, czapka i niewielki bagaż, leżały w tym samym miejscu, w którym je pozostawił – tuż obok wrót. Zdziwił się nawet, że Drzewicka sama ich nie znalazła. Widać tak bardzo skupiona była na uciekaniu, że nie zwróciła na nie uwagi. Mężczyzna nie próbował pójść po śladach, by ją znaleźć. Gdy wrócił do domu i opowiedział o tym żonie, ta zwymyślała go od durni.

– Powinieneś był sprawdzić, dokąd poszła Rusnaczką! – W rozmowach prowadzonych pomiędzy sobą wciąż określali Aurelię w ten sposób, choć nie było dla nich sekretem, że w jej żyłach nie płynie nawet jedna kropla łemkowskiej krwi. – Być może zdezorientowana zamarzła gdzieś w lesie albo wśród zasp. Ślady doprowadziłyby cię do ciała, a wówczas zrealizowałbyś ostatnią część planu: ubrałbyś ją i porzucił przy gościńcu.

– A co, jeśli znalazła jakieś schronienie? – burknął. – Albo gdyby, co gorsza, to ona pierwsza mnie dostrzegła i rozpoznała? Miałem przy sobie lampę, byłem widoczny z daleka. Aż tak durna nie jest, z całą pewnością nie dałaby sobie zamydlić oczu stwierdzeniem, że to przypadkowe spotkanie. Albo że wyruszyłem w mroźną noc, by ją uratować z opresji – dodał z przekąsem. – Trzeba czekać na rozwój wypadków. Na pewno wkrótce się dowiemy, co się z nią stało. W razie czego miej na oku dom ciotki. Nie chodź tam, by nie wzbudzać podejrzeń, ale staraj się zorientować, czy Rusnaczka wróciła.

Nie obawiali się wpadki. Aurelia nie miała powodów, by ich podejrzewać. Nigdy w życiu nie natrafił na ślad woźnicy, którego Dionizy sprowadził aż z Wierchomli. Więcej współników nie było. A fiakier został sowicie opłacony za milczenie, zresztą był typkiem spod ciemnej gwiazdy, który niejedno miał na sumieniu. Jemu Litwora zdradził tylko tyle, że chodzi wyłącznie o nastraszenie kobiety.

Teraz, gdy Emilia wiedziała, że Aurelia zdołała uratować skórę, a Drzewiccy niemalże natychmiast powrócili do Krynicy, nie była już tak spokojna jak w momencie, gdy układali z mężem plan działania. Tworzyli go pod wpływem chwili, dowiedzieli się bowiem, że wujostwo planują podróż do Krakowa. Liczyli na to, że seniorzy rozminą się z Aurelią. Litworowie zamierzali upozorować wypadek, lecz coś poszło nie po ich myśli.

Kobieta łyknęła kolejną kapsułkę z apteki Nitribitta. Ból na moment zelżał. Podeszła do okna. Wyjrzała na świat otulony białą pierzyną puchu. Miała nadzieję, że mąż wróci choć trochę wcześniej niż zwykle i jeszcze raz wszystko przeanalizują. Największą wątpliwość Emilii budziło to, czy Aurelia na pewno

nie rozpoznała Dionizego we włóczędze zatrzymującym sanie. Pragnęła, by ślubny jeszcze raz ją w tym utwierdził.

W całym swoim życiu nie odczuwała równie wielkiego przerażenia. Uświadomiła sobie, że jeśli policjanci odkryją, kto rzeczywiście stoi za uprowadzeniem Rusnaczki, to konsekwencje tego mogą być przerażające.

Miotła się jak oszalała. To przytulała do siebie dzieci, jakby widziała je ostatni raz, to krążyła po bawialni, to wyglądała na ulicę. Jej serce łomotało zatrważająco prędko, a strach zaciskał gardło. Dla Emilii było to zupełnie nowe, nieznane doznanie. Nie obawiała się o siebie, lecz o to, co może stać się z jej dziećmi, gdyby została aresztowana.

Nie miała matki, a Klara z całą pewnością odwróciłaby się od skompromitowanej siostry.

Nie mogła liczyć na teściową – samolubną jędzę, która nigdy w niczym jej nie pomogła.

Drzewicka, choć uwielbiała Teosię i Stasia, też pewnie nie zdobyłaby się na aż taki akt miłosierdzia, by zatroszczyć się o potomstwo istoty, która nastawała na życie jej córki. A gdyby tak jeszcze przy tej okazji ktoś wpadł na to, z czyjej winy zachorował i zmarł Janek, zdecydowanie nie chciałyby mieć nic wspólnego z chrześnicą oraz jej dziećmi.

Boże! Co ja narobiłam? – jęczała w duchu. – Co mnie może czekać? Dom wariatów? Więzienie? Stryczek?

Zdrętwiała, widząc idącego ulicą policjanta. Nie był to częsty widok na ulicach Krynicy. Kurort słynął z bezpieczeństwa i praktycznie braku jakiejkolwiek przestępczości. Ludzie żyli tutaj spokojnie, nikt nikomu nie robił na złość, nie dokonywano kradzieży, napaści ani zabójstw. Mało kto zawracał sobie głowę zamykaniem drzwi do domu na zamek. Przez chwilę kobieta

żywiła nadzieję, że stróż prawa wybiera się do kogoś innego, lecz on skreślił ku jej furtce.

Odskoczyła od okna.

Momentalnie zapomniała o ćmiącym bólu wątroby. Sparaliżował ją strach.

Zaczerpnęła głęboko powietrza w płuca, odetchnęła. Omiotła spojrzeniem dzieci. Jej serce zabiło niespokojnie. Miała zbyt wiele do stracenia. Pał lichy pozycję towarzyską, na którą z takim wysiłkiem pracowała przez całe życie, choć to oczywiste, że trudno byłoby spojrzeć w oczy krewnym i znajomym, gdyby w jakikolwiek sposób połączono ją z tą sprawą. Po czymś takim nie byłaby w stanie chodzić z podniesioną głową. Była jednak rzecz znacznie gorsza, której z całą pewnością by nie przeżyła – nie zniosłaby rozłąki z Teosią i Stasiem. Byli dla niej wszystkim.

Policjant zmierzający w stronę domu na pewno nie wróżył niczego dobrego. Musiał coś wiedzieć, w przeciwnym razie nie nachodziłby Litworów. Potwornie bała się zdemaskowania. Nawet gdyby próbowała złożyć całą winę na Dyzia, który był przecież mózgiem i głównym realizatorem planu, nic nie uszłoby jej na sucho. Znała męża jak własną kieszeń – pociągnąłby ją za sobą na dno.

Gdzie ja miałam rozum, wiążąc się z tym łotrem? Co mnie opętało, że przyklasnęłam jego niecnym zamiarom? Błagam, Boże, nie pozwól, by mnie rozdzielono z dziećmiaczkami – jęknęła w duchu, zapominając całkowicie o tym, że już dawno się od niego odwróciła. – Przysięgam, dobry Boże, jeśli zdołam się z tego wykpić, nigdy więcej nie posunę się do niegodziwości! Błagam, błagam, błagam...

Dionizy wracał niespiesznie z biura. Zimą w tartaku było niewiele pracy. Mało kto zamawiał drewno budowlane. Być może właśnie z tego powodu Aurelia, zamiast pod czujnym

okiem Ksawerego wdrażać się w prowadzenie interesu, wyjechała na karnawał do Krakowa. O tym, że w przyszłości przejmie tartak, wiadomo było od kilku miesięcy. Dla Dionizego był to wielki cios, prawdziwy gwóźdź do trumny. Litwora nie wyobrażał sobie pracy pod babskimi rządami, a już z całą pewnością nie pod okiem znienawidzonej istoty. Jego determinacja, aby dyskretnie pozbyć się Aurelii, osiągnęła apogeum. Stąd naprędce obmyślona intryga z depeszą i uwięzieniem.

– Ech... Diabli wzięli taki piękny plan. – Zgrzytnął gniewnie zębami.

Najgorsza była świadomość, że następną próbę wyeliminowania młodej Drzewickiej musi odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość. Szaleństwem byłoby podejmowanie jakichkolwiek działań od razu.

Litwora znajdował się opodal własnego domu, gdy stanął twarzą w twarz z policjantem. Zaskoczenie było niemałe, gdyż nieomal się ze sobą zderzyli. Ale może właśnie to pozwoliło Dyziowi zachować się w miarę naturalnie. W przeciwnym razie być może próbowałby uniknąć spotkania.

Przedstawiciel prawa uchylił czapki i grzecznie się przywitał. Panowie przystanęli na chwilę, by pogwarzyć. Na koniec wymienili zwyczajowe grzeczności i każdy poszedł w swoją stronę.

Chwilę później Dionizy wszedł do domu. Zastał żonę siedzącą w salonie na dywanie. Trzymała w objęciach Teodorę i Stasia, płacząc rozpaczliwie. Całowała naprzemiennie ich główki, jakby w jakimś akcie desperacji.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony.

Nigdy wcześniej nie widział Emilii w takim stanie. Żona była uosobieniem opanowania. Ze stoickim spokojem zniosła nawet

śmierć matki, roniąc zaledwie parę łez podczas pochówku. Wściekła bywała, owszem. Ale zapłakana? Nigdy!

Słyszając męża, zerwała się na równe nogi. Złapała go za rękaw i pospiesznie wyprowadziła z bawialni. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi gabinetu, do którego weszli, rzuciła mu się do oczu. Zrobiła to tak niespodziewanie, że nawet nie zdążył się wystarczająco uchylić. Przeorała mu twarz paznokciami aż do krwi.

– Czyżeś ty zwariowała?! – wykrzyknął.

– To twoja wina. Tyś mnie wiódł ku złemu – wysyczała niczym zmija, tak cicho, że prócz niego nikt nie miał prawa jej usłyszeć.

– Przez twoją pazerność możemy skończyć na szubienicy!

– Co ty bredzisz?

– Był tu policjant. Ledwo się wyłgałam. Interesowały go różne sprawy.

– Ach tak? Minąłem się z nim na ulicy. Nie wyglądał na kogoś, kto chciałby kogokolwiek posyłać na stryczek. Zamieniliśmy nawet parę słów. Wspomniał, że był u ciebie. Zagadnął mnie, czy słyszałem o przygodzie, jaka przytrafiła się twojej kuzynce. Przyznałem więc, że owszem, wuj napomknął mi coś na ten temat, gdy rano pojawił się w tartaku, ale nie znam szczegółów. Dla niepoznaki zacząłem wręcz wypytywać policjanta. On nie podejrzewa niczego! Uspokój się! – Złapał żonę za ramiona i mocno nią potrząsnął. – Nic ci nie grozi. To zwykły gamoń, którego jedyną robotą jest doprowadzanie do porządku podchmielonych bywalców gospody albo prowadzenie dochodzeń w sprawie jabłek zwędzonych z sadu.

– Nie jestem tego pewna. Nie przyszedłby tutaj, gdyby nie miał jakichś podejrzeń. A co będzie, jeśli on coś wywęszy? Dyziu! Ja nie mogę pójść do więzienia! Nie mogę, rozumiesz? Mamy dzieci. Teosię! Stasia! Umarłabym z rozpacz, gdyby mnie z

nimi rozdzielono! Dla nich jestem gotowa na wszystko, mogę się zmienić, wyzbyć ambicji... Ale nie pozwolę, by trafiły do przytułku! Albo by ktokolwiek wytykał je palcami, jako dzieci morderców!

Przez dłuższą chwilę Emilia zasypywała ślubnego pretensjami, nie dając się uspokoić jego zapewnieniem, że nic jej nie zagraża. Pograżona była w rozpacz. Strach przed utratą dzieci wypełniał umysł kobiety.

– Boże! Nie powinniśmy byli w ogóle tego robić! Co nas opętało, Dionizy? Przecież to nie miało prawa się udać! Aurelia mogła cię rozpoznać, złożyć zeznania...

– Ale nic takiego się nie stało. W przeciwnym razie już siedzielibyśmy w areszcie – odparł ze stoickim spokojem. – Uszło nam to płazem.

– Na razie... Na razie... A co, jeśli tamten woźnica nas zdradzi?

– Nie znajdą go.

– A depesza?

– Została nadana w Nowym Sączu. Sam diabeł nie dojdzie prawdy! Lisiczko, co z tobą? Nie poznaję cię! Nie dalej jak wczoraj narzekałaś, że nie doprowadziłem sprawy do końca. Byłaś na mnie wściekła, chciałaś, żebym spróbował ponownie...

– Nie! To najgorsza rzecz, jaką moglibyśmy zrobić. Gdyby cokolwiek przydarzyło się Aurelii, podejrzenie z całą pewnością padłoby na nas. Ten policjant... On mnie wypytywał o to, kto dziedziczy po ciotce.

– I co mu powiedziałaś?

– Że Aurelia.

– Doskonale!

– Tak, ale zaraz potem zadał pytanie o to, co by się stało, gdyby Aurelia zmarła. Wyjaśniłam mu, że wówczas majątek zostanie

podzielony pomiędzy kilka osób. Mnie, Klarę, może jakichś dalekich krewnych wuja...

– Interesowało go coś prócz tego?

– Tak. Chciał wiedzieć, czy orientuję się, kto mógłby mieć zamiar skrzywdzić Aurelię. Przyszło mi wtedy na myśl, by napomknąć, że prawdziwa rodzina Rusnaczkii niekoniecznie musiała ucieszyć się z jej odnalezienia. Wszak z matką Aurelii wiąże się skandal i mezalians. Zasugerowałam nawet, że w grę mogą wchodzić jakieś roszczenia finansowe.

– Mądra dziewczynka. Rzucenie podejrzeń na jej wuja i ciotkę to świetny pomysł. – Dionizy pogłaskał żonę po mokrym od łez policzku. – Wiem, że ta rozmowa cię rozstroiła, ale wszystko już dobrze – zapewnił. – A za jakiś czas, gdy sprawa ucichnie, pomyślimy o sensownym rozwiązaniu naszego problemu. Rusnaczkia żywo interesuje się tartakiem. A tam jest mnóstwo niebezpiecznych maszyn. Wystarczy chwila nieuwagi i można zostać kaleką, a nawet stracić życie...

– Nie! – przerwała mu gwałtownie. – Aurelii nie może spaść nawet włos z głowy! Mamy dzieci, rozumiesz? Nie możemy ryzykować...

– Ależ robiliśmy to właśnie dla nich! By zapewnić posag Teosi i wykształcenie Stasiowi.

– Bzdury opowiadasz! Chcieliśmy pieniędzy przede wszystkim dla siebie. Nie myśleliśmy o tym, że w razie wpadki oni najbardziej ucierpią.

– Uuu... Ależ cię odmieniła ta rozmowa z policjantem. Nigdy w życiu bym nie uwierzył, że tak łatwo dasz się przestraszyć i zachce ci się wkroczyć na drogę cnoty. Anioł nie kobieta! – Dionizy zagwizdał w udawanym podziwieniu. – A gdzie moja diaboliczka-lisiczka?

– Nie ma jej i już nigdy nie będzie.

Jej słowa utonęły w śmiechu męża.

– Zabawna jesteś, Emilko. Ludzie nie zmieniają się z godziny na godzinę. Kto ma diabła za skórą, temu nad głową nie rozbłyśnie aureola.

– A zatem przyjmij do wiadomości, że ja właśnie przeszłam przemianę. Uwierz mi, mężu. Dla dzieci kobieta jest w stanie zrobić wszystko, gotowa na każde poświęcenie. Nie ma większej miłości.

– Uhm. Porozmawiamy o tym za jakiś czas – burknął mężczyzna.

– Zapomnij! Mnie już do niczego nie namówisz. Nie narażę się na żadne ryzyko. Jeśli sprawa się wyda, ciebie o wszystko obwinę. Powiem, że mnie zastraszyłeś. A najlepiej zrobię, jak uprzedzę fakty i wyznam winę przed chrestną matką. Może mi wybaczy, jest szlachetna i wspaniałomyślna.

Nie traktował słów żony serio, zakładał, że wypowiedziała je pod wpływem impulsu. Przestraszyła się konsekwencji, jakie mogłaby ponieść, gdyby ktoś ich zdemaskował. *Pożyjemy, zobaczymy. Za kilka dni wszystko wróci do normy* – stwierdził.

– Wbij sobie do pustej główki, że obydwójce tkwimy w bagnie po uszy. Niech więc w akcie desperacji nie skusi cię, by się kajać przed ciotką w nadziei na to, że odwoła detektywa i łaskawie ci wybaczy – wysyczał, ujmując żonę za zuchwę i zaciskając dłoń tak mocno, że pobieleły mu knykcie.

– Puść mnie, gnido – odparła, hardo spoglądając mu w oczy. – Módl się lepiej, abyśmy nie wpadli, bo inaczej marny nasz koniec.

Mężczyzna roześmiał się sardonicznie.

– Do tej pory każdy czyn uchodził nam na sucho. Wątpię, by ten nierozgarnięty policjant cokolwiek wykrył. Radzę ci więc,

abyś ochłonęła. Bo jak nie... – Urwał i spojrzał na nią tak wymownie, że nie musiał dodawać ani słowa.

Z oczu męża wyczytała zdecydowanie zbyt dużo.

Poczuła się tak, jakby niewiarygodnie zimno ścięło krew w jej żyłach.

Dionizy gotów był na wszystko.

Emilia w popłochu opuściła gabinet. Wróciła do salonu. Dzieci nadal bawiły się na wytartym ze starości dywanie. Staś leżał na brzuszku, wymachując w powietrzu nogami zgiętymi w kolanach. Pulchną rączką popychał drewnianego konika. Teosia siedziała obok niego, poprawiając sukienkę porcelanowej lali.

– Co się stało, mamusiu? Czemu płakałaś? – zapytała dziewczynka, gdy Emilia ponownie usiadła przy niej.

– To nic takiego, kochanie. Już wszystko dobrze – odparła, nadając głosowi łagodny ton. – Nie chciałam was wystraszyć, skarby. Bardzo was kocham, wiecie? Mamusie czasami płaczą z miłości do swoich dzieciaków.

Przez chwilę siedziała, zmagając się z przerażeniem. Serce łomotało jej tak mocno, jakby za moment miało wyskoczyć z piersi. Starła się zapanować nad tym okropnym uczuciem. Tłumaczyła sobie, że przecież Dionizy nie ukatrupi jej bez wyraźnego powodu. Wszak jest matką jego dzieci!

Nie dam mu się wciągnąć w żadne knowania – postanowiła sobie solennie.

Miała przeczucie, że gdyby jakimś cudem przypadł jej w udziale spadek po Drzewickich, mogłaby zostać kolejną ofiarą męża. Może jednak powinna w związku z tym pokajać się przed ciotką? Wyznać winy, uderzyć się w pierś, błagać o wybaczenie, a na ostatek poprosić, by wujostwo wykreślili z testamentu zapis zrobiony na jej korzyść... Kto wie, czy to nie był jedyny sposób, by w razie czego ocalić życie?

Co ja najlepszego narobiłam? Jak mogłam być równie głupia? Próbowałam ugryźć dłoń, która wciąż mnie głaskała. Za dobre serce odpłaciłam ciotce niewyobrażalną niegodziwością!

Wiedziała, że od tej pory aż do śmierci wyrzuty sumienia będą ją kąsały niczym stado rozwścieczonych wilków. A ona będzie musiała jakoś z tym żyć, zachowywać kamienną twarz i udawać, że nic jej nie dręczy.

Dla dobra dzieci.

CENA PRAWDY

Krynica

Momentami Dionizy nie wierzył własnym oczom i uszom. Ostatnie lata przynosiły mu same rozczarowania.

Najpierw przeszedł mu koło nosa zapis w testamencie. Właściwie nie tyle jemu, co żonie. Gdyby cholerny Jan nie zdążył się ożenić przed śmiercią, problem dziedziczenia w ogóle by nie istniał, a Litwora nie musiałby się troszczyć o przyszłość.

Kolejne rozgoryczenie przyniosła decyzja Ksawerego, który postanowił zrobić swoją przybraną córkę sukcesorką tartaku. Kto to widział, aby kobieta zarządzała takim interesem? Co gorsza, przybłęda musiała zwietrzyć w tym korzyść, a na dodatek miała łeb nie od parady. Doskonale radziła sobie z każdą sprawą, którą zlecał jej Drzewicki. Mimo starań Dionizego, który jak mógł, podburzał robotników przeciwko babskim rządóm, Aurelia znajdowała wśród nich posłuch. Dyzio dwoił się i troił, usiłując wmówić wujowi, że Aurelia jest niekompetentna, nie zna się na pracy w tartaku, myli gatunki drzew, zamówienia oraz rachunki. Nic z tego! Stary zgred twierdził, że jego ukochana córeczka wciąż się uczy i robi nieprawdopodobne postępy. I to nie ona popełnia błędy wskazane przez Litworę.

Najgorsza jednak była w tym wszystkim metamorfoza, którą przeszła Emilia.

Od niefortunego spisku przeciwko Aurelii minęło niemalże pół roku, a żona konsekwentnie trwała w postanowieniu nieszkodzenia „kuzyneczce”. Nie dawała się namówić na

podjęcie dalszych działań, a czas naglił, ponieważ Drzewiccy się starzeli. W odczuciu Dyzia ludzie będący w ich wieku stali jedną nogą nad grobem. Nie mogli przecież umrzeć, nie zmieniawszy wcześniej testamentu na korzyść Emilii!

Gdyby choć ślubna go wspierała! Gdyby zechciała powiedzieć ciotce choć jedno krytyczne słowo pod adresem Rusnaczkii!

A gdzie tam!

Zamiast oczerniać, prawiała komplementy i pochwały. Stała się uprzedzająco miła dla obydwu pań Drzewickich. Dwoiła się i troiła, by wybielić swój wizerunek w ich oczach i odsunąć od siebie choćby cień podejrzenia.

Jedynym szczęściem w tej absurdalnej sytuacji był całkowity brak sukcesów w śledztwie. Dochodzenie prowadzone przez niedoświadczonego policjanta utknęło w martwym punkcie. Gamoń nie był nawet w stanie ustalić, skąd nadano depezę! Dowiedział się jedynie, że nie przesłał jej telegrafista z Muszyny ani Żegiestowa. Kim był woźnica wiozący Aurelię, nie potrafił stwierdzić. Nie znalazł się nikt, kto zauważył, jak kobieta wsiadała do sań. Tamten dzień był tak zimny i nieprzyjemny, że każdy myślał wyłącznie o własnych wygodach i ciepłe.

Ostatecznie Dionizy doszedł do wniosku, że minęło już wystarczająco dużo czasu, by czujność Drzewickich została uśpiona. Aurelia, którą wcześniej paraliżował strach przed samotnym opuszczaniem domu, coraz chętniej wyprawiała się samopas na wycieczki konne. Niestety wraz z nastaniem sezonu leczniczego znowu kręciła się przy niej Matylda oraz jej krewni, którzy jak na złość nie zatrzymali się tego lata w hotelu, lecz w przestronnej willi Pod Lipami. Trudno było więc o okazję do realizacji planów. Jedynie w tartaku dałoby się coś wskórać. Wszak tam nie brakowało niebezpiecznych dla ludzkiego zdrowia i życia maszyn, a drewno ułożone w sągi mogło kogoś

przygnać. Byle tylko obyło się przy tym bez zbędnych świadków. Albo żeby wszystko wyglądało na wypadek.

Tylko jak to zorganizować?

W rzeczy samej ostatnio umysł Dionizego przyćmiewała wściekłość nie tylko na Aurelię, ale również na ślubną. Gdyby nie to, że Emilia była niezbędna w charakterze ewentualnej sukcesorki, chętnie wykombinowałby taką intrygę, która pozwoliłaby mu za jednym zamachem pozbyć się żony oraz Drzewickiej. Sęk w tym, że jedno wykluczało drugie – przynajmniej na razie. Ale pomarzyć piękna rzecz!

Oczyma wyobraźni widział samego siebie: wciąż młodego, zamożnego wdowca korzystającego z uciech wielkiego świata. Od balastu w postaci dzieci uwolniłby się, cedując opiekę nad nimi na Klarę. Niechby szwagierka przydała się w końcu do czegoś.

Zaraz, zaraz! Przecież gdyby diabli wzięli za jednym zamachem i Emilię, i Aurelię, to wtedy majątek Drzewickich przypadłby Teosi i Staszкови. Może jeszcze w jakiejś części Klarze? – przyszło mu na myśl. A on, jako ojciec, miałby pełne prawo do zarządzania kapitałem własnych dzieci. Pod warunkiem, że wujostwo oddałoby mu tę przysługę i wyprawilo się na tamten świat w miarę prędko. To oczywiste, że ktoś musiałby mieć pieczę nad pieniędzmi do momentu, aż młodzi mogliby nimi zarządzać samodzielnie. Miałby dość czasu, by co nieco uszczknąć. Ryzyko? Owszem, istniało. Ale bez ryzyka nie ma satysfakcji.

Od chwili, gdy na to wpadł, Dionizy odnosił wrażenie, jakby w jego głowie pracowały trybiki jakiejś skomplikowanej maszyny. Nieustannie obmyślał, w jaki sposób pozbyć się obydwu kobiet bez wzbudzania żadnych podejrzeń.

Emilia zgięła się w pól, przyciskając jednocześnie dłonie do prawego boku. Wątroba znowu dawała o sobie znać. Nie pomagały nawet kołaczyki krynickie, które łykała w coraz większych ilościach. Pierwszy raz w życiu ogarnął ją strach, że zawiedzie jako matka i osieroci swoje skarby. Dionizy nie był zbyt czułym ojcem, nie poświęcał potomkom należytej uwagi. Jego zdaniem miejsce dzieci było w pokoju dziecinnym pod opieką bony lub matki, a dopiero gdy podrosną i zostaną należycie wychowane, będą mogły uczestniczyć w sprawach rodziny.

– Jeżeli mnie zabraknie, marna ich dola – westchnęła ciężko. *Jak ich zabezpieczyć przed ewentualną nędzą oraz brakiem czułości?* – dodała w duchu.

– Mówiłaś coś, mamusiu? – zagadnęła córeczka.

– Nic takiego, kochanie. Baw się grzecznie z braciszkiem, muszę napisać list – oznajmiła. – Tylko najpierw włożę coś wygodniejszego.

Odeszła do sypialni, gdzie drżącymi palcami rozpięła i zdjęła suknię, a następnie znacznie poluzowała sznurówkę gorsetu. Choć nie przyniosło to spodziewanej ulgi, wyjęła z szafy o wiele luźniejszy w talii kostium spacerowy. Walcząc z pokusą położenia się w łóżku choćby na kwadrans, zmieniła odzież. Chętnie pozbyłaby się gorsetu, a na koszulę narzuciłaby peniuar, lecz czekała ją wizyta u Klary. Nie mogła tego odkładać na inny termin, czuła presję czasu.

Niedawno w jej głowie powstał plan działania, który miał na celu zapewnienie godnej przyszłości Teosi oraz Stasiowi. Nadeszła pora, by wprowadzić go w życie.

Ostatnie spojrzenie w lustro utwierdziło ją w przekonaniu, że postępuje słusznie. Miała bladą twarz i mocno podkrążone oczy, których białka coraz mocniej żółkły. O ile twarz mogła pokryć

delikatną warstewką pudru, by nadać jej odrobinę kolorytu, to na oczy nie miała żadnego sposobu. Gdyby Dionizy był bardziej spostrzegawczy, z całą pewnością już dawno skomentowałyby ich wygląd, podobnie jak wychudłą sylwetkę. Emilia nie dawała mu jednak na to szansy, ponieważ starała się unikać jego towarzystwa. Stroniła od męża nawet nocami, nie pozwalając mu na żadne pieszczoty. Wiedziała, że doprowadza go tym do wściekłości, ale nie potrafiła się przemóc. Miłość, którą niegdyś do niego odczuwała, rozplynęła się niczym mgła.

A przecież kiedyś kochała Dionizego! Lubiła z nim baraszkować. Powierzała mu swe najskrytsze sekrety.

Powinnam do tego wrócić dla dobra dzieci – westchnęła.

W salonie usiadła przy rozchwierutanim sekretarzyku. By się nie kołysał, podłożyła pod jedną z nóg złożoną kilkakrotnie kartkę. Potem sięgnęła po pióro oraz arkusz papieru i napisała kilka bardzo ważnych zdań. Z tym listem zamierzała niezwłocznie pójść do siostry.

A później zrealizować kolejny punkt swego planu.

Dionizy wrócił do domu później niż zwykle. Nie miał się do czego spieszyć. Cóż go tam czekało? Zrządzająca jędrza, w jaką przeobraziła się jego diaboliczka-lisiczka: świętoszkowata, zimna jak lód, zdystansowana.

Franca wyrzuciła mnie nawet z łóżka – myślał zde gustowany. To był jeszcze jeden argument przemawiający za pozbyciem się ślubnej.

Ku jego zaskoczeniu Emilia tryskała dobrym humorem. Dawno jej takiej nie widział. Zamiast spędzić wieczór z Teosią i Stasiem, jak ostatnio miała w zwyczaju, odprawiła ich wraz ze służącą do pokoju dziecinnego.

Tuż po kolacji zaczęła się łąsić do Dionizego jak spragniona pieszczot kotka.

– Co jest? – wyraził zdziwienie. – Zmiana frontu? Znudziło cię bycie aniołem? – dociekał ironicznie.

– Ochłonęłam i przemyślałam wszystko – oznajmiła. – Minęło wystarczająco dużo czasu, abym się poczuła bezpiecznie. Śledztwo chyba utknęło w martwym punkcie. Nikt nas nie niepokoi. Ciotka i Aurelia są nader przyjazne. A jutro Adamczykowie wyjeżdżają do Krakowa.

– Uhm... I co w związku z tym?

Nie chciał sobie robić nadziei na wyrost, ale pragnął, by diaboliczka-lisiczka wróciła pod każdym względem. To wiele by uprościło.

– Nie rozumiesz? – zapytała tym samym cynicznym tonem, którego dawniej często używała. – Może to odpowiedni moment, by podjąć ostatnią próbę zapewnienia dostatniej przyszłości naszym dzieciom?

– A nam dobrobyt się nie należy?

– Owszem. Przecież bez tego nie będzie posagu dla Teosi ani studiów dla Stasia – odparła. – Mam pewną koncepcję – oznajmiła wprost.

– Tak? Jaką? – podchwycił.

– Zależy ci na tartaku czy na domu Pod Lipami?

– Głupie pytanie. Chcę mieć jedno i drugie.

– No tak, tak... Mnie wystarczyłaby willa, ale mogłabym pomyśleć o tym, by skłonić wujostwo również do zapisania nam tartaku. Zanim jednak cokolwiek zrobię, chciałabym sprawdzić, z czym miałabym się zmierzyć. Wiesz przecież, że oficjalnie to ja zostałabym właścicielką przedsiębiorstwa. Powinnam więc wykazać minimum zainteresowania.

– Nic prostszego. Mogę cię zabrać do Słotwin. Osobiście się przekonasz, że tartak jest wart większej uwagi niż dom. Sam skład drewna to prawdziwy majątek – powiedział zapalczywie.

– Zabierzesz mnie tam jutro? – zapytała, nachylając się nad jego uchem.

Poczuł delikatne muśnięcie, jakby liznęła małżowinę. Słyszał szmer jej przyspieszonego oddechu i ciepły powiew w okolicy żuchwy.

Lisiczka wróciła!

Dobrze, nacieszmy się sobą, być może ostatni raz – pomyślał. Gdyby Emilia i Aurelia spotkały się w tartaku, mógłby zrealizować plan, nad którym zastanawiał się od dłuższego czasu.

– Pojutrze – odparł.

– A dlaczego nie jutro?

– Bo jutro jest niedziela. Tartak nieczynny. A poza tym gram w brydża z przyjaciółmi. A ty, o ile się nie mylę, też masz jakieś plany – przypomniał.

– Ach tak! Jak co tydzień muszę odwiedzić moją ukochaną „kuzyneczkę”. – Zadbala o to, by w jej głosie pojawiło się wystarczająco dużo cynizmu. – Dobrze, w takim razie chcę zobaczyć tartak w poniedziałek, gdy będzie pracował pełną parą. Ciekawa jestem tych wszystkich maszyn, które służą do obróbki drewna.

– W porządku. A zatem pojutrze zabiorę cię do drewnianego raję – zapewnił Emilię, zniżając głos do zmysłowego szeptu. – A na razie mogę cię zabrać do raję na ziemi.

Tej nocy, po raz pierwszy od wielu miesięcy, znowu połączył ich żar namiętnych uniesień.

Słotwiny

Dionizy gotów był do działania. Poprzedniego dnia starannie zaplanował i poukładał sobie w głowie kolejne czynności. By

jego zamysł przyniósł oczekiwane efekty, potrzebny był jedynie maleńki łut szczęścia.

„Kuzyneczka” żony miała zwyczaj obchodzenia tartaku każdego dnia o tej samej porze. On musiał tylko dopilnować, by znalazły się razem z Emilią koło największej sterty nieokorowanych pni. Sam powinien wtedy przebywać w innym miejscu, aby każdy mógł zaświadczyć, że nie było jego udziału w obsunięciu się drewna na kobiety.

Jego knowaniom sprzyjało ukształtowanie terenu, gdyż plac znajdował się na niewielkim stoku. Swego czasu zniwelowano go odpowiednimi przekopami. Pomiedzy miejscami składowania drewna powstały tarasy o zróżnicowanym poziomie – każdy następny był nieco niższy. Aby bale runęły, dzień wcześniej Dyzio osłabił stemple podtrzymujące pierwszy, stosunkowo nieduży stos, ostrożnie je podkopując. Ryzykował własne życie, ale czego się nie robi dla przyszłych zysków? Reszty miał dokonać koń, którego należało spłoszyć, oraz siła grawitacji. Zawalenie się jednej sterty powinno według jego szacunków zapoczątkować lawinę. Kolejne sterty pni rozsypią się niczym kostki domina. W obchodzeniu się ze zwierzętami Dionizy miał już wprawę. Rolą konia było na tyle mocne szarpnięcie się na postronku uwiązany do jednego z podkopanych stempli, by ten się przewrócił. Przy takiej masie pni to powinno wystarczyć. Osłabienie podpory sprawi, że pierwsza sterta zsunie się na drugą. Nawet jeśli ta jakimś cudem wytrzyma, to i tak kłody spadające z impetem z samej góry będą wystarczająco zabójcze.

Litwora musiał tylko zadbać o trzy sprawy. Po pierwsze, by konia, który był wykorzystywany do przewożenia urobku po placu, przywiązano do tego konkretnego stempla i aby zwierzę stało tam w odpowiedniej chwili. Z okna miał doskonały widok

na miejsce, w którym czasami pętano konie. Po drugie, by ktokolwiek zaświadczył, że widział Dionizego wchodzącego do biura, zanim doszło do wypadku. Po trzecie, by wuja nie było w newralgicznym momencie w tartaku. Założył, że ostatnie zadanie sprawi mu najwięcej wysiłku, będzie musiał pozbyć się Ksawerego z biura tak, aby ten nie żywił podejrzeń. Niemalże w ostatniej chwili przyszło Dionizemu na myśl, że akurat niedługo mija termin zapłaty największemu dostawcy za zwiezione do tartaku drewno. Wystarczyło tylko przypomnieć o tym Drzewickiemu.

Wbrew pozorom cały plan był banalnie prosty do zrealizowania, ponieważ Aurelia zawsze robiła obchód wówczas, gdy robotnicy mieli krótką przerwę na spożycie posiłku. Ze względów bezpieczeństwa wprowadzono takie rozwiązanie przed laty: chodziło o to, by nie doszło do wypadku, gdy pracują maszyny. O jedenastej uderzano w gong obwieszczający kwadrans odpoczynku. Wyłączano wówczas wszystkie piły i taśmociągi. Konie unieruchamiano, by nie poszły w szkodę. Tylko w tym czasie Aurelia plątała się po placu, wiedząc, że nikomu nie przeszkadza ani niczego nie ryzykuje: ani stratowania przez spłoszonego nieopatrznie konia, ani zaczepienia suknią o taśmociąg, który mógłby ją pociągnąć pod piłę.

Byle tylko zechciała ów kwadrans przestać w jednym miejscu wraz z Emilią.

A jeśli prócz nich trupów będzie więcej?

Mało prawdopodobne, lecz niestety możliwe. Cóż, sukces wymaga ofiar.

Ksawery stanął na wysokości zadania i sprawę płatności pojechał załatwić od ręki. Nie dopuściłby do tego, by na jego

honorze przedsiębiorcy pojawiła się jakakolwiek skaza czy choćby cień podejrzenia o niewypłacalność.

Nawet nieobeznana z tematem Emilia musiała przyznać, że tartak robi imponujące wrażenie. Każda z pracujących tam pił napędzanych parowym silnikiem musiała kosztować majątek. Potężne kłody przepływały na taśmociągach lekko niczym patyczki rzucone w rwący nurt Kryniczanki. Do maszyny skrawającej wjeżdżał cały pień, by z drugiej strony można było odbierać równo przycięte krokwie. Wszędzie piętrzyły się potężne stosy drewna w postaci bali, desek, podkładów kolejowych. Robotnicy uwijali się jak w ukropie, układając wszystko starannie jak od linijki.

– Ależ tutaj panuje porządek! – zauważyła z zachwytem, gdy przechadzali się przez skład.

– No, ba! Czuwam nad tym – odparł z dumą Dionizy. W rzeczy samej nie jego zasługą był ład panujący w tartaku. To Jan i jego ojciec ustalili wszystkie zasady składowania materiałów i pilnowali, by ich przestrzegano. Dbali nie tylko o porządek, ale również o bezpieczeństwo, ponieważ o wypadek w takim miejscu nie było trudno. Litwora plótl jednak, co mu ślina przynosiła na język, byle zająć czymś uwagę Emilii. – Skoro już tutaj jesteś, przyda mi się twoja pomoc – oznajmił, prowadząc żonę na z góry upatrzoną pozycję.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytała Emilia.

– Za chwilę będzie tędy przechodziła Aurelia. Robi to każdego dnia o tej samej porze. Musisz ją koniecznie zatrzymać w tym miejscu co najmniej przez kwadrans. Ja w tym czasie pójdę do biura, aby przetrząsnąć dokumenty, które powierzył jej Ksawery. Być może znajdę w nich sposób na łatwe pozbycie się Rusnaczkii.

– Dlaczego mamy zostać akurat tutaj? – wyraziła zdziwienie.

– Bo stąd nie widać ani okien biura, ani reszty placu.

– Dobrze, możesz na mnie liczyć – zapewniła, dokładając starań, by w jej głosie nie dało się usłyszeć nawet najmniejszego zawahania.

Nie wierzyła, że Dyziowi chodzi właśnie o dokumenty.

– Zobacz, nadchodzi – rzucił mąż. – Franca jest punktualna niczym szwajcarski zegarek.

Odczekali, aż kobieta podejdzie.

– Emilko, ty tutaj? – zdumiała się Drzewicka.

– Dzień dobry, kuzynko. Byłam ciekawa miejsca pracy Dyzia. Od lat zajmuje się pomaganiem wujkowi, a ja do tej pory nie miałam okazji, by go odwiedzić – odparła tak słodkim głosem, że mąż spojrział na nią z uznaniem. – Aurelio, może ty zechcesz mi opowiedzieć coś o zakładzie? Dionizy tak się wymądrza, że niewiele z tego rozumiem. – Udała naburmuszoną.

– Ja was bardzo przepraszam, ale wzywają mnie obowiązki. – Mężczyzna od razu skorzystał z okazji, by odejść.

– Oczywiście, mogę ci wyjaśnić co nieco, choć sama jeszcze nie wiem wszystkiego na temat prowadzenia tartaku – powiedziała Aurelia, ignorując całkowicie Dionizego. Uważała go za bufona, który więcej mówi, niż robi. Nie była zaskoczona, że zraził do siebie nawet ślubną. Emilia bowiem wyglądała dość dziwnie. – Jest coś, co konkretnie cię interesuje? – zagadnęła.

Właściwie była zdziwiona nagłym zainteresowaniem Litworowej. Do tej pory wydawało jej się, że uwagę „kuzynki” pochłaniają wyłącznie plotki towarzyskie i fatałaszkę. Niewiele miały wspólnych tematów do rozmowy.

Ku jej zdumieniu kobieta, zamiast zadawać jakiegokolwiek pytania, spoglądała za odchodzącym mężem. *Czyżby się pokłócili, nim przyszedłam?* – pomyślała Drzewicka. Gdy Dyzio

zniknął za rogiem, Emilia odczekała jeszcze chwilę, a potem mocno złapała Aurelię za przegub dłoni i pociągnęła za sobą.

– Co robisz? – zapytała zaniepokojona Drzewicka. – Dokąd mnie prowadzisz?

– Cii... Zaraz wszystkiego się dowiemy – odparła, robiąc tajemniczą minę.

Ledwo przeszły parę kroków, gdy zaskoczył je ogłuszający huk.

Dionizy stał w oknie biura i z satysfakcją spoglądał na swe dzieło. Sterty masywnych pni poturlały się po placu, powodując przewrócenie kolejnych stosów drewna. W powietrze wzbił się kurz, więc w pierwszej chwili niełatwo dało się dostrzec skałę zniszczeń. Był jednak głęboko przekonany, że gdzieś pod balami spoczywają ciała dwóch kobiet.

Nie miały prawa tego przeżyć – pomyślał z zadowoleniem.

Przez chwilę obserwował ludzi goniących chaotycznie po placu i sprawdzających, czy kogoś nie przygniotły kłody. Potem uznał, że jako hm... prawa ręka Ksawerego powinien dołączyć do robotników, choćby po to, by wydać im jakieś dyspozycje.

Korciło go, aby sprawdzić, czy wszystko poszło po jego myśli, ale najpierw poszedł na inną część placu. Nikt nie nawoływał o pomoc. Nigdzie nie natknął się na wystraszone incydem kobiety. Odetchnął z ulgą, ponieważ to oznaczało, że nie odeszły ze wskazanego Emilii miejsca. Z całą pewnością zostały pogrzebane pod największym usypiskiem, którego uporządkowanie potrwa dość długo.

Minęło już wystarczająco dużo czasu od obsunięcia się składowanych pni. Litwora uznał, że pora pójść tam, gdzie pożegnał kobiety. Pod pretekstem nadzorowania porządkujących teren robotników zamierzał sprawdzić, czy jego plan się powiódł.

Gdy Dyzio dotarł na rumowisko, ku swej zgrozie zobaczył całą i zdrową Emilię. Stała samotnie tuż obok zwału drewna.

– Co to miało być? – wysyczała na jego widok. – Razem z nią chciałeś również mnie zabić? Ukartowałeś starannie wszystko, by wyglądało na wypadek!

Pierwszy raz w życiu nie wiedział, co powiedzieć. Rozejrzał się nerwowo na boki. W pobliżu nie było nikogo, robotnicy uwijali się w znacznym oddaleniu. Mogli więc bezpiecznie rozmawiać.

– Nie! No co ty? Emilko? Sądzisz, że mógłbym skrzywdzić matkę moich dzieci?

– Jesteś zdolny do najgorszego. Obydwoje dobrze o tym wiemy. Nie masz absolutnie żadnych skrupułów.

– Przestań! Jeszcze ktoś cię usłyszy!

– Nie ma mowy! Nie przestanę, niech ludzie nas słyszą! Nie będę dłużej kryła mordercy!

Podszedł do żony, złapał ją wpół. Chciał zatkać jej usta dłonią, lecz nim to zrobił, zdążyła jeszcze wrzasnąć:

– Wystarczy, że spłoszyłeś konia Jankowi. Zamordowałeś go, a potem chciałeś zabić Aurelię.

– Ty wariatko! – ryknął, niemalże wbijając pięść w jej usta.

– Ty morderco! – usłyszał jeszcze jeden głos za swoimi plecami.

Odwrócił się gwałtownie, a potem zamarł w miejscu, widząc, że kilka kroków dalej stoi blada niczym śmierć, lecz cała i zdrowa Drzewicka. W tej samej chwili Emilia wpiła zęby w palce, które nieco poluzował, gdy się poruszył. Odruchowo zabrał rękę, sycząc z bólu. Przed oczami mignęła mu krew.

– Nie zbliżaj się, Aurelio! – wrzasnęła Emilia, szarpiąc się w objęciach męża.

Nie był w stanie jej utrzymać, tak bardzo się miotła. Nie wziął pod uwagę jednego: że żona wcale nie próbuje się

oswobodzić, lecz zamierza wciągnąć go głębiej, pomiędzy niepewnie spoczywające pnie.

Kwadrans wcześniej

Kiedy Dionizy odszedł, Emilia pociągnęła za sobą Aurelię w stronę niewielkiego zagajnika porastającego teren przylegający do składu. Przeczynała, że mąż zastawił na nie jakąś zasadzkę, skoro tak bardzo mu zależało, by pozostały w tym konkretnym miejscu przez kwadrans. Nie miała pojęcia, czego się po nim spodziewać, więc stwierdziła, że najbezpieczniej będzie, jeśli jak najszybciej opuszczą składowisko pni.

– Czemu idziemy do lasu? – dociekała zaskoczona Aurelia, lecz już po chwili jej słowa zagłuszył huk spadających bali.

Kobiety stanęły w pół kroku, a potem zawróciły ku placowi. Ich oczom ukazało się rumowisko, ponad którym wzbijał się opadający z wolna tuman kurzu. Potężne bale potoczyły się po tarasach i zboczu, tratując krzewy, by zatrzymać się ostatecznie na drzewach rosnących poniżej. Na placu, gdzie kilka minut wcześniej stały kobiety, zalegała wielka sterta.

– O mój Boże! – jęknęła przerażona Emilia. Już wiedziała, jaką niespodziankę przygotował dla niej Dionizy.

– O mój Boże! Co za przerażające wydarzenie! Jaki straszny przypadek! Mogłyśmy tam zginąć! Uratowałaś mi życie, ciągnąc mnie w tę stronę! Nie podchodź bliżej, to może się jeszcze obsunąć! – wykrzyknęła Aurelia, łapiąc Emilię za rękę.

Drzewicka była tak oszołomiona, że nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co właśnie się wydarzyło. Litworowa złapała ją w objęcia ramion i mocno uściśnęła.

– Już dobrze, kuzynko. Już dobrze. Nic nam się nie stało.

Jej serce łomotało pospiesznie z emocji. Nie dowierzała, że zdołały umknąć przeznaczeniu. Wszak tylko łut szczęścia

uchronił je przed śmiercią. Poskutkowało drobna podpowiedź intuicji, którą Emilia z powodzeniem mogła zignorować.

– Ależ się trzęsę – powiedziała Aurelia, odsuwając się od Emilii. – Wszystko we mnie dygocze.

– We mnie też. Spójrz! – Kobieta wyciągnęła przed siebie drżące ręce, jakby przechodziła najcięższą postać febry.

– Bóg nas ocalił. Gdybyśmy były tam choć chwilę dłużej, zostałybyśmy zgniecione na miazgę.

– Tak, to musiał być palec Opatrzności. O dobry Boże, Aurelio! Chyba nie znajdę lepszego momentu na przeprosiny.

– Przeprosiny? Za co? – zapytała zaskoczona Drzewicka.

– Za to, że czasami zachowywałam się niegodziwie. Tuż po tym, jak pojawiłaś się w życiu naszej rodziny, bywałam wobec ciebie złośliwa.

– To było dawno temu. Zdążyłam zapomnieć – odparła Aurelia, machając lekceważąco dłonią. – Puśćmy w niepamięć wszystko, co złe. Los dał nam szansę na nowy początek.

Litworowa spojrzała na nią z podziwem. Jeszcze kilka miesięcy temu wykpiłaby Aurelię w duchu, ponieważ w poprzednim życiu nie stać jej było na wyrozumiałość. Wtedy nie wierzyła, że można ot tak coś komuś darować lub wybaczyć i sięgać wzrokiem dalej niż czubek własnego nosa.

– Dziękuję – odparła zduszonym głosem.

Teraz, gdy emocje zaczynały opadać, poczuła znajomy ucisk w boku. Wątroba znowu dawała jej się we znaki.

– Wszystko w porządku? – zapytała Aurelia, widząc, że Emilia mocno pobladła.

– Ta... Tak.

– No to wracajmy do biura, zanim ktoś odkryje, że zniknęliśmy, i wprawi mego ojca w panikę. Pewnie już wrócił od Szybińskiego. – Wspomniała o dostawcy drewna.

Ku jej zaskoczeniu Emilia złapała ją za rękę.

– Poczekaj chwilę. Nie odchodź stąd, póki nie rozmówię się z Dionizym.

Aurelia poczuła się tak, jakby nagle dostała obuchem w głowę. Z miejsca nabrała podejrzeń. Spojrzała wymownie na „kuzynkę”.

– Zaufaj mi ten jeden jedyny raz – poprosiła Litworowa. – Daję słowo, że później absolutnie wszystko ci wyjaśnię. Błagam... – Popatrzyła na Drzewicką tak, że ta zmiękła.

Aurelia stała w miejscu niczym biblijna żona Lota. Nie była w stanie postąpić choćby o krok, zresztą powstrzymywał ją przed tym paniczny strach. Widziała, jak Litworowie się ze sobą szarpią. Słyszała każde ich słowo. Mimo szoku wywołanego tym, co właśnie sobie wykrzyczeli, jej uwadze nie umknął też wzrok Dionizego.

Gdyby spojrzenie miało moc sprawczą, mężczyzna by ją zgładził.

Ziemia usuwała się Dyziowi spod nóg. W przerośni, bo pod stopami miał ubity plac, na którym niczym gigantyczne bierki leżały bezładnie rozsypane pnie. W głowie mężczyzny szybko przeskakiwały trybiki.

Został zdemaskowany. Jeśli pozwoli, by którakolwiek z kobiet odeszła, ściągnie na siebie poważne kłopoty. Aurelia z całą pewnością zadba, by trafił na stryczek. A Emilia pokazała właśnie swoją prawdziwą twarz: nie zamierzała dalej z nim współpracować, co więcej, przed momentem zdemaskowała go przed ich niedoszłą ofiarą. Chociaż powinien teraz dorwać i

ukatrupić Drzewicką, nie mógł puścić żony, ponieważ już jej nie ufał.

Mała diabolica zapędziła mnie w kozi róg! – odkrył z przerażeniem.

Nie wiedział, jak się ma ratować.

Ślubna nie ułatwiała mu sprawy. Miotła się tak, że coraz bardziej zbliżali się do sterty kłód.

Nagle pojął, że czyni to w konkretnym celu.

Jej oczy płonęły nienawiścią.

– Dlaczego nam to zrobiłaś? – zapytał.

– Dla dobra dzieci – odparła tak cicho, by Aurelia nie mogła jej usłyszeć. Zwiodła męża kłamstewkami oraz odrobiną figli. Musiała uspić jego czujność, to była część większego planu. Z chwilą, gdy wraz z Dionizym przekroczyli bramę tartaku, szukała sposobności, by doprowadzić do wypadku, w którym zginęliby obydwój. Teraz miała jedyną szansę, by owo pragnienie urzeczywistnić. – Zaopiekuj się moimi dziećmi, Aurelio! – krzyknęła co tchu.

Niespodziewanie dla wszystkich zebrała w sobie resztkę energii i pociągnęła męża w kierunku zwieszającej się nad nimi kłody, napierając na nią bokiem.

Dionizy prawidłowo odczytał jej zamiar. Wiedział, że już nic nie jest w stanie ocalić go przed szubienicą. Kilka sekund wcześniej zauważył, jak mało stabilnie leżą pnie. Wystarczyłoby tylko solidnie pchnąć stempel, na którym chwilowo zaparły się pozostałe bale, a runęłyby wprost na niego i na Emilię. W tym samym momencie, gdy żona pociągnęła go za sobą, wyteżył wszystkie siły.

To trwało ułamki sekund.

Rozległ się przeraźliwy pisk Aurelii.

A później zapadła ciemność.

Koniec części I Niepołomice, wieczorem 21 października 2022 r.

BIBLIOGRAFIA

- Tadeusz Chrzanowski, *Krynica, Sport i Turystyka*, Warszawa 1980.
- Marceli Ciechanowicz, *Krynica i zdrojowiska karpackie*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Kraków 1958.
- Piotr Czerwiński, *Vademecum. Historia*, Greg, Kraków 1999.
- Eleonora z Cerchów Gajzlerowa, *Tamten Kraków... Tamta Krynica*, Wydawnictwo SPES, Kraków 2021.
- Historia Polski. Atlas ilustrowany*, Demart, Warszawa 2014.
- Historia. Studia z dziejów prowincji galicyjskiej*, red. Adam Galos, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993.
- Władysław Krygowski, *Krynica, Muszyna, Żegiestów, Piwniczna i okolice*, Sport i Turystyka, Warszawa 1974.
- Krynica*, red. Feliks Kiryk, Secesja, Kraków 1994.
- Małgorzata Moźdzynska-Nawotka, *O modach i strojach*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2004.
- Ignacy Potocki, *Krynica i uzdrowiska Doliny Popradu*, Wydawnictwo Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji, Kraków 1948.
- Bartłomiej G. Sala, *Sekrety Krynicy i okolic*, Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Koliński, Łódź 2019.
- Anna Sieradzka, *Tysiąc lat ubiorów w Polsce*, Arkady, Warszawa 2003.
- Maria Strzelecka, *Nikifor*, Libra PL, Rzeszów 2022.
- Bożena Urbanek, *Towarzystwa dobroczynności na ziemiach polskich w XIX stuleciu*, „Medycyna Nowożytna” 2003, 10 (1–2).

Strony internetowe

<http://new.krynica.pl/>

<https://bazhum.muzhp.pl/>

<https://czasemancypantek.pl/>

<https://emisilo.pl/>

<https://historiaposzukaj.pl/>

<https://polska-org.pl/>

<https://strakija.pl/blog/>

<https://www.krynica.pl/>

<https://www.strojludowy.com>

PRZYPISY KOŃCOWE

- 1 Maksymilian Cercha – postać autentyczna. Bratanek krakowskiego artysty malarza i złotnika, również Maksymiliana Cerchy. Poślubił jego córkę Helenę. Doktor praktykujący w Krakowie oraz Krynicy.
- 2 Bolesław Skórczewski (1848–1911) – doktor nauk lekarskich.
- 3 Helena Cercha – postać autentyczna. Córka Maksymiliana Cerchy, krakowskiego malarza, złotnika.
- 4 Łemkowie – wschodniosłowiańska grupa etniczna identyfikująca się jako część narodu rusińskiego. W czasach, gdy rozgrywa się akcja niniejszej powieści, Łemkowie stanowili mniej więcej połowę krynickiej społeczności.
- 5 Rusnacy – inne określenie ludności łemkowskiej.
- 6 Wypatrzyłam ten dom na mapie przedrukowanej z *Przewodnika dla chorych udających się do Krynicy* B.K. Skórczewskiego z 1883 r. W tamtym okresie zapewne pełnił funkcję pensjonatu. Na współczesnych mapach już go nie ma. Na potrzeby niniejszej powieści pozwoliłam go sobie adaptować do własnych celów.
- 7 Józef Dietl (1804–1878) – zasłużony dla Krynicy polsko-austriacki lekarz, polityk, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydent Krakowa w latach 1866–1874.
- 8 Za: Bożena Urbanek, *Towarzystwa dobroczynności na ziemiach polskich w XIX stuleciu* – artykuł w periodyku „Medycyna Nowożytna” 2003, 10 (1-2).
- 9 Postaci autentyczne.
- 10 Chyża – dom łemkowski.
- 11 Powieść wydana po raz pierwszy w Warszawie w 1884 r.
- 12 Tasiemka, troczek przy koszuli łemkowskiej.
- 13 Kamizelka bez kołnierza.
- 14 Postać autentyczna.
- 15 Tadeusz Stryjeński (1849–1973) – polski architekt, konserwator zabytków, przedsiębiorca budowlany.
- 16 Postaci autentyczne.
- 17 Inaczej trumna.

- 18 Scenę tę Aleksander Gierymski uwiecznił na obrazie zatytułowanym *Trumna chłopska*, który powstawał w latach 1894–1895.
- 19 Henryk Ebers (1855–1919) – lekarz, hydroterapeuta, zasłużony obywatel Krynicy. W czasie I wojny światowej ocalił miasto przed zniszczeniem przez wojska rosyjskie.
- 20 Postać autentyczna.
- 21 Postać autentyczna.
- 22 Artur Grottger (1837–1867) – polski malarz, jeden z czołowych przedstawicieli romantyzmu w malarstwie polskim.
- 23 Postać autentyczna.
- 24 Willa Tatrzańska spłonęła w 1987 r.
- 25 Apolinary Tarnawski (1851–1943) – polski lekarz, pionier przyrodolecznictwa i geriatry w Polsce.
- 26 Postać autentyczna.
- 27 Inna ówczesna nazwa Domu Zdrojowego. Dzisiaj ten sam budynek nosi miano Starego Domu Zdrojowego.
- 28 Julian Niedzielski (1849–1901) – polski architekt i budowniczy.
- 29 Jan Zawiejski (1854–1922) – polski architekt.
- 30 Postać autentyczna.
- 31 Epifaniusz Drowniak zwany Nikiforem Krynickim urodził się 21 maja 1895 r. Nie ustalono, kto był jego ojcem.
- 32 Cytat pochodzi z *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza.
- 33 Pieniądze nie śmierdzą – łacińska sentencja przypisywana cesarzowi rzymskiemu Wespazjanowi.
- 34 Postać autentyczna.

SPIS ROZDZIAŁÓW

- [1 Potrzeby serca](#)
 - [2 Echo minionych dni](#)
 - [3 Smutny los](#)
 - [4 U stóp Góry Parkowej](#)
 - [5 Córeczka](#)
 - [6 Zawiedzione nadzieje](#)
 - [7 Przyjaciółki](#)
 - [8 Nadzieja](#)
 - [9 Korespondencja](#)
 - [10 Spisek](#)
 - [11 Dziedzictwo](#)
 - [12 Tajemnica](#)
 - [13 Więzy krwi, więzy miłości](#)
 - [14 Mróz](#)
 - [15 Matczyne ramiona](#)
 - [16 Cena prawdy](#)
-
- [Bibliografia](#)
 - [Przypisy końcowe](#)
 - [zapraszam na... \(P\)](#)

© Wydawnictwo WAM, 2023

© Edyta Świętek, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce: © KathySG/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ePub e-ISBN: 978-83-277-3386-3

Mobi e-ISBN: 978-83-277-3387-0

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl